URKE NACHALNIK

ŻYWE GROBOWCE

Wszystkim tym, których los zepchnął w otchłań wyrzutków społeczeństwa, a którzy dążą ku poprawie — pracę tę poświęca
AUTOR

WARSZAWA — 1934

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

Nr. 1377

DRUKARNIA KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POLONIECKIEGO — LWÓW

OD WYDAWCY

Książka niniejsza jest drugim tomem „Życiorysu własnego przestępcy“, który ukazał się na początku ubiegłego roku. Tom pierwszy opatrzony został obszerną przedmową prof. Dra Stefana Błachowskiego oraz wstępem mgra fil. Stanisława Kowalskiego, omawiającemi dokładnie zarówno wartość literacką i naukową pamiętnika, jak i jego pochodzenie i sposób jego powstania. Nie będziemy tu powtarzali tego opisu; w krótkości jedynie — dla tych, którzy nie mieli w ręku poprzedniego tomu, — zaznaczymy, iż autorem pamiętnika jest zawodowy złodziej-recydywista, który całe życie spędził bądź w sferze przestępców na wolności, bądź też w tej samej sferze — w więzieniu. Tom pierwszy napisany został w więzieniu rawickiem; obejmuje opis dzieciństwa i młodości do listopada 1918 roku. Tom drugi, napisany już na wolności, po odsiedzeniu ostatniego wyroku, obejmuje dalszą część życia autora do roku 1923.

Jakkolwiek niewiele upłynęło czasu od ukazania się pierwszej części niniejszego pamiętnika, autor jego przeszedł dość znaczną ewolucję. Z przestępcy, odgrodzonego od społeczeństwa nieprzebytą zaporą, stał się ogólnie znanym i powszechnie czytanym „literatem“; zarówno jego pamiętniki, jak i nowele, których napisał kilka, budzą powszechne zainteresowanie i tłumaczone są na rozmaite języki; dostarczają też autorowi środków utrzymania. Nie mogło to po-

zostać bez wpływu na jego psychiczne nastawienie: z jednej strony gruntowna zmiana warunków życia i otoczenia, świadomość powrotu do szeregów członków „normalnego“ społeczeństwa, i nieodmiennie z tą świadomością związana przebudowa całego wewnętrznego systemu etycznego; z drugiej strony — coraz bardziej krystalizująca się świadomość artystyczna i literacka — wszystko to musiało wywrzeć znaczny wpływ na ustosunkowanie się autora do przeżyć własnej przeszłości i na pewne przesunięcie perspektyw.

Czy to przesunięcie zaważyć może na wartości dokumentarnej pamiętnika? Karty niniejszej książki dowodzą, że nie umniejsza jej ono wcale, lecz przeciwnie, dostarcza nowych aspektów, staje się źródłem nowych zainteresowań, pozwala dociec jeszcze bardziej do głębi tego arcyciekawego żywota. Swoje przygody i przeżycia, myśli i pragnienia, nadzieje i zawody opisuje Urke Nachalnik szczerze i uczciwie; niejednokrotnie w tomie niniejszym stwierdzimy, iż szczerość tę posuwa do ostatecznych granic, choć w sposób oczywisty naraża tem na szwank własne poczucie godności. Jeśli zaś niekiedy puszcza wodze fantazji, jeśli stara się te swoje uczciwe wyznania podać w formie bardziej literacko wykończonej, (a wszak tkwi w nim już dzisiaj kawał literata!) — to przecież fantazje te noszą wszelkie znamiona autentyczności. Zarówno dla badacza, jak i dla czytelnika ciekawy jest opis życia człowieka, warunków w jakich się wychowywał, sfery w jakiej się obracał, losów jakich doświadczał; ale przecież równie ciekawe są jego myśli, wewnętrzna treść jego przeżyć i jego oblicze psychiczne. Otóż z tej właśnie strony poznać możemy Urke Nachalnika znacznie lepiej i głębiej na podstawie jego wynurzeń artystycznych, niż na podstawie suchej kroniki wypadków.

Z tego względu wydawcy powstrzymali się od wszelkich, choćby najdrobniejszych skreśleń czy retuszów, lub choćby

nawet porządkowych przestawień tekstu; właśnie bowiem te deformacje, jakim ulega rzeczywistość w przedstawieniu Urke Nachalnika, stanowią o bogactwie tego pamiętnika. Jeśli np. pisze on w jednem miejscu, iż „na salę wszedł sąd z prokuratorem na czele", to niewątpliwie to ujęcie rzeczywistości, z objektywnego punktu widzenia błędne, stanowi wybitnie charakterystyczny szczegół, który pod niezręcznym retuszem łatwo mógłby zginąć.

Z konieczności natomiast wydawcy poddali pewnym nieznacznym korekturom sam język pamiętnika. Zaznaczyć należy, iż z wyjątkiem pewnych specyficznych wyrażeń i zwrotów gwarowych, które bez wyjątku zostały zachowane, pamiętnik nie jest pisany gwarą złodziejską. Urke Nachalnik pochodzi z żydowskiej rodziny z Łomży; czytać i pisać po polsku nauczył się w więzieniu, tam też poznał polski język literacki. Otóż już pierwsza część pisana jest z wyraźnem dążeniem do utrzymania się w ramach literackiej poprawności; jedynie w djalogach pozwala sobie autor niekiedy na zacytowanie oryginalnych wyrażeń gwarowych. W okresie między napisaniem pierwszej i drugiej części pamiętnika, Urke Nachalnik wiele przeczytał i zasób swego literackiego języka znacznie wzbogacił; to też w drugiej części jeszcze o wiele wyraźniejsza jest tendencja do jaknajpoprawniejszego i najbardziej literackiego wyrażania się. W tych warunkach wydawcy uznali za wskazane poczynić pewne poprawki gramatyczne lub stylistyczne wszędzie tam, gdzie pozostawienie tekstu w brzmieniu oryginalnem znacznie utrudniłoby czytanie, nie dając wzamian żadnych korzyści badawczych ani artystycznych. Poprawki te zmierzały wyłącznie do uzyskania bardziej prawidłowej budowy zdań, do usunięcia wadliwych końcówek deklinacyjnych, oraz do przywrócenia właściwej transkrypcji wyrazów pisanych błędnie.

MOTTO: Więzień jest trupem człowieka żywcem pogrzebanego w grobie... Ale jest to trup myślący. Nieraz nawet — twórczy.

I.

Radość moja i kolegów po rozkuciu z kajdan była bezgraniczna. Ściskaliśmy się wzajemnie i śmieliśmy się napół głupkowato. Maniek w uniesieniu krzyczał na cale gardło: „Psia jego mać, niech żyje Polska!“

Władza, stojąc na korytarzu i widząc naszą radość, śmiała się wraz z nami.

Po chwili jednak, wracając po schodach na górę, ostygliśmy nieco z naszego radosnego zapału; z pewną niechęcią każdy zosobna pozwolił się wepchnąć zpowrotem do swojej celi.

Stanąłem nieruchomo pośrodku celi. Ogarnęło mnie przykre uczucie osamotnienia. Spojrzenie moje przesuwało się po żelaznych kratach okna, zza którego głucho dobiegały mnie radosne okrzyki więźniów.

Naraz przez kraty przedarł się jaskrawy blask ognia. Momentalnie wdrapałem się na górę i otworzyłem okno. Ujrzałem budynki stojące w ogniu: to Niemcy, umykając z Polski, podpalili prowianturę przy dworcu.

Szelest przy drzwiach mojej celi zmusił mnie do zejścia z okna. Nasłuchiwałem. Słyszałem stuk otwieranych i zamykanych drzwi na korytarzu i przygłuszone kroki, biegnące po schodach nadół i zpowrotem.

Napewno już zwalniają więźniów, pomyślałem. Zatarłem ręce z radości: więc i ja jutro będę wolny.

Zacząłem nerwowo biegać po celi. Przez głowę przebiegały mi dobre, to znów występne myśli. Nadzieja szybkiego odzyskania wolności podniecała mnie i zdwajała szybkość myślenia: jechać do domu, zerwać z brudem, rozpocząć nowe życie... życie człowieka nawróconego, chcącego naprawić błędy młodości... Tak, gdy odzyskam wolność, przysięgam, że stanę się człowiekiem wobec Boga i ludzi i nigdy, przenigdy już nie znajdę się więcej w tych przeklętych murach „Czerwoniaka".

Przez dłuższą chwilę starałem się myśleć o tem, by nie dać dostępu innej myśli, myśli występnej, która narzucała mi się gwałtownie. Po chwili jednak owa występna myśl wzięła górę: muszę pokazać Elci, że nie jestem takim niedołęgą, jak mnie określił jej ojciec. Zrobię dobrą robotę, a potem, gdy będę miał forsę, dużo forsy, ubiorę ją w karakuły i brylanty, i nawet się z nią ożenię.

Na bezinteresowność z jej strony zupełnie nie liczyłem. Byłem święcie przekonany, że każda kobieta kocha mężczyznę tylko póki ten ma pieniądze. Miałem już nawet na myśli pewnego jubilera i wciąż o nim myślałem, układając sobie plan okradzenia go.

Myślałem również i o innych robotach; występne myśli także zwalczały się nawzajem, nie dając mi spokoju. Wtem sąsiad mój zapukał w ścianę; wlazłem więc na okno.

— Te, słyszysz, puszczają już na wolność.

— Słyszę, ale kogo?

— Zdaje mi się, — odparł, — że politycznych zwalniają.

— A kiedy nas tak zwolnią? — zagadnąłem.

— Wiesz ty co? — odparł. — Mnie się zdaje, że naszych wogóle nie myślą puścić.

— Co ty tam pieprzysz, — odezwał się głos o kilka okien od mojej celi. — Jak pragnę wolności, jutro nas wszystkich stąd wytrynią. Sam generał tak mówił.

— Co tam generał, — zawołał inny głos. — Czy oni są frajery, żeby nas puścić? Trajlują nam, żebyśmy spokojnie siedzieli, obawiają się zapewne buntu i dlatego obiecują nam wolność. Figę nam dadzą, a nie wolność.

Kilka głosów naraz zaprotestowało.

— Który to taki cwaniak, że się tak mądrzy? Tobie napewno w „Czerwoniaku" lepiej się powodzi, jak na wolności, dlatego tak mówisz.

— Tak, tak, — podchwyciło kilka głosów naraz. — Ty frajerze lepiej się przymknij. Jak zechcesz, gdy wszystkich nas zwolnią, zostaniesz tu za stróża.

— A ja wam mówię, — upierał się przy swojem napadnięty, — że mogę dać głowę, że tylko politycznych zwolnią; a z naszych oni nikogo nie puszczą. Zobaczycie, że w szyję niejeden jeszcze dostanie.

Oburzenie słuchających nie miało granic. Posypał się na jego głowę grad obelżywych słów i wyzwisk. Jestem pewien, że gdyby nie żelazna krata, która nas dzieliła, doszłoby do przelewu krwi. Zwroty, jakie rzucano pod jego adresem, były śmiertelną obrazą dla każdego więźnia.

Przez całą noc aż do rana na dziedzińcu więziennym słychać było głośne rozmowy więźniów. Wesołe śmiechy rozlegały się wokoło. Nikt nam tego nie zabraniał. Nad ranem dopiero hałas trochę się zmniejszył. Ja także nie zmrużyłem oka; taki niespodziewany zwrot w naszem życiu nie pozwalał mi zasnąć.

Tego dnia pobudka była dopiero o dziesiątej rano. Jestem pewien, że każdy z więźniów dałby głowę za to, iż kiedy uchylą się drzwi, usłyszy nie co innego, tylko okrzyk: „Zabierać wszystkie rzeczy i marsz do domu".

Słysząc odsuwanie rygli na korytarzu, zbliżyłem się do drzwi. Po chwili drzwi się uchyliły, pojawił się sam Lustig, przebrany już po cywilnemu. Powiedział mi nawet „Dzień dobry panu", na co uśmiechnąłem się z ironją. Zabrałem stołek z ubraniem do celi i zadowolony z obrotu rzeczy pośpiesznie się ubrałem.

Po jakimś kwadransie podano nam śniadanie. Co to? Nie dowierzałem własnym oczom. Kawał chleba, funt, a może i więcej; pełna micha kaszy z kartoflami przemawiała do mego żołądka tak, że wszystko to wydało mi się snem.

Przez okno dobiegały mnie okrzyki zadowolonych więźniów:

— Ty, Felek, duży kawał „koksu" dostałeś?

— Funt, może i więcej, — z zadowoleniem odpowiedział zagadnięty.

— Władek, — wołał ktoś, — jak tam z koksem, dzisiaj będziesz miał co na ząb wziąć!

— Tak, teraz głodu już nie będzie. Ty wiesz, że ja z „mortusu" ledwo już „giry" ciągnąłem za sobą. Teraz trochę się odreperuję, — zakończył zadowolony.

— No, no, — dorzucił ktoś. — Teraz nas karmią po polsku. To nie szwabi, co karmili nas suszoną kapustą i kawą. Żeby teraz Ról zobaczył, jak my wcinamy, dostałby apopleksji na miejscu.

— Durni wy wszyscy, — wołał ten sam głos, który wątpił w zwolnienie więźniów. — Dają wam wcinać dlatego, że boją się was teraz. Zobaczycie, że ten chlebek i kaszka wam bokiem wyjdzie. Ja radzę, żebyśmy się sami wzięli do dzieła. Jeśli nie teraz, to już nigdy nie będziemy mieli takiej okazji, by się stąd wydostać. Przyjdzie nam odkiwać wyroczki, jak nic. Oj, mówię wam to, chłopaki, z doświadczenia.

Tym razem nikt nie zaprzeczył, a jeden nawet zawołał:

— Może i ma rację, już po dwunastej, a nas nie puszczają.

Nikt z więźniów nie odezwał się; słychać było tylko mlaskanie językami. To więźniowie, siedząc na oknach, zajadali z apetytem porcje chleba otrzymane na śniadanie.

Co do mnie, przyznam się szczerze, że byłem tego samego zdania, co tamten, który namawiał, by samemu się zwalniać, nie czekając, aż oni to zrobią.

Obiad tego dnia także był spóźniony. Za to jednak otrzymaliśmy tłustą, gęstą i smaczną grochówkę. Dozorca, już z nowoprzybyłych, ubrany z chłopska i przepasany pasem z bagnetem niemieckim przy boku, chodził po celach i śpiewającym głosem prosił:

— Dzieci moje, może jeszcze z misecki grochóweckę? Trzeba się podreperować po tych Miemcach.

Więźniowie po tym obfitym obiedzie wszyscy powłazili na okna, nie bacząc na to, że było dość zimno. Krzyczeli jeden przez drugiego, opowiadając sobie różne hece o dozorcach niemieckich. Naśladowali Róla, przeklinając go przytem wraz z jego rodziną. Niektórzy zaczęli nawet romansować z kobietkami, które nieśmiało także powylaziły na okna.

Przez cały dzień dwunastego listopada więźniowie byli pod wrażeniem, że lada chwila odzyskają wolność. Raz wraz pytali siebie wzajemnie, zdenerwowanym i podniecônym pragnieniem wolności głosem:

— Dlaczego nas nie zwalniają?

Wieczorem błyskawicznie przebiegła po całem więzieniu radosna wieść, że zwalniają już tych, którzy byli skazani przez niemieckie sądy wojenne.

Wszyscy zapewniali się wzajemnie, że na każdego przyjdzie kolej. „Czerwoniak opróżni się, jak kieszeń złodzieja po zrewidowaniu przez policję", śmiał się jeden.

Kolacja również konkurować mogła z niedzielnym obiadem, najlepszym z całego tygodnia za rządów Róla. Po kolacji na korytarzach więziennych powstał ruch. Słychać było, jak z hałasem otwierają się drzwi cel. „Wychodź! Wychodź!" —rozlegały się głosy dozorców. Serce poczęło mi bić radośnie i cały zamieniłem się w słuch. Zgrzyt zamków odzywał się coraz bliżej mojej celi. Zatarłem ręce z radości. Wolność! Wolność! — krzyknąłem na cały glos.

Opanowało mnie wtedy błogie uczucie. Czułem ogromne zadowolenie, że jestem Polakiem, że należę do tego narodu, który po dziesiątkach lat zrzucił z siebie kajdany niewoli i odzyskał Niepodległość. Nastrój patrjotyczny ogarnął mnie do tego stopnia, że bezwiednie począłem nucić półgłosem:

„Nie rzucim ziemi skąd nasz ród"... i t. d.

Drzwi mojej celi uchyliły się. Padło suche energiczne słowo: „Wychodź!" Słowo to dało mi nadzieję i niepewność zarazem. Spojrzałem wdól, obejmując wzrokiem całą centralę. Ze wszystkich galeryj cel pojedyńczych więźniowie schodzili razem. Słychać było pytania:

— Ty, co to jest? Chyba już puszczają do domu?

— Tak, do domu, do domu, — podchwyciło kilka głosów naraz.

Więźniowie zbiegali po schodach jeden przez drugiego. Nie byli to w tej chwili zbrodniarze, złodzieje, ani inni wykolejeńcy; były to raczej dzieci. Dzieci, które pragną ujrzeć dom rodzinny, matkę i ojca.

Powędrowałem i ja z czwartego piętra nadół.

Co to ma znaczyć? Ustawiają nas wszystkich w półkole.

Stoimy tak w oczekiwaniu z dziesięć minut. Po twarzach więźniów znać, że są zdenerwowani do najwyższego stopnia. Każdy zapewne myśli o tem samem, co i ja: wygłoszą do nas piękną mowę, dadzą przestrogi na pożegnanie, — a potem, potem nastąpi wolność.

Ach, gdyby mnie teraz, tak w nocy, wypuszczono! Niktby nawet nie wiedział, skąd wyszedłem. Jakby to było przyjemnie udać się do Elci. Jak ona się mną ucieszy! Co to za rozkosz będzie, po takim długim poście spędzić noc z nią razem...

Przez cały czas oczy więźniów utkwione były w żelaznej bramie, która prowadziła z kancelarji do centrali.

Wtem padła komenda:

— Baczność!

Twarze więźniów przybladły. Pomyślałem w duchu: nie takim tonem wydaje się komendę ludziom, którzy za chwilę mają być wolni.

We środku pomiędzy nami stanął ten, który rozkuwał mnie i towarzyszy z kajdan. Orlim, władczym wzrokiem objął nas wszystkich. Uśmiechnął się łaskawie, poczem zawołał energicznym głosem:

— Chłopcy! Przyszedłem zawiadomić was o radosnej nowinie.

Tu zrobił pauzę, a ciszę przerwało głuche westchnienie pięciuset więźniów. Poprawił szablę u boku i mówił dalej:

— Zostałem przez Ministerjum Sprawiedliwości mianowany naczelnikiem tego więzienia. Znacie mnie zapewne z niemieckich czasów, kiedy katowano was na każdym kroku. Musiałem patrzeć na to, jak morzono was głodem i chłodem. Nic wam wtedy nie mogłem pomóc. Teraz, kiedy jestem waszym naczelnikiem, postaram się, by wypuszczono was na wolność. Od wczoraj pan prokurator przegląda akty i zwalnia po kolei. Zapewniam was, że wszyscy odzyskacie wolność. Bądźcie cierpliwi. Trzeba słuchać dozorców, wykonywać każdy rozkaz bez szemrania i nie buntować się. My, Polacy, nie potrzebujemy więzienia i więźniów. Pójdziecie bronić Ojczyzny, jako prawi synowie Polski. A wtedy grzechy wasze pójdą w zapomnienie...

Naczelnik przerwał, oddychając ciężko, poczem badaw-

czem spojrzeniem objął nas wszystkich, by się przekonać, jakie wrażenie zrobiły jego słowa na więźniach. Po chwili dorzucił:

— Kto z was ma jakąś prośbę lub zażalenie, niech się zgłosi do mnie za pośrednictwem dozorcy. Ja wysłucham wszystkich. A obiad, chłopcy, smakował wam?

— Dobry był, panie naczelniku, — zawołało kilka głosów naraz.

— Obiad był bardzo dobry, — dodali inni.

Naczelnik, zadowolony z siebie, zbliżył się do kilku więźniów znanych mu z twarzy. Ja również miałem zaszczyt być między nimi.

— Jak się czujecie, — zagadnął mnie, głaszcząc mnie po głowie. — Lepiej siedzieć bez kajdanek, co?

— Tak, panie naczelniku. A kiedy mnie zwolnią? — zagadnąłem niepewnym głosem.

Naczelnik spojrzał na mnie badawczo i z pewną ironją odparł:

— Przyjdzie na to czas, nie bójcie się. Tylko nie buntować mi więźniów i nie kombinować ucieczki.

Poczem wykręcił się na obcasie w stronę innego więźnia.

Staliśmy tak jeszcze kilka minut, wreszcie starszy dozorca zawołał napół groźnym tonem:

— Chłopcy, tymczasem marsz do cel. Musicie dobrze wypocząć, zanim pójdziecie do domu.

Wyczułem jad, jaki zawierały te słowa.

Więźniowie, zadowoleni z pięknej mowy i obietnic naczelnika, wracali do cel z ufnością w przyszłość.

Znów wszyscy powłazili na okna. Naradzali się, w jaką stronę się udać. Pozawierali nawet pewne spółki, umawiając się, że ten, którego najpierw zwolnią, zaczeka przed bramą na towarzysza.

Ja, powróciwszy do celi, wpadłem w apatję. Ze słów naczelnika zrozumiałem odrazu, że zależy mu na tem, by zyskać na czasie; dlatego uspokaja więźniów. Zrozumiałem też, że tacy, jak my, Niepodległej Polsce są zupełnie niepotrzebni. Zakląłem kilka razy z żalu do wszystkiego i wszystkich na świecie. Począłem, jak zwykle, wędrować po moim grobie, tam i zpowrotem.

Im dłużej rozmyślałem, tem bardziej wątpiłem, bym wogóle kiedyś miał być wolny. Tak maszerowałem po celi, jak zraniony zwierz otoczony przez ogary. Zegar więzienny już dawno wybił dwunastą. Wpadłem w taką rozpacz, że nie pozostało już we mnie żadnej iskierki nadziei. Losy mego dalszego życia w więzieniu napełniły mnie lękiem i strasznemi przeczuciami. O, te złe przeczucia nigdy mnie w mojem życiu nie zawodziły.

Myślałem też o różnych sposobach wydostania się stąd. Zbuntować więźniów i wykorzystać sytuację? Nie, to się nie da zrobić. Więźniowie są zbyt pod wrażeniem obietnic i obfitego jadła. Pozostaje mi tylko samemu szukać sposobu ucieczki. Ale jak? Gdybym tak mógł się skomunikować z moimi wspólnikami, napewno cośbyśmy zrobili. Mózg mój, ogarnięty gorączką, nie mógł sklecić żadnej logicznej myśli. Doprowadzony do ostateczności, jednym susem wskoczyłem na stół i otworzyłem okno, wchłaniając w siebie chłodne powietrze listopadowej nocy. Śnieżek pruszył nieśmiało po dziedzińcu więziennym. Dwaj żołnierze, z głowami owiniętemi w koce, spacerowali miarowym krokiem tam i zpowrotem, pogwizdując melodję Pierwszej Brygady.

Dolatywały mnie też urywane rozmowy więźniów. Żołnierze nie przeszkadzali im. Serce krajało się we mnie, kiedy słuchałem, jak sobie opowiadali, że po zwolnieniu wstąpią na ochotnika do wojska polskiego, by odkupić grzechy popełnione. Poznawałem też głosy. Między rozmawiającymi był i Stasiek. Przysięgał się, że będzie bronił Polski do ostatniej kropli krwi, mimo, że za rządów Róla było mu tu nienajgorzej. Nie był on jednak wyjątkiem, inni mówili to samo.

Głosy rozmawiających więźniów wzmagały się. Zapewne nikt nie mógł zasnąć, wszyscy powłazili na okna.

Do samego rana rozmawiano i żartowano na cały glos. Wszystkim dodawało to otuchy i nadziei: inaczej zabronionoby komunikować się ze sobą.

Nad ranem poczęto zwalniać więźniów odsiadujących wyroki niemieckie. Radość była nie do opisania. Każdy był pewien, że i jego za chwilę zawołają. Dozorcy mówili do nas: „proszę pana". Po całych dniach i nocach wyglądano i krzyczano przez okna.

Za murem więziennym zawsze pełno było matek, sióstr, żon i kochanek. Moja Elcia przychodziła także. Przynosiła mi dwa razy dziennie kosze ze smakołykami; za każdym razem pocieszała mnie, że lada chwila mnie zwolnią.

II.

Taka półwolnościowa sytuacja w więzieniu trwała do dnia dwudziestego listopada. Przypominam to sobie, jakby to było dzisiaj. Rano, gdy dozorca otworzył drzwi na śniadanie, kalefaktor podał mi porcję chleba. Ręka moja zawahała się i zawisła w powietrzu; pomyślałem, że kalefaktor chyba się pomylił. Spojrzałem do kosza... O zgrozo! Wszystkie porcje były mniejsze. Więc to takie buty, — pomyślałem. Przyjąłem chleb i kubek kawy; kawa ta znowu przypomniała mi Róla. Odstawiłem śniadanie i wskoczyłem na okno. Więźniowie wołali jeden na drugiego:

— Janek, dużą pajdę dostałeś?

— Pół funta, może i to nie, — odpowiedział płaczliwym głosem zagadnięty.

— I ja tak samo, — wołał tamten glos z żalem.

— Patrz, psia ich mać, — krzyczał chrapliwy glos. — Dają nam znów kawkę na śniadanie.

— A ty coś myślał, — naigrawał się inny. — Będą cię stale karmili kaszą z kartoflami na śniadanie? Za bardzobyś się wypasł. Kto chce wcinać kaszę z kartoflami, niech kiwa w domu, a nie przychodzi do „Czerwoniaka".

— A nie mówiłem wam tego, pętaki, — wołał ten sam, który od początku wróżył, że nic dobrego nie będzie. — Zobaczycie, frajerzy, że „Argus" was bujał. Jeszcze tu będzie taka bryndza, że z mortusu kitować nie będzie czem. Niejeden kopytka tu wyciągnie. Ja wam mówię, że „Argus" ma „cykorję", dlatego tak nas głaskał i obiecywał. Ja jestem „Czerniak" i w mordę bity, mówię wam, trzeba bajzel zrobić, póki jeszcze czas.

— Zamknij jadaczkę i nie trajluj, głupi cyganie. Co ty myślisz, że w lesie jesteś? Siedź tam, kiedy ci dobrze. Poczekaj. Jak pan naczelnik gadał, tak będzie.

Jednakże byli i tacy, którzy popierali cygana. Żołnierz stojący na warcie po raz pierwszy rozkazał nam zejść z okien. Zakazał również rozmów. Więźniowie jednak, rozbalamuceni przez te kilka dni, nie słuchali go, myśląc, że z własnej gorliwości wydaje te rozkazy. Dopiero widząc, że podnosi karabin i celuje do okien, powoli poczęli złazić i wyglądać smutno zza krat.

Jednakże i tego zabroniono. Po chwili rozległy się uderzenia kolb w drzwi:

— Złazić z okien! Złazić z okien, — mówię do was, czy nie?

Więźniowie na ten okrzyk poczęli pukać w ściany, jakby pytali jeden drugiego — co to jest, co to ma znaczyć?

Wtem rozległo się na korytarzu trzaskanie drzwiami: to wołano, po raz pierwszy od jedenastego listopada, na spacer. Dotychczas bowiem, spodziewając się wolności, więźniowie o spacer się nie upominali.

Przez okno słyszałem, jak dozorca wydawał rozkazy:

— Dziesięć kroków jeden od drugiego i nie rozmawiać. Komu się nie podoba, marsz zpowrotem do celi.

Dozorcy, uzbrojeni w karabiny i rewolwery, stali we wszystkich rogach podwórka. Ta nagła zmiana zrobiła tak piorunujące wrażenie, że więźniowie nie odważyli się pary z ust puścić, aby zaprotestować. Stali się odrazu posłuszni, jak baranki. Jeden tylko cygan narobił takiego hałasu, że któryś z dozorców ręką zatkał mu gębę, bojąc się, by więźniowie po celach, nie widząc, co się dzieje, nie przyłączyli się do krzyku, przekonani, że kogoś tu biją.

Po chwili zawleczono go do środka i umieszczono tam, skąd krzyki już nie dochodzą...

Jeden tylko śmiałek odezwał się na ten krzyk. — Nie bij — zawołał przez okno, i prędko się schował.

Więźniowie, widząc zachowanie dozorców, pozwieszali beznadziejnie głowy, i z założonemi wtył rękoma spacerowali aż do powrotu do cel.

Przez cały ten czas dozorcy chodzili po korytarzach, zaglądając przez judasza do środka cel. Gdy zajrzano do mnie udałem, że myję miskę. Po chwili i mnie wypuszczono na spacer.

Na spacerze pan dozorca upodobał mnie sobie i co chwila zwracał mi uwagę. To, że nierówno chodzę, to, że się oglądam lub rozmawiam. Jednem słowem, w ciągu tych paru minut plątania się po podwórku więziennem, zdążyłem już popełnić kilkanaście wykroczeń, co według niego zasługiwało już na wielką karę.

Po powrocie do celi zagłębiłem się w smutnych rozmyślaniach. O, jak podstępni są ludzie! Dlaczego obiecywano nam wolność? Jakże ciężko będzie teraz znowu oswoić się z myślą, że trzeba nadal gnić w tym grobie. Kto wie jak długo...

To okropne, — krzyczałem sam do siebie. Począłem biegać po celi, chwytając się za głowę i wyjąc jak wściekły pies z gniewu. Drżąc na całem ciele, wołałem:

— Poco ja żyję? Czem jest życie dla takiego nędznika, jak ja! Czy żyję poto, by zjeść codziennie pół funta chleba i przetrawić trzy litry zupy?

W napól wyczerpanym mózgu zaczyna się coś dziać. Przesuwają się obrazy z przeszłości. W przyszłość boję się spojrzeć, przeczuwając instynktownie, że jest straszna, może jeszcze straszniejsza, niż przeszłość. Nagle, jakby obcemi rękoma zaczynam nerwowo zrywać z siebie ubranie. Prędkim ruchem skręcam kalesony, włażę na stół. Przeciągam nogawkę przez hak tkwiący w suficie. Haki te pozostały po naftowych lampach, których za rosyjskich czasów używano po więzieniach. Skręciłem pętlę i prędko wciągnąłem ją na szyję. Przed oczyma zamajaczyła mi blada twarz mojej matki; później wysoka postać ojca. Bojąc się, że stchórzę, kopnąłem stół, a sam zawisłem w powietrzu i odrazu straciłem przytomność...

Przyszedłem do siebie dopiero, gdy poczułem zimny asfalt pod głową; sączyła się z niej krew, kark mnie bolał, zmęczona głowa opadała na piersi. Los był dla mnie nieubłagany; nawet powiesić mi się nie dał. Chcialem po raz drugi spróbować, ale daleki już byłem od myśli o samobójstwie. Tym razem nie starczyło mi odwagi.

Jakże mnie teraz bolało, gdy pomyślałem sobie, że mogłem już nie żyć w tej chwili. Wyobrażałem sobie siebie wiszącego pośrodku celi, jako zimnego trupa. Widzę, jak dozorcy zbiegają się do mojej celi. Każdy patrząc na mnie, rzuca jakąś

uwagę, jakby to nie był trup człowieka, lecz jakiegoś gada. Słyszę też urągliwe cyniczne zdania pod moim adresem:

— Będzie o jednego zbrodniarza mniej na świecie, — mówi otyły dozorca z twarzą buldoga.

— Wszyscy złodzieje powinni tak skończyć, — dodaje drugi podobny do zakonnika.

Słysząc w wyobraźni, jakie zadowolenie wywoła moja śmierć między moimi opiekunami, do których czułem taką samą nienawiść, jak do swego życia, raz na zawsze postanowiłem, by tej przyjemności im nie robić i samobójczą śmiercią nigdy nie skończyć. Trzeba walczyć o wolność, a nie ustępować dobrowolnie jak tchórz! Złodziej nigdy nie powinien tchórzyć.

Wreszcie dano nam obiad. Nie tknąłem go: obiad był do niczego.

Więźniowie, nie bacząc na to, że zabroniono wyglądać oknem i rozmawiać, na cały głos narzekali, że obiad jest marny. Radzili i namawiali jeden drugiego, by podnieść rejwach i bunt. Jednakże powoli wszystko ucichło. Widocznie brak było zwolenników terroru, — oczekiwali, aż dobrowolnie ich zwolnią.

Ja miałem co jeść, gdyż od dnia wypędzenia Niemców wolno było dostawać jedzenie. Elcia nie zapomniała o mnie i przynosiła mi tego dowoli. Najadłem się więc i wpadłem w głęboką zadumę...

III.

Ciemna noc wigilijna. Siedzimy sobie już drugi miesiąc po opisanych wypadkach spokojnie w swoich norach. Nikt już nie myśli, nie wierzy w cudy. Niektórzy śpiewają sobie półgłosem kolendy; inni przeklinają cały świat ze wszystkimi frajerami, którzy go zamieszkują. Najwięcej tych, którzy biesiadują przy stole obficie zastawionym smakołykami wigilijnemi.

Większość więźniów kontentuje się tem, że na uroczystość tego dnia otrzymali biały chleb i po kawałku kiełbasy. O wolności nikt już nie wspomina. Nareszcie każdy zrozumiał, że

tak ni z tego ni z owego rozpuszczać więźniów w świat, aby nadal broili, nie jest jeszcze w modzie. Dostać się do ula jest bardzo łatwo; ale wydostać się — to trwa całe lata.

Tych wszystkich więźniów, których miano zwolnić z okazji wypędzenia Niemców, dawno już zwolniono. Pozostali więźniowie żyli teraz nadzieją amnestji. Ja także całą nadzieję pokładałem w amnestji.

Przyszedł wreszcie nowy tysiąc dziewięćset dziewiętnasty rok. Otrzymałem akt oskarżenia. Termin mojej sprawy wyznaczono na dwunastego lutego. Każdy dzień był dla mnie wiekiem. Ciekaw byłem, wiele wiosenek mi też wlepią. Nareszcie i ten fatalny dla mnie dzień nadszedł; i zrozumiałem, że może on być jednym z najstraszniejszych w mojem życiu.

Dnia tego z samego rana sprowadzono mnie razem ze wspólnikami do kancelarji więziennej. Sam naczelnik nas obejrzał i wydał rozkaz, by nas rozebrać do naga i szczegółowo zrewidować. Tem dal nam do zrozumienia, co nas czeka w sądzie. Po zrewidowaniu okuto nas w kajdany i tak skutych razem prowadzono nas do sądu.

Droga do sądu prowadziła niemal przez całe miasto Ł... Przodownik policji kroczył naprzód, a po bokach dziewięciu policjantów z najeżonemi bagnetami, którzy także opiekowali się nami. W drodze nie pozwalali nikomu zbliżać się do nas. Gapiów ulicznych, jak to w życiu bywa, nie brakowało. Miałem wrażenie, że całe miasto kroczy za nami. Elcia biegła naprzód z wypchaną teką w ręku i ze łzami w oczach. Domyślałem się, że ma tam takie smakołyki, których do więzienia przynosić nie można.

W sądzie wprowadzono nas do specjalnego pokoju przeznaczonego dla więźniów, zanim ich zawołają do sali sądowej na rozprawę.

Przodownik policji, czuły widocznie na kobiece łzy i wdzięki, po długich prośbach wpuścił do nas krewnych i znajomych. Elcia zaraz od progu ku zgorszeniu policjantów padla w moje ramiona i zemdlała. Po chwili doprowadzono ją do przytomności, a przodownik rozkazał wszystkim wynosić się za drzwi.

Kochanka mojego wspólnika, która kobiecym instynktem wyczuła, że się spodobała panu przodownikowi. szepnęła

mu coś do ucha. Stróż sprawiedliwości uśmiechnął się do niej porozumiewawczo i pozwolił wszystkim zostać.

Elcia usiadła obok mnie. Bladą miała twarz, a swoje czarne oczy utkwiła we mnie. Odrazu poczułem wyrzuty sumienia tak silne, jak jeszcze nigdy w życiu. Bolało mnie to bardzo, że ta piękna, młoda i dobra dziewczyna cierpi tak bardzo przeze mnie. Potem jednak zrobiło mi się przyjemnie, że siedzę tak blisko obok kochającej mnie dziewczyny. Patrzyła na mnie tak, że o mało oczy jej nie wyskoczyły. Zapach jej włosów upajał mnie. Ciepło jej ciała parzyło, jak rozżarzony węgiel. Ile razy zbliżała ku mnie głowę i wydatne piersi, zmysły moje szalały. Nie mogąc zapanować nad sobą, choć ramieniem nieznacznie dotknąłem jej piersi.

O, jaki to sprawia ból, — siedzieć z zakutemi rękoma i nogami przy kochającej kobiecie, która gotowa jest w każdej chwili oddać się ukochanemu nawet na oczach policjantów i innych gnębicieli!

Opowiadała mi o sobie. Pocieszała mnie, że jeszcze dziś będę wolny. Gdy mówiła o mojej wolności, oczy jej błyszczały radośnie. Byłem przerażony, gdyż wiedziałem, jakie ją czeka rozczarowanie. Gnębiła mnie strasznie świadomość, że skarzą mnie na długie lata więzienia. A ona biedna nie domyśla się nawet tego! Byłem zmieszany; jak tu dobrać słowa pociechy dla niej!? Wpadlo mi do głowy kilka ładnych zwrotów, któremi mogłem powoli oswoić ją z tą myślą, że mogę być skazany. Opowiadałem jej, że ma nastąpić wielka amnestja dla przestępców, że nawet naczelnik mówił, że już została ogłoszona.

— Nie, nie, ty dziś musisz być wolny, wiem przecież, że ty jesteś niewinny.

Mówiąc to tuliła się do mnie i łkała nagłos, tak że niektórym z policjantów łzy stanęły w oczach.

Żal ścisnął mi serce. Dlaczego złamałem jej życie? — wyrzucałem sobie w duchu. Uważałem moją sytuację za beznadziejną i wiedziałem, że nic dla niej nie mogę zrobić; i to właśnie doprowadzało mnie do ostatnich granic rozpaczy.

Teraz też miałem sposobność mówić po raz pierwszy z rzekomym moim wspólnikiem Kamerem. Zapytałem go, czego chce i dlaczego na mnie „kapuje".

Kamer tłumaczył, że go namawiali; nie chciał jednak powiedzieć kto. Pod wpływem gróźb moich i moich wspólników, którzy grozili mu, że go zabiją, obiecał, że mnie na rozprawie „odpucuje".

Rozprawa. Sala sądowa zapełniona jest publicznością prowincjonalną, należącą do różnych warstw społecznych. Na ławie oskarżonych zasiadam ja, Kamer, Szofer i Antek. Po bokach zaś siedzą dwaj policjanci. Po chwili zjawiają się sędziowie z prokuratorem na czele. Wszyscy zachowujemy się dość spokojnie, oczekując swego losu z rezygnacją. Ja zamiast patrzeć na sędziów, patrzyłem na Elcię, która umieściła się na najbliższej ławce. Policjant zwracał mi uwagę, bym patrzał na sędziów; jednakże to nic nie pomogło. Śledziłem każdy jej ruch. Obojętna była dla mnie reszta ludzi na sali sądowej.

Przewodniczący zwraca się do Kamera.

— Oskarżeni jesteście o napad z bronią w ręku. Przyznajecie się do winy?

Kamer zrobił niewinną minę i odparł:

— Ja, proszę wysokiego sądu, nigdy na napady nie chodziłem. Przypadkowo tam się znalazłem i zostałem aresztowany. Na policji bili mnie, więc się przyznałem.

Przewodniczący: — Hm, to doprawdy macie szczęście. Zawsze przypadkowo gdzieś właziciе, a później was oskarżają. Powiedzcie mi, czy siedzieliście już w więzieniu?

— Ja, ja, proszę wysokiego sądu, nie siedziałem w więzieniu jeszcze nigdy w życiu.

— A półtora roku w tysiąc dziewięćset drugim kto siedział?

Kamer przybladł trochę, nie spodziewał się bowiem, aby wiedzieli tu o jego przeszłości. Po kilku minutach wahania odparł:

— Ach, tak, przypominam sobie. Ale wtedy niewinnie siedziałem.

Przewodniczący: — Bardzo możliwe. Ale zdaje mi się, że jeszcze tam coś było. Proszę mi powiedzieć prawdę. Więcej razy w więzieniu nie siedzieliście?

— Co to, to już nie, proszę wysokiego sądu. Nigdy więcej nie byłem karany.

Przewodniczący: — Proszę sobie dobrze przypomnieć, bo to tak dawno, człowiek już nie pamięta. I proszę też nic nie ukrywać, bo my i tak wszystko wiemy.

— Nie, nigdy. Mogę nawet przysiąc.

Przewodniczący: — Cztery lata za zabójstwo żołnierza na granicy rosyjsko-niemieckiej kto siedział?

Kamer zrobił wielkie oczy, a publiczność na sali śmiała się tak, że musiano ją uspokoić. Po chwili odparł jakby nie swoim głosem:

— Siedziałem. Ale to było przecież za zabójstwo Moskala, wroga Polaków. Chciał mnie zabić, to ja jego zabiłem i za to kacapy dali mi cztery lata rot aresztanckich.

Sędziowie ironicznie uśmiechnęli się.

Przewodniczący: — Osiem lat katorgi zdaje mi się, że tak samo Franciszek Kamer, syn Antoniego i matki z domu Stachowiak, w Orłowskiej gubernji odsiedział.

Publiczność znów wybuchnęla śmiechem.

Kamer teraz spuścił głowę i nic na to nie odpowiedział.

Przewodniczący: — Proszę mi powiedzieć, w którym roku zwolniono was z katorgi i kiedy przyjechaliście z powrotem do Polski.

— Do Rosji wysłany byłem w tysiąc dziewięćset dwunastym roku, a przewrót Kiereńskiego dał nam wolność. Do Polski przyjechałem na początku osiemnastego roku. Więcej nie zajmowałem się tem, co dawniej.

Jeden z sędziów z ryżą kozią bródką szepnął coś do ucha przewodniczącemu.

Przewodniczący: — Więc jakże wy mówicie, żeście przypadkowo tam trafili, gdy na śledztwie przyznaliście się, że ten — tu wskazał palcem na mnie — także był z wami.

— Mnie namawiali na policji, żebym mówił, że on był ze mną. To nieprawda. Nie znam go wcale.

— Kto was namawiał?

— Ten agent co tu stoi, — wskazał w kierunku, gdzie stal oparty o ścianę znany już nam agent B...

Agent słysząc to, uśmiechnął się zjadliwie.

Następnie zapytano mnie czy go znam i t. d. Wszystkiemu zaprzeczyłem, nie przyznając się nietylko do znajomości z Kamerem, ale nawet z Szoferem i z Antkiem.

Oprócz sprawy Kamera zarzucano nam jeszcze trzy sprawy; do jednej tylko Szofer przyznał się, ale twierdził, że nas wcale nie zna.

Antek także nie przyznawał się do niczego. Twierdził z głupkowatym wyrazem twarzy, że wogóle nie rozumie, o co go oskarżają. Następnie na cały głos rozpłakał się.

Ja także, wyczuwając, że brak tu dowodów mojej winy, nie myślałem wogóle przyznawać się do czegokolwiek.

Muszę też przyznać, że ze wszystkich czterech spraw, które mi zarzucano, czułem się winny tylko co do jednej. Szczegółowo tu opisywać rodzaj przestępstwa, o jakie nas posądzono, myślę, że nie warto. Było to bowiem zwykłe włamanie, nie zasługujące na uwagę czytelnika.

Zawezwano też świadków, między którymi znalazła się i znana nam już z pierwszego tomu żona fryzjera. Stanęła ze spuszczoną głową przed trybunałem, a oczy wszystkich skierowane były w jej stronę.

— Czy pani zna tego człowieka? — pytał sędzia wskazując na mnie.

— Tak, znam, — odpowiedziała nie patrząc w moją stronę.

— Proszę spojrzeć, a później mówić, czy to ten, czy nie ten.

Oczy nasze spotkały się; prędko odwróciła głowę rumieniąc się i blednąc zarazem.

— Dawno poznała pani tego człowieka i skąd go pani zna?

— O, ja dobrze znam tego złodzieja, bandytę. To taki paskudny rozbójnik, i mnie chciał zabić.

Publiczność śmiała się do rozpuku, a nawet sędziowie nie mogli się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć.

— Dlaczego on chciał świadka zabić?

— On mówił, że mnie kocha, a ja nie chciałam.

Publiczność tak śmiała się, że kilka minut trwało, nim ją uspokojono.

— Proszę mi powiedzieć, — pytał dalej przewodniczący, — skąd świadek wie, że on jest złodziejem? Czy sam o tem mówił?

— Nie. Sam nie mówił, ale ja wiedziałam i mój mąż. On

zawsze nic nie robił, a pieniędzy dużo miał. Ja kazałam go aresztować policji.

— Czy świadek nie widziała czasami, by ci czterej, co tu siedzą na ławie oskarżonych, chodzili razem?

— Ja raz widziałem, jak ten — wskazała palcem na mnie i na Szofera — i ten wysoki, przychodzili razem golić się do naszej fryzjerni.

Przewodniczący zwrócił się do mnie.

— Czy oskarżony zna tę kobietę? I czy to prawda, co ona mówi?

— Tak, znam ją aż zanadto. Nie dawała mi spokoju swoją miłością. Namawiała mnie nawet, żebym zabił jej męża i żył z nią razem. Ta kobieta chce się zemścić za to, że odpędzałem ją od siebie. Prześladowała mnie zawsze swoją miłością, odgrażając się, że ją popamiętam.

Kobieta zapłonęła ze wstydu, a przewodniczący kazał jej usiąść na swojem miejscu.

Przesłuchano resztę świadków, poczem sąd udał się na naradę.

Elcia przez cały czas rozprawy siedziała blada nie do poznania; widać było, że zrozumiała nareszcie, co mnie czeka i że jestem dla niej stracony na zawsze. Fryzjerka siedziała naprzeciw niej, zaglądając jej triumfalnie w oczy i jadowicie uśmiechała się.

Teraz przypatrywałem jej się uważnie i nagle zrobiłem ruch, jakbym chciał przeskoczyć barjerkę i rzucić się na tę podłą kobietę. Ale policjant odrazu spostrzegł mój zamiar i stanął przy mnie, nie spuszczając mnie z oczu. Elcia zauważyła to i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Na sali sądowej zapanowała głucha cisza. Kilka kobiet starało się ją uspokoić. Wreszcie przesunęła ręką po czole, jakby chciala sobie coś przypomnieć; westchnęła ciężko i zawołała:

— O Boże, co ja biedna zrobię!

I znów wybuchnęła płaczem.

Po półgodzinnej przerwie, która wydawała się wiekiem, sąd powrócił z narady, poczem ogłoszono wyrok.

Wyrok uderzył we mnie jak piorun. Kamer skazany został na osiem lat ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw na

cale życie; Szofer i ja na sześć lat ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw na dziesięć lat; Antek został zwolniony.

Zaraz też na zasadzie amnestji z dnia ósmego lutego tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, jedna trzecia została nam darowana. Areszt prewencyjny nie został zaliczony.

Elcia po wysłuchaniu wyroku zawołała zrozpaczona:

— Jak to można! On jest niewinny! Jest tylko ofiarą kolegów. Tu zaszło jakieś nieporozumienie. Błagam o sprawiedliwość !

Usta jej zadrgały; łza zawisła na policzku. Nigdy nie widziałem człowieka w takiej rozpaczy.

Po chwili zakuto nas znów w kajdany i z wielką ostrożnością wyprowadzono z gmachu sądowego.

Była jasna mroźna noc. Zegar wybił wpół do pierwszej. Policja otoczyła nas wkoło, a kilku konnych policjantów rozpędzało tłum, który, ze względu na naszą popularność, z sali sądowej podążył za nami. Elcia, razem z najbliższymi moich wspólników, szła niedaleko za nami, odprowadzając nas do samego więzienia. Pocieszała mnie, że apelacja może mnie jeszcze zwolnić; prosiła, żebym się nie martwił i zapewniała, że do grobu mnie nie zapomni. Wręczyła mi przez policjanta torbę z różnemi produktami i po czułem słowie pożegnania na odległość, wprowadzono nas zpowrotem do więzienia.

IV.

Jestem już zpowrotem w mojej celi. Słyszałem, jak dozorca przekręcił klucz w zamku i poruszył zamkiem kilkakrotnie. Przekonawszy się, że jestem dobrze zamknięty, zajrzał jeszcze raz przez judasza do celi, poczem oddalił się.

Cela moja tym razem miała tak straszny wygląd, jak nigdy. Wydało mi się teraz, że zostałem żywcem wtrącony do grobu. Strach i smutek rosły we mnie. Siedząc na łóżku z oczyma utkwionemi w kraty, skąd księżyc blademi swemi promieniami oświetlał celę, rozpamiętywałem dzieje mojego pierwszego zetknięcia się z podobną celą więzienną. Żadna cela nie wyglądała tak strasznie, jak ta. Nawet cela w nie-

mieckiem więzieniu, gdzie siedziałem skazany na dziesięć lat „Zuchthausu“, była o wiele przyjemniejsza.

Nagle księżyc schował się. Znalazłem się w ciemności. Żal i strach ogarnął mnie jednocześnie. Zerwałem się z łóżka i skoczyłem do drzwi. Uderzenie głową o żelazne drzwi mo⸗jej celi uprzytomniło mi, że się stąd nie wydostanę. Począłem tłuc głową o ścianę. Co robić? Co robić? — wołałem w roz⸗paczy. — Sześć lat ciężkiego więzienia zamiast spodziewanej wolności! Zbudziło się we mnie uczucie buntu. Czy sędzio⸗wie myślą, że więzienie mnie poprawi? Zemszczę się za to, że mnie tak srogo ukarali. Dlaczego sędziowie zapominają o tem, że popełniałem przestępstwa pod wpływem okolicz⸗ności? Padłem ofiarą otoczenia i stosunków. Stałem się zło⸗dziejem z różnych motywów i przyczyn, które czyhały na mnie zdradziecko z każdego kąta. Czy mogłem nie uczynić tego, co uczyniłem? Wychowanie, wpływy uboczne; wszyst⸗ko stało się tak, jak się stać musialo. Zresztą było to moje „kiszmet“ czyli przeznaczenie. O, gdyby mi tak przebaczono i gdybym odzyskał wolność, napewno więcej nie wróciłbym do więzienia. Wróciłbym natomiast do tego społeczeństwa, z którego mimo wszystko pochodzę. Czy to samo społe⸗czeństwo nie ponosi poniekąd winy, że stałem się zbrodnia⸗rzem?

Filozofowałem sam ze sobą coraz głośniej. Dopiero teraz uświadomiłem sobie całą grozę sytuacji, w jakiej się znala⸗złem. Dozorca, zwabiony mojemi okrzykami, zastukał do drzwi wołając, bym się natychmiast położył. Nie było co się sprzeciwiać, więc położyłem się, ale zasnąć nie mogłem. Le⸗żałem z otwartemi oczyma wpatrzony w sufit. Myślalem, co Elcia teraz porabia? Zpewnością i ona nie może zasnąć i roz⸗pacza jak ja. A może leży sobie przy innym i wcale o mnie nie myśli? Nie, to niemożliwe, — zacisnąłem pięści na samą myśl o tem. Ach, żebym tak teraz został wypuszczony, — fantazjowałem sobie. Zakradłbym się pocichu do jej pokoju i zobaczyłbym, co ona porabia. A gdybym tak znalazł ob⸗cego przy jej boku, — to co? Zamordowałbym bez wahania ich oboje, — odpowiedziałem sobie w myśli.

W swojej chorobliwej wyobraźni widziałem już siebie za⸗kradającego się na czworakach do jej pokoju z nożem w rę⸗

ku. Widzę ją nagą przy boku rosłego mężczyzny. Ona namiętnie przyciska go do siebie. Uderzam nożem na oślep... Zrywam się z łóżka i zaczynam nerwowo biegać po celi. Trzęsę się cały z zimna. Chwytam derkę, zarzucam na głowę i biegam tak po celi tam i zpowrotem.

Nikt tu nie widzi mojej rozpaczy, tylko księżyc wyłania się ze swego ukrycia, zaglądając do celi. Staję pośrodku celi i patrzę na księżyc. Wtem wydaje mi się, że widzę jakąś twarz w księżycu. Natężam wzrok, — tak, widzę już wyraźnie głowę ludzką, twarz, brodę, nos, uszy, oczy. Nawet zęby mogę odróżnić. Błysnęła myśl: już oszalałem. Nagle przypominam sobie, jak rebe mówił mi zawsze, że księżyc, to nie co innego, jak głowa Mojżesza. Nic więc dziwnego, że widzę tylko twarz Jego. A może tak pomodlić się do Niego? On mnie stąd wybawi, jak wybawił nas z ziemi egipskiej. Poczynam na głos powtarzać słowa modlitwy. Ale zarazem myśl, że oszalałem, nie opuszcza mnie. Księżyc nagle się chowa, przerywam modły i wybucham szalonym, niepohamowanym śmiechem.

Dozorca szybko podbiegł do mojej celi i zapalił światło. Zobaczył mnie stojącego pośrodku celi i śmiejącego się. — Przez kilka chwil obserwował mnie przez judasza, a ja udawałem, że go nie widzę. Wreszcie pobiegł gdzieś, i po chwili przybył razem z dyżurnym, który otworzył moją celę.

— Co to ma znaczyć? Nie udawaj warjata, nic to nie pomoże. Kłaść się spać natychmiast! Jeśli się nie położycie, nałożę wam kaftan bezpieczeństwa, wtedy napewno przestaniecie symulować warjata!

Nic nie odpowiedziałem i śmiałem się nadal.

Dyżurny ujął mnie brutalnie za rękę i pchnął w stronę łóżka, grożąc przytem, że jeśli się nie uspokoję, rzuci mnie do mamra.

Drzwi zamknęły się, a ja chcąc nie chcąc, położyłem się i zamknąłem oczy. Począłem rozmyślać o wypadkach tego dnia. Mój stan nerwowy pogorszył się do tego stopnia, że cały drżałem. Zrywam się znów sam nie wiedząc poco. Po chwili jednak obawa kary bierze górę i znów rzucam się na łóżko. Wlepiam oczy w kraty; głowa napełnia się różnemi wstrętnemi myślami. Staje przede mną żona fryzjera, taka

sama, jak ją widziałem w sądzie. Odpędzam w wyobraźni jej obraz od siebie; jednak natrętnie znów wraca. Kusi mnie swojem zmysłowem ciałem, tak, że dreszcze przechodzą mi po calem ciele. Ściągam derkę na głowę, przymykając oczy; widzę ją jeszcze wyraźniej niż przedtem. Wpadam w szał i nie mogąc zapanować nad sobą, popełniam.....

Zmęczony, wyczerpany, zły sam na siebie, gryzę swoje ręce aż do krwi, — z żalu, że ja, ja mogłem z jej powodu to popełnić! Dlaczego — wyrzucałem sobie — nie starałem się myśleć o Elci, gdy ogarnęło mnie owo błogie uczucie...

Siadam na łóżku, a myśl o samobójstwie zaczyna mnie prześladować na nowo. Straszliwy zmory, z żoną fryzjera na czele, nie dają spokoju podrażnionym nerwom.

Po chwili wpadam w półsen, jednak zaraz budzę się. Siadam znów na łóżku z postanowieniem, by czekać na powrót dnia. Cisza panuje zupełna, tylko zdala dolatują ciężkie kroki dozorców, stojących na straży wokoło więzienia.

O czem ja w tę straszną noc nie myślałem!

Życie jest to pułapka, z której trudno się wydostać. Życie — to żłobek, obfitujący we wszystko dobre, a korzystają z niego ci, którzy są najsilniejsi. Życie — filozofowałem sobie — jest to piękne jabłko, nadgniłe z jednej strony. Mądry zjada dobrą stronę, głupi zaś zjada resztę. Ja właśnie sam siebie zaliczałem do tych ostatnich.

Jaką noc wtedy przeżyłem, tego niezdolny jestem opisać. Mogę tylko powiedzieć, że ta jedna noc zahartowała mnie na cale życie. Stałem się filozofem. Przełom duchowy, jaki przeżyłem, wytworzył we mnie człowieka z duszą pełną pogardy dla Boga i ludzi. Stało się z moją duszą coś, czego nie jestem w stanie opowiedzieć. Narzekałem zawsze, że takich typów jak ja ziemia zupełnie nosić nie powinna. Może nawet najlepiej byłoby skończyć. Ale jeżeli i tam taka sama sprawiedliwość, jak na ziemi?...

Powiedziałem sobie na pocieszenie, że otrzymuję od życia to, co mi się słusznie należy. Poco więc narzekać? Postanowiłem sobie w podobny sposób filozofować przez cale życie, wierząc, że z tą umiejętnością będzie mi lżej iść dalej w mojem życiu nędzarza.

Przez cały czas pot spływał mi z czoła, zalewając oczy.

Robiło mi się naprzemian gorąco, to znów zimno. Zmęczona głowa opadła wreszcie na słomianą poduszkę i zasnąłem.

V.

Upłynęło jako tako czternaście dni po rozprawie. Znów zaprowadzono nas do sądu. Antek także tam przybył, już jako wolny obywatel Polski. Podał nam kiełbasę i papierosy, i lusterko, które dobrze schowałem. Dał nam też nieznacznie do zrozumienia, że gotów jest w każdej chwili pomóc nam do ucieczki, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Jeden z policjantów zauważył jego tajemnicze znaki i nie dał mu się zbliżyć do nas. W pewnej chwili, wykorzystując moment, Antek szepnął mi do ucha:

— Pamiętaj, w niedzielę podam ci wałówkę i „skoki".

Policjant zauważył to i odpędził go, grożąc, że go aresztuje, jeśli jeszcze raz zbliży się do nas.

Po ogłoszeniu wyroków zapytano nas, czy nie apelujemy. Nikt z nas nie myślał apelować, jednakże widząc, że ja za namową Elci apeluję, oni także podali apelację. Elcia bowiem uparcie twierdziła, że apelacja mnie zwolni. Chcąc ją więc pocieszyć, zgodziłem się, wiedząc zgóry, że apelacja tyle mi pomoże, co sześć lat więzienia do poprawy.

Z sądu szedłem dość wesoło. Przyczyniła się do tego Elcia, która zapewniała mnie, że nie zapomni o mnie. Dla więźnia jest to bardzo wiele, gdy ma kogoś na wolności, aby mu podał kawałek chleba. A reszta — jakoś tam będzie.

Niedziela. Zawołano mnie do kancelarji i przy mnie rozpakowano do rewizji dwie paczki z pożywieniem. Zdziwiłem się wielce widząc, że rewizję tę przeprowadza starszy dozorca, krająć wszystko na drobne kawałeczki. Przeglądano każdy papierek. Masło roztopili, poczem mieszali nożem, czy nic tam nie ukryto. Ciepłe buty, które, jak zmiarkowałem, podał mi Antek, opukano i oglądano ze wszystkich stron. Pewnie ktoś „zakapował" mnie, — pomyślałem, — że chcę uciekać i dlatego tak „hipiszują".

Po zrewidowaniu, kiedy nic nie znaleziono, starszy zbliżył się do mnie i zawołał:

— Słuchajcie, co wam powiem. My i tak już wszystko wiemy. Gdzie są ukryte skoki, o których mówił Antek, że w niedzielę wam poda? Jeśli nie powiecie, gdzie to jest schowane, to skonfiskuję paczki, które wam dziś podano.

Zmiarkowałem odrazu, co się tu dzieje. Podszedłem więc do butów, które tam leżały i biorąc jeden w rękę, rzekłem:

— To jest to, czego pan starszy szuka.

— Ty nie bądź taki mądry, — złościł się pan starszy. — To są buty, a nie „skoki". Co ty myślisz, że ja jestem głupi i nie wiem, co to są „skoki"? Napewno planujesz już ucieczkę. Powiedz lepiej, gdzie skoki są schowane.

— Ależ panie starszy, złodzieje nazywają buty skokami. A mój wspólnik obiecał mi w sądzie, że dziś poda mi skoki, aby mi było ciepło siedzieć w celi.

Pan starszy z niedowierzaniem zrobił wielkie oczy.

— Więc mówisz, mądralo, że buty to skoki. Zaraz się przekonam, czy mówisz prawdę. Jeśli nie, to ja cię nauczę, jak kpić z władzy.

Zaraz też zjawił się inspektor policyjny, którego więźniowie zdążyli już ochrzcić, nadając mu odpowiednie przezwisko. Przezwano go gwizdałą, bo stale chodził po korytarzach i celach, i gwizdał. Gwizdała wysłuchał, co tu zaszło, poczem gwizdnął, wołając dozorcę. Dozorca ten otrzymał rozkaz sprowadzić natychmiast kilku zawodowych złodziei.

Po chwili przyprowadzono siedmiu więźniów, których Gwizdała rozkazał po jednemu wprowadzać do siebie.

— Powiedz ty mi, jak dawno jesteś złodziejem, — zwrócił się Gwizdała do pierwszego więźnia.

— O, panie inspektorze, kradnę już od dziecka, bo moja matka i ojciec także kradli od dzieciństwa.

Więzień wypowiedział to dumnie, jakby szczycąc się tem, ale jednocześnie można było wyczuć żal, że tem jest.

Inspektor uśmiechnął się ironicznie i zagadnął:

— Jak jesteś starym złodziejem, to pewnie znasz żargon złodziejski, co?

— Pewnie, że znam.

— Powiedz ty mi, jak się nazywają buty po waszemu?

— O, panie inspektorze. Tego powiedzieć nie mogę. „Kapusiem" nie chcę być.

Gwizdała począł gwizdać, patrząc przytem badawczo na więźnia, i zawołał:

— Ja wiem, że jesteście porządnym złodziejem. Nie chcę też, byście zostali kapusiem; ale powiedzcie mi to jedno słowo. Jak buty nazywają się w języku złodziejskim?

Więzień, znany mi z widzenia, patrzał na mnie. Widać we mnie szukał pomocy, — co ma robić, mówić, czy nie. Zrozumiał, że tu chodzi o mnie.

— Czy mogę mówić, panie inspektorze?

— Proszę.

— Ty się nie bój i powiedz prawdę. Tu nic takiego niema.

— Po złodziejsku dawniej nazywano buty — „skoki", a teraz „powstańcy" nazywają je „deptaki", — objaśnił przybyły poważnie.

— Dobrze, możecie już iść do celi.

Więzień ukłonił się inspektorowi i zawołał:

— Panie inspektorze, mam prośbę. Czy mogę prosić?

Trzeba wiedzieć, że więźniowie z pojedyńczych cel zawsze mają jakąś prośbę. Dlatego też wykorzystują każdą sposobność, gdy tylko zostają zawezwani do kancelarji. A gdy który przysłuży się czem jeszcze wyższej władzy, wtedy jest pewny, że prośba jego zostanie uwzględniona. Prośby wówczas sypią się jedna za drugą. Podobne prośby jednakże nie przekraczają możliwości ich uwzględnienia. Więzień zwykle prosi o trochę więcej „dolewki", lub o własną ciepłą bieliznę, czy o dłuższy spacer, list dodatkowy do najbliższych, osobiste widzenie z rodziną, przeniesienie na ogólną celę, materjały piśmienne i t. p.

Inspektor jednak tym razem zabronił mu prosić o cokolwiek i rozkazał natręta odprowadzić do celi.

Reszta więźniów odrazu powiedziała, że buty nazywają się „skoki". Tylko jeden z nich o tem nie wiedział i dobrze się zawstydził.

Rezultat był taki, że oddano mi skoki i całe jedzenie. Tylko starszy dozorca groził mi palcem, że wystrychnąłem go na dudka w oczach inspektora, który dopiero musiał tę zawikłaną sprawę wyświetlać.

Życie w więzieniu stało się normalne. Trzy razy dziennie

dawano nam jeść, albo raczej pić. Spaceru pól gdziny dziennie, z rękoma — postaremu — założonemi wtył. Ulgę dano tylko tym, co chcieli wykonywać ćwiczenia wojskowe i gimnastyczne. Podobne ćwiczenia odbywały się codziennie w godzinach porannych. Instruktorami byli trzej podoficerowie z Galicji, skazani przez sąd wojskowy na kilkuletnie więzienie za udział w napadzie z bronią w ręku.

Ja chętnie brałem udział w podobnych ćwiczeniach. Wszystkim tym więźniom, którzy się ćwiczyli, pan naczelnik dodawał pół godziny spaceru. Nieraz pan naczelnik, jako człowiek wojskowy, lubił przyglądać się, a nawet sam niekiedy podawał komendę.

Naczelnik starał się uczynić co tylko było w jego mocy dla ulżenia nam. Był to człowiek bardzo szlachetny i dobrego serca; rzadko kiedy naczelnik więzienia zalety te posiada. Dlatego też więźniowie nie mieli żalu, że swoich słów i obiecanek, jakie nam dawał, że wszystkich zwolni, nie dotrzymał. Każdy rozumiał, że gdyby to zależało od niego, dawnoby to uczynił.

Pomocnicy pana naczelnika także byli godni pochwały. Najlepszy z nich był pan inspektor Czekałło i pan Roczkowski. Byli to ludzie sprawiedliwi i wyrozumiali dla więźnia. Wiedzieli, kiedy więźnia ukarać, a kiedy pogłaskać.

Bywało nieraz wieczorem, przy rozdawaniu dodatkowych porcyj zupy za pracę, że pan Czekałło sam pilnował, by rozdawano rzetelnie. Trzeba tu zaznaczyć, że po więzieniach jedzenie rozdaje tak zwany korytarzowy. Korytarzowy ten ma zawsze swoje kombinacje ze znajomymi więźniami. O ile go więc nikt nie przypilnuje, najlepsze z kotła daje zawsze tym więźniom, którzy otrzymują dużą wałówkę z domu: wie on, że przy takim i on coś skorzysta.

Wówczas też pan naczelnik, przekonawszy się, że panowie korytarzowi za bardzo okradają najbiedniejszych, wydał rozporządzenie, by przymknąć korytarzowych, a do rozdawania jedzenia codziennie pokolei wypuszczać innych więźniów, aby to załatwili.

Po celach wywieszono też przepisy, aby więźniowie wiedzieli, jak się mają zachowywać i nie przekraczali praw, jakie tu panują. Za przekroczenie przepisów groziły srogie kary.

Uważam, że warto umieścić tu te przepisy, które doskonale pamiętam.

PRZEPISY DLA WIĘŹNIÓW.

1 Każdy więzień obowiązany jest bezwzględnie stosować się do przepisów, regulujących życie w więzieniu. Ścisłe wypełnianie tych przepisów ułatwi mu znacznie pobyt w więzieniu i da mu prawo do ulg, które przysługują za dobre i nieskazitelne prowadzenie się. Natomiast wszelkie przekroczenie tych przepisów pociągnie za sobą kary dyscyplinarne.

2. Każdy więzień obowiązany jest spełnić niezwłocznie i bez wahania wszelkie rozkazy i rozporządzenia władzy więziennej. Najbliższym przedstawicielem władzy jest dla więźniów postawiony nad nim dozorca. Władzę dalszą stanowi: starszy dozorca, inspektor, naczelnik oraz urzędnicy nadzoru zwierzchniego i Ministerstwa Sprawiedliwości. Spotykając swego zwierzchnika, więzień winien ustąpić mu z drogi, gdy zwierzchnik wchodzi do celi.

3. Prośby i podania należy składać swemu dozorcy oddziałowemu, który je przedstawi władzy wyższej. Bezpośrednie zwracanie się do władzy wyższej jest wzbronione za wyjątkiem wypadku, gdy zwierzchnik obchodzi cele, lub kiedy z powodu doznanej niesprawiedliwości lub krzywdy, więzień chce podać skargę na samego dozorcę. Fałszywe lub nieuzasadnione skargi jak również fałszywe zeznania będą surowo karane.

4. Rano na sygnał do wstawania, więzień obowiązany jest natychmiast wstać, zasłać pościel, umyć się i uczesać, oczyścić ubranie i ubrać się, robiąc to wszystko prędko, lecz porządnie i dokładnie. Wieczorem przy układaniu się do snu, należy również umyć się, umieścić zdjęte z siebie ubranie na przeznaczonem do tego miejscu i położyć się do łóżka rozebranym.

5. W stosunkach wzajemnych więźniowie powinni być zgodni i uczynni. Nie wolno rozpoczynać bójek i kłótni, nie wolno też przeszkadzać innym w odmawianiu modlitw lub z tego powodu ich wyszydzać.

6. W celach i pomieszczeniach więziennych powinna panować cisza, wzorowy porządek i czystość. Nie wolno śpiewać, gwizdać, krzyczeć, głośno rozmawiać lub w inny sposób hałasować. Nie wolno

też robić nieporządku, przesuwać ławek lub stołów, stawać na nich aby wyglądać przez okno lub leżeć na łóżku w porze dzienej. Najsurowiej jest wzbronione pluć na podłogę lub w jakikolwiek inny sposób zanieczyszczać lokal więzienny. Wzbronione jest również pisanie i rysowanie na ścianach i przedmiotach znajdujących się w celach więziennych.

7. Gra w karty, kości oraz wszelkie gry za wyjątkiem tych, które będą dozwolone przez Naczelnika więzienia, jak również używanie alkoholu lub tytoniu, są więźniom wzbronione.

8. Więźniowie dla zachowania swego własnego zdrowia, powinni utrzymywać ciało, bieliznę i ubranie w jak największej czystości. O każdej chorobie swojej lub sąsiada więzień obowiązany jest natychmiast zameldować władzy. Udanie choroby będzie surowo karane.

9. Każdy więzień obowiązany jest podczas pobytu w więzieniu zająć się pracą, która mu przez Naczelnika więzienia zostanie wyznaczoną. Pilny więzień może nauczyć się w więzieniu rzemiosł, by potem po zwolnieniu łatwiej zarobić uczciwie na życie. Za pracę więźniowie będą wynagradzani. Wynagrodzenie będzie stopniowo zwiększane, w zależności od sprawowania się i pilności więźnia.

10. Każdy więzień stosownie do wskazówek Naczelnika więzienia powinien uczęszczać do szkoły więziennej, gdzie go nauczą czytać i pisać i gdzie będzie mógł otrzymać najniezbędniejsze i pożyteczne dla siebie wiadomości. Również może więzień korzystać za zezwoleniem władzy w razie dobrego prowadzenia się z książek bibljoteki więziennej.

11. Każdy więzień obowiązany jest wystrzegać się wszelkiego nieumyślnego lub umyślnego uszkodzenia lub zanieczyszczenia pomieszczeń więziennych lub znajdujących się w nich przedmiotów. Również jest on obowiązany z całą starannością obchodzić się ze swą odzieżą, pościelą, materjałami pracy i narzędziami. Za wszelkie tego rodzaju uszkodzenia winny, oprócz kary dyscyplinarnej, będzie zmuszony zapłacić odszkodowanie, które będzie ściągane przedewszystkiem z zarobków za pracę więzienną.

12. Prowadzenie interesów, szczególnie wszelki handel, zaciąganie i udzielanie pożyczek, dawanie i przyjmowanie podarków bez zezwolenia władzy, jako też wogóle posiadanie jakichkolwiek bądź przedmiotów poza wyznaczonemi do użytku więźnia lub pozo-

stawionemi mu przez władzę więzienną, w szczególności zaś posiadanie pieniędzy, broni, materjałów piśmiennych i t. p., jest pod surową karą wzbronione.

13. Więźniowi wolno jest od rodziny lub osób znajomych otrzymywać takie tylko artykuły spożywcze i w takiej ilości, na jaką zezwoli Naczelnik więzienia.
14. Więźniowi nie wolno bez zezwolenia opuścić lub zmienić wyznaczonego mu pomieszczenia. Prowadzeni więźniowie w drodze obowiązani są trzymać się porządku, jaki im został wyznaczony.
15. Wszelkie tajne porozumienia się między sobą, pukanie przez ścianę, używanie umówionych znaków, potajemne zmowy, a nawet składanie zbiorowych próśb lub skarg, jest bezwarunkowo wzbronione.
16. Widywanie się z rodziną i osobami postronnemi, wysyłanie i odbieranie listów, jak również wszelkich posyłek jedzenia lub innych przedmiotów bez wiedzy i zezwolenia zarządu więzienia jest wzbronione. Każdy więzień po przyjęciu go do więzienia ma prawo listownie zakomunikować rodzinie lub osobom bliskim o miejscu swego pobytu, pozatem ma prawo utrzymywać i wysyłać po jednym liście na cztery tygodnie. W wypadkach ważnych więźniom przysługuje prawo wysyłania podań do sądów, władz prokuratorskich, do obrońcy i władz zwierzchniego nadzoru więziennego.
17. Więźniowie śledczy wolni są od pracy przymusowej, mogą być oni jednak za zezwoleniem Naczelnika więzienia zatrudnieni według własnego wyboru. Przysługuje im również prawo korzystania z własnego ubrania, pożywienia i pościeli, o ile to nie sprzeciwia się porządkowi więziennemu i będzie zezwolone przez Naczelnika więzienia. Ulgi powyższe mogą być jednak cofnięte jako kara za złe sprawowanie się lub niestosowanie się do obowiązujących w więzieniu przepisów.

VI.

Tak więc wyglądało wtedy życie w więzieniu. Odżywiano więźniów trochę lepiej niż za czasów niemieckich, jednakże nie wystarczało to, aby więzień czuł się najedzony. Zapewne Państwo Polskie musiało wicej dbać o żołnierza,

niż o więźnia. Za to o więźniów dbano więcej w innym kierunku. Poziom kulturalny polepszył się do tego stopnia, że kilka razy w tygodniu wypuszczano więźniów na centralę i inspektorzy na zmianę wygłaszali nam odczyty.

Tematy odczytów były: historja Polski, wciąż opowiadano nam o Marszałku Piłsudskim i t. p. Więźniowie słuchali odczytów z wielkiem zainteresowaniem. Widziałem niejedną łzę w oku niektórych więźniów, gdy opowiadano nam, ile to ofiar Polska musiała ponieść, zanim odzyskała swą niepodległość.

Muszę przyznać, że mnie tak samo odczyty te interesowały bardzo. Zazdrościłem tym, którzy otrzymywali książki do czytania w celi. Żałowałem, że nie umiem czytać po polsku, przez co pozbawiony jestem jedynego przyjaciela, jakim jest książka w samotnem życiu więźnia. Postanowiłem wówczas także zapisać się do szkoły więziennej, która założona tu została na początku roku 1919.

Zapisywano tu każdego więźnia, który miał chęć do nauki, a takich było bardzo wielu. Nauczyciel, doświadczony pedagog, poznał się od pierwszego razu na psychologji więźniów i umiał zajrzeć do duszy, by trafić nam do gustu. Zupełne zaufanie więźniów uzyskał po rozdzieleniu między nas półsetki papierosów „Wanda“ i paczki machorki. Umiał też dobierać nam piękne czytanki z historji. W zakresie nauki zadaniem jego było dać nam czteroklasowe wykształcenie szkoły powszechnej. Alfabet polski poznałem dokładnie w ciągu dwu dni. Praktykowałem w ten sposób: na każdej z liter polskich naznaczyłem sobie tę samą literę żydowską.

Najwięcej interesowała mnie geografja. Tu po raz pierwszy dowiedziałem się, że Polska miała kiedyś wielu królów i że Wisła wpada do morza. Najwięcej zaintrygowało mnie to, że ziemia kręci się naokoło słońca, a nie — jak mnie uczono w chederze, — że stoi wiecznie w miejscu. Coprawda wątpiłem o prawdziwości słów nauczyciela, przypominając sobie, jak to rebe w chederze oszukiwał mnie, opowiadając, że anioł Gabrjel rzuca z nieba pieniądze na cukierki. Długo nad tem w samotnej celi rozmyślałem. Dlaczego „Czerwoniak“ stoi ciągle na tem samem miejscu, a ja wyglądając z za krat, widzę codziennie te same domki, pola, slupy telegra-

ficzne i kominy fabryczne? Więc nie może być tak, jak mówił nauczyciel, że ziemia ciągle się kręci.

Byłem nawet pewny, że nauczyciel omylił się i opowiedział nam wręcz przeciwnie, niż jest naprawdę; i postanowiłem spytać się po raz drugi. Wówczas nauczyciel wyjaśnił nam, że polski astronom Mikołaj Kopernik, który urodził się na ziemi polskiej w Toruniu, dnia 19 lutego 1473 roku, odkrył, że słońce wiecznie stoi. A gdy jeszcze przeczytał nam z książki o Koperniku i opowiedział nam, gdzie Kopernik leży pochowany, zupełnie mu uwierzyłem.

„Wstrzymał słońce, ruszył ziemię,
Polskie wydało go plemię.“

Przypomniałem sobie mojego nauczyciela ze szkoły rosyjskiej i dziwiłem się, dlaczego on mi tego wszystkiego nie wytłumaczył, jak nauczyciel polski. Do tej szkoły, która była jedyna w naszem miasteczku, zmuszony byłem uczęszczać trzy razy tygodniowo po dwie godziny dziennie.

Panował wtedy zwyczaj, że każdy rebe z przedniejszych chederów, których w naszem miasteczku było aż cztery, posylal do szkoły kilku uczniów jako „ofiary“. Przepisy nakazywały, aby wszystkich uczniów posyłano na dwie godziny dziennie. Ale jakże to można żydowskie dziecko posyłać do takiej szkoły, gdzie podczas lekcji zmuszone jest siedzieć z odkrytą głową i patrzeć na święte obrazy, wiszące na ścianach? Uważano to za wielki grzech.

Ja, jako lepiej ubrany, co było brane pod uwagę podczas wyboru kandydatów do szkoły rządowej, właśnie padłem ofiarą i przeznaczony zostałem na ucznia tej szkoły.

Nauczyciel, rdzenny Rosjanin, o zawsze złośliwym wyrazie twarzy, należał do tych ludzi, co uśmiechają się raz w życiu, — wtedy, kiedy umiera ich teściowa. Nauczał nas stale tytułów carskiej rodziny i pieśni „Boże caria chrani“. O, niejedną linijkę oberwałem, nie mogąc dokładnie zapamiętać tylu tytułów i wymówić wyraźnie imion tych półbogów. Zmuszał mnie nieraz spojrzeniem Iwana Groźnego, bym nadstawił rękę, i „gaspadin uczitiel“ uderzał po niej z całą siłą, ile razy szlachetna dusza tego zapragnęła.

Trzeba też tu dodać, że nauczyciel ten był bardzo inteligentnym człowiekiem. Dla lepszego rozpoznania uczniów

Żydów, chrzcił nas, nadając nam czysto rosyjskie przezwiska. Mnie naprzykład wołał podczas lekcji: „Swołocz". Na innych zaś moich współwyznawców wołał: „Moszennik", „Sumasszedszij", „Durak", „Skotina", „Obiezjana" i t. p. Wiele nadawał nam podobnych przezwisk; a kiedy jeszcze któregoś dnia zaglądnął do kieliszka, krzyczał: „Jewrejskaja morda". Czasami padało w naszym kierunku zwyczajem rosyjskim szerokie „J... t... m..."

Szczęśliwy byłem, kiedy po nauczeniu mnie na pamięć wszystkich tytułów tak płodnej rodziny carskiej, nastąpiła zmiana „ofiar"; przyznaję się szczerze, że czułem się wówczas bardzo zadowolony.

Myślałem nad tem, dlaczego ten nauczyciel tak dobrze się do mnie odnosi, mimo że jestem Żydem i do tego więźniem. Zawsze odpowiadał mi łagodnie na moje naiwne pytania, jakich zadawałem mu bardzo wiele.

Przypominam też sobie, jak czytał „Ogniem i Mieczem" i „Potop". Każde jego słowo utkwiło mi poprostu w pamięci, tak mi się spodobało. Kmicic i pan Wołodyjowski tak mi zaimponowali, że w dzień i w nocy o nich myślałem. Mógłbym nawet wtedy dokładnie określić ich wygląd zewnętrzny. Raz nawet Oleńka mi się przyśniła... Zagłoba zaś śnił mi się tylko wtedy, kiedy byłem głodny. Stał wówczas zawsze przede mną z wielkim salcesonem w jednej, a butelką wódki w drugiej ręce. Nieraz przez tego opoja zasnąć nie mogłem, gdyż z jego ukazaniem się głód zawsze się zwiększał.

Ach, jaki wtedy zły byłem na Zagłobę. Życzyłem mu, aby on się dostał do „Czerwoniaka", choćby na jakieś sześć miesięcy, i popróbował, co znaczy głód. Wtedy napewno przestałby kpić z głodnych.

Miałem też żal do autora tego dzieła: poco jeszcze tego grubasa i opoja w swojem opowiadaniu ku mojemu utrapieniu umieścił?

Prócz szkoły i bohaterów powieści, którzy zajmowali mi czas w nudnem życiu w więzieniu, miałem też pewnego przyjaciela, który także przyczyniał się nieraz w smutnych chwilach do odzyskania lepszego humoru. Owym przyjacielem był nie kto inny, tylko marna mała myszka. Wiele przyjem-

nych chwil spędziłem z nią razem. Kiedy drzwi mojej celi zamykały się po podaniu mi jedzenia, zawsze razem z miską na stole zjawiała się i myszka i skakała wokoło miski. Podsuwałem jej skwarki i najlepsze kąski mego skromnego pożywienia. Nie obawiała się mnie wcale. Tak ją wytresowałem, że wdrapywała mi się na głowę i schodziła zpowrotem na stół. Dla lepszego poznania jej pomalowałem jej ogonek na żółto. Zrobiłem to poto, by się przekonać, gdy mnie przetranzlokują do innej celi, czy ona także za mną podąży.

Dłuższy czas rozmyślałem nad tem, czy nie udałoby się posługiwać myszką dla jakichś poważniejszych celów? Celem moim, — czytelnik napewno się domyśla, — było zawsze to samo: jakim sposobem wydostać się stąd na wolność? Nosiłem się z zamiarem, w który sam nie wierzyłem, by nauczyć myszkę wynosić grypsy do innych cel, abym mógł się porozumiewać z tymi kolegami, na których mogłem polegać. Fantazja unosiła mnie coraz dalej i nawet już myślałem, że myszka tak się udoskonali, że nawet za bramę będzie grypsy wynosiła. Budowałem zamki na lodzie. Chwytałem się jak tonący brzytwy: w nic nie znaczącej małej myszce pokładałem całą nadzieję, nadzieję odzyskania wolności. W mojej wyobraźni, gdy o tem myślałem, myszka wyrastała do rozmiarów słonia.

Nadzieja moja jednak rozprysła się wkrótce jak sen, po kilku nieudanych próbach w tym kierunku. Zostałem wkrótce, nie wiedząc z jakiej przyczyny, przeprowadzony do innej, gorszej celi. Rozstałem się z myszką na zawsze...

Dano mi teraz pracę.

Wszyscy więźniowie, w nagrodę za dobre sprawowanie się, codziennie zrana wypuszczani byli pod wały więzienia do rąbania drzewa. Ja także choć raz w życiu miałem zaszczyt należeć do „dobrych". Było to wówczas jedyne zatrudnienie więźniów, reszta siedziała bezczynnie w celach. Później, bliżej wiosny, założono tu warsztat torebkarski. Starych aktów i rozmaitej makulatury po Rosjanach i Niemcach tu nie brakło: kilka pokoi było tem zepełnionych. Ślusarnia, stolarnia i warsztat krawiecki i szewski dopełniły całości warsztatów więziennych. Pracę wykonywano tam tylko na potrzeby „Czerwoniaka".

Do ludzi dobrych należeli także i moi dawniejsi koledzy po fachu, Stasiek i Maniek. Po raz pierwszy spotkaliśmy się tutaj przy rąbaniu drzewa tak blisko, że mogliśmy jeden drugiemu opowiedzieć nowiny, jakie zaszły w naszem życiu od czasu, kiedy więzienne mury rozłączyły nas. Opowiadaniom nie było końca. Dozorca co chwila zwracał nam uwagę.

— Jazda do pracy! — wołał co chwila. — Jak nie, to zpowrotem do celi!

Rozkazu, chcąc nie chcąc, zmuszeni byliśmy słuchać, jednakże gdy dozorca oddalił się, by doglądać innych więźniów, nad którymi miał także powierzony nadzór, znów ukradkiem zbliżaliśmy się do siebie, prowadząc dalej rozpoczętą rozmowę.

Ciekawy to był typ ten dozorca. Nazywał się Bronowicz. Za Rosji był policjantem w policji obyczajowej; teraz, ku naszemu nieszczęściu, wstąpił tu na naszego dozorcę. Wszędzie go było pełno. Był teraz bardzo nabożny; chodził wszędzie po oddziałach, zaglądając przez judasza do cel, i modlił się przytem z modlitewnika, którego nigdy nie wypuszczał podczas służby z nabożnych rąk. O, był to człowiek bardzo dobry, cnotliwy, jak sam Scypjon. Żadnego więźnia nie nazywał inaczej jak „synu". Gdy więzień zwracał się do niego z prośbą, by zaniósł kawałek chleba innemu więźniowi, co według przepisów więziennych było dozwolone, zawsze mówił:

— Synu drogi, zjedz lepiej sam. Ty synku sam źle wyglądasz. Nie martw się o innych. — Zawsze przytem podnosił nabożnie oczy ku niebu, zamykając drzwi przed nosem.

Nigdy ten dobry nabożny wychowawca nie oddał żadnej przysługi więźniowi, nawet gdy ta przysługa według regulaminu więziennego była dozwolona, a nawet wskazana. — Jednem słowem był to typ, jakiego wymaga zaszczytna służba w więzieniu. Niejednemu więźniowi dopomógł do prędszego ukończenia kary tem, że ułatwił mu przeniesienie się na łono Abrahama. Bił więźniów nie gorzej od Róla. Różnica była tylko w tem, że Ról prócz bykowca nic podczas egzekucji w ręku nie trzymał; a ten jedną ręką bil bykowcem, a w drugiej ściskał modlitewnik.

Nic więc dziwnego, że gdy ten nabożny człowiek ujrzał

pod swoją opieką przy pracy takich ludzi „dobrych“, jak była nasza zacna trójka, z miejsca zaopiekował się nami. Wciąż prawił nam morały.

— Synu, — mówił do Staśka. — Trzeba pracować, by Polskę odbudować, a nie tracić czas na rozmowy.

— Panie dozorco, — odrzekl Stasiek, — jak Polska ma takich dobrych jak pan ludzi, to i tak się odbuduje, a nasza praca jest zbyteczna.

Dozorca sam nie zmiarkował, jak wciągnięto go do rozmowy. Muszę tu zaznaczyć, że lubił prowadzić rozmowy z więźniami, starając się w toku rozmowy prawić nam moraly, które zapewne wyczytał w modlitewniku.

Widząc go w dobrym humorze, począłem żartować i zagadnąłem:

— Panie dozorco, pamiętam dobrze, jak pan za Rosji ku...y łapał po ulicach. Niech pan tak powie, co było lepiej: za Rosji ku...y łapać i pakować do łabaja, czy teraz za Polski pilnować i bić złodziejów?

Dozorca widać nie spodziewał się tak urągliwego pytania, zaczerwienił się jak sztandar bolszewicki i odparł nie bez złości:

— Synu, ty nie bądź taki mądry. Teraz nie jest Rosja, kiedy złodzieje prowadzili rej w więzieniu. Ty siedź cicho, synu, a lepiej na tem wyjdziesz.

Widząc, jak moje pytanie ośmieszyło go w oczach więźniów, którzy śmieli się na cały glos, zaryzykowałem jeszcze:

— O, panie dozorco, gdybym to ja miał takiego dobrego ojca, jak pan, nie siedziałbym teraz w więzieniu za kradzież.

— A za cobyś ty siedział, synu? — zaciekawił się dozorca.

— Za ojcobójstwo, panie dozorco.

Dozorca zbladł jak płótno, jednakże nie zdążył nic odpowiedzieć, bowiem zawołano go na centralę. Rzucił tylko odchodząc straszne, nienawistne spojrzenie w moim kierunku, tak że w duchu zaczynałem już żałować, wiedząc, że on się napewno na mnie zemści.

Stasiek odezwał się do mnie:

— Zobaczysz, że klawisz na tobie się odegra. Ja dobrze znam tego chama. Poco ci było z psem zaczynać? Zdaje mi

się, że do pracy więcej cię już nie puści. Już on znajdzie do ciebie sołdacką pretensję, by ci czem „nagolić".

Maniek byl innego zdania.

— Dobrze mu tak. Nic ci nie zrobi. Za mało pary ma, by rozporządzać pracą. Jabym tego psa chcial capnąć na wolności. Wtedy dałbym mu w łeb, aż mózg wyskoczyłby na ścianę. Ja dobrze pamiętam: jak chcialem rejterować, tylko on jeden mnie bil, gdy mnie capnięto na podwórku. Patrz, jeszcze do dziś znać te lochy, jakie mi porobił na głowie. Chyba że tu „kitę odwalę", wtedy mu to podaruję.

Stasiek, widząc jak Maniek się złości, począł go jeszcze więcej drażnić.

— Dlaczego byłeś taki frajer i dałeś się „nagolić"? „Święty" nie bił cię za to, żeś chciał wyfrunąć, tylko za to, żeś się dał nakryć.

— Jabym chciał zobaczyć, jakiby z ciebie był „fetniak", gdybyś był w mojej podszewce. Ja nie taki frajer, jak tobie się zdaje. Dobrze obmyśliłem, jak zwiać. Zanim zrobiłem dziurę, by się „wytrynić" z celi, byłem pewny, że przy kuźni będzie stał wóz, jak zawsze. Wiesz, że moja cela była na czwartem piętrze; nie mogłem więc w „kime" zyrknąć, czy wóz jeszcze tam stoi. Czy „kaber" w ścianie na pól metra grubości nie byl klawo zrobiony? Dłubałem ze trzy godziny, zanim pierwsze cegły wyjąłem. Następne cegły łatwiej już było wygrzebać. Ja i tak miałem wielkie szczęście, że mnie przy robocie nie nakryli. Zgadnij, jak się urządziłem, żeby klawisz przez judasza nie zauważył co robię? No, powiedz, kiedyś taki cwaniak.

— Jabym wcale nie probował zwiać z takim wyrokiem jak twój. Przecież widzisz, amnestja zrzuciła ci połowę, a za dwa „miesiaki" i tak będziesz wolny. Więc poco było brykać?

— O, jakiś ty „szemrak". Ty teraz cwany jesteś, kiedy nam dali amnestję. Ale kto mógł przewidzieć, że tak się stanie? Sam wiesz, jak w pierwszych dniach Argus trajlowal tylko, że wszystkich zwolnią. A co, zwolnił nas? Tak samo nie wierzyłem, że będzie amnestja i dlatego chciałem zwiać.

— Że amnestja będzie, o tem każdy głupi mógł wiedzieć, — odparł Stasiek. — Gdzie twój łeb? Tyle lat jak Polska była w niewoli, to teraz nie danoby nam amnestji? To było

murowane, jak w banku. Widzisz, jaką dobrą amnestję nam dali. Kto się spodziewał, że my za dwa „miesiaki" będziemy znów bujać po powietrzu i znowu kobietki będą w ruchu, jak to bywało za dobrych czasów? Pamiętasz?

— Doprawdy, jesteś trochę za mądry. Czyś ty sam wierzył w to, że będziemy wkrótce na wolności? Teraz, jak już dali amnestję, to się mądrzysz. Co do mnie, to przyznam się, że się tego nie spodziewałem. Żadne państwo takich gości, jak my, nie lubi. Poco im było złodziejów wypuszczać z więzienia, kiedy na wolności i tak ich jest do wielkiej cholery? A do szczęścia nas nie potrzebują, — zakończył szyderczo Maniek.

Ja, słuchając tego sporu, wtrąciłem się do rozmowy, bojąc się, aby w kłótni, jak to zwykle bywa, nie doszło do bójki.

— Słuchaj, Stasiu, ty nie przecz. Gdy Maniek chciał wyfrunąć, to wiedział, co robi. Ja sam dwu groszybym nie dał, że będzie amnestja. Więc nie przeszkadzaj. Niech Maniek opowie nam dalej, jak to było z ucieczką. No, opowiadaj dalej, — zwróciłem się do Mańka, — jak tyś to zrobił, że cię klawisz nie nagolił przy pracy?

Maniek nadsłuchiwał chwilę, czy „Święty" nie wraca.

— To było tak. Zaraz przy kolacji, gdy wystawiałem swoje manatki na korytarz, a klawisz odszedł na stronę przymykać inne cele, Buls odpalił mi czuchy i sztamajzę i przymknął celę. Po chwili klawisz już tylko sprobował zamek i poszedł sobie do djabła. Nie namyślając się długo zalepiłem bibułą wizyterkę, ażeby klawisz, kiedy będzie po nocy zaglądał do celi, nie mógł nic zobaczyć. Liczyłem się z tem, że w „kime" ma służbę Sztubec... A jak ci wiadomo, on trochę niedowidzi; pomyśli więc, że wizyterka nie jest czysta i przez to tak źle zerkać do środka. Tak też i było. Śmiać mi się chciało, jak Ślepy zerkał przez judasza, a kiedy nic nie mógł skapować, począł chusteczką do nosa wycierać wizyterkę. „Lipowal" dłuższą chwilę, a potem zapukał do drzwi.

— Ty, podnieśno się i wyczyść wizyterkę, bo nic tam nie widzę.

Ja udawałem, że chrapię i nic nie słyszę. Stał jeszcze chwilę, potem zgasił światło i rzucił kilka wyzwisk na moją gło-

wę. Mówił, że mnie jutro nauczy, jak wizyterkę czyścić, poczem oddalił się. Teraz byłem już pewny, że pies tak prędko nie przyjdzie wąchać do mojej celi. Nie namyślając się długo, wziąłem się do pracy. Po półgodzinnem grzebaniu w murze usłyszałem kroki zbliżające się do mojej celi. Włosy dęba stanęły mi na głowie. Myślałem: co też to będzie, jeśli Ślepy „tropnął się", że u mnie coś nie w porządku i przyszedł drugi raz sprawdzić co jest? Rzuciłem się na łóżko i nasłuchiwałem. Jednakże nie zatrzymał się przy moich drzwiach. Czekałem chwilę, aż kroki oddaliły się i zabrałem się nanowo do dzieła. Loch był gotowy. Ubrałem się prędko w czuchy, które Buls mi odpalił. Nachy sięgały mi do kolan, a marynarkę ledwie na siebie wbiłem. Na nogach miałem owinięte gałgany, bo tu zima, trzeci stycznia. Mróz wielki. Doprawdy nie wiem, czybym nie zmarzł po drodze do Ostrołęki, dokąd chciałem się udać do pasera. U niego dostałbym dobre czuchy i trochę floty na drogę.

Rozerżnąłem koc i siennik i skręciłem z tego linkę. Przymocowałem ją do krat i ledwie wytryniłem się przez dziurę, trzymając się liny i zjechałem nadół. Jednak lina z czwartego piętra była za krótka, więc zmuszony byłem brykać nadół. Nie patrząc na to, że dobrze się potłukłem, prędko zebrałem się i sunąłem przy ścianach do samej kuźni. Rozglądałem się tu na wszystkie strony; ale wozu, który stał tu dla reperacji, nie było. Co miałem teraz począć? Skąd tu wziąć deskę lub kawał drąga, żeby można było oprzeć o mur i tak wleźć na parkan? Dyszel od wozu akuratby się do tego nadał. Ale skąd go tu wziąć? Stanąłem w kąciku, oparłem się o rynnę i przytuliłem się tak, żeby posterunek krążący przy kuźni mnie nie spostrzegł.

Zimno mi było nie do wytrzymania. śnieg walił na mnie całemi kupami. W takiej sytuacji długobym nie wytrzymał. Wreszcie zdecydowałem się. Na czworakach podlazłem do okna kotłowni. Tam, wciąż leżąc na śniegu, by mnie posterunek nie zauważył, zapukałem do okna. Wiesz przecie, że w kotłowni przy centralnem ogrzewaniu palił Jadek. Przecież to stary andrus; więc do kogo się miałem udać w takiej chwili, jak nie do niego? Za chwilę Jadek ukazał się, odemknął okno. Zapewne myślał, że to posterunkowy chce

wody lub ognia do papierosa. Gdy zaś mnie ujrzał, cofnął się przerażony i wybełkotał: Czego tu chcesz, gadaj prędzej.

— Bracie, ratuj, zwiałem z celi. Nie mogę się teraz przedostać przez mur. Zlituj się, podaj mi kawał polana albo jakiej deski, bo wiesz co mnie grozi, gdy mnie nakryją.

Patrzał na mnie chwilę i odparł:

— Dobrze, dobrze, zaczekaj, zaraz ci podam.

Mówił to tak cicho, że byłem pewny, że słowa dotrzyma. Czekałem minutę i więcej, aż wreszcie doczekałem się. Zostałem w mgnieniu oka otoczony przez dozorców i za nogi wciągnięto mnie do centrali. Pierwszy uderzył mnie między oczy Święty. Inni też mnie nie całowali. Jednakże nikt się tak nademną nie znęcał, jak Święty. Krew waliła ze mnie tak, że „czuchy“ były na mnie mokre. Zakuto mi potem ręce i nogi w kajdany i tak wrzucono do ciemnicy.

— Mówię wam, chłopaki, — dodał po chwili milczenia, — jakby się zamyślił nad czemś, — nigdy o tem nie zapomnę. Na Świętym muszę się odegrać...

— Głupstwa pleciesz, — odparł Stasiek. — Na wolności o tem zapomnisz. Będziesz miał dosyć roboty ze sobą, a nie tam uganiać za Świętym. Jeszcze jak go spotkasz na ulicy, będziesz mu się kłaniał zdaleka. Wszyscy w więzieniu się odgrażają; a na wolności wódkę fundują dozorcom. Znam ja dużo takich gości.

Maniek aż zaczerwienił się ze złości. Kto wie, czy nawet nie doszłoby do bójki, gdyby sprzeczki nie przerwało wołanie Świętego, który wzywał więźniów na obiad.

Gdy przyszedłem do celi, wszystko było porozrzucane. Rewizja była u mnie przeprowadzona tym razem bardzo dokładnie. Zrozumiałem, że Święty już zaczyna mi dokuczać za moją zuchwałość. Pracowałem ze trzy godziny, zanim doprowadziłem celę do przepisowego porządku.

Po obiedzie stanąłem przy drzwiach mojej celi, nadsłuchując, czy jeszcze nie wypuszczają więźniów do pracy. Stałem tak aż do kolacji. Ale mnie już więcej nie wypuszczono.

VII.

Siedziałem teraz bezczynnie w celi. Na jedną godzinę dziennie chodziłem do szkoły i na pół godziny na spacer. Tak snuł się dzień za dniem, jeden podobny do drugiego. Elcia nie próżnowała; wystarała się o blatnego dozorcę, który przynosił mi do celi takie rzeczy, które były zabronione dla więźniów. Nieraz, by mi uprzyjemnić smutne chwile, przysyłała i wódkę.

Pewnego razu o mało nie wpadlem. Dozorca ten nie zawsze miał sposobność wręczyć mi wszystko osobiście. Było to wtedy, gdy dyżurował w nocy; a żaden dozorca w nocy nie posiada kluczy od cel. Tylko dyżurny całego więzienia ma prawo trzymać klucze przy sobie. Otóż razu pewnego, nie mając sposobności podczas służby nocnej wręczyć mi przysłanej przez Elcię wódki, dozorca włożył mi ją do buta (jak wspomniałem, ubranie i buty na noc były wystawiane na korytarz). Chwyciłem nieostrożnie buty, butelka wypadła i potłukła się. Zapach wódki rozszedł się po całej celi. Na szczęście jednak jakoś mi to uszło.

Elcia przychodziła też często do mnie na widzenia, wciąż przynosząc ze sobą „wałówki". Z rozmów z nią widziałem, że całą nadzieję pokłada w apelacji. Mówiła mi zawsze: „Nie martw się, kochany. Apelacja napewno cię zwolni, a wtedy zostanę twoją na zawsze".

Co miałem robić? Nie chcąc jej smucić, dodawałem jej otuchy, że tak będzie. Jednakże w duchu postanowiłem dla jej dobra zerwać z nią, aby nie cierpiała przeze mnie. Odbywała się we mnie walka. Co robić? Zerwać z Elcią — to głodówka. Nie zrywać, — żal mi było tej dziewczyny, która oddala mi się całą swoją niezepsutą duszą. Opowiadała mi nieraz, jak moi koledzy po fachu prześladowali ją mówiąc:

— Co ty tam będziesz chodziła do Nachalnika. On i tak ma tyle lat do siedzenia, napewno już wolności nie ujrzy. Gdy nawet wszystko przetrzyma, i tak się z tobą nie ożeni. On zawsze tylko „szyksy" lubił. Nie bądź głupia, dostaniesz jeszcze lepszego, niż on.

Wiedziałem o tem dobrze, że gdyby nawet była tak silna, jak żadna z kochających kobiet, przy takich prześladowa-

miach kto wie czy nie ulegnie. Zresztą tyle lat i tak nie wytrzyma, by mnie ciągle odwiedzać. Nawet, jak mi się zdawało, wyczuwałem już pewną jej niechęć do mnie. Tylko nadzieja na apelację podtrzymywała nasze stosunki.

Minęła zima, przyszła wiosna. Pewnego dnia przyszedł do mojej celi dozorca, który kierował kuchnią i piekarnią.

— Czy jesteście piekarzem? — zapytał.

— Tak jest, proszę pana, — odparłem.

— Gdzieście pracowali? — zapytał dość groźnie.

Począłem wyliczać najlepsze firmy piekarskie, jakie znałem, by mu zaimponować.

— Dobrze, dobrze, jutro zrana przyjdę po was i wyszykujemy piekarnię, która cały czas po Rosjanach stoi nieczynna. Trzeba tam obejrzeć piece, zreperować, — zresztą co będzie trzeba, to się zrobi. Ale żebym się nie zawiódł na tobie! Dziś zamelduję o tem naczelnikowi, a jutro po was przyjdę.

Zmierzał już ku drzwiom, jednak zatrzymał się i żartobliwie zawołał:

— A możeś ty taki piekarz jak murarz? Słyszałem jak za Niemców podałeś się za murarza i co z tego wyszło. Myślę, że nas nie będziesz tak bujał, jak Niemców?

— O, nie, panie starszy, wtedy było co innego. Szwaby dawały się zawsze w „kant" nabić. Kto panu o tem opowiadał?

— Znam, znam wszystkie wasze numery. Opowiadał nam dozorca, który tu był za Niemców, o waszych figlach, jakie wyplataliście Niemcom. Boki zrywaliśmy ze śmiechu, kiedy opowiadał. Ale u nas musicie się dobrze zachowywać, wtedy będzie wam dobrze.

Gdy dozorca opuścił celę, skakałem z radości. Piekarzem być w więzieniu... Mieć pod nosem zawsze świeży chlebek, wiele dusza, a raczej żołądek zapragnie! Co za szczęście! Przecież to znaczy tyle, co być burżujem na wolności. Wyobrażałem sobie, jaki to respekt będą mieli przede mną więźniowie. Pomyśleć tylko, jaką rolę odgrywał tu bochenek chleba! Za bochenek chleba więzień oddaje nowe buty, ubranie i inne wartościowe rzeczy. Z radości, z nadziei, że się wzbogacę, całą noc zasnąć nie mogłem.

Rozmyślałem też o tem, jakim sposobem ująć cały prze-

mysł więzienny w swoje ręce. Handel pomiędzy więźniami, mimo srogiego zakazu władzy i surowej kary, jaka za takie przestępstwo czeka, po wszystkich więzieniach jednak panuje. Zapewne kara ta wypływa z tego, że więźniowie nie wykupują patentów i nie opłacają dochodowego, szyldowego, obrotowego i t. p., jak to frajery na wolności płacić muszą. Nawet w niemieckich więzieniach, gdzie więzień jest skrępowany do ostatnich granic i nigdy nie jest bez nadzoru wszystkowidzącego oka dozorcy, gdzie ani jednej sekundy nie jest sam z sobą, nawet i tam handel się uprawia.

Na Czerwoniaku przemysł był następujący. Przedewszystkiem szły w obrót handlowy pieczone kartofle. Dostarczali ich więźniowie, którzy chodzili na robotę za bramę. Szmuglowali ten poszukiwany specjał w ten sposób, że nawet dozorca przy rewizji nie mógł się połapać. (Trzeba tu dodać, że wielu dozorców, którzy prowadzą więźniów do pracy, patrzy na różne drobne przekroczenia przez palce. Dzięki temu, nawet gdy dozorca przy rewizji po skończeniu pracy namacał w rękawach lub nogawicach kartofle, udawał, że tego nie spostrzegł).

Głównym składem, dokąd więźniowie dostarczali kartofle i gdzie też po upieczeniu można było je nabyć, była kotłownia centralnego ogrzewania. Tam, jak już wyżej wspomniałem, palaczem był Jadek, ten sam, który Mańka wydał władzom. Ten to Jadek zabierał kartofle i po upieczeniu sprzedawał. Nabywców nie brakło. Kotłownia bowiem mieściła się pod wałami więzienia, i wszyscy więźniowie, którzy pracowali przy różnych fizycznych robotach, codziennie tędy przechodzili; tutaj odpoczywali, tu też rąbano drzewo, przy czem pracowało codzień trzydziestu więźniów. Ci byli stałymi klientami potężnego Jadka.

Jadek, przezwany przez więźniów „stary Leser", miał też na składzie tak pożądany artykuł, jak papierosy i machorkę. Palenie wówczas było surowo wzbronione, a jednak u Jadka można było nabyć papierosów. „Stary Leser" z jednej strony donosił o wszystkiem władzy, czem wyrobił sobie zaufanie; z drugiej zaś strony prowadził różne ciemne i najbardziej zabronione przez władze interesy. Nawet wódkę miał w swoich tajnych kryjówkach po piecach; ale dostarczał jej tyl

w wyjątkowych chwilach, naprzykład na jakąś ważną dintojrę, która odbywała się pod wałami, a której jako stary weteran zbrodni przewodniczył.

Złodzieje, do których i on się zaliczał, dobrze wiedzieli o tem, że jest prowokatorem; jednak bez niego nie mogli się tu obejść. Jadek ze swej strony był tak chytry i podły, że jednych „zasypywał“, a innym nawet dopomagał do ucieczki. Dlatego też jawnie nikt nie śmiał przeciwko niemu wystąpić i wytoczyć mu dintojry.

Jadek skupywał wszystko, co posiada jakąkolwiek wartość i wysyłał do domu żonie. Żona zaś dostarczała mu przez blatnego dozorcę wszelkich zabronionych rzeczy, jak papierosów, tytoniu, wódki, za co też nabywał od więźniów wciąż nowe rzeczy. Jednem słowem, handel zamienny rozwinięty był do tego stopnia, że braku waluty nikt tu nie odczuwał.

Za funt słoniny lub cukru cena targowa była pół paczki machorki. Półfuntowa porcja chleba równała się dwu papierosom. Za nowe lub mało używane buty z cholewami płacił Jadek trzy paczki machorki. Za ubranie i bieliznę płacił ile chciał, — zależało to od upodobania Jadka. Najwięcej wyzyskiwani byli ci więźniowie, którzy palili tytoń.

Położenie materjalne więźniów we wszystkich więzieniach dzieli się na trzy kategorje. Kategorja pierwsza — to tak zwana burżuazja; są to ci, którzy otrzymują stale pieniądze i wałówki od rodziny i znajomych. Druga kategorja to ci, którzy nie otrzymują znikąd pomocy, ale w więzieniu dorabiają się różnemi kombinacjami. Są to przeważnie recydywiści, którzy czują się tu jak w domu. Zajmują tu różne stanowiska i wodzą rej między więźniami. Ostatnia kategorja to ciury, którzy nie mają znikąd żadnej pomocy i nie mogą tu sobie poradzić, dzięki czemu są wyzyskiwani na każdym kroku i nie mają tu żadnego głosu.

Rano, gdy tylko dano sygnał do wstawania, przybył po mnie dozorca i zabrał mnie ze sobą do piekarni. Jak wielce się zdziwiłem, gdy zobaczyłem, że kuchnia mieści się obok piekarni i że pracują w niej same kobiety! Uśmiechnąłem się w duchu, widząc młode aresztantki uśmiechające się do mnie. Co za rozkosz mieć w więzieniu kobiety przy boku... Może nawet da się coś zrobić...

Po chwili przy odemkniętych drzwiach piekarni pojawiły się dwie młode kobiety i poczęły mi się pożądliwie przyglądać. Ja udawałem, że wcale w ich stronę nie patrzę i że mnie one zupełnie nie interesują. Wiedziałem bowiem, że dozorca mnie obserwuje i gdybym okazał wzruszenie na widok kobiet, odprowadziłby mnie z miejsca zpowrotem do celi.

Dozorca pokazał mi piece, których tu było dwa, i różne narzędzia piekarskie, pozostałe po Rosjanach; radził się mnie co do urządzenia nanowo piekarni. Udawałem wielkiego fachowca, zarzucając go trafnemi uwagami i poleciłem, aby sprowadził mularza i stolarza. Obiecałem wszystko tu urządzić jak należy.

Dozorca pouczał mnie jak się mam zachowywać:

— Pamiętajcie, grunt nie zadawać się z babami. One i w więzieniu mogą człowieka zgubić, a macie tu pewny kawałek chleba. Jak będziecie się dobrze prowadzić, to cały wyrok możecie przesiedzieć w piekarni.

— Panie starszy, — odparłem, — ja bab nienawidzę i żadnych interesów nie chcę z niemi mieć. Może pan być co do tego zupełnie spokojny.

— No, pamiętajcie, żebym był z was zadowolony, a już tego nie pożałujecie. Ja wiem, jak się obchodzić z moimi ludźmi. Za kacapa dwadzieścia lat tu byłem gospodarzem nad piekarnią i kuchnią. Zęby na tem zjadłem. Mnie nabrać będzie trudno.

Po udzieleniu mi jeszcze kilku więziennych morałów, zamknął drzwi, krzyknął do kobiet, by tu nie przeszkadzały i oddalił się.

Zabrałem się do sprzątania różnych rupieci, które tu były porozrzucane; jednocześnie rozglądałem się nieznacznie, w jakiem położeniu piekarnia się mieści. Myśl o ucieczce zawsze górowała nad innemi myślami. Teraz też natychmiast błysnęła myśl: „Jesteś uratowany, stąd napewno brykniesz, tylko staraj się nie wzbudzić żadnego podejrzenia, a reszta sama się złoży".

Po chwili usłyszałem kobiecy śmiech i obejrzałem się. Przez szyby w drzwiach piekarni przyglądało mi się kilka kobiet. Patrzały na mnie wyzywająco i szeptały jedna drugiej różne uwagi na temat mojej męskiej powierzchowności.

Przez chwilę jednej patrzyłem w oczy. Była to kobieta lat dwudziestu trzech zgórą; jej strój aresztancki podnosił nawet jej urodę. Jak mi się zdawało, od pierwszego spojrzenia doskonale się porozumieliśmy; na dowód tego pierwsza nawiązała ze mną rozmowę.

— Co pan tu będzie, bulki sadzał do pieca?

— Tak, proszę pani. Mam tu wyszykować piekarnię dla więźniów i administracji, dostarczać świeżego chleba i bulek.

— Morowo, — zawołała wesoło. — Niech pan i dla mnie wsadzi do pieca coś dobrego. — Poczem wraz z koleżankami wybuchnęła śmiechem.

Dozorczyni, zwabiona śmiechem, przybiegła z kuchni i zawołała:

— Marsz do kuchni!

Kobiety uciekły z jeszcze większym śmiechem.

Po chwili znów ukradkiem zajrzano do mnie. Udawałem, że nic nie widzę, ale jednak niepostrzeżenie dobrze je obserwowałem.

Przez cały dzień starałem się doprowadzić piekarnię do zupełnego porządku. Gdy wieczorem dozorca odprowadził mnie do celi, był ze mnie tak zadowolony, że nawet poczęstował mnie papierosem.

W celi, nie wiem sam dlaczego, rozweseliłem się. Nabrałem teraz pewności siebie. Wesołość moja wzrastała do tego stopnia, że śmiałem się sam do siebie i wykrzykiwałem zaciskając pięści.

— Muszę stąd bryknąć — myślałem, — ale przedtem muszę się zabawić z kobietkami. Z tą wysoką już, jak mi się zdaje, zwąchalem się. Ona mi i do ucieczki pomoże. Nareszcie mam okazję odzyskania wolności. Jeśli nie teraz, to już nigdy, — myślalem sobie. — Więc tę okazję wykorzystać muszę.

Biegałem po celi, nie czułem potrzeby odpoczynku. Odzyskałem znów sprężystość myślenia, po tak długim czasie zwierzęcego spokoju i beznadziejności. Uczucie wielkiego zadowolenia opanowało mnie do tego stopnia, że począłem nawet nucić sobie ulubioną piosenkę.

Była to stara rosyjska piosenka złodziejską, której początek brzmiał jak następuje:

„Kogda ja imieł liet piatnadcat', umier mnie otiec.
Matieri pierestał ja bojatsia, stał ja uliczną podlec.
Po traktirach stał ja szliatsia, dziewczonok stał ja lubit',
Worowat' naczał ja, i po tiurmach stał ja tiepier żit'.
Pierwyj raz sidieł ja niedołgo, czetyre godika wsiewo,
Kak ja wyszoł na swobodu, pierestał ja bojatsia nikawo".

Przerwałem, gdyż dozorca zapukał do drzwi, abym natychmiast spać się położył. Nie chcąc wchodzić w konflikt z władzą, co przeszkodziłoby mi w moich zamiarach, natychmiast rozkaz spełniłem.

Zasnąć jednak nie mogłem. Przed oczyma mojemi przesuwały się widziane w dzień aresztantki, w kuszących pozach. Nie mogłem w żaden sposób pozbyć się ich widoku. Najwięcej natrętna okazała się ta aresztantka, której oczy spotkały się z mojemi. Czego nie czyniłem, by o niej nie myśleć, — ale wszystko nadaremnie. Drażniła mnie ciągle, aż zmuszony byłem popełnić to, co więzień w takich chwilach popełnić musi...

Nerwy wreszcie potrochu uspokoiły się i wyczerpany zasnąłem.

VIII.

Na piekarni powodziło mi się nieźle. Aresztantka, o której wspominałem i która mnie tak zainteresowała, okazała się bardzo dobrą dziewczyną. Nazywała się Adela. Siedziała w więzieniu wraz ze starszą siostrą, jeszcze w śledztwie, za udział w zabójstwie jej męża. Była ona starszą kucharką. Nic więc dziwnego, że dbała o to, abym nie był głodny. „Odpalała" mi zawsze to kawał słoniny, to mięsa i przechowywała je w pończochach przed okiem chytrej dozorczyni.

Na kuchnię wstęp miałem wzbroniony. Jednakże przy okazji, — to po obiad, to po wodę gorącą do ciasta — wchodziłem tam. Później zaś, gdy pozyskałem zaufanie dozorczyni, która była czterdziestoletnią panną o wyglądzie Ksantypy, a której prawiłem komplementy, co jej bardzo pochlebiało, miałem już tam wstęp dozwolony.

Zaufanie mego dozorcy zdobyłem także. Miał on pod sobą i kuchnię, a także magazyn żywnościowy. Codziennie po obiedzie wydawał prowianty do kuchni na następny dzień. Po prowianty przychodziła dozorczyni z Adelą i dwie aresztantki. Ja zawsze pomagałem w wydawaniu prowiantów. Wraz z Adelą kradliśmy to cukier, to słoninę, wreszcie co do ręki wpadło. Jedna z aresztantek zagadywała dozorcę, który lubił poflirtować, a my tymczasem robiliśmy swoje.

Taki stan rzeczy trwał dość długo, aż wreszcie gdy nastąpiła kontrola i okazało się, że brak do wagi pewnej ilości produktów, wstępu do magazynu stanowczo nam zabroniono.

Do pomocy wziąłem sobie więźnia, którego znałem z wolności. Miał on tylko sześć miesięcy za to, że w piekarni, w której pracował, skradl trochę mąki.

Pomocnik mój znał fach piekarski lepiej ode mnie. Wiedziałem też, że potrafi trzymać język za zębami i dlatego wskazałem na niego, będąc pewny, że on mnie nie zdradzi.

Mimo wszystko byłem ostrożny. Nie zwierzałem mu się z moich planów ucieczki. Wszystko co mogłem, czyniłem tak, aby on o tem nie wiedział; tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy już coś nie mogło ujść jego uwagi, wyjaśniałem mu, że robię to wszystko dla naszego wspólnego dobra.

Ja, jako majster, mogłem przychodzić z celi do piekarni kiedy tylko chciałem. Pomocnika puszczano z celi tylko wtedy, kiedy ja kazałem go wypuścić do pracy. Urządzałem się zawsze tak, że dyżurny oddziału wypuszczał mnie czasami już o świcie i jeszcze wcześniej; motywowałem to koniecznością, twierdząc, że w przeciwnym razie kwas na chleb byłby do niczego.

O tej samej porze Adela, jako starsza kucharka, przychodziła do kuchni, by zacząć pracę około śniadania dla więźniów. Dyżurny zamykał nas i oddalał się na oddział.

Pewnego dnia stanąłem przy drzwiach nadsłuchując. Gdy przekonany już byłem, że dozorca pozamykał za sobą drzwi prowadzące do kuchni i gdy kroki jego zupełnie ucichły, prędko wyciągnąłem z ukrycia dorobiony przeze mnie wytrych do drzwi piekarni i kuchni. Adela na to tylko czekała, gdyż działałem za jej zgodą. Z początku nie chciała się na

to zgodzić, obawiając się skutków i kary. Jednakże zgodziła się. Czyż mogła ona jako młoda kobieta i to będąc w więzieniu oprzeć się takiej pokusie?

Zabawialiśmy się w ten sposób nie więcej jak kilka minut. Wprawdzie ciężko nam było się rozstać, cóż było jednak robić? Byliśmy więźniami, a dyżurny często do nas zaglądał.

Tego rodzaju uciechy, które w więzieniu są rzadkością, lub są zupełnie niemożliwe, urządzaliśmy sobie dwa lub trzy razy tygodniowo. Nie chcąc ściągać na siebie uwagi dozorców, byłem ostrożny, bardzo ostrożny. Nieraz miałem kłopot z Adelą, gdyż nie chciala mnie puścić od siebie. Gdy tylko otwierałem drzwi kuchni, padała mi prosto w objęcia niemal nieprzytomna. Zapominała o wszystkiem, nawet o tem, gdzie nasze spotkanie się odbywa. Nieraz musialem użyć całej siły woli, by z jej rozkochanych ramion się wydostać.

Często gdy byliśmy zajęci sobą, Adela była niemal bez przytomności; ja jednak nie zapominałem gdzie się znajduję i chwytałem najmniejszy szmer dochodzący do moich uszu.

Wieleż to strachu najadłem się z powodu naszych rendez-vous! A jednak z utęsknieniem czekałem na tę chwilę, by się móc do niej przedostać.

Adela zaś, o ile początkowo nie chciala się zgodzić na tak ryzykowne spotkanie, o tyle teraz sama nalegała, bym urządzał spotkania jak najczęściej.

Dla lepszej orjentacji czytelnika, jakiego rodzaju kobietą była Adela, umieszczę tu niektóre grypsanki, z naszej korespondencji, jaką prowadziliśmy ze sobą skrycie na początku naszej znajomości.

Grypsanki te doręczaliśmy sobie w ten sposób: Adela kładła gryps w umówionem miejscu na korytarzu pod spluwaczką i pukała do drzwi piekarni. Był to znak, że mam wezwać dozorcę, by mnie wypuścił dla załatwienia naturalnej potrzeby. Wówczas niepostrzeżenie zabierałem gryps. Ja tak samo kładłem tam swoje grypsy, dając jej także znak tem, że przychodziłem do dozorczyni pytać o godzinę.

Przyznam się, że pierwszy gryps pisałem ja, albo raczej ja dyktowałem, a napisał go Maniek. Widywaliśmy się z Adelą kilka razy dziennie i nawet rozmawialiśmy z sobą; jed-

nakże nigdy nie mogliśmy sobie mówić tego, cobyśmy chcieli; zawsze ktoś nam przeszkadzał.

Oto treść pierwszego grypsu do Adeli:

„Droga Pani!

Od pierwszej chwili, kiedy panią ujrzałem, jak mi się zdaje, dusze nasze porozumiały się. Przez Panią po nocach spać nie mogę. Przewracam się na swoim barłogu, jakbym leżał na żarzących się węglach i myślę o Tobie. Pani tak samo, jako więzień i kobieta, domyślam się, że przechodzi te same męki, co ja. Obraz Pani stoi mi przed oczyma i wabi mnie do siebie, obiecując raj. Ale to wszystko tylko marzenie, jesteśmy więźniami i nie możemy sobie powiedzieć tego, co czujemy i cierpimy. Piekło, w którem żyjemy, nie pozwala nam myśleć o raju, którym jesteś Ty. Mam Pani coś do powiedzenia, ale obawiam się to uczynić przy pierwszem spotkaniu, by nie urazić Pani. Jeśli mnie Pani uszczęśliwi natychmiastową odpowiedzią, zaryzykuję i wszystko, co serce moje czuje, wyznam.

Załączam kawałek ołówka i papier, o co Pani będzie trudno się wystarać i z biciem serca czekam rychłej odpowiedzi".

Dopiero nazajutrz otrzymałem odpowiedź, która brzmiała:

„Szanowny Panie!

Szczęśliwa jestem, gdy myślę o tem, że Pan o mnie myśli po nocach. Nie wiem, czem na to u Pana zasłużyłam. O, Boże! Gdyby Pan wiedział, jaka ja jestem podła i za co siedzę, zapewne czułby Pan wstręt do mnie i gardził mną. Jestem straszną jędzą i morderczynią własnego męża, męża, którego kochałam. Czy teraz Pan mnie też jeszcze kocha? Ha... ha... ha... Wyobrażam sobie, jak Pan wygląda podczas czytania tych wyznań. Zapewne pluje Pan, czytając te wstrętne słowa. Powiem Panu jeszcze coś, że gdyby zdecydował się Pan i miał możność zostać moim kochankiem lub nawet mężem, zamordowałabym go także. A wie Pan

dlaczego? Dlatego, że każdy mężczyzna udaje tylko przed kobietą, że ją kocha. Każdy mężczyzna jest zdrajcą i człowiekiem podłym do ostatnich granic. Niema wyjątków. Śmierć zdrajcom! To stare hasło, którego jestem zwolenniczką. Pan nie jest lepszy od nich. Wstydź się Pan! Czy Pan myśli, że ja nie wiem, że ja nie znam dziewczyny, która przychodzi do Pana? Miałam raz widzenie z matką obok Pana. Niech Pan sobie przypomni, jak Pan mówił do tej dziewczyny o dozgonnej miłości i t. d. Ta frajerka — widziałam po niej — wierzyła Panu. Ja nie jestem taka naiwna i głupia, jak Pan sobie wyobraża. Mimo młodego wieku poznałam was dobrze. Bujać to my, a nie nas...

Zapewne przeczytawszy to, przestanie Pan zalecać się do mnie. Mnie czeka kilka lat więzienia i muszę się pilnować, pracować i nie myśleć o romansach, do tego jeszcze z tak podłym człowiekiem jak Pan."

Przeczytawszy ten list, stanąłem jak wryty. Trafiła kosa na kamień, — pomyślałem; ale właśnie dlatego jeszcze więcej mnie zaintrygowała. Ta jej cywilna odwaga tak mi zaimponowała, że nie czekając długo, postanowiłem znów atakować, co też zaraz uczyniłem.

Sam jeszcze nie umiałem dobrze pisać po polsku, udałem się więc znów do Mańka, który pracował przy rąbaniu drzewa; ten pod moje dyktando natychmiast napisał:

„Odważna Pani!

Po przeczytaniu listu Pani nie poczułem się wcale obrażony; stało się zupełnie inaczej. Kocham Panią tem bardziej za odwagę i szczerość. Nie wierzę, aby Pani była zdolna kogoś zamordować. Ale choćby i tak było, jak Pani sama wyznaje, że zamordowała Pani swego męża, zapewne sobie zasłużył i wcale Pani za to nie potępiam. To, czem mi Pani grozi, — że gdybym został Jej mężem lub kochankiem, to i mnieby Pani zamordowała, — nie odstrasza mnie od starania się o przychylność Pani dla mnie. Więcej nawet, uważałbym to sobie za wielki zaszczyt i szczęście być zamordowanym przez ko-

bietę, którą kocham i którą jesteś Ty. Zresztą jestem pewny, że gdy Pani pozna mnie bliżej, nietylko nie zamorduje mnie Pani, lecz nawet mocno, bardzo mocno pokocha.

Zarzuca mi Pani, że jestem podły, gdyż mam dziewczynę, która mnie kocha i która przychodzi do mnie z wolności, a którą zapewniam, że ją także kocham. Sam przyznaję, że to podłość. Ale niech pani weźmie nasze życie takiem, jakie ono jest, bez sentymentów, a wtedy Pani przyzna mi rację. Należę do tych mężczyzn, którzy nie umieją kochać na odległość. Ona jest na wolności, jest młoda i niebrzydka, kto wie, czy i ona jest mi wierna? Jestem przecież za kratami i kto wie, czy jeszcze ujrzę wolność. A choćby tak było, choćbym doczekał się wolności, — co to za szczęście dla niej mieć przestępcę za męża? Ona jest warta lepszego niż ja. Właśnie dlatego postanowiłem zerwać z nią, dla jej własnego dobra. Chcę to zrobić dlatego właśnie, że ją kocham. Czy teraz jeszcze nazwie mnie Pani podłym? Zna Pani nasze nędzne życie tutaj. Wiem, że bez pomocy materjalnej z wolności życie tu jest niemożliwe. A jednak chcę zrezygnować z jej pomocy, dbając tylko o jej dobro.

Natomiast Panią kocham miłością praktyczną. Jest Pani więźniem i kobietą. Ja jestem także więźniem i stuprocentowym mężczyzną. Czy więc nie możemy sobie ulżyć, — kto wie czy nie po raz ostatni w życiu? Panią czeka, jak Pani sama przyznała, kilka lat więzienia. Ja już mam wyrok na sześć lat ciężkiego więzienia. Kto wie czy jeszcze skosztujemy kiedy miłości. Tej jedynej pociechy w życiu ludzkiem, tutaj nam zakazano. Niech Pani pomyśli, życie jest krótkie, tem bardziej w więzieniu śmierć czyha na nas na każdym kroku. Dlaczego nie mamy wykorzystać okazji?...

Wiem, co Pani mi odpowie. Obawia się Pani, że ktoś nam przeszkodzi i tylko postradamy pracę, która w więzieniu równa się dobrobytowi. Niech Pani mnie to zostawi. Zaręczam, że ja wszystko urządzę i będziemy mieć to, dla czego warto zaryzykować.

Przepraszam najmocniej, że tak otwarcie piszę do Pa-

ni. Robię to jedynie dlatego, że wiem i miarkuję, że mnie Pani zrozumie i nie odmówi sobie tej przyjemności!"

Maniek podczas pisania listu pękał ze śmiechu, mówiąc do mnie:

— Ty jesteś prawdziwy Nachalnik, niech cię cholera weźmie. Tak zaatakować kobietę, i to kobietę, która ci taki gryps odpaliła, to trzeba umieć. No, zobaczymy, czy ta „Szpara" ci odpisze. Będę się śmiał, jeśli odda gryps dozorczyni; wtedy możesz się pożegnać z piekarnią. Szkoda, że ja i Stasiek za parę dni będziemy wolni. Chciałbym widzieć, czy ten „kant" się uda. Ale to ładna baba, widziałem ją, kiedy zanosiłem drzewo do kuchni, — zwracał się do Staśka, który tajemniczo się uśmiechał.

Stasiek wziął mnie za ramię i odprowadził na stronę.

— Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Strzeż się z tą babą, daj spokój. Ona ma tu kochanka, z którym razem zamordowała męża. To jest znany „bandzor"; radzę ci daj spokój. Znam ją trochę. Ojciec jej był woźnym w gimnazjum za Rosjan, a mąż, ten właśnie, którego zamordowała wraz z kochankiem, był porucznikiem. Czeka ją z dziesięć wiosenek. Daj spokój. Pamiętaj, że i ty masz sześć wiosenek. Pilnuj lepiej pieca, z którego chleb jadasz. Wybij sobie romanse z głowy. Elcia przez cały czas nie będzie przychodzić do ciebie, a jak się zasypiesz z grypsem, to cię z piekarni wytrynią i mortus cię przyciśnie. Mówię ci to jak przyjaciel...

— Co tam! Ja się nie zasypię. Tę babę muszę mieć. Byłbym ostatnim głupcem i frajerem, gdybym, będąc w piekarni i mając okazję po......, nie wykorzystał tej okazji. Ja już wszystko obmyśliłem: będę do niej wpadał zawsze nad ranem na „chybcika" i swoje załatwiał. Pomyśl, Staśku, w więzieniu mieć taką kobietę, czy nie warto zaryzykować?

— Co warto to warto, ale może się nie udać. Zresztą rób jak uważasz. Te baby jeszcze cię zgubią. Pamiętaj..

IX.

Kilka dni trwało, zanim na list znowu dostałem odpowiedź. Przez ten czas spotkaliśmy się kilka razy, to przy wydawaniu produktów, to w kuchni, ale ona nawet nie spojrzała na mnie. Myślałem już, że wszystko przepadlo, aż pewnego dnia przechodząc obok mnie, własnoręcznie wsunęła mi odpowiedź, grożąc mi przytem kokieteryjnie palcem. List był treści następującej:

„Przeklęty Nachalniku!

Widzi Pan, dowiedziałam się, jak Pana koledzy nazywają... Trafne przezwisko. Musi Pan być szatanem, jeśli nie wytrzymałam i muszę odpisać Panu. Po nocach mimowoli myślalam o propozycji, nad którą doprawdy warto pomyśleć. Czuję, że jestem pod Pana wpływem i nie potrafię oprzeć się pokusie. Ma Pan rację, życie jest doprawdy krótkie, użyjmy póki czas. Ciekawa jestem tylko, jak się Pan do mnie dostanie. Przecież Pana zamykają pod klucz, a ja także jestem pod kluczem, strzeżona przez dozorczynię, która jest bardzo zazdrosna. Myślę, że możeby Pan spróbował umizgać się do dozorczyni, ona napewno nie pogardzi Panem. A ja, choćbym się zgodziła, to nie dlatego, że jestem zakochana, tylko ot tak sobie, zpowodu braku mężczyzn. Ale Panu to się jednak nie uda. Zresztą, jak to się mówi, dla chcącego nic trudnego, a że Pan chce, w to wcale nie wątpię. Ja także chcę, ha, ha, ha. Niech Pan to tylko zrobi jak najprędzej, by się do mnie dostać. Już to samo, gdy się Panu uda, warte jest zainteresowania. Zobaczymy, ale radzę być ostrożnym. Mojej dozorczyni nie bardzo się obawiam; mam ją w ręku. Kilka razy wyniosła do domu słoninę, którą ja skradlam i jej „odpaliłam". Nawet wódkę mi raz przyniosła. Najlepiej jednak być ostrożnym. Oczekuję Pana jak najprędzej i przyjmę Pana z otwartemi ramionami..."

„Kobiety, kobiety", — pomyślałem, czytając ten list. Wszystkiego spodziewałem się, ale nie takiej odpowiedzi.

A może to zasadzka na mnie? Nie, to niemożliwe, przecież nie jest frajerką. No, zobaczymy. Jeszcze dziś powiem Szoferowi, by mi dorobił wytrychy do piekarni i kuchni. Szofer pracował jako majster na ślusarni, był bowiem wykwalifikowanym ślusarzem. Nie chcial jednak robić wytrychów, póki mu nie objaśniłem, do czego są mi potrzebne. Ślusarnia i stolarnia były na tym samym korytarzu pod wałami, co piekarnia i kuchnia.

Opowiedziałem mu całą tajemniczą historję, że chcę zwiać i dlatego potrzebuję wytrychów. Obiecałem mu, że i on skorzysta, gdy droga będzie gotowa. Szofer nie był tak lekkomyślny, by dorabiał mi klucze do drzwi do prowadzenia romansów, wiedząc, czem to pachnie w więzieniu.

Nie będę tu długo opowiadał o dalszych grypsach, jakie między mną i Adelą kursowały. Dość, że udało mi się w zupełności osiągnąć pożądany cel. Adela stała się w więzieniu moją kochanką...

Trwało to parę tygodni. Stasiek i Maniek po czułem pożegnaniu ze mną zostali już dawno zwolnieni. Myślalem już teraz więcej o ucieczce, niż o Adeli. Zaufanie mego dozorcy i władzy osiągnąłem już znaczne; sam pan inspektor gospodarczy był ze mnie zadowolony. Chodziłem mimo dużego wyroku po calem więzieniu bez zbytniego nadzoru. Gdy na piekarni było mało roboty, udawałem się pod wały i prowadziłem rej między więźniami. Każdy z więźniów uważał to sobie za zaszczyt, że z nim rozmawiałem. Pomyśleć tylko: rozmowa z samym piekarzem! Musiało to imponować głodnemu więźniowi.

Pewnego dnia po pięciotygodniowem niewidzeniu się z Elcią, zawezwano mnie na widzenie. Elcia była zmieniona nie do poznania. Zmizerniała, twarz miała pokrytą podejrzaną bladością, oczy świeciły chorobliwym blaskiem. Gdy mnie ujrzała, wybuchnęła łkaniem. Patrzałem na nią chwilę, niezdolny słowa wyrzec. Czułem się winny wobec niej i to mnie bardzo bolało.

— Elciu droga, — zapytałem, — co się stało, powiedz, powiedz, — nalegałem tym razem szczerze błagalnym głosem.

Elcia otarła oczy, jakby jej coś przeszkadzało mnie widzieć i odparła:

— O ja nieszczęśliwa, co ja teraz ze sobą pocznę! Wydalono mnie z pracy za to, że chodzę do złodzieja do więzienia. Nie wiem kto o tem doniósł. Zapewne ta twoja fryzjerka to zrobiła. Skąd ja dla ciebie teraz wezmę pieniędzy, by cię wyratować z więzienia? Boże, Boże, — załamała ręce, uderzając w płacz.

Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie, jakiego bólu doznałem; nie mogłem się do niej zbliżyć, aby ją uspokoić. Szarpałem z całej siły kraty dzielące mnie od dziewczyny, ale cóż? Zdałem sobie sprawę gdzie jestem i dałem spokój złości, która wzbierała we mnie. Łagodnie już zawołałem:

— Elciu, Elciu, opamiętaj się. Narzekanie i lamenty na nic się nie zdadzą. Nasze piętnaście minut rozmowy już się kończy. Szkoda czasu. Rozdzielą nas zaraz, więc błagam cię, wysłuchaj, co ci powiem.

Elcia opanowała się powoli i swoje wielkie smutne oczy utopiła we mnie.

— Kochana! Zapamiętaj sobie moje ostatnie słowo. Jeszcze dziś jedź do domu i nie wałęsaj się w podejrzanych miejscach. Jak wywnioskowałem z rozmowy z tobą, starają się ciebie tam wciągnąć. Uciekaj od bagna występku, które wyciąga do ciebie swe ramiona i nie patrz na mnie. Ja sobie poradzę, nie martw się o mnie. Powiem ci prawdę. Ja jestem już trupem, a trupy nie wracają. Nie wmawiaj sobie wcale, że apelacja mnie zwolni. Chcę i muszę raz na zawsze otworzyć ci oczy, abyś nie miała błędnego mniemania o mnie. Jestem zgubiony dla ciebie i dla świata raz na zawsze. Czuję to, że stąd nie wyjdę. Czerwoniak będzie moim grobem. Więc poco i naco ma przy mnie cierpieć niewinna dusza, jaką ty masz? Choćbym nawet kiedyś cudem odzyskał wolność, (miałem na myśli ucieczkę), to i tak nie jestem dla ciebie. Pójdę znów do świata i ludzi, do których należę, a którymi ty gardzisz. Stanę się jeszcze większym zbrodniarzem. Zemszczę się za to, że dali mi tyle lat więzienia, na które nie zasłużyłem. Ty jesteś młoda, piękna, możesz być jeszcze szczęśliwa, czego ci z całej duszy życzę. Czas zrobi swoje i zapomnisz o podłym zbrodniarzu, który cię wprowadził na drogę zguby.

— Wychodzić, wychodzić, koniec widzenia, — rozległo

się wołanie starszego dozorcy, który stał pośrodku sali roz=mów i podsłuchiwał rozmowy więźniów.

Elcia chciała coś jeszcze powiedzieć, jednakże nie zdążyła, gdyż kazano mi natychmiast odejść. Dorzuciłem tylko na pożegnanie :

— Pamiętaj, nie przynoś mi nic i nie przychodź do mnie, bo nie przyjmę. Jedź do domu. Pamiętaj i żegnaj...

Posłałem jej ręką ostatni pocałunek, łzy rzuciły mi się do oczu i wyniosłem się, słysząc jeszcze, jak rozpaczliwie woła=ła mnie po imieniu.

W ciągu następnych dni byłem bardzo smutny. Żal mi było, że już jej nigdy nie zobaczę, ale postanowiłem to uczy=nić dla jej dobra, choćby nadal przychodziła do mnie.

Teraz alfą i omegą mojego życia była ucieczka. Miałem już nawet potrzebne mi narzędzia i wytrychy. Ucieczkę mie=liśmy zrobić zaraz nad ranem, gdy będzie silny deszcz i wiatr. Wtajemniczeni byli: jeden stolarz, znany mi złodziej, który także miał sześć lat więzienia, Szofer — mój wspólnik — i jeszcze jeden ślusarz, którego czekało kilka spraw i do=żywotnie więzienie. Jeden tylko pomocnik mój nie wiedział nic o ucieczce. Tak mi się przynajmniej zdawało.

X.

Elcia nie posłuchała mnie. Nietylko nie przestała przycho=dzić do mnie, ale nawet przynosiła mi jeszcze lepsze wałów=ki, niż przedtem. Zawołano mnie też pewnego razu na wi=dzenie. Nie chcialem do niej wychodzić, jednakże gdy do=zorca opowiedział mi, jak ona płacze z tego powodu, po=szedłem.

Starałem się przywitać ją chłodno i obojętnie.

— Co? Znów przyszłaś? Kto cię o to prosił? Dlaczego nie jedziesz do domu? Skąd ty bierzesz tyle pieniędzy na takie drogie wałówki dla mnie? — dodałem podejrzliwie.

Elcia zarumieniła się i nieśmiało odparła:

— Mam znów posadę. Zostałam służącą, aby tobie było lepiej i żebyś nie musial głodować w więzieniu.

— Tyś została służącą? Może jeszcze służącą do wszyst=

kiego? — rzekłem z ironją. — Kto cię o to prosił? Mówię ci po raz ostatni, masz jechać do domu. Ja cię znać nie chcę.

Wybiegłem ze złością z sali widzeń, jednakże w połowie drogi zawróciłem.

Elcia stała jeszcze na tem samem miejscu, jakby nieprzytomna, i gdy mnie zobaczyła, zawołała radośnie:

— Przecież ty mnie kochasz, dlaczego odpędzasz mnie od siebie? Ja cię nigdy nie opuszczę, wszystko jedno co będziesz robił. Moje miejsce jest przy tobie.

— Właśnie dlatego, że cię kocham, musisz przestać przychodzić do mnie. Przysięgam, że to jest ostatnia nasza rozmowa i że nic więcej nie przyjmę.

— Drogi! — wybuchnęla płaczem. — Czem ja zawiniłam, że mnie odpychasz od siebie? Dlaczego jesteś taki niedobry!

— Nie chcę nic wiedzieć. Masz jechać do domu. To jest moje ostatnie życzenie! — zawołałem stanowczym tonem.

Wtem znów nas rozłączono. Tym razem pożegnanie moje było zimne. Wszelkiemi sposobami starałem się zrazić ją do siebie. Nic to wszystko nie pomogło. Elcia przychodziła jak dawniej .

Chcąc, nie chcąc, widząc jej przywiązanie do mnie, przyjmowałem wszystko i nadal chodziłem na widzenia.

Życie teraz w więzieniu było marne. Głód czuło się codziennie. Naczelnik więzienia, widocznie obawiając się buntu, głaskał więźniów od czasu do czasu w oryginalny sposób. W niedzielę, gdy było ładnie na dworze, rozkazywał wypuszczać wszystkich więźniów na obszerny dziedziniec więzienia. Rozstawiał uzbrojonych dozorców po rogach podwórza, a sam z pomocnikami siadał pośrodku między więźniami i rozkazywał, co więźniowie mają robić.

Jeden z dozorców grał na harmonji, a więźniom, którzy mieli jeszcze siły, by ruszać nogami, kazał tańczyć z aresztantkami. Urządzał także walki zapaśnicze, wybierając najsilniejszych i dobrze wyglądających, wygimnastykowanych więźniów. Mnie wybrał także, abym brał udział w walce francuskiej z najsilniejszym z więźniów. Zbierałem laury, gdyż nikt nie mógł mnie pokonać. Adela patrzała, zachęcając mnie do walki. Gdy sobie to dziś przypominam, śmiać

mi się chce, tak komicznie wyglądał ten taniec głodnych więźniów z głodnemi aresztantkami. Tańczyła bieda z nędzą, bo pan naczelnik chciał się zabawić. Nawet dzwoneczek trzymał w ręku i dawał znaki co do prawidłowości walki.

Po skończeniu zabawy, która trwała od godziny dziesiątej do drugiej, rozdawano obiad na podwórzu i każdy z więźniów otrzymywał dodatkową półfuntową porcję chleba.

Głupsi więźniowie wychwalali ten postępek naczelnika. Mądrzejsi zaś rozumieli, że robi to z głupiej fantazji i z próżności rosyjskiego oficera, którym był kiedyś. Naczelnikowi wcale nie przychodziło na myśl, że ryzykuje życie swoje i dozorców, wypuszczając przeszło pięciuset głodnych więźniów, między którymi było kilku skazanych na śmierć. Uzbrojenie dozorców ułatwiłoby tylko sytuację.

Spisek taki, by rozbroić dozorców i uciec, uknuto zresztą wówczas. Tylko dzięki pewnym okolicznościom, o których nie mogę mówić, napad nie został wykonany. Zaręczam, że ów spisek miał wtedy miejsce, i powiem nawet, że ja sam byłem w to wtajemniczony. Podano nam nawet dwa rewolwery i sto nabojów z wolności. Jakim sposobem zostało to zrobione — musi nadal pozostać tajemnicą.

Zaznaczam też, że na początku po rozbrojeniu Niemców i przez cały rok 1919, a nawet i później w więzieniach panował wielki chaos. Służba nie była dobrana ani też zorganizowana jak należy. Nazlatywało się do więzień na urzędników ludzi zupełnie nieodpowiednich na wychowawców, a nawet prosto od pługa; nieraz zajmowali oni w więzieniach poważne stanowiska. Dziś już tego o więziennictwie powiedzieć nie można.

Pewnego dnia zawezwano mnie do kancelarji więziennej, gdzie mnie i Szoferowi oznajmiono:

— Sąd apelacyjny w Warszawie postanowił wyrok sześciu lat ciężkiego więzienia dla was zatwierdzić. Aresztu od wyroku sądu okręgowego do apelacji nie zaliczono wam. Wyrok wchodzi w moc od dnia 25 sierpnia 1919 roku i t. d.

Spojrzeliśmy na siebie, a w spojrzeniu naszem dobry psycholog wyczytałby jakąś stanowczą decyzję.

Uciekać, uciekać, — pomyśleliśmy obaj równocześnie, —

choćby przyszło dokonać tego za cenę życia! Od tego dnia zacząłem tem gorliwiej obmyślać szczegóły i plany ucieczki. Wszystkie rzeczy potrzebne do ucieczki nasza wtajemniczona czwórka już posiadała. Ja naszykowalem sobie już nawet cywilne ubranie, składające się z pary chłopskich spodni, marynarki i czapki. Jedyną rzeczą, której nam brakowalo, a bez której według naszego planu nie można było zacząć, był klucz od drugiej piekarni, która prowadziła na oddział kobiecy. Dozorczyni zawsze przechodziła z kuchni na oddział kobiecy przez piekarnię. Starałem się niepostrzeżenie podczas rozmowy z nią dobrze przypatrzeć się kluczowi od drzwi, na których mi tak bardzo zależało. Nigdy jednak nię udawało mi się uchwycić kroju klucza, ani tego, wiele posiada wcięć.

Mogłem coprawda zniszczyć zupełnie zamek, ale liczyłem się z tem, że po pierwsze trzebaby było narobić hałasu, a nad ranem zwykle panuje w więzieniu śmiertelna cisza; ktoś mógłby usłyszeć. Po drugie mógł akurat ktoś nadejść z dozorców i zauważyć, że zamek jest uszkodzony. Nic nie było lepszego, jak odemknąć dorobionym kluczem i zaraz zamknąć tak, by nie pozostawić za sobą śladów.

Parę dni walczyłem z sobą, czy nie wtajemniczyć także Adeli. Ona jedna mogłaby mi dać odcisk klucza, a reszty dokona już Szofer. Wątpiłem tylko, czy ona się na to zgodzi, wiedząc, że gdy nam się nie uda, ona może wpaść.

Adela była już dawno po wyroku. Kochanek jej dostał 15 lat ciężkiego więzienia, ale nie odsiadywał ich: dwa dni po sprawie zwolniono go. Na złość sędziemu wolał przenieść się na cmentarz, gdzie został pochowany w ziemi, — w tej samej ziemi, do której najporządniejszy człowiek wrócić musi. Ona dostała tylko rok więzienia, a siostra jej cztery lata. To też spodziewając się wkrótce wolności — gdyż i śledztwo jej zaliczono — nigdy się na to nie zgodzi.

Jednakże po dłuższym namyśle wtajemniczyłem ją. Zdziwiłem się bardzo, że po wysłuchaniu mnie odparła:

— Wszystko gotowa teraz jestem zrobić dla ciebie, abyś ty tylko odzyskał wolność. Rozkazuj, a wszystko zrobię, choćby to pachniało kilkuletniem więzieniem. Ja za miesiąc i tak będę zwolniona. Gwiżdżę na nich. Co mogą mi zro-

bić? Daj mi tylko słowo złodziejskie, że się na wolności spotkamy. Jeśli nie dotrzymasz słowa, to wiesz, że potrafię się zemścić!

Przy ostatnich słowach oczy jej błyszczały jak u tygrysicy. Dreszcz przeszedł mnie po calem ciele.

Po zapewnieniu, że słowa dotrzymam, rozeszliśmy się. Rozmowa ta odbyła się w czasie jednej z nocnych wizyt na kuchni, o których wyżej wspominałem.

Na drugi dzień po tej tak ważnej dla mnie rozmowie Adela wręczyła mi odcisk klucza na mydle.

Wszystko było gotowe do ucieczki i dobrze obmyślone. Tak mnie się przynajmniej zdawało.

Ucieczka miała być wykonana w sposób następujący:

W umówiony między wtajemniczonymi dzień ucieczki ja miałem przyjść na piekarnię o czwartej w nocy, pod pretekstem, jak zawsze, że kwas postawiony zepsuje mi się i że trzeba wyrobić ciasto. O godzinie piątej nad ranem, kiedy więźniowie przechodzą przez korytarz kuchenny po śniadanie dla oddziałów, wspólnicy ucieczki mieli przybiec także, nibyto po śniadanie. Udałoby im się z pewnością wydostać z cel, gdyż korytarzowy zawsze wskazywał dozorcy, kogo ma wypuścić, do pomocy przy dźwiganiu kotłów z kuchni. Motywował to tem, że wybiera silnych więźniów, aby nie rozlewali po korytarzach i schodach zawartości kotła.

Korytarzowy, jako swój chłopak, miał to dla nas zrobić. W więzieniu zawsze „swój chłopak" dostaje się na tę odpowiedzialną i korzystną funkcję; frajera się nie dopuszcza. Jak już wyżej zaznaczyłem, wszelkie kombinacje w więzieniu załatwia się przez nich.

Ja już miałem mieć wszystko gotowe, tylko czekać aż się ukażą na korytarzu, gdzie nawet w dzień było ciemno. Gdy przyjdą, miałem odemknąć drzwi piekarni i wpuścić kolegów; następnie drzwi miałem zamknąć zpowrotem i otworzyć podrobionym kluczem drzwi żelazne prowadzące z piekarni na oddział kobiecy. Następnie mieliśmy się przedostać do kotłowni centralnego ogrzewania gmachu kobiecego. Tam, pod wałami tego gmachu nikogo nie było. Stąd mieliśmy przejść do składu węgla, gdzie przez małe żelazne okienko wrzucano węgiel z podwórza. Po przepiłowaniu

zamka od wewnątrz mieliśmy otworzyć okienko i po jednemu wyłazić prosto na podwórze; a stamtąd było już tylko parę kroków do parkanu, — a potem, potem wolność...

Drabinkę do przedostania się przez mur miała zastąpić długa deska której używałem pod chleb. Wszystko to razem miało trwać nie więcej jak 5—10 minut. Za parkanem, który wychodził na puste pola, miał być Maniek z końmi; umówiłem się z nim tajemnym znakiem, kiedy ma przybyć na oznaczone miejsce.

XI.

Nadszedł ten szczęśliwy dzień. O godzinie czwartej nad ranem ubrałem się i spuściłem klapę w drzwiach. Jest to rodzaj dzwonka przy każdej celi. Po chwili przybył dozorca.

— O co chodzi? — zapytał.

Serce we mnie drgnęło. Wyczułem jakąś groźną nutę w tych dwu słowach dozorcy. Dawniej bowiem ten sam dozorca wypuszczał mnie z celi bez pytania. Wiedział dobrze, kto tu śpi pod numerem 132 i dokąd tak rano się udaję.

Po chwili odparłem:

— Proszę mnie wypuścić na piekarnię. To ja, panie starszy.

— Co za ja? Kładź się spać. Niema teraz żadnej piekarni.

„Jestem zgubiony" — przebiegło mi przez głowę. Próbowałem jeszcze raz prosić:

— Panie starszy, kwas się zepsuje. Muszę ciasto robić i w piecu zapalić. Przecież nie pierwszy raz chodzę, panie starszy.

Nic nie odpowiedział, mruknął tylko coś niezrozumiałego pod nosem, poprawił dzwonek i oddalił się.

Jestem zgubiony, jestem zgubiony. Począłem sobie gryźć palce, bić głową o ścianę, rwać włosy z głowy. Wtem ktoś pod samemi drzwiami zachichotał. To dozorca, o którym myślałem, że odszedł, stal za drzwiami i przez judasza przypatrywał się mojej rozpaczy. Jak później sam opowiadał, udawał tylko, że odchodzi od celi.

Wreszcie dano sygnał do wstawania. Gdy tylko dozorca

— już inny — otworzył drzwi, próbowałem wydostać się z celi. Przemyślałem to wszystko i doszedłem do przekonania, że nic jeszcze takiego nie zaszło. Tylko przez zbieg okoliczności lub kaprys dozorca nie chciał mnie wypuścić na piekarnię. Starałem się wmówić to sobie, a zarazem uczucie strachu, że wszystko się wydało, nie opuszczało mnie.

Dozorca, widząc, że chcę wyjść z celi, zagadnął:

— Dokąd to zmierzacie?

— Na piekarnię, proszę pana, — odparłem śmiało.

— Ja tam nic nie wiem. Marsz do celi. Niech przyjdzie wasz gospodarz. Ja nie puszczę.

Zamknął mi drzwi pod samym nosem i oddalił się.

„A więc wszystko przepadło" — pomyślałem. Nadsłuchiwałem przy drzwiach, czy mnie nie wołają: Nie wierzyłem jeszcze, że coś zaszło. Wtem usłyszałem glos znajomego, „blatnego" dozorcy za drzwiami.

Nie namyślając się dugo, spuściłem dzwonek. Dozorca natychmiast odemknął drzwi.

— Co powiecie dobrego

— Proszę mnie puścić na piekarnię.

— Tak późno? — zapytał zdziwiony.

— Zaspałem trochę. Gospodarz już będzie na mnie krzyczał, — kłamałem, udając pewnego siebie.

— Jazda!

Wyskoczyłem z celi. Ten sam dozorca otworzył mi najpierw pierwszą kratę, potem drugą i podążyłem nadół do korytarza piekarni i kuchni.

Zajrzałem ciekawie przez szybę drzwi do piekarni; jakże się zdziwiłem, widząc, że mój pomocnik już tam jest! Nigdy się nie zdarzało, by go puszczono przedemną.

— Chodźno tu. Dawno już jesteś? — zapytałem podejrzliwym tonem.

Pomocnik nie ruszył się z miejsca. Udawał, że mnie nie widzi i nic nie słyszy. Wbiegłem zdenerwowany do kuchni.

— Proszę pani, — rzekłem do dozorczyni. — Niech mnie pani wpuści do piekarni.

— Ja nie puszczę. Niech przyjdzie gospodarz, to was wpuści.

Spojrzałem niepostrzeżenie na Adelę. Dawała mi jakieś

tajemnicze znaki, z których nic nie mogłem zrozumieć. Z jednego tylko zdałem sobie sprawę, że stało się nieszczęście.

Nie zdążyłem wyjść z kuchni, gdy przybiegł mój gospodarz.

— Co wy tu robicie? Kto was tu sprowadził? Marsz, psiakrew do celi!

— Co się stało, panie starszy, ja o niczem nie wiem.

— Jazda, jazda, dowiesz się, ptaszku. Tak mi się odwdzięczasz, że cię wyciągnąłem z pojedynki do pracy! Zgnijesz teraz w celi.

Próbowałem oponować.

— Panie starszy, proszę mi powiedzieć, w czem ja zawiniłem? Może tu zaszło jakieś nieporozumienie.

— Jazda, jazda, — pchnął mnie z taką złością, że o mało sam się nie przewrócił. Wymyślał mi do samej celi, poczem trzasnął drzwiami, zamykając mnie samego.

Czytelnik wyobrazi sobie moją rozpacz. Tak blisko byłem ukochanej wolności! Teraz dopiero zrozumiałem wszystko. Pomocnika mojego trzymałem krótko; nie pozwalałem mu romansować z Adelą ani z innemi kobietami, udawałem przed nim, że mnie kobiety zupełnie nie obchodzą. Tłumaczyłem mu, że dla nas niebezpiecznie jest romansować z temi kobietami, gdyż możemy przez nie stracić pracę.

Teraz zmiarkowałem, że pomocnik „zakapował" mnie, ale jak i co — nie wiedziałem. Byłem pewny, że o ucieczce nic nie wiedział. Pozostał tylko romans z Adelą, o który mógł mnie podejrzewać i pewnie o tem doniósł władzy.

Wtem drzwi odemknęły się.

— Proszę za mną do kancelarji.

Zadrżałem. Postanowiłem nie przyznawać się do niczego.

Stanąłem przed inspektorem policyjnym. Ten przyglądał mi się dobrą chwilę, potem uśmiechnął się zjadliwie i wskazując palcem na stół, zapytał:

— Co to jest?

— Klucze, panie inspektorze.

— Czy wiecie, do czego służą?

— Do otwierania drzwi, — odparłem głupkowato.

— A czyje są te klucze? — zagadnął inspektor podsuwając mi cały pęk kluczy przed nos.

— Skąd ja mogę wiedzieć? Każdy dozorca ma podobne klucze.

— Więc nie wiecie, czyje to są klucze. Dobrze, zaraz zobaczymy. Kalina! Kalina! — zawołał inspektor.

Po chwili zjawił się ów Kalina, który stał w drugim pokoju. Przez chwilę mierzyliśmy się oczyma.

— No, teraz mi chyba powiecie, czyje to są klucze.

— Nie wiem nic o żadnych kluczach. Co mnie tam klucze obchodzą, — odparłem wyzywająco.

— Kalina, czyje to są klucze?

Kalina wskazał na mnie i jak każdy zdrajca przy konfrontacji, zarumienił się, poczem rzekł do mnie:

— Tak, klucze są twoje. Trzymałeś je schowane w piecu pod cegłą. Cóżeś ty myślał, że ja taki frajer? Ja wszystko wiem. Chciałeś ucieczkę zrobić. Chodziłeś pokryjomu do kucharek, a mnie nie dawałeś nawet spojrzeć na nie. Ja mam tylko jeszcze trzy miesiące i nie chcę cierpieć przez ciebie. Gdybyś uciekł, pociągniętoby mnie do śledztwa, że z tobą pracowałem i o wszystkiem muszę wiedzieć. Dlatego też dłużej cierpieć nie chciałem.

Zrobiłem krok w stronę zdrajcy. Ten cofnął się wtył. Inspektor zmiarkował mój zamiar i kazał Kalinę odprowadzić na piekarnię.

Potem znów wziął mnie w krzyżowy ogień pytań.

— Radzę wam lepiej się przyznać. Dowody mam w ręku. Jeśli będziecie się zapierać, będzie gorzej z wami. No, kto jeszcze razem z wami miał bryknąć?

— Nic nie wiem. Żadnych kluczy nie miałem. Może jeszcze za Rosji jakiś więzień schował te klucze w piecu. Kalina jest zły na mnie, że trzymałem porządek i zabroniłem mu chodzić do kobiet na kuchnię. Chce mnie wygryźć i sam zostać majstrem.

— Tylko nie bujaj, — zawołał ze złością inspektor. — Powiedz prawdę. Umiem znaleźć sposoby na takich gości, by mówili prawdę. Więc kto był amatorem do ucieczki z wami? Pytam po raz drugi i ostatni!

— Nic nie wiem, — odparłem stanowczym tonem, — i nic nie powiem.

— Do karcu tego łajdaka! — krzyknął na cały głos in-

spektor, pieniąc się ze złości. — Będziesz mi śpiewał, jak kanarek, zbrodniarzu. „U mienia budiesz ty tisze wody i niże trawy", — zakończył, grożąc mi przytem palcem.

Starszy dozorca rozkazał mi iść przodem. Po paru minutach zostałem wepchnięty do ciemnego, ciasnego trójkątnego karceru. Doznałem wrażenia, jakby złożono mnie do trumny. Duszno mi było tak, że cały zlany byłem potem. Oddychalem zatrutem powietrzem. Serce zaczęło bić nienormalnie. Głowa ciążyła, nogi uginały się pode mną. Myślałem, że lada chwila się uduszę. Począłem z całych sił rękami i nogami walić w drzwi i wołać o ratunek.

Zjawił się zaraz inspektor, który zapewne cały czas stał za drzwiami. Zapytał mnie przez judasza, nie otwierając drzwi:

— No i co? Źle tam siedzieć? Będę was tak długo tu trzymał, aż nie powiecie prawdy i nie wydacie wszystkich wspólników.

Nic nie odpowiedziałem, tylko zbierając resztę sił waliłem w drzwi.

Ale nikt nie śpieszył mi na ratunek. Inspektor odszedł dorzucając:

— Wołaj Pana Boga, też ci nic nie pomoże. Ja cię dopóty nie wypuszczę, póki nie dowiem się całej prawdy.

Upadłem na asfalt skurczony we dwoje. Cela była tak wąska, że można w niej było tylko siedzieć. Przyłożyłem głowę do zimnego asfaltu podłogi, wciągając przez malutką szparkę drzwi powietrze. Oddychałem ciężko i w takiej pozycji, skulony, zgnębiony do ostatka, przetrwałem do wieczora.

XII.

Zawezwano mnie i postawiono znów przed moim inkwizytorem.

Idąc, wchłaniałem w siebie powietrze, dużo powietrza, jakbym chciał zapas powietrza zabrać do mojego grobu, do którego wiedziałem zgóry, że powrócę.

— Jakże tam było siedzieć? — drwił inspektor. — Lepiej, niż z Adelą na kuchni, co?

— Wiadomo, że z Adelą lepiej było, jak w karcu, — odparłem zuchwale.

— Milczeć! — ryknął inspektor. — Zgnoję was tutaj. Tak długo będziecie siedzieć w lochu, aż sami poprosicie, że chcecie mówić prawdę.

— Za długo musiałby pan czekać. Ja jestem niewinny, i choćby mi przyszło umrzeć w lochu, nie przyznam się do tego, czego nie popełniłem.

Wymówiłem to zdecydowanym tonem, tak że groźny sędzia zmiękł i zaczął z innej beczki.

— Słuchajcie, ja chcę i pragnę tylko waszego dobra. Poco i naco ciągle myśleć o ucieczce? Przecież w stosunku do innych nie macie wcale tak dużego wyroku. Dostaliście już amnestję na jedną trzecią, pozostało wam tylko niecałe cztery lata. Druga amnestja już się robi i mogą wam darować wszystko. Mnie idzie tylko o tamtych wspólników ucieczki. Ja wiem i domyślam się, kto do tego należał, i takby się wam nie udało. Ja wam nic złego nie zrobię. Powiedzcie tylko, jakim sposobem ucieczka miała być dokonana. Mnie tylko to interesuje, — dodał z naciskiem.

Dowiedziałem się też w toku rozmowy, że Adela również została zamknięta do pojedyńczej celi. Inspektor dal mi lekko do zrozumienia, że ona wszystko wydała. Zmiarkowałem odrazu jego taktykę. Mówił to umyślnie, by wzbudzić we mnie złość na Adelę, — wtedy zacznę na nią wszystko walić. Omylił się, nie trafił na takiego frajera, za jakiego — jak wywnioskowałem — mnie uważał.

— Panie inspektorze. Niech pan robi ze mną co pan chce. Może mnie pan nawet powiesić, ale nie powiem, bo nie wiem.

Zakończyłem napół głupkowato. Wtem wszedł urzędnik z administracji, który za Niemców był tu dozorcą, a teraz zaawansował na asystenta inspektora, i zawołał:

— Panie inspektorze, to stary lis! Znam go dobrze, — mówił, wskazując palcem na mnie. — Od niego pan się po dobremu niczego nie dowie. Niech pan go odda mnie. U mnie będzie śpiewał jak kanarek.

— Dziękuję panu za radę. Taki z pana majster? Proszę mi nie przeszkadzać. Ja sam wiem, co robię, — dorzucił z naciskiem.

Asystent zarumienił się i jak oparzony wyniósł się z gabinetu inspektora. Ten ze złością i pewnym wstrętem splunął za nim kilka razy. Patrzył na mnie teraz zupełnie inaczej, niż poprzednio. Twarz jego wypogodziła się nie do poznania. Zdawało mi się, że mi współczuje. Zamyślił się, patrząc w jakiś raport. Poznałem charakter pisma gospodarza.

Po chwili zgniótł papier, rzucił go do kosza i zwrócił się do mnie:

— Żal mi was doprawdy. Przeglądając wasze akty dowiedziałem się, że pochodzicie z dobrej rodziny. Nie jesteście urodzonym zbrodniarzem, jak inni. Musiały być jakieś okoliczności, które was pchnęły na drogę występku. Rozumiem was dobrze. Byłem także w niewoli i wiem, co to walka o wolność. Widzę, że jesteście inteligentnym chłopcem, więc zrozumiecie zapewne, że kara musi być. Mojem zdaniem trzeba znieść cierpliwie karę, na którą się zasłużyło. Siedzieć cierpliwie; myśleć o poprawie, a nie o ucieczce. Wiem i mam na to dowody, że klucze są wasze. Wiem nawet, kto je na kuźni dorobił. Wiem jeszcze więcej, niż wam się wydaje, ale mniejsza o to. Mówię wam to wszystko nie dlatego, że czyham na waszą zgubę. Wcale nie. Dobrze was rozumiem. Więzień jest od tego, żeby uciekał, a administracja od tego, by nie dawała mu uciekać. Więc nie tyle wy zasłużyliście na karę, ile my sami, że do tego doszło. W więzieniu, gdzie żaden krok więźnia nie powinien być bez dozoru zwierzchnika, potrafiliście postarać się o to wszystko, a nikt tego nie zauważył. Tylko dzięki mojej czujności i dzięki pewnej waszej omyłce wykryłem wszystko, uniemożliwiając wam ucieczkę. — Tu zamyślił się i dodał: — Kto wie, czy uszłoby to wam bez przelewu krwi. Odpowiedzialność spadłaby wtedy na moją głowę...

— Mówię do was w tej chwili, — ciągnął dalej, bębniąc nerwowo palcami po stole, — nie jako inspektor policyjny, ale jako człowiek. Człowiek, który widział w życiu niejedną podłość ludzką. O, ja znam życie i jego ciernie. Nie z jednego pieca chleb jadłem, — mówił w zadumie, poczem jakby się nad czemś zastanawiał przez chwilę i z pewnem wahaniem, ciągnął dalej:

— Stanowisko, jakie teraz zajmuję, jest dla mnie wstrętne.

Tylko życie zmusza mnie narazie pozostawać przy tem. Tu trzeba być bez serca, trzeba być twardym jak stal, nieczu≠łym na ludzkie cierpienia. Przecież i przestępcy należą do społeczeństwa i są ludźmi, jak i ja. Nie chcę i nie mogę być katem ludzi nieszczęśliwych, jakimi wy jesteście.

Łza, którą ledwie zauważyłem, zawisła mu na policzku. Mnie także oczy zwilgotniały. On udawał, że tego nie wi≠dzi i ciągnął dalej:

— Powiedzcie mi prawdę, co wyście o mnie myśleli, gdy was zamknąłem do lochu? Do lochu, w którym ja sam nie wytrzymałbym pięciu minut! Przeklinaliście zapewne mnie i całą moją rodzinę, ludzi i Boga, że was stworzył. Wiem to i rozumiem, o czem w takich chwilach człowiek myśli. Po≠wiem wam jeszcze coś, w co zapewne nie uwierzycie. Gdy wpakowałem was do tego grobu, stałem pod drzwiami i mo≠że więcej cierpiałem od was. Udawałem jednak nielitości≠wego, skamieniałego. Zapytawszy was, czy się przyznajecie, odszedłem do kancelarji, grając rolę inkwizytora. Jednakże cały dzień nie miałem spokoju. Przy obiedzie żona zauwa≠żyła moje zdenerwowanie. Chcąc sobie ulżyć, opowiedzia≠łem jej wszystko, starając się przedstawić was w jak najgor≠szem świetle, aby pochwaliła mój postępek. Żona jednak bez słowa oddaliła się ode mnie i na głos się rozpłakała. Wybie≠głem z domu do kancelarji, zamknąłem się w swoim gabi≠necie. Wyrzuty sumienia wzrastały z każdą chwilą. Stara≠łem się upominać siebie, że inspektor i to inspektor policyj≠ny, nie powinien mieć babskiego serca. Wszystko było da≠remne, nie wytrzymałem i kazałem was tu przyprowadzić.

— Myślę, że po tem wszystkiem, co wam teraz powie≠działem, zasłużyłem na wasze zaufanie i będziecie ze mną te≠raz rozmawiać nie jak więzień z inspektorem, tylko jak czło≠wiek z człowiekiem, — zakończył swoją długą przemowę.

Podczas całego wyznania i wywodów doznawałem róż≠nych uczuć. Na początku myślałem sobie: Mądry i cwany lis. Nabiera mnie, ale ja się nie dam, postanowiłem w duchu. Później zaś mimowoli zacząłem nabierać zaufania tak, że o mało nie rozbeczałem się nagłos. Przy końcu zaś wydało mi się, że trochę już za dużo udaje dobrego. Zacząłem na≠nowo podejrzewać, że do mnie podchodzi okrężną drogą

i dąży do jakiegoś celu. Podejrzliwość moja wzrosła do tego stopnia, że chcialem mu przerwać i powiedzieć otwarcie: poco pan sobie zadaje tyle trudu, nic z tego i tak nie będzie. On zaś, widząc moje wahanie, dodał:

— Widzę, że się omyliłem. Myślałem, że poznacie się na mnie i będziecie ze mną szczerzy. Dlatego też powiem wam: nie chcę już, byście mi opowiadali, kto miał z wami uciekać. Tem bardziej szanuję was, że nie jesteście zdrajcą. Bardzo mi się to podoba. Jako inspektor policji muszę korzystać ze zdrady, ale zdrajców nie lubię. Nic wam złego nie zrobię. Daję wam na to słowo honoru. Ukarać was, sami rozumiecie, że dla pozoru muszę. Ale dajcie mi tylko słowo honoru, złodziejskie słowo honoru, że więcej z tego więzienia nie będziecie planowali ucieczki. Ja wam dam tylko lekką karę i przez jakiś czas nie będę mógł was brać do pracy. Jeśli się będziecie przez ten czas dobrze zachowywać, znów wezmę was na piekarnię. Zrozumiano?

Teraz już nie śmiałem wątpić, aby słowo honoru inspektora nie było szczere; jednakże odparłem:

— Panie inspektorze! Pan jest szlachetnym człowiekiem, o czem przedtem nie wiedziałem. Niech pan inspektor zrobi ze mną, co chce, ale tego słowa honoru, którego pan ode mnie żąda, za żadne skarby dać nie mogę.

Inspektor zerwał się ze swego miejsca i patrzył na mnie zdziwiony.

— Ja z wami tak postępuję, dając wam słowo honoru, a wy mnie nie możecie dać? Omyliłem się co do was, myślałem, że jesteście mądrzejsi, niż się teraz okazuje.

— Panie inspektorze, wierzę panu i wcale nie podejrzewam, że mnie pan podchodzi, ale nie mogę dać panu słowa honoru, że nigdy nie pomyślę o ucieczce. Myśl i nadzieja ucieczki dodają mi sil, aby wytrwać w nędznem życiu więziennem. Gdyby nie to, dawno zakończyłbym samobójstwem. Tak jest, panie inspektorze, tego obiecać nie mogę.

Inspektor zaczął nerwowo spacerować po pokoju, poczem zatrzymał się naprzeciw mnie, i popatrzył na mnie uważnie. Zbliżył się do mnie, prawą ręką ujął mnie za ramię i wzruszonym głosem zawołał:

— Rozumiem, rozumiem, masz rację, nieszczęśliwy chłop-

cze. Więc zrobimy tak, aby wilk był syty i owca cała. Ty daj mi słowo honoru, że w tem więzieniu nie będziesz myślał o ucieczce. Natomiast ja postaram się, by jak najprędzej wysłano cię do innego więzienia. Tam już słowo dane mnie nie obowiązuje. Możecie stamtąd uciekać, jeśli wam się uda. Tu u mnie ja chcę mieć spokój. Dla pozoru rozumiecie, że muszę was ukarać, ale kara będzie bardzo względna. Czy jesteście zadowoleni?

— Tak, panie inspektorze. Daję złodziejskie słowo honoru, że nawet nie sprobuję stąd uciekać, ale proszę jak najprędzej wysłać mnie do innego więzienia.

Kto wie, jak długo rozmawiałby jeszcze ze mną, gdyby nie policjant, który przyprowadził dwu nowych amatorów Czerwoniaka. Rozkazał więc odprowadzić mnie do celi.

XIII.

Zbliżała się jesień. Słońce zaczęło już zupełnie omijać Czerwoniak. W pojedyńczych celach więziennych najgorzej jest zawsze siedzieć jesienią i wiosną. Cztery ściany celi cuchną wtedy wilgocią i specyficznym chłodem więziennym tak, że z człowieka niemal jelita wyciąga. Cieple ubranie wydają dopiero wtedy, gdy mróz gości już nietylko w celi, ale we wszystkich członkach więźnia, przejmując go do szpiku kości. Trafnie już „Jagot" odpowiedział tym, którzy skarżyli się na nagość więźniów: „Więzienie to ubranie z kamieni". Naco więc więźniom cieple ubrania?

Muszę tu zaznaczyć, że w ostatnich latach, t. j. od r. 1927, zaczęto dopiero dbać o to, by więzień miał ciepło w celi. Zaczęto też wydawać długie płaszcze i chłód odczuwano już w mniejszym stopniu niż dawniej. Centralne ogrzewanie, jak się przekonałem, funkcjonuje dobrze jedynie w więzieniu Mokotowskiem; w celach ogólnych zimową porą jest tu tak ciepło, że więźniowie chodzą w koszulach. O innych więzieniach tego już powiedzieć nie można.

Czerwoniak słynie z tego, że nawet latem w pojedyńczych celach jest niezbyt ciepło, a słońce, które jest balsamem dla więźnia, nigdy tu nie zagląda.

Dla takich jak ja, w życiu niema róż ani słońca.

Siedziałem teraz spokojnie w celi. O Adeli zupełnie już nie myślałem. Natomiast myślalem o Elci.

Po ostatniem widzeniu obawiała się już przychodzić do mnie, przynosiła więc tylko wałówki. Gdy i tego nie przyjmowałem, przestała nalegać. Teraz, gdy dowiedziała się, że mnie zamknięto w celi i że cierpię głód, znów zaczęła mi na nowo dostarczać wałówek. Wstyd mi było coprawda je brać, ale czego człowiek nie czyni, gdy żołądek domaga się swojej daniny za wszelką cenę. Co to będzie — jest dla niego zupełnie obojętne.

Kilka razy otrzymałem od niej „grypsanki" dobrze ukryte w chlebie. Chciałem ją pocieszyć, więc odpisywałem na jej gorące listy i wysyłałem te odpowiedzi oryginalnym więziennym sposobem.

Cela moja mieściła się w rogu na trzeciem piętrze lewego skrzydła Czerwoniaka, przy samym parkanie. Ugniatałem z świeżego chleba małą kuleczkę, umieszczając w środku gryps; Elcia w wolnych od pracy chwilach spacerowała tam i zpowrotem za parkanem. W odpowiedniej chwili rzucałem więc przez kratę kuleczkę, a ona podnosiła ją i oddalała się.

Pewnego razu, chcąc jej dać dowód, że ją kocham nad życie, napisałem gryps własną krwią. Skaleczyłem szkłem palec i słomkę wydobytą z siennika maczałem we krwi; tak napisałem list.

Mimo wszystko nie przestałem nalegać, by zerwała ze mną; jednakże nie usłuchała mnie i przychodziła jak dawniej.

Pewnego dnia podczas przechadzki więziennej spacerował ze mną jakiś pan. Ubrany był w żakiet i czarne spodnie, na głowie miał twardy kapelusz. Domyślałem się, że musi to być jakiś uprzywilejowany więzień, którego nie przebrano jeszcze w tradycyjny mundur tego domu.

Przy okazji, gdy dozorca nie widział, zagadnąłem go.

— Kiedy pana przyprowadzili?

— Wczoraj, — odpowiedział, a potem dodał: — Jestem adwokatem.

Popatrzyłem na niego uważnie myśląc: Czyżby i adwokaci już siedzieli w więzieniu?

— Za co pana aresztowali?

— Głupstwo. Długo siedzieć nie będę. Może dzień, może dwa, więcej napewno nie.

W toku rozmowy dowiedziałem się, że znał moją rodzinę. Począł mi opowiadać o spadku po ojcu. Pytał mnie, co myślę zrobić, by otrzymać swoją część spadku.

Chwyciłem się tej myśli, widząc w nim zbawiciela.

— Panie mecenasie! Niech mnie pan ratuje! Oddaję panu tę sprawę, a pan niech się stara, abym miał tu przez te lata co tydzień pomoc materjalną.

— Dobrze, możemy to zrobić, — chwycił się odrazu mojej propozycji. — Zrobimy to w ten sposób: gdy mnie zwolnią, przyjdę tu do was z notarjuszem. Wy odstąpicie mi swoją część spadku, a ja zobowiążę się dostarczać wam pożywienia przez cały czas pobytu tutaj. Pewną sumę wam jeszcze doręczę, gdy was już zwolnią.

Zgodziłem się odrazu. Byłem miał zapewniony wikt, — wszystko inne było mi obojętne; o tem, że może mnie wyzyskać, nie myślalem wcale.

Po dwu dniach na spacerze już go nie było. Wywnioskowalem, że go napewno zwolniono.

Upłynęło parę dni; zawołano mnie do kancelarji więziennej. Jakże się zdziwiłem, gdy spostrzegłem towarzysza spaceru w tym samym żakiecie! Podał mi rękę, przedstawiając mi notarjusza, który siedział z otwartą książką obok niego.

Inspektor policyjny, usłyszawszy o co chodzi, począł kiwać mi nieznacznie głową, dając mi w ten sposób znak, bym tego nie robił. Jednakże ja oczarowany wyglądem pana mecenasa i jego obiecankami, podpisałem umowę.

Pan adwokat zobowiązał się przez cały czas wyroku dostarczać mi — gdziekolwiek będę siedział — piętnaście funtów chleba tygodniowo, dwa funty mięsa, funt masła i funt cukru. Natomiast ja odpisałem mu całą moją część spadku; nie będąc ostatnio przy ojcu, nie znałem jej wartości. Po wyjściu mojem z więzienia, czy to z amnestji czy też po ukończeniu całkowitego wyroku, miał mi dać 2000 rubli w złocie.

Pożegnał się ze mną bardzo czule, obiecując, że mogę być spokojny. Postara się nawet, aby mnie ułaskawiono.

W pięć tygodni po opisanym wypadku, dnia 18—ego li-

stopada 1919 roku wezwano mnie znów do kancelarji więziennej i postawiono mnie przed inspektorem policyjnym. Ten popatrzał na mnie z politowaniem, poczem przemówił:

— No, słowa dotrzymaliście. Dziś o godzinie czwartej po południu zostaniecie wysłani wraz ze wspólnikiem do innego więzienia.

Teraz we mnie zadrżało serce na myśl, że z Elcią rozłączają mnie już raz na zawsze.

— Do jakiego więzienia? — probowałem się dowiedzieć.

— Tego przepisowo powiedzieć wam nie mogę. Jutro będziecie już wiedzieli.

Chciałem go jeszcze o coś zapytać, ale wywnioskowałem, że jest w niedobrym humorze. Kazał mnie też natychmiast odprowadzić do celi.

Po jakiejś pół godzinie przyszedł gospodarz magazynu i zabrał mnie i Szofera ze sobą. Przebrano nas we własne ubrania i oddano w ręce dwu policjantów, którzy już na nas czekali. Skuto nas też razem kajdankami za ręce i tak zaprowadzono na dworzec kolejowy.

Smutno mi się zrobiło na duszy, kiedy wsiadłem do wagonu, a naprzeciwko nas umieścili się policjanci, nie spuszczając z nas oka.

Każdy więzień odczuwa straszny ból i upokorzenie, kiedy zmuszony jest przebywać razem z ludźmi wolnymi. W naszym przedziale było kilku pasażerów cywilnych i jeden wojskowy. Patrzyli na nas z pogardą, jakby oni byli Amerykanami, a my murzynami. Jeden nawet, który rozpoczął rozmowę z policjantami, doradzał im, by nas rzucili pod pociąg.

— Po co tych drani wozić do więzienia, — mówił, — i darmo dawać żreć; a kiedy wyjdą, będą znów rabować. Ja, gdybym był prokuratorem, domagałbym się, by takich żywcem spalono na stosie na placu publicznym, aby tem odstraszyć innych.

Jeden z policjantów zerwał się i rozkazał natychmiast niedoszłemu prokuratorowi wynosić się do drugiego przedziału. Ten jednak nie chciał tego uczynić i w dalszym ciągu wygadywał pod naszym adresem różne obelżywe słowa.

Wojskowy w randze sierżanta siedział cały czas słuchając jego wywodów i nerwowo przebierał palcami po rękojeści

szabli. Ja ze wspólnikiem siedzieliśmy cicho bojąc się nawet oddychać; myśleliśmy, że lada chwila sierżant, podżegany przez tego niedoszłego prokuratora, rzuci się i zamorduje nas. Wtem wojskowy zerwał się i chwycił za kark owego jegomościa; potrząsnął nim parę razy i wypchnął go do drugiego przedziału mówiąc przytem:

— Jesteś pan skończonym chamem i idjotą. Jak pan śmie wobec ludzi i tak już nieszczęśliwych wyszczekiwać, co panu ślina na język przyniesie? Zamknij pan lepiej mordę, bo jak nie, to będę miał zaszczyt powybijać panu własnoręcznie wszystkie zęby.

Przyszły prokurator począł wykrzykiwać pod adresem wojskowego, że ujmuje się za zbrodniarzami, a gdy wojskowy po raz drugi kazał mu się przymknąć, zamilkł zupełnie.

Wojskowy częstował nas konserwami i chlebem. Wspólnik, który był palący, poprosił też o papierosa, którego otrzymał.

Dowiedziałem się także teraz, że jedziemy do Warszawy. Więc do sławnego Mokotowa! — pomyślałem.

Policjanci również dobrze się z nami obchodzili. Wypogodzili dostojne oblicza, gdy otrzymali ode mnie w podarunku ładny portfel do pieniędzy; drugiemu Szofer podarował nową parę skórzanych rękawiczek.

Do Warszawy przyjechaliśmy przed dwunastą w nocy. Od dworca głównego do ziemi obiecanej, był spory kawał drogi. Nogi mnie bolały, a w sercu żal nie do wytrzymania. Znałem przecież dobrze Warszawę; idąc przez Marszałkowską, rozglądałem się po znanych mi miejscach zabaw i rozrywek. Przypomniały mi się dobre czasy; a teraz...

Wreszcie dowlekliśmy się do ulicy Rakowieckiej. Zdaleka widać było czerwone gmachy ponurego Mokotowa. Byłem przykuty do mego towarzysza niedoli i bardzo źle było nam chodzić. Czułem, że ręka mi opuchła. Tak samo towarzysz mój narzekał, że ręka go boli, i stale tylko dopytywał się policjantów, czy daleko jeszcze do więzienia.

Wreszcie zmęczeni i wyczerpani stanęliśmy przy bramie. Policjant zadzwonił kilkakrotnie i furtka wąziutka jak paszcza potwora otworzyła się z hałasem, by połknąć swoją ofiarę.

Formalności załatwiono w ciągu kilku minut. Ci, którzy nas przyprowadzili, spojrzeli na nas jak na straceńców; zadowoleni z siebie, jakby zlikwidowali już ostatniego przestępcę na świecie, pożegnali mury Mokotowa.

XIV.

Zdjęto nam kajdanki i zaprowadzono nas nadół do celi specjalnie przeznaczonej dla nowoprzybyłych.

Było już po północy. Usiedliśmy na żelaznych łóżkach, odpoczywając po ciężkiej podróży. Siedzieliśmy tak w milczeniu dobre pół godziny. Wreszcie odezwałem się pierwszy do towarzysza niedoli.

Muszę tu zaznaczyć, że Szofer był karany po raz pierwszy w życiu, a na „szlak" dostał się jeszcze jako dziecko. Jednakże miał trochę szczęścia, — te sześć lat, to był pierwszy jego wyrok.

— Bracie, czego będziesz rozpaczał, — mówiłem do niego. — Tu będzie nam lepiej niż w Czerwoniaku. Ta cela nie jest stała, jutro nas stąd zabiorą. Posadzą nas w celi ogólnej. Będzie nam wesoło, nie martw się...

Widząc, że nie rusza się wcale, trąciłem go w ramię. Szofer płakał i szlochając odparł:

— Tobie wszędzie będzie dobrze. Masz adwokata, który dostarczy ci pożywienia, — ale ja daleko tu jestem od domu. Żona z dziećmi nie ma z czego żyć. Co było, adwokaci od niej zabrali. Znikąd nie mogę się spodziewać pomocy. A to wszystko przez ciebie! — wybuchnął. — Ucieczki i romansów ci się zachciało. Gdyby nie ty, pracowałbym tam dalej w ślusarni. Jeść i palić miałem co, żona także przychodziła raz na miesiąc, a tu kto do mnie przyjdzie? — zakończył z wyrzutem.

— Uspokój się bracie. Wiesz dobrze, że ja będę się dzielił z tobą ostatnim kawałkiem chleba, jaki otrzymam. Nie rozpaczaj, mówię ci, że tu będzie lepiej niż tam. Słyszałem nieraz od starych „wyjadaczy", że tu jest dużo warsztatów. Ty pójdziesz na ślusarnię, a ja na piekarnię. Musimy sobie pomagać nawzajem, by tu nie „zakitować". A może nam się uda stąd bryknąć? — szepnąłem mu do ucha.

— O tem możesz tu zapomnieć, to nie Czerwoniak, gdzie dozorca jest głupi. Tutaj są warszawskie cwaniaki. Znają się na różnych fortelach złodziejskich lepiej, niż ty.

— Głupstwo! Jakoś tam będzie. Zjemy po kawałku chleba i położymy się „kimać". Chodź, pluń na wszystkie zmartwienia. „Dumał, nie dumał, cariom nie budiesz" — zakończyłem, targając go za ramię, by wstał.

Szofer zbliżył się ze mną do zakratowanego okna, przez które światło elektryczne z podwórza słabo zaglądało do celi. Wyciągnęliśmy ze swoich zapasów po kawałku chleba i kiełbasy, której nam policjanci kupili po drodze z naszych depozytów pieniężnych. Po spożyciu napiliśmy się wody i każdy z osobna ułożył się z żalem na łóżku, jakby na wieczny spoczynek.

Mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć. W głowie mi jeszcze szumiało od huku wagonów i głośnego sapania lokomotywy. Muślałem jakby we śnie o Elci i o tem, czy też adwokat dotrzyma naszej umowy. Leżałem tak zapatrzony w kraty okna. Do uszu moich doleciał z górnych cel urywany kaszel jakiegoś więźnia i gwizdki nawołujących się straży. Szofer wygadywał ze snu straszne rzeczy. Obudziłem go. Zerwał się krzycząc: „Nie mordujcie mnie, ja wszystko powiem!" Uderzyłem go silnie ręką i tem doprowadziłem do przytomności.

Na jego krzyk zjawił się przy zakratowanych drzwiach dozorca. Przekręcił światło, patrzał przez kilka chwil i widząc, że śpimy, poszedł sobie, mrucząc coś pod nosem.

Wreszcie ponura cela poczęła z każdą chwilą się rozjaśniać i wkroczył poranek. Ubrałem się, gdyż i tak oka nie zmrużyłem. Ciekawie wyglądałem przez okno na dziedziniec więzienny, nie zbliżając się jednak zbytnio do okna, aby mnie straż nie zauważyła.

W więzieniu rozległ się dzwonek do wstawania. Szofer, obudzony przeze mnie, rozglądał się dobrą chwilę, zanim się zorjentował, gdzie się znajduje. Przyniesiono nam chleba i kawy. Szofer oglądał na wszystkie strony podaną porcję chleba i wybuchł płaczem. Porcja było o połowę mniejsza, niż w Czerwoniaku.

— Czego beczysz, idjoto? Masz tymczasem bochen chle-

ba i kiełbasę w torbie, czego ty ryczysz? Z głodu nie zdechniesz, nie bój się, — wyrzuciłem ze złością, — zresztą kraść i rabować dobrze ci było, a siedzieć to ci się nie chce frajerze?

Począłem biegać po celi i zatopiłem się w gorzkich rozmyślaniach. Kto wie, jakie cierpienia i przeklęte życie mnie tu czeka. Złość moja wzrastała z każdą chwilą. Stanąłem zły przed Szoferem, który jeszcze cicho jęczał w kącie.

— Przestaniesz ty, ważny bandyto, jęczeć jak stara baba? Chciałbym, żeby cię teraz zobaczyli twoi „dylatorzy", których ograbiłeś. Wściekaliby się, widząc, jakiemu złodziejowi oddali pieniądze.

Szofer nic nie odpowiedział i robił swoje. Uderzyłem go z całej siły w twarz, aż wyciągnął się jak długi na asfalcie. Widząc, że i to nie skutkuje, oblałem go zimną wodą, To pomogło. Popatrzył na mnie tak, jakby dopiero co mnie spostrzegł, wstał, otarł sobie twarz i głupkowato wybałuszył oczy patrząc na mnie.

— Za co ty mnie biłeś? — odezwał się i niespodzianie rzucił się na mnie.

Pobiliśmy się nawet mocno. Ponieważ ja byłem silniejszy, widząc, że się jeszcze rzuca, trzymałem go na asfalcie przyciskając kolanami, aż zrezygnował z bójki.

— Puść już mnie! — wrzeszczał. — Już więcej nie będę.

Puściłem. Pomogłem mu odkurzyć się i jakgdyby nigdy nic za chwilę podaliśmy sobie ręce i usiedliśmy wspólnie do śniadania.

Jeden drugiego zrozumiał doskonale. Musieliśmy wyładować żółć, która w nas zbierała. To było właśnie powodem bójki.

Zaraz po śniadaniu przyniesiono nam dwa pęczki witek. Dozorca rozkazał nam je oczyścić i zwrócić gotowe przed kolacją. Chcąc nie chcąc, zabraliśmy się do pracy.

Przy obiedzie Szofer trochę się rozruszał i powoli odzyskiwał równowagę.

— Jak myślisz, — zwrócił się do mnie. — Przebiorą nas dzisiaj, czy nie? Ale psiakrew, — zaklął spluwając przed siebie, — marne obiady dają, sama „wacha". Człowiek będzie po niej głodny jak pies.

— Tu na „rozbiwce“ taka „wacha“, ale w celach ogólnych z pewnością lepiej dają wcinać, — pocieszałem go.

Wtem usłyszeliśmy kroki zbliżające się do naszych drzwi.

— Baczność!

Nie ruszyliśmy się z miejsca.

— Baczność! — ryknął nam nad uchem dozorca, który już stał przy nas.

Szofer odskoczył przerażony.

Dozorca zrozumiał widać, że trafił na nowicjuszów, którzy nie znają mokotowskiej komendy; ujął Szofera za ucho i postawił przy ścianie. Mnie także rozkazał tam stanąć. Potem począł nam tłumaczyć, jak się mamy zachowywać.

— Jak się nazywacie?

Podaliśmy imiona i nazwiska, które spisał na kartce.

— Wyroki jakie macie?

— Po sześć lat, panie dozorco.

— Wspólnicy jesteście, co?

— Tak jest, proszę pana.

— Dobrze, dobrze. Teraz będzie po waszej spółce. My was rozłączymy. A teraz słuchajcie co wam powiem. Tu jest Mokotów i Warszawa, więc u nas są inne porządki, jak tam u was na prowincji. Pamiętajcie: zawsze, gdy zwierzchnik wchodzi do celi, — tu wskazał palcem na siebie — i krzyknie: baczność! musicie momentalnie stanąć przy oknie i zameldować się: Panie oddziałowy, ja więzień karny X... skazany na sześć lat więzienia za kradzież. Zrozumiano?

— Tak jest, proszę pana, — odparł Szofer.

— Więc powtórz, — rozkazał dozorca.

Szofer powtórzył aż dwa razy, na co ja się uśmiechnąłem.

— Czego ty się tak śmiejesz, — zwrócił się dozorca do mnie. — Powtórz i ty, kiedyś taki mądry.

Chcąc nie chcąc i ja powtórzyłem.

— Trochę nie tak, — rzekł poważnie, — ale nauczysz się. Więc pamiętajcie: kiedy wejdzie do celi pan inspektor, albo sam pan naczelnik, trzeba ich tytułować. Pamiętajcie, bo w przeciwnym razie pójdziecie tam, gdzie much niema. — Pogroził przytem palcem.

Szofer przybladł trochę, a dozorca widząc to, stał się trochę łagodniejszy.

— No, no, nie bój się, nie jest tak źle, sprawuj się tylko dobrze, to włos ci z głowy nie spadnie.

— Tylko cała głowa, panie dozorco.

Dozorca popatrzył na mnie uważnie i zapytał:

— Ty już pewnie nie pierwszy raz w więzieniu, co?

— Pierwszy raz, panie dozorco, — odparłem.

— Nie trajluj. Jak tylko spojrzę, wiem z kim mam do czynienia. Ja już 25 lat służę po więzieniach i poznaję dobrze moich wychowanków. Skąd przyjechaliście?

— Z prowincji, z miasta Łomży, — odparł Szofer.

— Dużo wam jeszcze pozostało do odbycia kary?

— Trzy lata z miesiącami, — odparłem.

Dozorca lekceważąco machnął ręką i odparł:

— Na te parę tygodni opłacało się tu przyjeżdżać? Tylko kłopot z wami, zawracanie głowy i nic więcej. Na drugi raz, jak tu przyjdziesz, — zwrócił się do Szofera, — postaraj się przynieść z „piętnachę", to rozumiem. Zrobię cię wtedy korytarzowym. Wziąłbym cię i teraz — widać spodobał mu się, gdyż był silnej budowy, — ale stanowczo masz za mało do siedzenia; żeby choć „dychę" lat...

Po tym potoku słów wykręcił się na obcasie i wyszedł z celi, trzaskając drzwiami.

XV.

Po jego wyjściu z celi śmiałem się do rozpuku i mówiłem do Szofera:

— Nieźle ci życzy, widać jest przyzwyczajony do większych wyroków jak nasze.

— To musi być srogie więzienie, — powiedział Szofer. — To nie to co u nas, gdzie korytarzowy co chwila podchodzi do drzwi i wszystko załatwia. Palić mi się chce jak cholera. Miałem trochę „siana", to „klawisz" przy „hipiszu" mi zabrał. Wszystkobym teraz oddał, żeby dostać „zadulić".

Wtem ktoś nagle zapukał do drzwi.

— Ty, brachu, chodź no tu.

Szofer szybko poskoczył do kraty, zmierzyli się oczyma.

— Może chcesz „zadulić"?

— Jeszcze się pytasz! — odparł Szofer. — Aż mnie głowa boli, tak mi się chce. Może masz, ja zapłacę.

— Oho, ho, ja wszystko mam — odparł chytrze korytarzowy, — tylko trzeba coś „opylić".

— Nie mam nic takiego, cobym mógł opylić. Czegobyś tak chciał?

Korytarzowy zmierzył go od góry do dołu i wprawne jego oczy padły na kamaszki Szofera.

— „Skoki" widzę masz „galante". „Opyl" i „żamnij" ile mam ci „dziachnąć"? Wleź na stół, niech na nie lepiej „zyrknę".

Szofer z niechęcią wykonał rozkaz.

— Który to numer?

— 28 i pół, — odparł Szofer.

— Klawo, dla mnie akurat. No, „żamnij", co ci „odpalić"?

Szofer namyślał się jeszcze i mówił do mnie:

— Co robić? „Dulić" mi się chce, że wytrzymać nie mogę, a szkoda mi „skoków". Przecież wstyd na bosaka iść do przebrania, powiedzą na mnie, żem pętak jakiś.

— Więc się go zapytaj, wiele ci da, — poradziłem, — i kiedy nas przebiorą.

— Oho, nie tak prędko, — zawołał korytarzowy, słysząc moje słowa. — Jak się zbierze was świeżych więcej, wtedy gospodarz po was przyjdzie, wykąpie was, przebierze, a potem na górę. Ale to potrwa parę tygodni.

Mówiąc to korytarzowy puszczał dym prosto w twarz Szoferowi. Ten łykał dym, jakby chciał zmniejszyć pragnienie, ale to go tylko więcej rozdrażniało.

— Co robić? — zwrócił się znowu do mnie.

Dym coraz bardziej pakował się do celi. Zrozumiał Szofer dobrze, że korytarzowy robi to naumyślnie, — wszak on sam, gdy był w swoim czasie korytarzowym w Czerwoniaku, to samo nieraz robił nowoprzybyłym. Teraz przekonał się, że nie z głupoty tamte chamy — jak ich nazywał — z Czerwoniaka oddawały ubrania i wszystko za trochę tytoniu, gdy im dym puszczał w cele. Odczuł teraz na własnej skórze, że też nie wytrzyma.

Nawpół przytomny od dymu, zdecydowanym głosem zapytał:

— Ile mi dasz „siana"? Skoki kosztowały mnie tysiąc marek, a są prawie nowe.

— A wiele ty chcesz?

— 500 marek są warte, — odparł Szofer.

Korytarzowy wybuchnął śmiechem.

— Brachu, ty napewno pierwszy raz jesteś w Mokotowie. U nas za dwadzieścia „świnek" można dostać nowe skoki. „Blaty" u nas do graby niema.

Szofer zmieszał się. Korytarzowy trafił w jego słabą stronę. Prędko więc odparł:

— Nie myśl, że trafiłeś na frajera. Ja już nie pierwszy raz siedzę w więzieniu. Byłem też korytarzowym w Czerwoniaku i w „kant" uderzyć się nie dam.

— Co ty tam wiesz, Mokotów to nie Czerwoniak, tutaj dopiero oleju do „makówy" nabierzesz. Czy ja chcę twojej krzywdy? Nie jestem „leserem", żebym ci trajlował. Dam ci za skoki i „nachy" furę siana i 50 świnek, zgoda? „Wolt" dam ci drewniane sandałki i drugie machy, tylko trochę gorsze od twoich. A pamiętaj, jak się „Lucyfer" zapyta, gdzie masz skoki, powiedz mu, żeś w sandałkach przyjechał.

Szofer, nie chcąc widać uchodzić za frajera, zapytał, choć z pewną rezygnacją:

— A jakie siano mi dasz?

— Machory! — odparł tamten z szyderczym śmiechem. — Tu u nas frajerskiego tytoniu nie palą. Uważaj też przy duleniu, żeby cię „klawisz" nie nagolił, bo wtedy cię wtryni tam, gdzie much niema. No, dziachnij prędzej skoki. Przecież mówisz, żeś nie frajer, to raz dwa załatwimy, nim klawisz przyjdzie z obiadu.

Szofer patrzył na mnie, a widząc, że ja się śmieję z tego całego handlu, zły już odparł:

— Dasz mi półtorej fury siana, 50 świnek i 20 „pajek" chleba. A kiedy mi to wszystko dasz?

— O to niech cię już „makówa" nie boli. Pajek mogę ci dać nawet i więcej, ale musisz, brachu, za każdą pajkę płacić po trzy świnki, tu u nas jest mortus bratku. No, zdejmuj prędzej skoki, a pójdę „przytachać" wszystko.

Szofer z niedowierzaniem począł zdejmować kamasze, mówiąc do mnie, że nie wyda ich z rąk, póki nie otrzyma umó-

wionej zapłaty. Nie zdążył jednak zdjąć kamaszy, gdy ktoś począł majstrować przy drzwiach. Zerwał się z jednym ka-maszem w ręku, myśląc zapewne, że to dozorca: chciał mu się, po otrzymanej nauce, wzorowo zameldować. Spojrzał ku drzwiom, nie dowierzając własnym oczom. Zamiast doozrcy wszedł do celi nasz kupiec, uśmiechając się chytrze.

— „Odpalaj" prędzej, — zawołał.

Szofer, zadowolony widać, że ma do czynienia z takim, który potrafił nawet w więzieniu drzwi skluczyć, podał mu kamasze, otrzymując umówioną cenę i dwie nadgryzione pajki chleba.

Po załatwieniu tego handlu, korytarzowy zamknął drzwi jakby nigdy nic.

Szofer szybko zapalił papierosa. Nie miał bibuły do machorki, prosił mnie więc, żebym mu oddał akt oskarżenia, który miał ze dwadzieścia kart. Swój akt oskarżenia dawno już wypalił. Pierwszą czynnością więźnia-palacza po otrzymaniu aktu oskarżenia jest — jak najprędzej zużyć go do skręcania papierosa. Jest to bowiem cienka bibuła, przez co nadaje się do papierosów; a w więzieniu, gdy palenie było zabronione, o papier taki było bardzo trudno.

— Ja tam swojego aktu oskarżenia nie daję, — odparłem, — chcę go mieć na pamiątkę.

— Będziesz miał dobrą pamiątkę te sześć lat co ci dali, na co ci jeszcze akt oskarżenia? Daj mi go, — prosił Szofer.

Ma rację, — pomyślałem i nie chcąc go smucić, podałem mu ten tak pożądany dla niego artykuł.

Szofer po zapaleniu odzyskał trochę humoru, zjadł dwie porcje chleba, wypił trochę wody i rozpoczął wędrówkę po celi.

— Podłe życie, — westchnął. — W Czerwoniaku dałby sobie człowiek radę, nie potrzebowałbym sprzedawać skoków za taką śmierdzącą machorkę. Wiesz co, — zwrócił się do mnie, — żałuję już, że sprzedałem nachy i skoki. Ale co było robić? Palić mi się chciało. Będzie tu trochę trudno na początku, jak to bywa w każdem nowem więzieniu.

Wtem ktoś krzyknął do nas przez drzwi:

— Szykować prędko wszystkie swoje rzeczy!

Szofer w tej chwili zrozumiał, że oszukał go korytarzowy,

kiedy mówił, że mamy tu siedzieć tak długo, aż się zbierze nas więcej. Spakowaliśmy szybko swoje manatki i wypuszczono nas na korytarz, odbierając przedtem powierzone nam witki.

Przez podwórze do magazynu Szofer szedł boso, trzymając w garści drewniane sandałki. Spodnie, które dostał od korytarzowego, sięgały mu zaledwie do kolan. Ponieważ był wysokiego wzrostu, bardzo komicznie wyglądał. Na szczęście gospodarz o groźnem spojrzeniu, — przezywano go Lucyperem, — nie zwrócił na to uwagi. Zapewne był przyzwyczajony do oglądania podobnych gentlemanów. Nie zapomniał też zrewidować nas po przebraniu w aresztanckie mundury. Tytoń i papierosy Szofera powędrowały na biurko Lucypera. Żal mi było patrzeć, jakiem żalosnem okiem spoglądał Szofer na utracony skarb, a zarazem śmiać się chciało, jak idjotycznym wzrokiem spoglądał jednocześnie na Lucypera.

Wykąpano nas, trzymając pod zimną wodą tak długo, że wystarczyło to na nabycie kataru. Wydano nam też koce i sienniki; nie obyło się tu bez szturchańca. Szofer nie chciał przyjąć podartego worka zawierającego trochę startej już słomy, co w Mokotowie wówczas nazywano siennikiem. Tłumaczył gospodarzowi, że na takim sienniku spać nie może przez tyle lat; w odpowiedzi otrzymał szturchańca. Próbował się jeszcze stawiać, ale nie zdążył się zorjentować jak i kiedy znaleźliśmy się „po mokotowsku“ w przeznaczonej dla nas celi.

Po wejściu do celi, gdzie było pełno więźniów, ciekawie rozglądałem się po obecnych, czy też nie ujrzę tu jakiej znajomej twarzy. Cela była duża, przeznaczona także dla nowoprzybyłych. Niestety, nikogo nie znalazłem.

Rozmowa więźniów wydawała mi się dziwna. Jak się później dowiedziałem, była to cela przeznaczona głównie dla „pogromców“. Wówczas calemi partjami zganiano z Galicji do Mokotowa górali z wyrokami na piętnaście lat, lub na dożywotnie więzienie, za udział w pogromach Żydów.

Stanęliśmy przy drzwiach niezdecydowani. Oczy wszystkich zwrócone były w naszą stronę. Nie namyślając się długo, położyłem swoje manatki w kącie. Szofer uczynił to samo.

Zauważyłem, jak pożądliwie spoglądają więźniowie na nasze „majdany“ z pożywieniem. Znając prawo panujące po więzieniach i obyczaje, jak się złodziej powinien zachowywać, wziąłem swoją torbę i całą zawartość wysypałem na stół.

— No, wcinajcie chłopcy, proszę się nie krępować.

Nie zdążyłem tego wymówić, gdy kilkanaście par rąk, podobnych do grabi, rzuciło się momentalnie w stronę stołu. O mało nie przewrócono mnie na podłogę. Góral, który sięgał do samego sufitu, nachylił się ponad wszystkimi, wyciągając parę długich rąk i zgarniając większą część dla siebie. Miałem tam z piętnaście funtów chleba i mięsa, cukier, niemal całą wałówkę, jaką dał mi adwokat jeszcze w Czerwoniaku. Z tego wszystkiego nie zostało nawet okruszyny. Kilku słabszych, którzy nie zdążyli nic zgarnąć dla siebie, rzuciło się na olbrzyma, który w jednej ręce trzymał z pięć funtów chleba, zajadając uczciwie, a drugą bronił się od napastników.

— Naser mater! Bodajżeś pękł. Psiakrew jucho jaka! — wołał jeden z więźniów, podobny raczej do kościotrupa niż do człowieka.

Teraz kilku rzuciło mu się do pomocy. Olbrzyma przewrócono na podłogę. Bronił się jak lew, ściskając chleb między kolanami, jednakże większą część mu wyrwano. Potem powstała znowu bójka między napastnikami, dla których jednak chleba nie starczyło.

Najwięcej wygrał ten, który chwycił kiełbasę. Schował się za siennikami, które w dzień składano na kupę. Gdy się trochę hałas uspokoił, jeden z więźniów zawołał:

— Frycko wlazł za sztrojzaki i wszyćką kiełbasę zjodl!

Kilku, którzy nic nie skorzystali z uczty, zbliżyło się do pożeracza kiełbasy i wyciągnięto go z poza sienników. Ale po kiełbasie nie zostało już śladu.

Wszyscy obecni śmieli się teraz. Klepali Frycka po brzuchu, tak, że ten aż za każdem uderzeniem mocno jęczał. Kiełbasa teraz drogo go kosztowała; aż ja poprosiłem, by dano mu spokój.

W celi było nas ze czterdziestu więźniów; łóżek zaś było tylko dwadzieścia cztery. Gdy więc rozległ się dzwonek do

spania, jeden z więźniów zaprosił mnie, abym się położył przy nim na jego łóżku. Więzień ten okazał się swoim chłopakiem, miał osiem lat za kasowe włamanie.

— Nie trzeba było tych żłobów karmić, — mówił do mnie. — Ta hołota nie zna żadnego porządku, to wszystko pogromowcy. Panowie napuścili ich na Żydów, a potem wpakowano ich tutaj na piętnaście lat albo i na dożywocie. Niech tu chamy zdychają, jak dały się napuścić.

Szofera także zaprosił jeden więzień do spania. Nie wypuszczał on ciągle z rąk swojej torby z pożywieniem i podłożył ją sobie pod głowę, nie rozbierając się wcale. Ja wiedziałem dobrze, że torbę skradną mu w nocy, jednakże wolałem mu tego nie mówić, nie chcąc ściągać na siebie złości ogółu.

Między więźniami panuje zwyczaj, że tego, kto drugiemu po nocy skradnie coś z jedzenia, nazywają „szczurem". Taki szczur jest pogardzany przez wszystkich. Mówi się o nim: „Ten po księżycu chodzi". Jednakże ostrzec kogoś, że szczur chce go okraść, lub radzić mu, by się dobrze strzegł i nie dał się okraść, nie jest dozwolone. Takiego nazywają „kapusiem" i biada takiemu więźniowi, który otrzymuje haniebną nazwę kapusia.

XVI.

Wśród nocy powstał harmider. Przebudziłem się. Szofer siedział na łóżku, a kilku więźniów w kalesonach stało koło niego, omawiając fakt skradzenia torby. Każdy doradzał mu, co ma zrobić, by odnaleźć zgubę. Jeden wskazywał na drugiego, jako na „szczura". Wymyślali sobie tak, że pomyślałem, iż dojdzie do bójki.

Cała cela była przebudzona. Światło w celi paliło się przez całą noc. Wreszcie ten, który zaprosił mnie do spania, zabrał głos, jako poważniejszy złodziej kasiarz.

— Mówię wam, chamy, oddajcie zaraz torbę, bo inaczej ja się do was wezmę. Ten — tu wskazał na mnie, — oddał wam wszystko, a to są wspólnicy, więc postępujecie niesprawiedliwie.

— Ja wam powiem, — zawołał ten, który wyglądał na

kościotrupa. — Trzeba zrobić rewizję. Torby przecież nikt nie zjadł, do djabła, a u kogo znajdziemy torbę, ten zjadł i chleb.

— Głupstwo, — odezwał się olbrzym, — chleb mógł zjeść, a torbę podrzucić drugiemu.

— Tyś sam napewno zjadł, — zawołał ten, który pożarł kiełbasę, — a torbę podrzuciłeś drugiemu i teraz radzisz, żeby jej szukać. Jesteś mądry lis.

— Ty tam nie gadaj. Oddaj lepiej kiełbasę, coś zjadł, — zawołał kościotrup chrapliwym głosem.

Powstał taki hałas, że zjawił się dozorca i nakazał spokój. Zapytał też, co się stało. Kilka głosów naraz odpowiedziało:

— To nic, panie dozorco, tylko tego — tu wskazali na Szofera, — zęby bolą i jęczy wołając o lekarza.

— Spać teraz! — krzyknął dozorca na Szofera. — Jutro zgłosicie się do lekarza, a teraz ma być spokój.

Gdy tylko dozorca zamknął kraty prowadzące na nasz oddział, powstał hałas jeszcze większy niż przedtem. Wszyscy jak jeden, — tylko każdy w inny sposób, — doradzali, jak odnaleźć zgubę.

Kasiarz zerwał się z łóżka, stanął pośrodku celi i nakazał ciszę, gdyż chce coś powiedzieć.

— Chłopaki, jak każdy będzie się mądrzył, to nic z tego nie wyjdzie.Posłuchajcie mnie, ja wam raz dwa odnajdę tego, co po księżycu chodził.

Wszyscy zamilkli jak jeden, w celi coś groźnego zawisło w powietrzu. Obserwowałem wszystkich i zdawało mi się, że każdy był owym „szczurem". Tylko co do jednego kasiarza byłem pewny, że nie należał do spółki.

— Więc słuchajcie. Wszyscy niech wstaną z łóżek i staną tu na stronie. Każdy wie o tem, że niemożliwe jest wtroić tyle „sumru", żeby nie pozostało ani okruszyny. U kogo więc znajdziemy okruszyny, ten zjadł „sumer".

— To cwana mózgownica! — zawołał jeden. — Ma rację, jazda! Stańcie tu na stronie. No, już was niema!

Każdy z niechęcią zwlókł się ze swego barłogu i stanął na wskazanem miejscu. Kasiarz i ten, co rzekomo pochwalił jego pomysł, zaprosili i mnie do tej honorowej czynności. I rewizja rozpoczęła się.

Przeszukiwaliśmy kolejno łóżka; dopiero przy ósmem natrafiliśmy na drobne okruszyny. Pod łóżkiem zaś było pełno okruchów. Wszyscy otoczyli to łóżko, a jego właściciel stał otoczony przez kilku więźniów, którzy, jak mi się zdawało, lada chwila zaczną go bić i czekają tylko na rezultat komisji.

Właścicielem łóżka był nie kto inny, tylko Frycko. Prosił, błagał, tłumaczył, że on zjadł tylko tamtą kiełbasę w dzień, a o majdanie nie ma pojęcia, ale nie dali mu nawet przyjść do słowa. Kościotrup uwiesił mu się na szyi, uczepił go się palcami jak pająk i przewrócił go na podłogę.

Wtem stało się coś niespodziewanego. Olbrzym ryknął:

— Puśćcie go juchy! — i doskoczył, odpychając napastników od Frycka. — To nie on zjodl chleb z torby, to ten psiajucha zabrał torbę, zjadł chleb, okruszyny podrzucił Fryckowi, a torbę schował w rezerwuarku. O, tu na górze — wskazał na rezerwuarek ustępu.

Kilku zwolenników olbrzyma rzuciło się na kasiarza i poczęło go okładać pięściami i kopać nogami.

Krzyk: — O Jezus, o Jezus, zabijają! — wydarł się z gardła kasiarza.

Doskoczyłem, chcąc go obronić, ale jeden odezwał się do mnie:

— Ty się lepiej nie wtrącaj, lepiej na tem wyjdziesz.

Przybiegło kilku dozorców. Wskazano na kasiarza, że chciał jednego z więźniów siłą... Zaraz też znalazł się więzień, który poskarżył się, że to właśnie jego kasiarz namawiał, że mu da pól paczki machorki, jeśli pozwoli się...

Rezultat był taki, że kasiarza, jak również i rzekomo napadniętego zabrano natychmiast do pojedyńczych cel.

Teraz dopiero zrozumiałem wszystko: oto po wyprowadzeniu ich, jawnie już olbrzym wyciągnął resztki z pod siennika i zakończono ucztę dzieląc po kawałku między zwolenników.

Jak się później przekonałem, we wszystkich więzieniach w celach ogólnych więźniowie dzielą się na cztery kategorje. Pierwsza — to zawodowcy; tych jest znikoma ilość. Jak już poprzednio zaznaczyłem, ci prowadzą rej po więzieniach i są tu panami położenia. Kategorja druga, to tak zwane

cwaniaki, fetniaki. Składają się przeważnie z alfonsów, drugorzędnych nożowców, pijaków, którzy przychodzą do więzienia tylko „sezonowo". Najwięcej tych sezonowców spotyka się po więzieniach w wielkich miastach stołecznych. W Warszawie większa część sezonowców — są to murarze, strycharze, którzy na zimę przychodzą tu na odpoczynek. Sezonowcy są awanturniczego usposobienia, co stawia ich niżej od zawodowców.

Alfonsi, drugorzędni nożowcy i tym podobna arystokracja tej branży należą do sezonowców dlatego, że latem jako tako mogą się utrzymać z marnych zarobków swych ofiar i nie potrzebują opłacać za nie komornego. Uprawiają one swój zawód za dworcem Gdańskim, pod gołem niebem, pod mostami i w tym podobnych kryjówkach, co nie wymaga ani komornego ani lokalowego. Zimą jest inaczej i dlatego są oni zmuszeni przychodzić do Mokotowa.

Taki „cwaniak" nigdy nie przynosi większego wyroku, niż sześć miesięcy; popełniają takie tylko przekroczenia, za które kara, nawet gdy nie jest po raz pierwszy, nie przekracza tego terminu.

Kategorję trzecią stanowią bandyci, którzy mają wyroki od ośmiu lat więzienia do bezterminowego, dożywotniego więzienia. Złodzieje pogardzają nimi, gdyż robią przeważnie na mokro. Prawdziwy złodziej czuje wstręt do mokrej roboty. Rozumuje on w ten sposób: Jeśli ukradnę „pocichu", nie wyrządzam tem swoim ofiarom śmiertelnej krzywdy. Mogą się one na nowo dorobić, i nawet po raz drugi mogę do nich zawitać; nieraz się zdarza, że się składa wizytę po raz trzeci. Ale gdy zabiję, tamten już nigdy się nie dorobi i mogę być na tem tylko stratny.

Rozumują też i tak: Poco mam chodzić na „stój" i dostawać odrazu duży ochłap, albo „kolo" i już więcej wolności nie ujrzeć, kiedy mogę kraść i dostać kilka miesięcy, a w najgorszym wypadku parę lat, gdy wpadnę. Pozostaje jednak zawsze nadzieja, że gdy wyjdę, mogę jeszcze raz spróbować szczęścia, — i mogę trafić i zabastować.

Każdy złodziej myśli zawsze, że ta robota, na którą właśnie się udaje, jest już ostatnia. Zawsze liczy na to, że trafi na większą sumę i zabastuje. Jest to marzenie każdego zawo-

dowca: raz trafić i zostać porządnym człowiekiem. I tak długo chodzi na tę „ostatnią“ robotę z myślą, że tu właśnie znajdzie ukryty skarb, aż na nowo trafia prosto do ula.

Bandyci szeregują się, jak się przekonałem, przeważnie z chłopów ze wsi, byłych wojskowych. Zapewne skosztowali oni na wojnie światowej krwi ludzkiej, tanich zabaw z prostytutkami, — i zapachnialo im pijaństwo i rabunek. To też po zwolnieniu ich z wojska, gdy powrócili do domu na nudną wieś, praca na roli po takiem wesolem, beztroskiem życiu nie mogła już smakować. Chce się wypić, popalić, pohulać z dziewczętami, a na to wszystko trzeba pieniędzy. Więc cóż, nie nadarmo człowiek przecie był na wojnie, — żeby sobie teraz rady nie dal? W takich chwilach mówi Janek do Franka:

— Wiesz co, Franek, po co nam cierpieć, chodź ze mną do drugiej wsi, tam mieszka Jankiel lub Icek, ma sklepik, tam jest pełno wódki, papierosów i cukierków, pójdziemy w nocy, zabierzemy to wszystko i przeniesiemy tu. Schowamy wszystko w stodole do niedzieli, a wieczorem urządzimy zabawę, zaprosimy Mańkę i Kaśkę i będziemy hulać do rana.

Gdy Franek próbuje zaprzeczyć, że to się może nie udać, gdyż Żyd narobi hałasu, Janek stara się go przekonać:

— Co tam, na wojnie byłeś i Żyda się boisz. Taki z ciebie tchórz? Ja sam pójdę do Żyda, a gdy narobi hałasu, lunę go w łeb i basta.

Franek znęcony obiecanką łupu i zabawy, idzie więc z Jankiem. Żyd naturalnie budzi się i broni swego handelku. Franek chcąc udowodnić, że nie jest tchórzem, wali Żyda w łeb i taszczy z Jankiem wszystko do domu. A potem — potem aresztowanie, sąd, świadkowie, lament no i dożywotnie więzienie.

Podczas działania wcale im na myśl nie przychodziło, by kogoś zabijać. Nie wiedzieli nawet, że wogóle za podobne rzeczy się karze. Jeszcze za zabójstwo Żyda do tego — ktoby to pomyślał, że będą karać. Bywało nieraz przecież na wojnie, że Żydka lunęło się w pysk i nic za to nie było.

Piszę to nie z fantazji, tylko z rozmów prowadzonych z podobnymi Jankami i Frankami. Trzeba wiedzieć, że po więzieniach podobnych ofiar jest bardzo wiele.

Dużo bandytów rekrutuje się też z bezrobotnych. Pracy niema, ukraść nie wie jak — to jest fach, który trzeba dobrze umieć. Żołądek wkłada mu do ręki broń, — a w braku broni nóż, palkę, lub zwyczajny kij. Zresztą czy trzeba wielkich narzędzi do zabicia człowieka? Rezultat jest ten sam: wieczne więzienie jak w banku.

Kategorja czwarta — to ofiary losu. Przypadkowe zabójstwo, nieszczęśliwa miłość, podłość ludzka i tym podobne. Ci są w więzieniu najnieszczęśliwsi z nieszczęśliwych. Chodzą po celach cicho, jak cienie. Rzadko kiedy z kategorji czwartej wychodzi się na wolność. Gruźlica powiększa karę, wymierzoną przez sprawiedliwość ludzką; nieporadność w więzieniu również przyczynia się do prędszej śmierci tych ofiar.

Wszystkie te kategorje, z wyjątkiem czwartej, trzymają się w więzieniu razem. Wspomagają się nawzajem, gardząc innemi kategorjami. W razie napadu na kogoś ze swojej kategorji, wszyscy stawiają opór, nie dopuszczając do krzywdy współtowarzysza.

W każdej celi ogólnej ze wszystkich wymienionych powyżej kategoryj jest po kilku przedstawicieli. Partja, która liczy więcej członków, trzyma wszystkich innych krótko; stąd powstają bójki i awantury.

W tej celi, do której wsadzono mnie z Szoferem, większość — niemal cała cela — zaliczała się do kategorji trzeciej, albo raczej do zupełnie nowej kategorji „pogromców". Kasiarz, ja i Szofer, byliśmy tu „mniejszością narodową", dlatego, gdy kasiarz chciał się zabawić w detektywa, pobito go i nawet doprowadzono do tego, że został zabrany z celi. Kasiarz, jak się przekonałem, był zupełnie neiwinny. Głównym atamanem był tu właśnie ów góral-olbrzym.

XVII.

Rano, gdy dozorca przyszedł na odział, dopytywał się jeszcze, co to za hałas był w nocy. Cała sala powtórzyła to samo, że kasiarz chciał... i t. d. Dozorca oddziałowy spisał odpowiedni raport. Sprawiedliwości stało się zadość. Nie-

fortunny detektyw, jak się później dowiedziałem, dostał tylko siedem dni karceru i pojedyńczą celę do odwołania.

Szofer był teraz zupełnie przygnębiony. Wraz ze skradzionym „majdanem" stracił i równowagę. Lubił on dużo jeść; w więzieniu całą jego uciechą było jedzenie, — a tu masz tobie! Ostatniego promyka nadziei, jaki zawierała jego torba, pozbawili go właśni koledzy po fachu. Próbowałem go rozruszać, mówiąc mu, że dziś-jutro otrzymam pożywienie od adwokata, któremu dałem znać, że mnie tu wysłano. Jednakże wszystko daremnie; Szofer wpadł w melancholję.

Minął tak dzień, dwa i cały tydzień. Pan adwokat nie reagował na moje listy, w których błagałem, aby dotrzymał umowy. Mimo widma głodu postanowiłem jednak do Elci nie pisać.

Pewnego dnia około 3-go grudnia do naszej celi wszedł starszy dozorca, wysoki, łysy, brzuchaty jak chiński mandaryn. Więźniowie z wielkim respektem stanęli w szeregu po dwu na baczność, a starszy celi zameldował według panujących tu wskazówek i przepisów:

— Panie starszy, cela X, więźniów 41, trzech na robocie, a 38 w celi. Wszystko w porządku.

Przybyły oglądał nas po kolei od stóp do głowy, a gdy jego wzrok padł na dobrze zbudowanego więźnia, pytał go:

— Jaki masz zawód?

Wzrok jego zatrzymał się także na mnie. — Jaki zawód macie? — zapytał mnie, patrząc już na następnego więźnia.

— Piekarz, panie starszy.

Zmierzył mnie teraz badawczym, fachowym wzrokiem i zagadnął:

— Gdzieście pracowali i co umiecie?

Odpowiedziałem mu, starając się przytem wyrażać fachowemi słowami.

— Stańcie tu na stronie, — zawołał.

Serce zaczęło we mnie mocniej uderzać z radości. Oczy wszystkich zazdrośnie utkwione były we mnie.

— Więcej piekarzy niema tu między wami, co?

— Jo przy wojsku pracowałem.

— Jo też przy wojsku, — zawołał olbrzym.

— Jo także, — zawołało kilka głosów naraz.

— Mnie wojskowych piekarzów nie potrzeba, — odparł starszy dozorca, poczem kazał olbrzymowi stanąć przy mnie. Wybrał jeszcze dwu dobrze zbudowanych więźniów i zabrał nas ze sobą.

Gdy Szofer zobaczył, że mnie wybrano na piekarnię, promień nadziei zabłysnął w jego oczach.

Piekarnia w więzieniu Mokotowskiem urządzona jest w nowszym stylu, niż w innych więzieniach całej Polski. Zajmuje ona duży gmach; są tam cztery duże piece; udoskonalają ją ciągle podług ostatnich wymagań techniki i higjeny. W owym czasie pieczono tam dla wojska i wszystkich więźniów w Warszawie; później prywatne przedsiębiorstwa wydzierżawiły piekarnię i wyrabiają tam różne pieczywa na miasto.

Pracowano tam później na dwie zmiany; zawodowi piekarze musieli pracować więcej, gdyż wykwalifikowanych rzemieślników zawsze brak; daje się to odczuć po wszystkich więzieniach. Dobry rzemieślnik tylko wskutek nieprzeciętnego przypadku lub zbiegu okoliczności tu się dostaje; natomiast partaczów z każdej gałęzi pracy jest tu bardzo wielu.

Kazano nam się rozebrać, dano nam białe ubrania i czapki i po umyciu rąk każdy został przydzielony do pracy.

Majster, który nas tu przyjął, a którego więźniowie tytułowali panem werkmistrzem, przyglądał się naszej pracy. Poznałem, że jest ze mnie zadowolony; powierzone mi do roboty ciasto zrobiłem sprawnie i dobrze. Pan werkmistrz pomacał ciasto, mruknął coś zadowolony i zapytał, jaki mam wyrok. Gdy zaś usłyszał, że sześć lat, odszedł jeszcze bardziej zadowolony.

Olbrzym, który miał na imię Józek, został przeznaczony do palenia w piecach i wymiatania. Werkmistrz, jak poznalem, był i z niego zadowolony. Z pozostałych dwu jeden został przeznaczony do rąbania drzewa, a drugi do ekspedycji.

Józek wspólnie ze mną odnosił z pieca deski z chlebem. Zapach tego chleba działał na mnie zabójczo. Chcialo mi się jeść, jak nigdy. Spoglądaliśmy jeden na drugiego, bojąc się ruszyć kawałek chleba. Pamiętaliśmy dobrze zakaz naszego

chlebodawcy, że chleba jeść nie wolno i że jeśli złapie nas na takiem przestępstwie, wszystkie zęby nam powybija i wsadzi nas do pojedynek.

Józek przy odnoszeniu deski napełnionej chlebem mruczał zły:

— Psiakrew! Naser mater! Jo nie wytrzymam.

Namawiał mnie, by wspólnie raz dwa załatwić się z bochenkiem chleba, który ważył cztery funty, tak, by śladu po nim nie zostało.

Nie chcialem i nie mogłem się zgodzić, wiedząc już, jakie prowokacje robiono z kasiarzem. Postanowiłem najpierw zbadać, jak reszta więźniów, których tu było dwudziestu, postępuje, gdy chce zjeść trochę chleba.

Głód wzmagał się z każdą chwilą. Żołądek mój na widok takiej ilości chleba wściekał się. Próbowałem mu tłumaczyć, że tu jest więzienie Mokotowskie, a nie Czerwoniak, gdzie zajadał na piekarni, co chcial. Wszystko było jednak daremne. Żołądek mój żadnych tłumaczeń przyjąć nie chciał i męczył mnie okropnie.

Józek łapał gorący chleb z łopaty i kładł na deski. Chuchał w ręce, gdyż chleb parzył go okropnie. I wciąż, zły, wołał:

— Naser mater! Naser mater!

Wszyscy śmieli się, a jeden filut poradził mu:

— Nie wiesz, jak robić, frajerze, żeby cię nie parzyło? Nabierz do wiadra zimnej „wachy" i wtryń za każdym razem graby, wtedy nie będzie cię parzyło.

Józek rady posłuchał. Nabrał wody, wsadził ręce i sięgnął po bochenki, których coraz więcej gromadziło się do układania.

— O jej! Naser mater! — ryknął i zaczął biegać po piekarni wymachując rękoma.

Wszyscy śmieli się do rozpuku. Wiadomo przecież, że go teraz jeszcze więcej parzyło, niż przedtem.

Nareszcie o godzinie dziesiątej rano skończyliśmy pracę. Starszy piekarz przyniósł kilka bochenków chleba, który po pracy zawsze dostawał od werkmistrza. Rozkrajał, dzieląc według swego uznania. Naturalnie, że złodziej, za którego sam się uważał, dostał większą porcję, niż frajer. Mnie tu

nikt nie znał, więc nasza czwórka dostała najmniejsze porcje.

Po drodze z piekarni do celi Józek połknął swoją porcję. Ja także zjadłem połowę, co nie zaspokoiło nawet głodu, a resztę zostawiłem dla Szofera.

W celi otoczono nas kręgiem. Wypytywano nas zazdrośnie, czyśmy dużo chleba zjedli i t. d. Szofer zbliżył się do mnie; chciałem mu podać resztę zarobionego chleba, lecz nie było go już. Podczas naszej rozmowy ktoś go już skradl z miski, którą postawiłem na stole.

Szofer nie mógł mi tego darować. Obiecałem mu, że jutro oddam mu cały zarobek i to go potrochu uspokoiło.

Po całonocnej pracy potrzebny nam był teraz odpoczynek. Ponieważ w celach ogólnych spać w dzień nie wolno, przeniesiono nas na oddział trzeci, do celi ekstra przeznaczonej dla piekarzy.

XVIII.

W każdem więzieniu po celach ogólnych panuje zwyczaj, że po przybyciu do celi nowego więźnia, niemal wszyscy z wyjątkiem kategorji pierwszej otaczają go wokoło i wypytują: skąd pochodzi, jaki ma wyrok, jakie dają pożywienie w więzieniu, z którego przybył, co słychać o amnestji, jak tam na wolności, czy prędko będzie wojna i t. d.

Kategorja pierwsza, jako tutejsza arystokracja, nie wdaje się z przybyszem w rozmowę, zanim nie ustali, kim jest. Jednakże zdaleka przysłuchują się ciekawie nowinom, jakie przybysz opowiada. Gdy zaś nowiny nie przypadają im do gustu, odzywają się:

— Co ty tam trajlujesz, frajerze. Przymknij się lepiej i siadaj do kąta, nie podnoś tak głosu. Tu nie jest tam, skąd przyjechałeś.

Czasem bywa, że taki więzień trafia akurat na swojego; wtedy momentalnie przychodzi do bójki. Tak właśnie było ze mną. Gdy wszedłem do celi, zachowywałem się swobodnie, jako że nie pierwszy raz byłem w więzieniu, dawałem dowcipne odpowiedzi i t. d., co jak wywnioskowałem, nie spodobało się kilku grającym w domino. Do moich uszu

doleciało nawet kilka nieprzychylnych uwag pod moim adresem:

— Co ten „smoluch" tak się mądrzy? Pierwszą noc pra-cował, a już gra fetniaka.

Udałem, że nie słyszę i spytałem starszego celi, gdzie moje łóżko i gdzie mam położyć manatki.

Starszy celi, który należał do arystokracji, biorąc się pod boki i z godnością zapytał:

— Za co ty siedzisz?

— Za kradzież, — odparłem, dumnie rozglądając się po obecnych, poczem dodałem: — Ja już nie pierwszy raz sie-dzę. Nawet już miałem wyrok w Niemczech i odkiwałem go.

Na moją odpowiedź wszyscy ci, którzy grali w domino, wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich, który dotychczas stal spokojnie przy stole i przyglądał się grającym, zawołał do starszego celi:

— Daj mu tam miejsce przy „kancelarji", to akurat dla niego, kiedy jest taki dobry złodziej. — Wskazał przytem palcem na próżne łóżko przy samym klozecie.

Wszystkiego się spodziewałem, ale nie tego, że mi dadzą miejsce przy klozecie. Wiedziałem o tem dobrze, że to jest w więzieniu bardzo ubliżające. Drżąc ze złości, że mnie coś podobnego mogą powiedzieć, zawołałem:

— Jestem złodziej z krwi i kości! — A chcąc im zaimpo-nować, posunąłem się jeszcze dalej i oświadczyłem: — Oj-ciec mój umarł w katordze, matka także była złodziejką, więc chyba należy mi się lepsze miejsce, niż przy „paraszce".

Teraz wszyscy, nawet ci, co spali, pobudzili się, usiedli na łóżkach i przypatrywali się zaciekawieni, co to będzie.

Starszy celi, po raz drugi pokazując mi miejsce, krzyknął:

— Idź, psiakrew, połóż się tam, gdzie ci mówię, bo do-staniesz w nos. Pewno koniowi śniadanie ukradłeś i przy-szedłeś do Mokotowa grać złodzieja, a do więzienia przy-szedłeś bosy, jak pies. Ładny mi złodziej...

Zrozumiałem teraz, że bierze mnie za mojego wspólnika, którego widział przez okno, idącego ze mną boso do prze-brania. Wiedziałem też, że za tę obelgę muszę się z nim po-bić, bo inaczej naprawdę potraktują mnie jak frajera; więc, nie namyślając się długo, skoczyłem do bicia.

Wszyscy przyglądali się z zainteresowaniem, gdy zaś zobaczyli, że starszy celi jest przegrany, otrzymując straszne ciosy jeden za drugim, nie pozwolili nam dalej się bić, a ten sam więzień, który kazał mi dać łóżko przy „kancelarji“, krzyknął:

— Ja się zaraz przekonam, czy on naprawdę jest złodziejem, bo bić bije się jak złodziej. Chodź-no tu.

Zbliżyłem się dumnie do stołu; znając prawo więzienne, wiedziałem, że wywołałem dobre wrażenie moją umiejętnością bicia się. Trzeba więc było trzymać się nadal bez obawy.

— O co wam chodzi? — zapytałem otaczających mnie więźniów.

— Mówisz, że jesteś złodziejem, więc jeśli odpowiesz na nasze pytania, będzie wszystko dobrze. Będziesz wtedy należał do naszej „ferajny“, a jak nie, to ci takie „manto“ sprawimy, że bryndza będzie z tobą. Felek, wyciągnij-no z meliny „robaka“ i daj go tu.

Po chwili podano mi kawałek ołówka, a jeden stanął na „cynk“ przy kratach pilnować, by dozorca nie podejrzał, że jest ołówek w celi, co było surowo wzbronione.

Wszyscy z ciekawością wyskoczyli z łóżek, na których mieli pozwolenie spać w dzień, jako pracujący po nocach, i poczęli przyglądać się mnie i egzaminatorowi, który rysował na ścianie jakieś narzędzie złodziejskie.

Jeden starszy już więzień rzucił uwagę:

— Ty się najpierw spytaj, jakim on jest złodziejem, może on jest doliniarzem, to takich gratów zapewne nie zna.

— Niech rysuje co chce, — zawołałem dumnie.

Wszyscy patrzyli na mnie teraz z zachwytem, a Józek zawołał:

— To jest dobry Żyd, musi też być i dobry złodziej. Całą torbę nam oddał.

— Milcz tam, chamie, nie wtrącaj się do złodziei. Tu „żłoby“ głosu nie mają.

Józek zarumienił się; zapewne zgniótłby jedną ręką tego, co go obraził, ale czując, że tu nie ma swojej bandy, zamilkł i roztworzył gębę, przypatrując się ciekawie rysunkowi.

— Powiedz, co to jest za kawałek, — zapytał mnie egzaminator. — Jak zgadniesz, to ci sam grabę podam.

— Pojedyńczy.
— A to?
— Dubeltowy.
— A to?
— Maskas.
— A to?
— Szaber.
— Dosyć, — krzyknął jeden z przyglądających się.
— Tak, — wołał drugi, — to „klawisznik“.
Rozglądając się dumnie po obecnych, zawołałem:
— „Pudlo“ też potrafię zrobić. Niejedno już rozprułem.
— No, no, powoli, — zawołał ten sam, który radził, by mnie spytano, jakie kradzieże robiłem.
— Pudło to nie klawisz, trochę już bujasz, — dodał z przekonaniem.
— Trzeba mu kazać narysować „raka“, — mówił jeden z przyglądających się.
— Ma rację, dać mu „robaka“, niech rysuje.
Wziąłem ołówek i narysowałem raka i kilka innych oryginalnych narzędzi kasiarskich.
Wszyscy po tym egzaminie jednogłośnie uznali, że jestem nietylko złodziejem, ale i dobrym „urke“ — fachowcem.
Starszy celi podszedł do mnie i podając mi rękę, zawołał:
— No, brachu, nie gniewaj się na mnie. Myślałem po twojem zachowaniu się, żeś frajer. Ale teraz dostaniesz najlepsze łóżko o tu, przy samem oknie.

XIX.

Muszę teraz przemówić kilka słów do szanownego czytelnika. Coprawda postanowiłem w drugim tomie nie filozofować, a pisać tylko suchą rzeczywistość; rzeczywistość straszną, nędzną, podłą, która niejednego z czytelników może odstraszyć, a nawet wzbudzić wstręt do podobnych opowiadań.
Wiem to także i zdaję sobie sprawę, że znajdą się tacy, którzy powiedzą: Zbrodniarz stara się opisać tendencyjnie swoje przeżycia, by wzbudzić litość w sercu prokuratora

i sędziego dla siebie na przyszłość i dla swoich kolegów po fachu, aby mogli broić bezkarnie.

Nie, wcale nie! Kto tak sądzi, jest w błędzie. Nie to jest moim celem. Nie piszę też pamiętnika dla swojej przyjemności, aby mówić o sobie i z całym cynizmem opowiadać o swoich występkach. Nie chcę też, żeby mówiono o mnie, że posiadam pewne zdolności literackie, gdyż nigdy nie przyznam się, że jestem autorem tej książki, choćby wychwalano ją, że jest dobrze, czy bardzo dobrze napisana. Byłoby to, jakbym sam sobie nalepił na plecy kartkę z napisem: „Jestem podłym, najpodlejszym pod słońcem zbrodniarzem". Pragnę tylko przedstawić nagą prawdę o życiu człowieka ze świata pogardzanych przez wszystkich. Rozróżnienie dobrych i złych stron takiego człowieka Tobie pozostawiam, czytelniku, w zupełności. Nie narzucam też nikomu swojego przekonania. Ale trzeba zawsze pamiętać o tem:

„Nie sądźmy, abyśmy nie byli sądzeni".

Kara za przestępstwo, według mnie, być musi. Ale ta kara nie powinna być wymierzana z drakońską surowością. Kara powinna być taka, by nie wzbudzała w skazanym pragnienia zemsty. Trzeba pamiętać o tem, że każdy skazaniec pochodzi z tego społeczeństwa, które może bezwiednie przyczyniło się do tego, by skazaniec został tem, za co go napiętnowano.

Każdy człowiek, choćby najgorszy, ma poczucie winy i kary. Przestępca także wie, że na karę zasłużył. Ale ta kara nie może być wymierzana według suchych, martwych słów prawa. Wiadomo, że ani kara ani przestępstwo nie mogą być mierzone łokciem, ani ważone na funty; nie można ich akuratnie odmierzyć. Jedna tylko wyrozumiałość ze strony społeczeństwa i sędziów może się przyczynić mojem zdaniem do zmniejszenia, a nawet zczasem do zupełnego wykorzenienia przestępstwa. Niema ludzi złych i dobrych, jak to już Hamlet powiedział: „niema rzeczy, któraby sama z siebie była dobra albo zla. Myślenie nasze czyni ją dopiero taką, to jest zlą, albo dobrą".

Długoletnia kara więzienia, mojem zdaniem, — mówię to z obserwacji, — nikogo nie poprawiła i nie poprawi. Więzienie to narkotyk, którego przestępca pochłania coraz to większą dozę. Zczasem narkotyk ten przestaje zupełnie dzia-

łać i największa doza nawet już nie pomaga. Recydywista powraca do więzienia jak do kochanki, którą na jakiś czas opuścił. Człowiek mojem zdaniem czuje strach i odrazę do więzienia, zanim je poznaje; trzeba go więc straszyć więzieniem jak najdłużej.

Rację miał wielki pisarz Dostojewski, kiedy powiedział: „Człowiek jest bydlęciem, które do wszystkiego się przyzwyczaja; bydlęciem jest nawet najprawdziwszy, stuprocentowy gentleman, niezależnie od narodowości, Anglik czy Chińczyk i niezależnie od ideologji; monarchista pruski, czy komunista rosyjski, każdy człowiek przyzwyczaja się prędko do wszystkiego: do zbrodni, do nędzy, do głodu i do więzienia".

Biada temu, który w chłopięcym wieku przekroczy próg więzienny. Jeden na tysiąc mojem zdaniem zdolny jest własnemi siłami oprzeć się, by po raz drugi tam nie wpaść. Tylko ten może nie powrócić po raz drugi, którym zaopiekuje się po opuszczeniu więzienia mądra, wyrozumiała i silna ręka. Ten wraca do społeczeństwa. Jednakże nie każdy jest takim szczęśliwcem, większość nowicjuszów jest przeznaczona na zagładę.

Czytelniku! Domyślam się, że po przeczytaniu tego, co wyżej powiedziałem o więzieniach i karze, zapytasz mnie: więc jak karać, aby kara była odczuta, jako zasłużona i jak zrobić, ażeby zmniejszyć ilość przestępstw?

Więc odpowiem. W interesie samego społeczeństwa leży, by kara wymierzona była sprawiedliwie. Sędzia musi pamiętać o tem, że dzisiaj on sądzi, a jutro może być sądzonym, o ile naturalnie to samo społeczeństwo, które reprezentuje, dowie się, że coś przekroczył przeciwko prawu. Niema mojem zdaniem ludzi, którzyby nie byli w konflikcie z przepisami prawa, choćby to byli sami sędziowie. Różnica jest tylko w tem, że na przeciętnego śmiertelnika sprawiedliwość zwraca baczniejszą uwagę, wskutek czego dostaje się on prędzej na ławę oskarżonych, niż ten, co stoi przy żłóbku napełnionym sprawiedliwością. Takiemu prędzej wszystko ujdzie bezkarnie. Im bardziej sędzia jest srogi w wymierzaniu sprawiedliwości, tem więcej trzeba wątpić, aby sam był w zupełnym porządku.

Sędziami, mojem zdaniem, powinni być wyrozumiali ludzie znający życie wszechstronnie. Powinni więcej studjować kwestję, skąd przestępstwo powstaje, gdzie mieści się jego zarodek, aby zapobiec występkowi, a nie badać, jaką karę należy dać przestępcy. Kara więzienia jest tylko unieszkodliwieniem przestępcy na jakiś czas i zemstą ze strony społeczeństwa, a nie wykorzenieniem przestępstwa. Zemsta rodzi zemstę i nic więcej.

Więzienia powinny być domami pracy i szkołami. Administracja powinna składać się z ludzi inteligentnych i pracujących ideowo, jakich u nas nie brak, a nie służyć w więzieniu poto, by gnębić więźnia i czekać pierwszego na pensję.

Zaręczam, że wówczas kara więzienia nie wywoływałaby pragnienia zemsty ze strony skazanego, który wymierzoną słusznie przez sędziów karę przyjąłby jako pokutę za grzech popełniony. Większa część skazańców napewno wróciłaby do społeczeństwa.

Zmniejszenie ilości przestępstw tembardziej leży w interesie społeczeństwa, iż traci ono więcej moralnie i więcej je kosztuje utrzymanie władzy wykonawczej poto, by karać przestępcę, niż kosztowałyby środki zapobiegawcze, kulturalne, aby człowiek doszedł do tego punktu rozwoju, by mógł sam odróżnić, co jest dobre, a co złe.

Każdy laik wie o tem, że głód jest najpotężniejszym dyktatorem zbrodni i występku w życiu ludzkiem. Tu należy szukać głównego źródła występku. Przed sądem można się tłumaczyć, wobec głosu sumienia można się usprawiedliwić. Żołądek zaś nie przyjmuje żadnych tłumaczeń i domaga się swoich praw, wszystko jedno, za jaką cenę. Żołądek jest to wierzyciel, który weksli swoich dłużników nigdy nie dopuszcza do protestu. Gdy zawoła: Płacić! — nic tu nie pomoże. Żaden człowiek nie jest mojem zdaniem urodzonym zbrodniarzem. Zapracowany kawałek chleba lepiej smakuje i spokojniej go się spożywa, niż kiełbasę skradzioną. Ale tę pracę, ten zarobek trzeba mieć.

Rozmawiałem wiele razy z więźniami, którzy po wyjściu na wolność znowu wracali do więzienia. Każdy z nich uskarżał się, że nie chciano mu, wiedząc o jego przeszłości, dać pracy; dlatego właśnie zmuszony był spróbować po raz

drugi szczęścia... Człowiek, który nie zna więzienia i nigdy w życiu nie spróbował występnego życia, umrze raczej z gło-du, a nie wejdzie w konflikt z kodeksem karnym. Natomiast wykolejeniec, by zaspokoić swój żołądek, do wszystkiego jest zdolny.

W interesie społeczeństwa leży, aby popierać towarzystwa opieki nad więźniami po wyjściu z więzienia. Trzeba dawać im pracę — pomimo, że w dzisiejszym kryzysie ekonomicz-nym są tysiące ludzi uczciwych bez pracy i dachu nad gło-wą, — a nie wydawać pieniądze na zabezpieczenie przed zło-dziejami, które i tak nie pomaga. Jak to mój nauczyciel Cwajnos mawiał:

— Pamiętaj o tem raz na zawsze, frajerze, co jeden czło-wiek zbuduje, drugi człowiek potrafi zepsuć.

Kasa ogniotrwała, zamki patentowane i żelazne kraty w wielkich magazynach zachęcają tylko do popełnienia tam kradzieży. Zamknięte na klucz mieszkanie, albo kłódka po-wieszona na drzwiach jest tylko znakiem dla złodzieja, że może śmiało przystąpić do roboty, gdyż nikogo tam nie za-stanie.

XX.

Zbliżyło się wreszcie Boże Narodzenie 1919 roku. Zawsze przed uroczystem świętem daje się odczuć między więźnia-mi po wszystkich więzieniach przygnębienie. Niejeden przy-pomina sobie dom rodzinny, stół świąteczny, którego jest pozbawiony może od kilku lat i kto wie, czy w przyszłym roku uciechy tej dozna.

Najwięcej przygnębienia daje się odczuć między chrześci-janami. W celach więziennych w dni świąt Bożego Narodze-nia panuje cisza. Więźniowie nie kłócą się ze sobą. Biedniej-szym więźniom zamożniejsi dają skosztować świątecznych specjałów otrzymanych z domu.

W mojej obecnej celi siedzieli także więźniowie-kucharze. Starszy kucharz, znany w świecie przestępczym pod pseudo-nimem „Dyrda“, miał wpływ na wszystkie cele jako starszy człowiek i doświadczony włamywacz. W noc wigilijną śmie-tanka celi urządziła sobie „złodziejską kolację“. Na kuchni

nasmażyli kilka kilo kiełbasy i innych wędlin. Ciasto przyniesiono z wolności. Więc niczego na stole nie brakło. O godzinie piątej wieczorem już w celi zapanował nastrój świąteczny. Kolację dano także lepszą i tłustszą niż zwykle. W celi można było spostrzec po kilka gromadek siedzących na jednem łóżku i częstujących się nawzajem. Opowiadano sobie także o swoich przeżyciach i o tem, co kogo zagnało do murów więziennych.

Najkrzykliwiej i najweselej zachowuje się w celi kategorja pierwsza; wśród niej góruje Dyrda. Dyrda bowiem jest wesoły, bardzo wesoły. Ostatnie święto Bożego Narodzenia spędza w Mokotowie. Za dwa tygodnie ma być wolny po odsiedzeniu ośmioletniej kary, na którą skazały go sądy niemieckie, a z której Polska darowała mu połowę.

Ja siedzę na łóżku w pozycji półleżącej, przypatruję się i obserwuję ucztujących więźniów. Patrzę na gości, którzy także tu przybyli w odwiedziny do Dyrdy i biorą udział w uczcie wyprawionej przez niego. Oczy wszystkich także zazdrośnie patrzą w ich stronę. Stół zastawiony jest obficie potrawami. Wszyscy należą tu do elity świata przestępczego; więc i w więzieniu nieźle im się powodzi. Jeden z przybyłych, łat około 35-ciu, o dobrodusznym wyglądzie, z zaokrąglonym brzuszkiem małomiasteczkowego burżuja, wydaje mi się znajomy: chyba go już gdzieś widziałem. Patrzę na niego, nie mogę sobie jednak przypomnieć. Widząc, jak go tu chętnie witano i jak wszyscy ciągle się do niego zwracają, częstując go najlepszemi kąskami, wywnioskowałem, że jest dobrym „fachowcem". Wtem oczy nasze spotkały się.

— Ty, — zwrócił się do Dyrdy, — kto to jest?

Cała śmietanka spojrzała na mnie.

— To Żydek, — odparł jeden z ucztujących. — Przyjechał z Łomży i pracuje już kilka tygodni na piekarni.

— A nie wiesz, za co siedzi? — zapytał grubas. — Ja go skądś znam, ale nie mogę sobie przypomnieć.

Słyszałem wszystko, choć udawałem, że nie słyszę, a gdy powiedział, że także skądś mnie zna, odezwałem się:

— Ja pana także znam i nie mogę sobie przypomnieć.

Grubas zbliżył się do mnie, przypatrywał mi się dobrą chwilę, poczem radośnie zawołał:

— Nachalnik, to ty?

Usiadłem na łóżku.

— Tak, to ja, ale nie mogę sobie niczego przypomnieć.

Zbliżył się do mnie i szepnął mi kilka słów do ucha, poczem już padliśmy sobie w objęcia.

Cała cela patrzyła zdziwiona, a śmietanka kolejno ściskała mi rękę. Momentalnie ściągnięto mnie z łóżka i zasiadłem na honorowem miejscu przy Dyrdzie.

Na moją cześć wyciągnięto z ukrycia dwie butelki wódki i pito za moje zdrowie i za zdrowie wszystkich złodziei.

Nikt nie śmiał pytać, co za tajemnica nas łączy; jednakże zmiarkowali, że należę do „lepszych" i potraktowano mnie jak swego.

Grubas miał sześć lat za kantor wymiany, gdzie chciał się przekonać, czy stojąca tam kasa ogniotrwała zawiera coś z gotówki i dlatego ją rozpruł. Znałem się z nim z Niemiec, gdzieśmy nawet raz wspólnie „zgrzeszyli". Był on Warszawiakiem. Dziś mieszka w Poznaniu, ma dwa składy obuwia i mówi sam, że jest porządnym człowiekiem, za jakiego też tam uchodzi.

Po spożyciu kolacji i wypiciu wódki, humory poprawiły się. Zaproszono frajerów, aby nam śpiewali złodziejskie piosenki. Jeden chłopiec śpiewał nam zacną złodziejską piosenkę, a miał śliczny glos:

Jak mnie prowadzili, muzyka grała,
Matka zemdlała, kochanka płakała,
Nie chciałem słuchać ojca i matki,
Muszę teraz siedzieć w klatce.

Nie słuchałem siostry, brata,
Przez co siedzę cztery lata,
Prokurator nauczył mnie czytać i rachować,
A pan sędzia ukraść i dobrze schować i t. d.

Śpiewano dużo innych piosenek. Dyrda, z radości, że niezadługo będzie mógł kraść nanowo, ryczał na cały głos, aż oddziałowy, który był „blatny" i który gości puszczał tu bez wiedzy wyższej władzy, a który jak mi się zdaje także wódki dostarczał, zwrócił mu uwagę, aby się ciszej zacho-

wywał, bo starszy może usłyszeć w dyżurce na dole. Dyrda jednak trochę podpity, nie słuchał i śpiewał dalej:

> A dieńgi wasze budut nasze. Dawaj ich siuda!
> A jeśli ty mnie nie dasz,
> Zastreliu tiebia siejczas,
> I pogibniesz nawsiegda.

Stało się inaczej, jak się później dowiedziałem. Dyrda w miesiąc po opuszczeniu murów więziennych, został zamordowany przez swoich wspólników.

Dyrda opowiedział nam o swoich zamiarach po opuszczeniu więzienia. Najpierw, — mówił, — walnę w łeb mojej żonie, która zdradziła mnie z moim wspólnikiem. Później zaś zrobię jedną dobrą robotę na mokro i zabastuję. Dosyć już nasiedzialem się po więzieniach, trzeba na starość odpocząć.

Kolega mój, grubas, zwrócił mu uwagę:

— Wstydź się, Dyrda, żebyś ty chodził na mokrą robotę! Jesteś dobrym „urke" i pocichu zarobisz. Jak wpadniesz, dostaniesz „gimzy", albo „kolo". Nie, nie radzę ci tego. Żony też nie radzę ci mordować. Ona nie jest winna. Wpadłeś do więzienia za Niemców na osiem wiosenek, co równało się śmierci, więc co ona — młoda kobieta — miała zrobić? Powiedz tak prawdę, gdyby twoja żona dostała nawet choćby sześć miesięcy, czy tybyś czekał, i nie wziął innej? Zresztą zostawiłeś ją z drobnemi dziećmi, a majątku napewno nie zostało po tobie. Wiem, jakie ty hulaszcze życie prowadziłeś. Wszystko przepijałeś z kur.... Więc jakie ty masz pretensje? Daj lepiej spokój, — zakończył.

Dyrda zerwał się z łóżka, objął go za szyję i szlochając pijackiemi łzami zawołał:

— Masz rację, brachu. Ty zawsze rozsądnie mówisz. Usłucham cię, gdy wyjdę, pójdę do żony i przeproszę ją. Powiem, żeś to ty tak mi kazał postąpić.

Wszyscy mrugali do siebie znacząco, a jeden odezwał się:

— Kiedy ty wyjdziesz za bramę, a wolnościowe powietrze obejmie cię, zapomnisz o tem, co tu przyrzekleś i zrobisz swoje. Znam cię dobrze, jesteś mściwy, jak pies, stary lobuzie. Ty w dwunastym roku zabiłeś mojego bra...

Nie zdążył powiedzieć więcej, gdyż otrzymał silny cios w twarz. Wszyscy zerwali się z miejsc, gotowi do bójki. Kilku stanęło po stronie Dyrdy, a reszta była przeciw niemu. Tamten śmiałek po otrzymaniu ciosu zerwał się z podłogi; w ręku jego zabłysnął nóż. Kto wie, do czegoby doszło, gdyby nie dozorca oddziałowy, który na odgłos groźnych okrzyków przybiegł i wpadł do celi.

— Jazda do cholery, co wy tu robicie! Ja wpuściłem do was gości, a wy chcecie się tu lać? Wychodź! Już was tu niema, psiakrew...

Wypchnął z celi tego gościa, który spowodował bójkę. Grubas pożegnał się ze mną i także opuścił celę, mówiąc do mnie:

— Bądź spokojny, Nachalniku. Ja tu powiedziałem, kim jesteś i krzywdy ci tu już nie zrobią. Jak będziesz potrzebował załatwić na lewo „gryps", to daj mi znać, ja dla ciebie wszystko zrobię.

Po wyjściu gości z celi Dyrda jeszcze wygrażał, a dozorca rozkazał natychmiast położyć się do snu.

Praca na piekarni była ciężka, jednakże chętnie pracowałem, szukając w pracy zapomnienia o wszystkiem, co mi dolegało. Za pracę otrzymywałem funt czarnego chleba; z tego połowę posyłałem zawsze Szoferowi, który pracował już na ślusarni i który z dnia na dzień mizerniał w oczach. Jedzenie chleba na piekarni było surowo wzbronione. Groziło za to straszne przestępstwo kilka kar naraz. Werkmistrz piekarni w randze starszego dozorcy, był to mężczyzna wysokiego wzrostu, tęgi, o zrośniętych brwiach, wąskich wargach i haczykowatym nosie, z dużemi rudemi wąsami groźnie opuszczonemi wdół. Był zawsze milczący i sztywny, — prawdziwy typ i charakter, jakich wymaga posada dozorcy w więzieniu.

Dozorca dodany mu do pomocy miał za zadanie patrzeć wciąż na więźniów, czy nie poruszają ustami i czy broń Boże nie jedzą chleba. Dozorca ten utykał na jedną nogę, a oczyma jak kot rzucał na wszystkie strony. Czasami nawet jego oczy przybierały kolor oczu kameleona. Udawał, że patrzy w zupełnie innym kierunku, a gdy więzień tylko

poruszył wargami, momentalnie był przy nim. Obmacywał go dokładnie, zaglądał mu do ust, gdy zaś ustalił, że więzień jadł chleb, odprowadzał go natychmiast do dyżurki pana werkmistrza. Ten wówczas wołał groźnie:

— Wiedziałeś, że chleba nie wolno jeść?

— Wiedziałem, panie werkmistrzu, — odpowiadał zwykle więzień.

— A dlaczego, zbrodniarzu, jadłeś, gdyś wiedział, że nie wolno?

— Jeść mi się chciało, panie werkmistrzu.

Wówczas pan werkmistrz wpadał w furję wściekłości.

— Czy wam na oddziele żreć nie dają? Mało ci wieczorem funt chleba po skończeniu pracy? Na wypas przyszedłeś do więzienia, złodzieju jeden!

Kara zwykle kończyła się na tem: gdy delikwent był zawodowym piekarzem albo już się nauczył roboty, skazywał go pan werkmistrz na pozbawienie zarobionego przy pracy chleba na dwa tygodnie. A jeśli powtarzało się to po raz drugi, pisał piękny raport i więzień wędrował na dodatek do karceru. Karcer zależał już od humoru pana inspektora policyjnego, który odznaczał się srogością i dbał o to, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Za te przestępstwa najprędzej wpadali nowicjusze i niefachowi piekarze. Nie wiedząc, jak sobie poradzić, najłatwiej wpadali w wszystkowidzące oko pana dozorcy. Karę wymierzano takiemu z całą srogością. Pan werkmistrz skopał go przyzwoicie nogami, — jak twierdził, takiego zbrodniarza nie warto było dotykać czystemi rękami. Następnie rozkazywał odprowadzić go do celi, pisał raport i „fartowca“ skazywano na karcer, a potem na pojedynkę aż do odwołania. Piekarni już więcej nie widział.

Raz byłem świadkiem takiego wypadku: Nowoprzybyłych przyprowadzano tu niemal codzień, gdyż pan werkmistrz, mając do wyboru 800 więźniów, często ich zmieniał. Do piekarni bowiem każdy się pchał, myśląc o chlebie, którego tam się nałyka. Otóż jeden nowoprzybyły, który przyszedł z celi głodny, chciał, jak mi mówił, raz się dobrze najeść, a potem umrzeć. Ściągnął bochenek chleba, włożył go za pas i usiadł w ustępie, udając, że załatwia swoją naturalną

potrzebę. Przytem smacznie łykał dar Boży. Nie domyślał się nawet biedak, że ten „wcient“ jest znany panu pomocnikowi, którego więźniowie przezwali „Bazyl“.

Ów Bazyl dobrze go obserwował przez judasza i złapał go na gorącym uczynku. Werkmistrz tak go wtedy zbił, że leżał w ustępie bez przytomności ze trzy godziny, a krew waliła mu ustami. Więźniowie widząc to, zaczęli szeptać między sobą. Przybył też i felczer, obejrzał go, posmarował mu czoło jodyną i oświadczył, że napisze raport, iż ten więzień, nie chcąc pracować, symuluje, udając chorego. Widziałem też, jak ten pan „doktór“, za którego się uważał i jak kazał się tytułować, wyniósł w gazecie zawiniątko, wychodząc od pana werkmistrza. Zapewne otrzymał tam w nagrodę ze dwa świeżutkie bochenki chleba.

Czytelnik zapewne pomyśli, że gdy tak pilnowano i karano, to nikt chleba nie jadł; ale myli się okropnie. Jestem pewny, że gdyby dali więźniowi dosyta najeść się chlebem, mniej straciliby na tem. Każdy z więźniów kradł i niszczył chleb na każdym kroku. Chowano po takich dziurach, że nikomu nigdyby na myśl nie przyszło, że tam można schować coś do jedzenia. Chowali chleb w luftach, w węglu, pod drzewem, w śmieciach, w rezerwuarku ustępu. Używano różnych kombinacyj, by przeszmuglować go potem do celi i sprzedać za tytoń.

Jak pracowało nas na piekarni około czterdziestu więźniów, każdy zosobna kradł dla siebie i chował do swoich kryjówek. Nikt cudzej kryjówki nie tknął. Bywało też, że jeden umawiał się z drugim i do spółki kradli chleb, by go zjeść po połowie. Chleb ważył najmniej trzy funty, a jeden nie poradziłby prędko go zjeść. Gdy zaś który nie miał wspólnika, sam zjadał wiele mógł, a resztę spuszczał z wodą w ustępie, by zatrzeć ślady.

Po skończeniu pracy przy rewizji obmacywano nas dokładnie, a jednak chleb wynoszono. Przywiązywano go sobie między nogami, na plecach, przy karku, w rękawie; używano jeszcze wielu innych oryginalnych sposobów. Nas było około czterdziestu, Bazyl był jeden. On nas pilnował, a my jego jeszcze lepiej. Zawsze udawało nam się go otumanić, nie tym sposobem, to innym.

Najłatwiej było wynieść chleb z piekarni, gdy brano nas w dzień do czyszczenia piekarni albo do innej jakiejkolwiek pracy. Bazyl wówczas nie rewidował nas, myśląc, że chleba nie piekliśmy, więc go nie mamy. Z ekspedycji chleba ułożonego już na półkach nikt z nas nie tknął sam, wiedząc, że jest policzony. Kradziono tylko przy wypieku z pieca. Później już Bazyl połapał się i liczył surowe kawałki ciasta przygotowane do wałkowania chleba. Ale i teraz starano się dorzucać, kiedy nie widział, i kradziono tyle, wiele dorzucono. Kiedy liczba się zgadzała, dawał nam spokój i mogliśmy prędzej ukrytą zdobycz jako tako przenieść do celi.

Pewnego razu byłem bardzo głodny, więc skradłem bochenek gorącego chleba i jak zwykle włożyłem go sobie za pas, przyciskając brzuchem; myślałem, że schowam go w swojej „melinie", a później, kiedy trochę ostygnie, to go zjem. Zauważyłem, że Bazyl ma mnie na oku i nie mogłem wyjąć chleba. Brzuch parzył mnie okropnie, tak że nie mogłem wytrzymać. A ten jakby naumyślnie chodził za mną krok w krok. Myślałem wciąż, że mnie śledzi; na złodzieju czapka gore. Nareszcie znalazłem okazję, by wyrzucić bochenek pod worki z mąką. Cały brzuch był poparzony. Bolało mnie kilka tygodni, ale bałem się iść do felczera.

XXI.

Nadeszło lato 1920 roku i wojna z bolszewikami. Więźniowie cieszyli się, że jest ruch. Wojna w pojęciu więźnia równa się wolności. Każdy z więźniów kryminalnych marzy, by się na nią dostać. Wszystko, co pachnie grabieżą, krwią, pożogą — pociąga go. Śledzi z wielkiem zaciekawieniem postępy wrogich armij. Kawałek dziennika skradziony dozorcy, albo porzucony przez niego po zjedzeniu kromki chleba, przyniesionej na oddział, skrawek gazety znaleziony na śmietniku lub jakimś innym sposobem przeszmuglowany z wolności, wędruje tu z rąk do rąk. Więźniowie politykują między sobą na temat patrjotyzmu, a nawet nieraz dochodzi do wymiany „not dyplomatycznych" więziennym sposobem. Znaczy to, że jeden drugiemu podbije oko i tak długo stara się go przekonać, aż tamten zostaje jego zwolennikiem.

Psychologicznie jest zrozumiale, że w zakamarkach duszy więźnia, choćby u najgorszego zbrodniarza, zawsze się znajdzie iskierka wspólnych uczuć i obowiązku wobec ojczyzny i społeczeństwa. Tego samego społeczeństwa, do którego każdy przestępca czuje żal, że nie umożliwia mu powrotu do siebie. O, gdyby tak społeczeństwo umożliwiło nam powrót do siebie i nie wytykało nas palcami, nie gardziło nami na każdym kroku! Większość z nas stałaby się napewno uczciwymi ludźmi, a nawet pożytecznymi, i naprawiłaby błędy młodości. Niestety wiedzą ludzie podobni do mnie, jak opłakana i smutna jest droga powrotu do społeczeństwa. Niejeden z nas błagał, prosił o jakąkolwiek pracę i dach nad głową. Tak długo chodził po ulicach, uliczkach i ścieżkach, szukając pracy, aż trafił na taką drogę, która zaprowadziła go zpowrotem prosto do „mamra".

Nieraz słyszałem wówczas w celi, gdy bolszewicy byli blisko Warszawy, spory i rozmowy; niemal każdy twierdził to samo: „Będę bronił ojczyzny do ostatniej kropli krwi". Co innego jest ojczyzna, a co innego społeczeństwo; to, że społeczeństwo napiętnowało ich jako zbrodniarzy, nie obniża wcale poziomu ich miłości do ojczyzny.

W więzieniu rozeszła się wówczas pogłoska, że jest rozkaz w kancelarji, aby wybrać z więźniów ochotników na front. Prawie wszyscy jak jeden mąż postanowili nadstawić własne piersi najeźdźcom. Pragnęli stanąć w szeregach armji choćby w najgorszym ogniu, by pokazać społeczeństwu, że nie są tak podli, za jakich ich uważają.

Żaden przestępca mojem zdaniem nie ma takiego żalu do wymiaru sprawiedliwości, który pozbawia go wolności na określony przeciąg czasu, jak do społeczeństwa, które skazuje go po odbyciu kary na cale życie, nie chcąc mu dać pracy. Społeczeństwo jest gorsze, gdyż swoją srogością i nieufnością skazuje go na głodową śmierć. Tem samem społeczeństwo samo przeciw sobie wpycha mu do rąk narzędzia zbrodni i — co za tem idzie — przestępca musi powrócić, skąd przybył.

Pamiętam to, jakby dziś, gdy rozniosła się wieść po więzieniu przed początkiem Nowego Roku, że pan naczelnik więzienia mokotowskiego Bugajski ma opuścić Mokotów.

Więźniowie bez wyjątku tak posmutnieli, jakby od pozostania tego naczelnika zależała ich wolność. (Muszę tu powiedzieć, że ja nie mogłem zrozumieć, jak więźniowie mogą do tego stopnia uwielbiać tego, który bądź co bądź ich tu więzi). Ja u tego naczelnika siedziałem tylko około sześciu tygodni, gdyż pożegnał on nas zaraz po Nowym Roku i objął stanowisko naczelnika więzienia na Pawiaku. Naczelnik zaś z Pawiaka, p. Ficke przyszedł na naczelnika do Mokotowa. Nie znalem więc dobrze pana Bugajskiego. Raz jedyny widziałem go na piekarni; wypytywał każdego zosobna o pracę i o zdrowie. Więźniowie, kiedy mówił do nich, patrzyli na niego, jak na własnego ojca. Był to człowiek w średnim wieku, bardzo przystojny, wysoki, o energicznym, myślącym wyrazie bladej twarzy; człowiek szlachetny, wyrozumiały, o wielkiej kulturze, z zawodu prawnik, pracujący ideowo na polu więziennictwa od początku istnienia Niepodległej Polski. Dziś już od kilku lat pracuje w Ministerstwie Sprawiedliwości jako radca w departamencie karnym. Pracuje wciąż wytrwale nad ulepszeniem systemu więziennictwa. Wciąż ukazują się nowe jego dzieła o tem, jak karać, by więzienie dało pożądane skutki, by uszlachetniło duszę więźnia i umożliwiło mu powrót do społeczeństwa.

Wszscy więźniowie kryminalni mówią o nim z wielkim respektem i doprawdy sam przekonałem się w ostatnich latach, jaki przewrót w więziennictwie zrobił ten szlachetny człowiek dla dobra i kultury więźniów. Moje wykształcenie mam też w dużej mierze do zawdzięczenia jemu. On to dążył do tego, aby po więzieniach zakładano bibljoteki i pozwolił trzymać w celi materjały piśmienne. Założył nawet bibljotekę wędrującą dla więźniów. O jego szlachetności miałem później sposobność przekonać się na własnej osobie, o czem dalej będzie mowa. Narazie jednak wróćmy do tematu.

Po Nowym Roku, gdy nowy naczelnik objął władzę, w więzieniu zapanowało przygnębienie. Mokotowem rządził teraz pomocnik naczelnika, p. Dąbrowski. Był to człowiek dość energiczny i uczciwy, ale za to zarozumiały i mało kulturalny. Coprawda napisał on książkę; miałem sposobność ją czytać. Dość trafnie udało mu się ująć dolę więźnia po

wyjściu z więzienia na wolność; reszta to mojem zdaniem literatura i nic więcej. Ja siedziałem piętnaście lat w rozmaitych celach, z różnymi więźniami. Zapewne przede mną więzień mówiłby szczerzej, niż to opisuje autor, opowiadając przebieg pewnej rozmowy, którą podsłuchał. Znam ja dobrze bohaterów tego opowiadania i zaręczam, że podobnej rozmowy o „robotach“ nigdy nie mogli prowadzić tak, by on ją mógł podsłuchać. Zresztą nie chcę się bawić w krytyka, powiedziałem tylko to, co wiem sam, znając materjały z jakich książka ta powstała.

Po wszystkich korytarzach więziennych wywieszono tablice z pięknemi napisami:

„Bądź moralnym, a będziesz szczęśliwym“. „Za używanie niemoralnych słów będziesz surowo karany“.

Muszę tu powiedzieć prawdę, że więcej dla uszlachetnienia dusz i ciał naszych, prócz tych tablic, nie dał nam nic. Kajdanki, karcer, pojedynki, — to, to i owszem.

Pogłoski o wojnie znów rozweseliły twarze więźniów, smutne po utracie tak dobrego naczelnika. Pewnego dnia, — o ile pamiętam, było to w lipcu, — patrzyłem z innymi więźniami przez okna piekarni, które oprócz krat miały jeszcze nałożone druciane siatki, aby więźniowie nie mogli wydawać chleba zamiataczom podwórza. Przyglądaliśmy się rozweseleni, jak pan inspektor wraz z innymi inspektorami wywoływali według nazwisk więźniów, ustawionych uprzednio przez dozorców. Puszczono na wolność małe wyroki, — o ile mi się zdaje, do roku więzienia, — a także tych, którzy należeli do wojska, a nie przekraczali półtorarocznego wyroku.

W serca więźniów z dużemi wyrokami wstąpiła nadzieja, że i na nich czas przyjdzie i pójdą na front. Tego dnia przyszedłem z pracy zmęczony, gdyż pieczono teraz z amerykańskiej mąki chleb dla wojska na front. Muszę też powiedzieć, że rygor na piekarni trochę się rozluźnił i od czasu do czasu udawało się coś ugryźć z tych amerykańskich darów Bożych.

W czasie kolacji krążyło nad Mokotowskiem więzieniem kilka ledwie dostrzegalnych samolotów. Strzelano gdzieś zbliska z armat i domyśliliśmy się, że są to samoloty wroga i że nieprzyjaciel musi być blisko Warszawy. Wtem huk-

nęło raz i drugi, tak głośno, jakby bomba wpadła do naszej celi. Po kilku minutach usłyszeliśmy płacz i jęki. Przed samem oknem przeniesiono na noszach do szpitala zabitego dozorcę i chłopca starszego dozorcy Kałam... Nieszczęśliwy ojciec wydzierał sobie włosy z głowy, mówiąc do nas płaczliwym głosem:

— Chłopcy drodzy, dziecko mi zabili! Oj, Boże, oj, Boże!

Nikt z więźniów nie śmiał teraz naigrywać się z nieszczęścia, mimo, że był on tu znanym oprawcą więźniów z cel pojedyńczych. Ten człowiek nieczuły na łzy i jęki więźniów, człowiek, który ich gnębił w okrutny, sadystyczny sposób, teraz płakał na widok trupa swego dziecka. Zrozumiał zapewne w tej chwili, że i my także należymy do ojców i matek, które także po nas płaczą. Jeden tylko więzień, który miał „kolo", a dłuższy czas siedział pod jego knutem w pojedynkach, zawołał wzruszony:

— Teraz przekonałem się i wierzę, że jest Bóg, który karze za zło i krzywdy ludzkie. Bóg go skarał za naszą krzywdę. Nie będzie już zapewne mówił do więźniów: „Jeden Bóg jest na niebie i jeden ja tu w pojedynkach".

Trzeba przyznać, że po tym wypadku stał się on rzeczywiście o wiele lepszy dla więźniów; ale jeszcze niezupełnie.

XXII.

W parę dni po wyżej opisanym wypadku, zupełnie niespodziewanie pewnego wieczora po apelu, kazano więźniom z dużemi wyrokami z cel ogólnych i pojedyńczych, spakować swoje manatki i szykować się w drogę. Nikt nie wiedział dokąd i dlaczego. Było to tak nagle i tajemniczo zrobione, aby więźniowie nie mogli przysposobić się do jakiejś ucieczki po drodze.

Z naszej celi zabrano także kilku piekarzy z dużemi wyrokami. Nie patrzano wcale na to, że na piekarni zabrakło rąk do pracy. Od tego dnia, codziennie wysyłano partje więźniów do ziemi poznańskiej.

Z więzień kresowych, więźniów z wyrokami ponad dwa lata przypędzono do Mokotowa. Tu siedzieli nie dłużej, jak

po parę dni, poczem gnano ich dalej do więzień poznańskich. Najwięcej tych odpadków i balastu dla państwa podczas wojny, umieszczono w znanych ciężkich więzieniach: Wron-ki, Rawicz, Koronowo, Grudziądz. Administracja z kreso-wych więzień jechała razem z więźniami, trzymając straż nad nimi.

Pewnego dnia, przechodząc z celi przez podwórze do pie-karni, usłyszałem, jak ktoś wołał mnie przez okno po imie-niu. Spojrzałem w górę; głos ten pochodził z szóstego od-działu, z najwyższego piętra więzienia. Tam właśnie umie-szczeni byli więźniowie przybywający z kresów, przeznacze-ni do transportu. Nie mogłem poznać tego więźnia; jednak-że glos wydawał mi się dobrze znany. Po jakiejś godzince wręczono mi „gryps". Czytając go, odrazu przypomniałem sobie, kim jest ten, który wołał mnie po imieniu. Prosił mnie w „grypsie" o kawałek chleba i donosił, że ma sześć lat więzienia i idzie z transportem.

Był to kolega z dawnych chederów. Przypomniałem sobie lata dziecięce. Jak żywy stanął mi przed oczyma obraz tego koleżki w chederze. Widziałem, jak oskarżała go matka, że skradł jej 10 kopiejek i za tę ogromną sumę kupił sobie cu-kierków. Widziałem, jak wówczas rebe, z miną średnio-wiecznego sędziego, w obecności matki i uczniów w chede-rze prowadził śledztwo. Widziałem oczyma wyobraźni, jak po odejściu matki, rebe rozkazał tym chłopcom, którzy brali udział w jedzeniu cukierków, a do których i ja należa-łem, rozkrzyżować złodzieja na podłodze, poczem każdy ze wspólników, musiał wyliczyć mu po pięć rózeg na gołe ciało.

Widzę, jak potem rebe rozkazuje nam ułożyć się i już własnoręcznie każdemu zosobna odlicza pewną ilość rózeg, — tyle, wiele mu jego pobożna dusza nakazywała. Po skoń-czonej zaś egzekucji srogi w swej sprawiedliwości rebe je-szcze nie jest zadowolony i wymierza złodziejowi straszną dla nas wówczas karę. Karę taką zwano „pekuł".

Kara „pekuł" polegała na tem: Rebe stawiał chłopca przy drzwiach, odpinając majtki i zadzierając koszulę po samą szyję. W lewą rękę wtykał mu miotłę; prawą zaś musiał przytrzymywać sobie koszulę, by nie opadła. Następnie na komendę rebego musieli chłopcy kolejno przemaszerować,

a każdy pluł mu na nagi tyłek, wołając przytem: „Ganew". Chłopiec stał tak długo w tej pozycji, aż rebe nasycił się zemstą i łaskawie kazał mu usiąść na miejscu.

Pamiętam to, jak dziś. Widzę straszną twarz tego chłopca, wykrzywioną bólem i wstydem. Czyż dziewięcioletnie dziecko, ukarane w tak haniebny i okrutny sposób, mogło stać się czem innem, jak kryminalistą?

Posłałem mu moją zarobioną porcję chleba. Było to wszystko, co mogłem zrobić dla swojego kolegi z lat dziecinnych.

Codziennie wysyłano stąd transporty więźniów. Z całego więzienia pozostało zaledwie kilkunastu więźniów: kilku piekarzy, dwóch kucharzy, dwóch palaczy na kotłowni, reszta zaś do utrzymywania porządku na korytarzach i podwórku więziennem. Bolszewicy byli blisko Warszawy.

Szofer także poszedł na zachód. Żegnał się ze mną, jakby szedł pod słupek. Przy rozstaniu mówił do mnie wzruszonym głosem i ze łzami w oczach.

— Mam przeczucie, — mówił, — że nigdy więcej w życiu się nie zobaczymy. Może być, że umrę w więzieniu albo ucieknę, ale to wiem, że nigdy się już nie zobaczymy. Żegnaj; nie mamy żalu jeden do drugiego, że tu wpadliśmy. Dziękuję ci, żeś się dzielił ze mną ostatnim kawałkiem chleba, jak porządny wspólnik. Zapewne ty tu zostaniesz, nie wyślą cię stąd. Życzę ci wolności i nie myśl o mnie źle.

Uściskaliśmy się przez kratę celi, gdyż przybiegł specjalnie za pozwoleniem dozorcy, by się ze mną pożegnać. Oddałem mu resztę zapasów, które sobie przyszykowałem na drogę i rozstaliśmy się na zawsze.

Było tak, jak Szofer przewidywał: nie wysłano mnie stąd. Pracowałem teraz bardzo ciężko, gdyż pieczywa wymagano coraz więcej, a robotników nie było.

Wszystkich pozostałych zebrano w jednej celi. W całem więzieniu panowała martwa cisza. Nie słychać było więcej huku warsztatów i gwizdków fabryki więziennej. Zamilkły też kłótnie, bójki, narzekania i jęki ludzkie. Mokotów, — smok pożerający ludzi żywcem, — opustoszał. Szczury, myszy, koty zbłąkane miały teraz opróżnione gmachy do swojej dyspozycji. Gołębie oswojone z więźniami, których było

i jest tam do dziś dnia bardzo dużo, daremnie latały pod oknami cel, wypatrując czy jakaś łaskawa ręka więźnia nie wyrzuci im części swego pokarmu. Przechodząc przez podwórze do pracy doznawałem wrażenia, że jestem na bezludnej wyspie i oczekuję ukazania się okrętu, który mnie z niej wybawi.

Zbawienia mego byłem teraz pewny, będąc przekonany, że tych kilku pozostałych więźniów dziś-jutro puszczą na wolność. Jednakże i tym razem nadzieja zawiodła mnie, jak i wszystkie moje nadzieje, których miałem w życiu bardzo wiele. Przekonałem się po raz nie wiem który, że nadzieja jest matką głupich i nic więcej. Jestem święcie przekonany, że gdybym wynalazł środek, którym możnaby było zawojować świat, właśnie wtedy przestanoby wojować, braterstwo i zgoda zapanowałyby na całym świecie.

Nadszedł dzień 16-go sierpnia. Wieczorem tegoż dnia zauważyłem w celi, że kilku więźniów należących do śmietanki ma tajemnicze miny i zmawia się po kątach. Zdziwiło mnie, że przede mną się kryją, nie chcąc mnie wtajemniczać w jakąś podejrzaną sprawę, korzystną zapewne, sądząc z twarzy i oczu błyszczących chciwością posiadania czegoś drogiego.

Wiedziałem dobrze, co oznaczają takie dziwne ogniki i kolor oczu u ludzi tego świata. Nieraz widziałem to w ostatniej chwili przed udaniem się na niebezpieczną wyprawę po jakiś smaczny lup; nieraz na początku mojej karjery na widok takich oczu, dreszcz przechodził mnie po całem ciele.

Na widok tajemniczego zachowania kolegów ogarnął mnie niepokój i wstyd, że mnie, którego uważano już tu za swojego, nie chcą wtajemniczyć. Starałem się uchwycić jakieś słówko, jednakże daremnie. Zachowywali się tak tajemniczo, że w żaden sposób nie mogłem uchwycić, o co im chodzi.

Ucieczka, napewno ucieczka, — pomyślałem. Jednakże prędko odrzuciłem tę myśl. Poco uciekać, skoro i tak każdy z nas spodziewał się lada dzień zwolnienia. Wtem jeden z wtajemniczonych zbliżył się do mnie i nieznacznym ruchem wskazał mi, bym wszedł za nim za sienniki. Tu nachylił się do mnie przykładając usta do samego ucha i szeptem podobnym do syku jakiegoś gada, przemówił:

— Słuchaj dobrze. Najpierw podaj mi „grabę“, że jeżeli nawet nie przystaniesz do naszej „ferajny“, nikomu nie piśniesz słówka o tem, co ci teraz powiem.

Nic nie mówiąc podałem mu rękę. On jeszcze bliżej przysunął się do mnie.

— Powiem ci teraz coś zupełnie nie do uwierzenia. Powiedz, czy chcesz należeć do roboty, o jakiej jak świat światem, nikt jeszcze nie pomyślał? Ale muszę ci też powiedzieć, że to będzie bardzo trudny orzech do zgryzienia. Potrzeba dużo sprytu, wszystko musi być dobrze obmyślone. Grunt, żeby mieć blatnego dozorcę, inaczej wszystko na nic. Rozumiesz?

— Rozumiem wszystko, — odparłem , — gadaj, o co idzie.

— O co idzie, pytasz się. Nawet się tego domyśleć nie możesz. Twoja mózgownica jest za głupia, by się tego domyśleć.

— Mówże już, — zacząłem się denerwować, — albo idź do djabła i nie zawracaj mi gitary.

— Tylko się nie denerwuj. Mówię ci, że los nam się uśmiecha. Szczęście nas czeka. O, żebyś ty wiedział, — wołał już zachwycony coraz głośniej.

— „Odknaj“ się ode mnie, gadasz i gadasz i nic nie mówisz. Powiedz już wreszcie, co masz do powiedzenia.

— Chcesz mieć cały wagon forsy? — zapytał nagle.

— Cały wagon forsy? — zapytałem zdziwiony. — Oszalałeś, chyba nie wiesz, co gadasz.

— Ja nie wiem, co gadam? Tadek, chodź no tu.

Tadek, który stał i pilnował dostępu do sienników, zbliżył się także do mnie.

— Powiedz mu ty, Tadek, o wszystkiem, mnie on nie wierzy.

— Wierzę mu, — odparłem, — tylko nie mogę zrozumieć o jakiej forsie mówi.

Tadek, chłopak do rzeczy, kazał mu stanąć na „cynk“ na miejscu, gdzie on poprzednio stał i począł mi tłumaczyć:

— Słuchaj, brachu! Wczoraj o północy przywieziono na kotłownię szesnaście wagonów pieniędzy do spalenia. Slyszysz, — szesnaście wagonów forsy! Całą noc nie spałem,

myśląc, jak się dostać na kotłownię i do forsy. Cały dzień myślałem nad tem i doszedłem do przekonania, że wszystko się da zrobić.

— Skąd ty wiesz o tem? — przerwałem mu. — Może to bujda. Kto będzie palił pieniądze?

— Jakto, nie rozumiesz? Bolszewicy są blisko Warszawy; nasi chcą spalić pieniądze, aby nie wpadły im w ręce.

— Teraz rozumiem, ale powiedz, skąd ty wiesz o tem?

— Palacze mówili. Dzisiejszej nocy palili już forsę, a nawet udało im się przynieść kilka banknotów po 1000 marek. Tu obejrzał się na wszystkie strony i wyciągnął kilka papierków, wymachując niemi w powietrzu.

Nie dowierzałem własnym oczom. Były to nowe banknoty tysiącmarkowe z pod prasy; aż dusza śmiała się do nich. Uradowany zawołałem:

— Dobrze, mów, co mam zrobić, wszystko zrobię.

— Więc słuchaj. Za dwa, trzy dni zapewne nas zwolnią. Jutro w nocy staraj się za wszelką cenę dostać na podwórko kotłowni. Wiesz, tam gdzie sypią popiół z kotłowni. — Wszystko już jest zrobione. Palacze postarają się zepsuć światło elektryczne w calem więzieniu; wtedy będziesz miał znak, że masz natychmiast tam być. Palacze są po pracy rewidowani do naga i nic ze sobą nie mogą zabrać. Ale umówiłem się z Julkiem, on jest cwany i wszystko zrobi. Pieniądze są w paczkach po tysiąc banknotów w jednej paczce. On zrobi tak, że podczas wrzucania paczek do pieca, wrzuci kilka paczek do popielnika, poczem zabierze je razem z popiołem na taczki i wysypie to na podwórku; a ty wpadniesz z workiem, zabierzesz i zamelinujesz w piekarni. Czy twój majster jest blatny, czy nie?

— To być nie może, mój majster za kawałek chleba zabija ludzi. Ja za żadne skarby nie mogę z nim nic zrobić. To się na nic nie zda.

— Głupi jesteś, spróbuj go zblatować, a zobaczysz. Gdyby on sam nie był blatny, to nie biłby tak więźniów. Sam udaje, że jest srogi i uczciwy, a kradnie, co się da. Ja się znam dobrze na tem. Wszyscy „klawisze", którzy są źli, są największymi złodziejami. Spróbuj a zobaczysz, że uda ci się go zblatować.

— Nie, tak nie mogę. On mi zaraz da w mordę i zaprowadzi do kancelarji. Nie chcę ryzykować.

— No, no, nie wiedziałem, że z ciebie taki tchórz. Niech to zostanie między nami. Nikomu nie piśnij ani słówka o tem, cośmy tu mówili, pamiętaj. My sobie bez ciebie to załatwimy. Ale wiedz o tem, że gdy będziemy „zakapowani", ty za to będziesz odpowiadał przed „dyntojrą".

Zostawił mnie za siennikami, i oddalił się do wtajemniczonych kolegów, którzy czekali na jego ukazanie się.

Położyłem się na łóżku. Byłem podniecony, zły na siebie, a przytem nieswojo mi się jakoś zrobiło, że im odmówiłem współpracy w tak ponętnej, ryzykownej robocie. Zdenerwowalo mnie, że nigdy nie mogę mieć wolnego wyboru w swoich postanowieniach. Zawsze czułem skłonności do tego, co mi się chwilowo wydawało pożyteczniejsze lub przyjemniejsze. Byłem zawsze tylko biernem narzędziem w rękach konieczności. Tak samo było i teraz; chcąc nie chcąc, nagle dziwnym zwrotem myśli nabrałem ochoty, by przyłączyć się do spisku.

— Tadek, chodźno tu, — przywołałem go nagle do siebie. — Dobrze, spróbuję, może mi się uda, ale jak będziemy się dzielić „dolą"?

— Jakto, nie wiesz? Na równe części. Więc dwaj palacze, nas czterech no i klawisz. Razem nas wszystkich będzie siedmiu. Starczy dla wszystkich, nie martw się. Grunt, aby każdy z nas dobrze zamelinował swoją część i nie zasypał się. A jeśli który z nas wpadnie, sam za siebie jak zwykle odpowiada. „Kapusiów" niema między nami.

— Wszystko dobrze, — rzeklem, — ale wiesz co mi przyszło na myśl? Najlepiejby było, gdybym miał trochę forsy ze sobą, pokazałbym mu, może wtedy dałoby się coś zrobić.

— Nie, tego nie można, mógłby cię razem z forsą zaprowadzić do kancelarji. Pomów wpierw z nim, a jak się zgodzi, damy mu całą paczkę. Dziś przeszmuglowano kilka paczek na kuchnię, a jutro będziemy już je mieli tu w celi. Ale musisz dobrze wyczuć, czy czasami klawisz nie chce cię uderzyć w „kant".

— Możesz być spokojny, będę się starał wszystko załatwić jak należy.

Wszyscy wtajemniczeni uścisnęli mi rękę, a reszta więźniów w celi patrzyła na nas podejrzliwie; nie śmieli jednakże pary z ust puścić, by zapytać w czem rzecz.

XXIII.

Ciekawa jest psychologja przestępców. Najpierw zachowują między sobą ścisłą tajemnicę, bojąc się niemal chorobliwie, by się nie zdradzić przed kolegą po fachu, by ten ich nie uprzedził, lub nie zdradził, co w tym świecie często się zdarza. Jednak długo zachować tajemnicy żaden złodziej nie potrafi. Najpierw zwierza się przyjacielowi, którego ma zamiar wziąć na wspólnika, bojąc się polegać na własnym rozumie czy plan swój dobrze ułożył, a także by mu zaimponować. Gdy zaś ów przyjaciel wykpi go lub nie chce pochwalić jego rozumu, udaje się wtedy do drugiego i trzeciego przyjaciela, obgadując kolejno poprzednich, że nie są dobrymi złodziejami, że są tchórzem podszyci i nie rozumieją złodziejskiego fachu. Tak długo chodzi od jednego do drugiego, szukając sprawiedliwości dla siebie, aż policja wyprzedzi go i oczekuje już na miejscu roboty.

Przestępca także często wpada w napadzie szczerości i sztucznej odwagi. W tej chwili nie liczy się wcale z otoczeniem i może łatwo zdradzić się ze swojemi zamiarami. Przestępca mojem zdaniem zawsze sam się zdradza i wpada w ręce sprawiedliwości. Nie trzeba wcale być Sherlockiem Holmesem ani Pinkertonem, by wykryć przestępcę, gdyż on sam prosi, by go zaaresztowano i zawsze zostawia ślady za sobą, by wskazać policji miejsce swego ukrycia.

Arsenowie Lupin i rozmaici zdolni włamywacze istnieją tylko w wyobraźni Conan Doyle'ów i Edgar Wallace'ów. W życiu realnem nieuchwytni przestępcy mojem zdaniem zupełnie nie istnieją. Im więcej przestępstw udaje się przestępcy popełnić, tem staje się on śmielszy i zostawia ślady za sobą na każdym kroku, aż sam wpada prosto w objęcia trzeciorzędnego policjanta.

Przestępcom zaś, którzy popełnią przypadkową zbrodnię z zemsty, czy nieszczęśliwej miłości, jakiś napad rabunkowy

i zabójstwo upatrzonej ofiary, wogóle wszystkim niefachowym zbrodniarzom, którzy zgóry postanowili sobie raz w życiu popełnić zbrodnię dla jakichś celów, — zbrodnia nigdy nie ujdzie bezkarnie. Po pierwsze taki niefachowy czyli frajer stale myśli o karze, która go czeka. We snach i na jawie widzi przed sobą szubienicę, która go czeka w razie, gdyby wykryto jego zbrodnię. Tak długo błąka się przeważnie koło miejsca popełnionej zbrodni, pociągany tam jakąś niedającą się określić siłą, aż wpada w ręce sprawiedliwości. Myślę, że w tym wypadku sugestja gra wielką rolę.

To, co wyżej powiedziałem, dotyczy tylko poważniejszych przestępców. Im większe przestępstwo, tem większy jest pościg za przestępcą, który prędzej czy później wpada w matnię. O groszowych przestępcach powiedzieć tego nie można, gdyż nie ściągają na siebie tak prędko uwagi policji i społeczeństwa, przez co dłużej popasają na wolności.

Kobiety, mojem zdaniem, oddają policji najwięcej przysług. Nie mówię tego z teorji, tylko z obserwacji i z praktyki; z praktyki na własnej skórze. Kobieta, choćby własna kochanka lub nawet żona przestępcy, nieraz bezwiednie przyczynia się do wykrycia go. Mężczyzna po większej części staje się przestępcą właśnie przez kobietę. I ta sama kobieta przyczynia się do tego, by otrzymał zasłużoną karę. Jednem słowem, kobieta jest najgroźniejszą pułapką dla przestępców.

Prowadziłem setki rozmów z więźniami, skazanymi na długie lata więzienia, nieraz bezterminowego. Każdy narzekał na kobietę. Kobieta była przyczyną zbrodni, którą popełnił. Kobieta także, — nieraz ta sama, — przyczyniła się do jego zguby.

Są i kobiety skazane na długoletnie więzienie, twierdzące, że wszystko stało się z winy mężczyzny. Ale takich kobiet po wszystkich więzieniach znajduje się znikoma ilość. Wogóle kobieta skazana na długoletnie lub bezterminowe więzienie jest niezwykłą rzadkością.

W naszej celi, gdzie się odbyła tajemnicza narada, jak się dostać do forsy na kotłowni, najpierw wiedzieli o tem dwaj więźniowie palacze. Następnie opowiedzieli o tem jednemu ze swoich przyjaciół. Ten znów zwierzył się przed swoim

przyjacielem, chcąc mu zaimponować, że wie o tak niezwyklej tajemnicy. Poczem nastąpiły narady i wtajemniczono jeszcze dwu. Nareszcie zdecydowali się i mnie wtajemniczyć. Wkońcu zaś zauważyłem, że wtajemniczeni mówią ze sobą coraz głośniej, tak, że tajemnica stała się tajemnicą calej celi. Niebardzo więc chciałem należeć do tajemnicy, którą znało dwudziestu czterech ludzi. Jednakże pociągał mnie hazard tej sprawy, a obiecane paczki po tysiąc banknotów dokonały reszty. Nie byłem zdolny o niczem innem teraz myśleć, jak tylko o tych szesnastu wagonach pieniędzy, które przeznaczone zostały na zagładę.

O godzinie drugiej w nocy werkmistrz zabrał mnie jednego do piekarni. Zabrałem się zaraz do stawiania rozczynu na placki. W piekarni nie było nikogo prócz mnie i majstra. Po skończeniu i umyciu rąk, włożyłem zpowrotem ubranie i zbliżyłem się do ekspedycji. Majster, słysząc, że jestem gotowy, zgasił światło w swojej dyżurce i stanął przy mnie. Zupełnie niespodziewanie, gdyż nigdy mu się to nie zdarzało, przemówił do mnie.

— Skąd wy pochodzicie? Zdaje się, że niedługo będziecie w domu.

Odpowiedziałem mu i starałem się wciągnąć go w rozmowę. Doszedłem do przekonania, że nie jest wcale taki straszny, jak sobie wyobrażałem. Po chwili rozmowy już wyczułem, że wpadł w napad szczerości i mówi ze mną jak równy z równym. Opowiadał mi o swoich przeżyciach w wojsku rosyjskiem. Okazało się, że i on siedział w więzieniu za Rosji i był nawet wysłany na Sybir, jako należący do P. P. S.

Po półgodzinnej poufałej rozmowie postanowiłem go zaatakować.

— Panie werkmistrzu, — zawołałem z udawanem wzruszeniem. — Myślalem zawsze źle o panu, że pan jest nielitościwy i żałuje nam kawałka chleba za naszą pracę. Ale teraz zrozumiałem, dlaczego się pan tak zachowuje. Rozumiem, że więzień musi czuć bat nad sobą; inaczej staje się powolny, a wreszcie zupełnie odmawia posłuszeństwa.

— Właśnie, tak jest, — odparł. — Ja znam życie, — ciągnął w zadumie, — lubię także złodziei, ale dobrych złodziei. Czy to jest złodziej, — ten, który idzie do biednego robot

nika i zabiera mu ostatnie spodnie? Mnie samego z żoną okradziono w dwunastym roku, zostawiając nas w bieliźnie. Do dziś dnia nie mogę przyjść do siebie po tej kradzieży. To, co ja zapracowałem przez długie lata, zapewne zmarnowali za kilka groszy u pasera. Burżujów okradać, to co innego. Ileby mu złodziej nie zabrał, zawsze mu jeszcze więcej pozostanie. Kamienice, majątki ziemskie, — żaden złodziej nie potrafi tego skraść i zabrać ze sobą. Zresztą jak kraść, to kraść jak należy. Kilkadziesiąt tysięcy marek to rozumiem, a nie tam jakieś podarte spodnie u robotnika. Albo ci złodzieje co okradli bank Landaua w Warszawie, — to rozumiem. Takim złodziejem to się opłaci być. Tam miljonów pieniędzy wcale brać nie chcieli. Zabierali tylko brylanty, złoto i drogie kamienie, nic więcej. To był mądry kawał, — zakończył i aż mu ślinka z ust pociekła.

Pomyślałem sobie w duchu: Tadek był lepszym znawcą ludzi niż ja, gdy mówił, że każdy człowiek, a nawet policjant i klawisz da się zblatować, tylko trzeba wiedzieć, jak wymacać jego słabą stronę. Wszystko się wówczas zrobi. Postanowiłem teraz przystąpić do rzeczy i robiąc tajemniczą minę i mądry wyraz twarzy, zacząłem:

— Panie werkmistrzu, przekonany jestem, że pan jest mądrym człowiekiem. Mam też wielką tajemnicę i wahałem się, czy ją powiedzieć panu, ale teraz przekonałem się, że mogę mówić.

Popatrzyłem na niego pytającym wzrokiem, a on pociągnął mnie za sobą do dyżurki, rozglądając się odruchowo po piekarni i po oknach, zapewne by zbadać, czy czasami ktoś nie patrzy na nas.

— Możecie ze mną o wszystkiem mówić, nie obawiając się wcale, — mówił cichym, łagodnym, zbyt łagodnym głosem.

— Panie werkmistrzu, — szepnąłem mu niemal do ucha, stając na palcach, gdyż był olbrzymiego wzrostu. — Może pan stać się bogaczem odrazu, jeśli pan zechce. Mogę panu dać tyle miljonów, ile pan chce.

Pan werkmistrz zaczerwienił się bardzo, utkwił we mnie oczy, poczem ujął mnie za ramię i tak silnie przycisnął, że zląkłem się, już myśląc, że jest on znów w urzędowej skórze.

Jednakże omyliłem się: to miljony, które mu obiecałem, wprowadziły go w ten stan. Po chwili milczenia, ktora mnie się wydala wiekiem, rzekł:

— Domyślam się, o jakich miljonach mówicie. Te szesnaście wagonów, co przyszło do kotłowni, co?

— Tak, panie werkmistrzu. Możemy mieć pieniędzy tyle ile zechcemy. Czy mogę mówić zupełnie otwarcie?

— Mówcie, mówcie, — szeptał ledwie dosłyszalnym głosem, przyciskając mnie do siebie tak, że jego długie rude wąsy ocierały się o moją twarz. — Ja właśnie sam już myślałem o tem. Tyle pieniędzy, tyle pieniędzy! Wiele tysięcy ludzi mogłyby te pieniądze uszczęśliwić. A tu chcą je spalić! Poprostu głowę tracę, kiedy myślę o tem. Jak to można, jak to można, — biadał werkmistrz, aż mi się go żal zrobiło.

Widząc jego błagalne spojrzenie utkwione we mnie, pomyślalem: — Ty, braciszku, będziesz teraz tańczył, jak ja ci zagram. Myślę, że wąż kusiciel, który kusił Ewę, nie lepiej potrafił wywiązać się ze swego zadania, niż ja wobec groźnego pana werkmistrza. Nie był to już teraz ten groźny pan werkmistrz, który niejednego więźnia zbił do utraty przytomności za skradzenie kawałka chleba dla nasycenia swego nędznego żołądka. Był to raczej przestępca podobny do mnie, który zgadzał się popełnić przestępstwo dla zdobycia marnych pieniędzy. Jestem pewny i wyczułem to, że w tej chwili był gotów popełnić największą zbrodnię, by dopiąć celu. Zapomniał o wszystkiem. Zapomniał o mundurze jaki nosił jako człowiek należący do wykonawców wymiaru sprawiedliwości; zapomniał także, że gnębił więźniów za zjedzone przez nich kawałki chleba, które stanowiły mojem zdaniem mniejsze przestępstwo, niż to, które chcial popełnić. O, jakże ludzie są podli, — pomyślałem w duchu.

— Panie werkmistrzu, wszystko będzie dobrze, tylko pan powinien się zgodzić na jedną rzecz, zupełnie nie ryzykowną. Ja panu przyniosę pieniądze gotowe w worku do piekarni. Pan wszystko zabierze. Ja jako więzień nie mogę przecież trzymać przy sobie pieniędzy, a schować także nie mam gdzie, gdyż teraz jestem tu, a na drugi dzień przeniosą mnie gdzieindziej i wszystko przepadnie. Chcę zrobić z panem tak. Z zabranych przez pana pieniędzy należy połowa do

mnie, a połowa do pana. Gdy zaś mnie zwolnią, pan na wolności odda mi moją część i pójdę sobie. W razie zaś, jeśli mnie nie zwolnią, będzie mi pan przynosił co zechcę do jedzenia, a później policzymy się. Zgoda, panie werkmistrzu?

— Zgoda, zgoda. Trzeba wpierw mieć te pieniądze, później już się zgodzimy. Powiedz mi, — tu przybrał zupełnie poufały ton, — co ja mam robić? No, mów już prędzej, — nalegał.

— Pan nic nie potrzebuje robić aż do odpowiedniej chwili. Ja już panu powiem, kiedy będzie trzeba iść ze mną do kotłowni, niby z koszem po węgiel, a resztę już ja załatwię.

— Nie, tego zrobić nie mogę. Jeszcze ktoś zobaczy, a wtedy będę zgubiony. Majstrzy i inżynier pilnują kotłowni, aby nikt z administracji tam się nie dostał. Chcą się sami obłowić i dlatego nie puszczają innych dozorców. Ja dobrze wiem o tem. Chcialbym mieć choćby część tego, co już wynieśli za bramę. Dwie kobiety — kasjerki siedzą przy piecach i pilnują, aby wszystko było spalone; starsza nie odchodzi ani na krok, ale młodsza biega po calem więzieniu i romansuje gdzie się da. Mogę tylko to zrobić. Ale najpierw chcę zobaczyć, czy te pieniądze są dobre. Możesz przecież przynieść trochę; a potem zobaczę.

— Dobrze, panie werkmistrzu, niech pan przyjdzie po mnie za godzinę, a ja przyniosę ze sobą kilka banknotów i przekona się pan, że warto zaryzykować.

— Więc dobrze, za godzinę przyjdę po was do celi. Pamiętajcie tylko język trzymać w porządku, to się już wszystko zrobi.

Poklepał mnie przyjaźnie po plecach, poczęstował mnie także papierosem. Podał mi nawet rękę i zadowolony odprowadził mnie do celi.

XXIV.

Kiedy przyszedłem do celi, zegar wybił drugą godzinę. W calem więzieniu panowała zła, groźna cisza, cisza, która nieraz mówi więcej od najgłośniejszego hałasu. Podobna ci-

sza nieraz w duszy więźnia wywołuje żal i tęsknotę do zmarnowanych lat, spędzonych w poniżeniu i w pogardzie. Cisza ta przejęła mnie teraz do szpiku kości. Idąc przez korytarze, doznawałem wrażenia, że z cel, które teraz stały pustkami, duchy pokutujących więźniów wyciągają do mnie przez drzwi niewidzialne dłonie, chcąc mnie przygarnąć do siebie. Dopiero gdy przekroczyłem próg celi, odetchnąłem z ulgą, a odchodzący dozorca swoim głośnym chrapliwym kaszlem rozweselił nieco tę martwą ciszę, która mnie tak przeraziła.

Wszyscy więźniowie w celi spali snem sprawiedliwych. Tylko jeden Tadek nie spal; widać skrzynie napełnione szeleszczącemi banknotami przeznaczonemi do kotłowni na zagładę nie dawały mu zmrużyć oka.

— Co słychać? — zapytał mnie cichym głosem. — Zblatowałeś klawisza?

— Tak, wszystko zrobione, ale muszę natychmiast mieć kilka banknotów, by mu je pokazać. Chce się przekonać, czy one mogą mieć jakąś wartość i czy nam się opłaca ryzykować.

Tadek spojrzał na mnie napół podejrzliwie, — w tym świecie stale jeden drugiego podejrzewa, — i odparł:

— Mnie się zdaje, że klawisz chce cię nabrać i zaprowadzić cię z formą prosto do karceru. Czy go dobrze wypróbowałeś? Czy jesteś pewny, że on nas nie zakapuje? Już żałuję, że kazałem ci z nim się wdawać...

— Bądź spokojny, klawisz nie jest taki frajer, jak mnie samemu się wydawało. Ja za niego odpowiadam. Daj mi tylko na moją odpowiedzialność trochę papierków, a resztę zostaw mnie.

— Dobrze mówisz, że ty odpowiadasz. Ale radzę ci, bądź ostrożny, to nie groszowa robota. Co do mnie, nie ręczyłbym za własnego ojca i matkę. Frajerom ufać nigdy nie można. Ja za to, że zaufałem jednemu frajerowi, mam chleb na sześć lat.

— Mówię ci po raz ostatni, — rzeklem z przekonaniem, — że odpowiadam przed dyntojrą. Daj mi, co masz dać, bo zaraz znów po mnie przyjdzie. No, prędzej!

Tadek zlazł z siennika i pokolei obchodził wszystkie łóż-

ka śpiących więźniów; a gdy przekonał się, że śpią, rozpruł róg swojego siennika i pakując rękę aż po ramię, wyciągnął mocno sprasowaną paczkę stumarkowych banknotów. Przełamał ją napół i zawołał:

— Masz połowę paczki. — Cała paczka zawiera sto tysięcy marek. Liczyć, wiele tu jest forsy, nie warto. Jak nam się uda, będziemy mieć tego do cholery i trochę. Jak z nim dobrze załatwisz, to resztę też trzeba mu będzie zanieść. Tu w celi może być „hipisz". A klawisze potrafią i do „dzieci" zaglądać. Powiedz tylko teraz, jak się podzielimy dolą?

— Ja mówiłem mu, że przyniesionemi przeze mnie pieniędzmi z kotłowni podzielimy się na równe części. Sam rozumiesz, że nie mogłem mu odrazu powiedzieć, że należą jeszcze inni wspólnicy do tego interesu. Napewno nie zgodziłby się, aby kilku wiedziało o tem. Ale gdy już forsa będzie, to on będzie w mojem ręku, a wtedy wszystko mu powiem. Będzie zmuszony milczeć, gdyż na wycofanie się będzie już za późno. Będzie wtedy skakał, jak my mu zagramy. Zobaczysz...

— Pamiętaj, żeby czasami nie było odwrotnie. Wtryń mu dobrze forsy, a on zaraz przyjdzie po ciebie. Pamiętaj, żeby na jutro na pierwszą w nocy było wszystko gotowe. Mieliśmy to dziś urządzić, ale już się nie da. Więc pamiętaj...

Uścisnęliśmy sobie ręce na znak zgody i przyjaźni, poczem usiadłem na mojem łóżku czekając na przybycie werkmistrza. Nie potrzebowałem długo czekać. Godzina jeszcze nie upłynęła, a już poznałem jego ciężkie kroki, zbliżające się do celi. Po chwili byłem już na piekarni.

Nie zdążył drzwi piekarni zamknąć, gdy mignąłem mu przed oczyma paczką banknotów. Rozwarł niedowierzająco szerokie oczy i wyciągnął pożądliwie dłoń. Tę samą szeroką dłoń, która waliła po pysku więźniów za skradzenie kawałka chleba. W tej chwili wydawał mi się najpodlejszym z podłych na świecie. Czułem teraz swoją wyższość nad nim: ja jestem tym, za kogo mnie uważają, — więc bez maski. On zaś nosi maskę uczciwego człowieka i wychowawcy więźniów, a w rzeczywistości nie jest lepszy ode mnie. Wielu podobnych mu ludzi pod maskami istnieje na świecie, —

pomyślałem wówczas. Zawsze lubiłem dużo myśleć. Rozmyślalem przed popełnieniem przestępstwa, rozmyślałem także zawsze, jaki podły jestem, po jego spełnieniu. Poczucie zła i dobra nigdy mnie nie opuszczało, nawet w chwili dokonywania występku, — a jednak....

Paczkę banknotów schowałem za sobą, mówiąc teraz do niego głosem, jakby on był więźniem, a ja werkmistrzem.

— Mam tu około pięćdziesięciu tysięcy marek, może i więcej. Kamienicę można za to kupić, — drażniłem go. — Możemy mieć tysiąc razy więcej, jak pan mnie posłucha. Będzie pan mógł sobie założyć własną piekarnię i nie być stróżem w więzieniu, — zakończyłem ironicznie, widząc jak cały drży na samo wspomnienie o bogactwie, które mu obiecuję.

— Daj, daj, — prosił błagalnym tonem krocząc za mną z wyciągniętą dłonią. — Wszystko zrobię, wszystko, jak Boga kocham... Daj już, zobaczę jak wyglądają...

Podałem mu kilka banknotów. Prędkim krokiem skierował się do swojej dyżurki, a ja podążyłem za nim.

Oglądał banknoty pod światło. Wyjął własny banknot stumarkowy i porównywał każdą kreskę. Oglądał na wszystkie strony, trwało to z piętnaście minut, poczem zwrócił się do mnie wyciągając dłoń:

— Jak widzę, jesteś morowy żydek. Daj rękę, z tobą widzę można wszystko zrobić. Ja lubię z żydkami robić interesa. Coprawda żyd trochę czasami oszuka, ale za to potrafi język trzymać za zębami we wszystkiem. Niema jak z żydkami, — zawołał uradowany własnemi słowami, ściskając mi rękę po bratersku.

Poufałość jaką mi okazał ten człowiek, który bądź co bądź był moim panem życia i śmierci, pochlebiała mi i niemniej już uradowany od niego, zawołałem:

— Masz pan wszystko. Mnie pieniędzy tu nie potrzeba. Pan mi przyniesie codziennie trochę kiełbasy, — zresztą zawsze panu powiem, co mi pan ma przynieść. Moją część, którą jutro razem przyniesiemy, także panu oddam. A gdy wyjdę na wolność, pan mi odda pewną sumę i będzie kwita. A jak pan myśli, zwolnią nas kilku, którzy tu jeszcze zostali, czy też nas wyślą do Poznańskiego?

— Napewno was dziś — jutro zwolnią. Bolszewicy są już na rogatkach Warszawy. Tylko starajcie się prędzej tę forsę dostać, zanim ją spalą. Tyle forsy, tyle forsy, — biadał pan werkmistrz tak, że obawiałem się, by nie dostał apopleksji z żalu, który wyczuwałem w jego słowach.

Wyciągnął z kieszeni mały pakuneczek i rozglądając się dookoła, wręczył mi go, mówiąc:

— Masz tu szynkę, zjedz sobie. Jak wszystko dobrze pójdzie to biedy nie będziecie mieć. — A zniżając glos dodał: — Wódeczkę też przyniosę, tylko sza...

Kiedyśmy się umówili co do naszej wyprawy po złote runo na kotłownię, zabrałem się do pracy. Po chwili też, pan werkmistrz przyprowadził pozostałych kilku piekarzy i praca poszła pełnym biegiem. Pan werkmistrz znów przybrał urzędową groźną postawę i patrzył na wszystkich surowo, jak to miał we zwyczaju.

Niezauważony przez nikogo, wszedłem do szafy z ubraniem i rozwinąłem pakuneczek. Ślinę łykałem na myśl o smacznej szynce, którą mam wziąć na ząb. Jak wielkie było moje rozczarowanie, gdy zauważyłem, że pakuneczek zawiera więcej chleba niż szynki!

Złość mnie ogarnęła. Za tyle forsy, co mu dałem, mógł się okazać hojniejszy. Pocieszyłem się wszakże zaraz myślą, że tylko na pierwszy raz tyle przyniósł. Poprawi się napewno, gdy się teraz przekonał, że nie bujam. Zresztą niech tylko jutro ze mną należy do spółki, to już zobaczymy. Będzie musiał przynieść to, co ja zechcę.

Po skończonej pracy tym razem majster wcale nas nie rewidował. Był w dobrym humorze, jak nigdy dotąd. Wąsy, które zawsze patrzały nadół, teraz dumnie spoglądały w górę. Zażartował nawet z Józkiem przy wyjściu z piekarni:

— Co, Józek, dużo chleba dzisiaj zjadłeś? Masz brzuch jak kobieta w ostatnim miesiącu.

— Ja, panie werkmistrzu, chleba nie skosztowałem ani zucheleczka. Kapusty się nałykałem jak krowa.

Wszyscy śmieliśmy się, a pan werkmistrz sięgnął do półki z chlebem. Złamał bochenek napól, wręczając łaskawie połowę Józkowi i rozkazując mu, aby na oczach wszystkich chleb ten zjadł.

Józkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Otworzył gębę od ucha do ucha i po chwili chleb znikł, że nawet śladu nie zostało.

Wszyscy byli uradowani, że nasz pan jest w tak dobrym humorze. Różnie sobie to tłumaczyli. Zapewne sobie dziś łyknął, — mówi jeden. Stara musiala mu tej nocy dobrze dziachnąć, — dodał drugi. Tylko ja jeden znalem przyczynę dobrego humoru pana werkmistrza, z czego doprawdy czułem się dumny.

Gdy przyszliśmy do celi, było już dawno po południu. — Zdałem raport Tadkowi, poczem zjadłem obiad i udałem się z lekkiem sercem i pełnym żołądkiem na spoczynek.

Wieczorem wtajemniczeni zaszyli się w kąt celi, omawiając każdy szczegół wyprawy. Głównym organizatorem był, jak już wiadomo, Tadek. Głosem rozkazującym wskazywał każdemu zosobna jaką funkcję ma wykonać. Wszyscy słuchaliśmy go bez słowa sprzeciwu. Coprawda niebardzo zaimponował mi swojemi fachowemi wskazówkami, jednakże nie chcąc mieć w nim wroga, przytakiwałem mu we wszystkiem.

— Ja się już tem zajmę, — rzekł z wyrazem wyższości, — aby się wszystko udało. Punktualnie o godzinie pierwszej w nocy Julek zrobi tak, żeby dynamo się zepsuło i światło elektryczne zgaśnie w calem więzieniu; a z resztą wiadomo wam już, co macie robić. A o której majster przyjdzie po ciebie? — zapytał mnie.

— Umówiłem się na wpół do pierwszej. Musicie wszyscy udawać, że śpicie. Nie chcę, aby się domyślał, że wy należycie do spółki.

— Dobrze, dobrze, — odparł Tadek. — Jeszcze dwie godziny czasu. Może zagramy w oczko, nie będzie nam się nudzić. Mogę wam pożyczyć forsy, — zwrócił się do nas, — a jak dziś zarobimy, to mi oddacie. No, kto chce forsy? — zawołał z miną Rotszylda.

Wyciągnął z kryjówki paczkę banknotów pochodzących także z kotłowni. Odliczył każdemu po trzydzieści dwudziestomarkowych banknotów i zasiedliśmy w ustępie do kart.

Karty były własnego oryginalnego więziennego wyrobu. Stemplowano karty własną krwią i smolą, którą często sma-

rowano podłogi asfaltowe w celi. Chowano je po każdej grze do kryjówki, która w każdej celi być musi. Niema po dużych więzieniach celi ogólnej, gdzieby więźniowie nie wynaleźli kryjówki, niedostrzegalnej dla oka władzy. Więzień jak mysz potrafi znaleźć sobie norę, by ukryć zdobycz, której oko wroga widzieć nie powinno. Nic tu nie wskóra wszystkowidzące oko dozorcy. Nie pomagają też częste ścisłe rewizje przeprowadzane szczegółowo w celi, ani osobiste rewizje więźniów. Więzień zawsze ukryje to, co chce ukryć. Władza więzienna wtedy jest mądra, gdy między więźniami w celi znajdzie się kapuś. Być jednak kapusiem w więzieniu, to bardzo ryzykowna rzecz; śmierć bowiem czyha na takiego na każdym kroku. Dlatego amator na kapusia jest tu rzadkim okazem.

Graliśmy tak długo, aż jeden z nas, który cały czas stał przy kratach na cynk i chwytał każdy szmer dochodzący z gmachu więziennego, zawołał:

— Chłopcy, zmiana warty już przyszła, już jest po północy. Jazda kimać. Werkmistrz zaraz napewno przyjdzie.

Zbliżył się do nas odbierając zapłatę za to, że stał na cynk i po chwili wszyscy już leżeli w pozycji śpiących; tylko ja jeden czuwałem przy kratach. Gdy zaś po chwili usłyszeliśmy kroki werkmistrza, Tadek począł chrapać nagłos, a reszta, która także udawała śpiących, poszła w jego ślady.

Werkmistrz wypuścił mnie bez słowa z celi; dopiero na piekarni przemówił do mnie głosem, w którym można było wyczuć tchórzostwo:

— Ja się rozmyśliłem. Możesz się zasypać. Posterunek może zauważyć. Mogę być zgubiony... Nie, nie, ja tego nie mogę zrobić.

W mózgu błysnęła mi myśl: jestem zgubiony. Wspólnicy pomyślą, że trajlowałem, aby wydostać od nich pieniądze. Kto wie, może już doniósł władzom? Zakatrupią mnie, niema dwu zdań... Co robić, co robić? Wtem zbawcza myśl przemknęła mi przez głowę.

— Panie werkmistrzu, chciałem właśnie powiedzieć panu, że z tego już nic nie będzie. Mamy teraz inny sposób, możemy flotę dostać inną drogą do celi. Mamy też innego blatnego klawisza, który wyniesie wszystko, gdzie zechcemy.

Niech mi pan przyniesie zpowrotem pieniądze, które panu dałem.

Werkmistrz zamyślił się chwilę i odparł:

— Widzisz, sprawa jest taka. Ciebie się nie obawiam...

— Trudno taką sprawę przeprowadzić bez wspólników. Pan sam to rozumie. Ale na moich wspólnikach może pan polegać, jak na mnie samym. Zresztą jeżeli pan nie chce, to nie trzeba, poradzimy sobie bez pana.

Werkmistrz wyjął zegarek i zawołał:

— Za pięć minut pierwsza! Niech się dzieje co chce, ufam ci zupełnie. Ale pamiętaj, w razie nieszczęścia nie wydaj mnie, mam żonę i dzieci. Mów, co mam robić.

Zgadłem. Wiedziałem, że gdybym zaczął nalegać, aby się nie cofnął, napewnoby się wycofał; ale jak sam mu mówiłem, że sobie bez niego poradzimy, że mamy blatnego klawisza itd., odrazu zmienił zdanie. Znając jego chciwość, byłem pewny, że nie dopuści, by drugi klawisz obłowił się przy nas. Postanowiłem także teraz być ostrożnym z forsą.

Nagle światło zgasło w calem więzieniu i zostaliśmy w ciemności. Zapaliłem prędko lampę naftową, która w ubikacjach więziennych stoi zawsze w pogotowiu. Werkmistrz stał jeszcze na tem samem miejscu, blady. Zbliżyłem się do niego.

— No, jak będzie? Puści mnie pan czy nie? Za 10 minut będę z powrotem. No, prędzej. Każda minuta jest teraz dla mnie droga. Widząc zaś jego wahanie, dodałem:

— Pól kosza forsy przytaszczę. Wszystko panu oddam. Otwórz pan już! — zawołałem wreszcie tonem rozkazującym.

Werkmistrz drżącą ręką przekręcił klucz w drzwiach. — Chwyciłem za kosz od węgla i wybiegłem rozgorączkowany w kierunku kotłowni. Pan werkmistrz niepewnym krokiem zdaleka podążył za mną.

Furtka bramy, prowadzącej do kotłowni, stała otworem. Dopadłem do miejsca, gdzie popiół wywożą z kotłowni, zbliżyłem się do umówionego miejsca, odgarnąłem trochę nogą szlaki popiołu i już rękami począłem wybierać paczki pieniędzy i wrzucać je do kosza. Oglądając się dokoła, prędkim krokiem biegłem z powrotem. Pan werkmistrz teraz biegł za mną.

Gdy wpadłem do piekarni, gdzie drzwi były otwarte, prędkim ruchem wyrzuciłem tysiącmarkowe banknoty pod drzewo. Po chwili zdyszany wpadł „wspólnik“. Zamknął drzwi i upadł na krzesło oddychając ciężko. Podsunąłem mu kosz pod nos.

— Widzi pan, co forsy? Bogactwo. Jeszcze raz polecę. Co pan mówi?

— Nic, nic, — ledwo wykrztusił, chwytając mnie za rękaw. — Starczy dla nas. Ale to wszystko zabrać do domu?

— Zaraz, niechno pan stanie.

Werkmistrz wstał posłusznie. odpiąłem mu płaszcz i mundur. Kazałem mu zluźnić pasa i począłem mu wciskać paczki na brzuch. Obładowałem go i żartobliwie zawołałem:

— Teraz pan werkmistrz wygląda jak baba w dziewiątym miesiącu.

Spojrzał na mnie nawpół groźnie prostując całą swoją figurę, jednakże przypomniał sobie, w jakiej roli się znajduje. Spuścił więc oczy, a ja nie przestawałem naigrawać się z jego komicznego wyglądu po obładowaniu temi pieniędzmi.

— Teraz co do podziału, — zawołałem. — Zdaje się, że nie potrzebujemy się po raz drugi umawiać. Więc niech mnie pan odprowadzi do celi. Resztę niech pan schowa w dyżurce i po trochu już jutro wyniesie pan do domu.

Zakręciłem się, gdy poszedł do swojej dyżurki i ukryłem dobrze pieniądze rzucone poprzednio pod drzewo. Po chwili już zostałem odprowadzony do celi.

Tym razem jednak puścił mnie tylko na korytarz więzienny, a stamtąd inny dyżurujący dozorca odprowadził mnie do celi.

Światło elektryczne znów paliło się w calem więzieniu. Nikomu z władzy na myśl nie przyszło, co działo się w ciągu tych kilku minut, gdy światło zgasło. Tylko kilku nas więźniów wiedziało o tem, — no i pan werkmistrz także. W celi tym razem oczekiwano mnie z niepokojem. Tadek zbliżył się zaraz i pytająco patrzył na mnie. Kiwnąłem głową na znak, że wszystko w porządku.

Gdy zaś znów zasnęli ci więźniowie, którzy przebudzili się wskutek hałasu, gdy mnie wpuszczano do celi, Tadek usiadł przy mojem łóżku.

Nie był on zadowolony, gdy mu powiedziałem, że niemal całą przyniesioną przeze mnie forsę prócz tysiącmarkowych banknotów oddałem werkmistrzowi. Pocieszałem go, że na moje zawołanie werkmistrz ma mi przynieść forsy ile zechcę. To go trochę uspokoiło.

XXV.

Cela nasza stała się bogata. Każdy z nas zdobył trochę pieniędzy z kotłowni. Cela zamieniła się w dom gry. Monte Carlo nie powstydziłoby się takich hojnych graczy, jakimi myśmy byli. Grano na tysiące i setki tysięcy marek, co wówczas było wielkim kapitałem.

Wiem, że czytelnik weźmie moje opowiadania o bogactwie, które było w naszych rękach, za przesadzone, lub za wybryk fantazji. Doprawdy, sam rozumiem, że jest to nie do uwierzenia, aby więzień mógł posiadać tyle forsy. A jednak tak było. Jest prawdą, że nie wiedzieliśmy, co z forsą robić. Na wolności sami jej wydać nie mogliśmy, schować nie było gdzie. Więc w chwilach wolnych od pracy graliśmy w karty. Ten i ów postarał się o blatnego klawisza, który przynosił wódkę i papierosy, za które pobierał sto razy więcej, niż wynosiła istotna wartość tych przedmiotów.

Pewnego dnia niespodzianie, przytransportowano zpowrotem do Mokotowa ze stu więźniów wysłanych stąd do Poznańskiego. Bolszewików odpędzono od Warszawy. Zły byłem teraz na nich, że wpierw nas nie wypuścili; potem mogli sobie uciekać do djabla...

Wszyscy więźniowie wyobrażali sobie wówczas, że bolszewicy dążą tylko do tego, aby wpaść do obcego kraju i opróżniać więzienia. Każdy z nas święcie wierzył w to, że wypuszczonych więźniów bolszewicy zaciągają do czerwonej armji i udzielają im zaszczytnych stanowisk i t. d.

Po paru dniach Mokotów znów przygarnął do swego troskliwego łona wszystkich swoich utraconych wychowanków. Więźniowie, po kilku tygodniach nieobecności, wrócili przygnębieni tem, że nie udało im się podczas takiej zawieruchy zwiać i odzyskać wolność. Niejeden skorzystał

z okazji i z chaosu w niedobrze strzeżonych wagonach i zwiał. Do takich szczęśliwców należał także wspólnik mój Szofer.

Warto tu wspomnieć, jakim sposobem Szofer uciekl. Opowiedział mi o tem jeden z cyganów należących do ucieczki, który nazywał się Michalewicz, a którego żona po dwu tygodniach wydała w ręce władzy. Cygan ten miał piętnaście lat ciężkiego więzienia, pochodził z Tarnowa, a zakończył także swój nędzny żywot w „towarowej stacji" Mokotowa. Zmarł z powodu „krzyżowego ognia pytań", których za wiele mu zadano podczas śledztwa.

Spotkałem go raz na naszym korytarzu, gdzie był jakiś czas korytarzowym. Nie znałem go wcale, ale opowiadano mi, że uciekał wraz z moim wspólnikiem. Byłem więc ciekaw dowiedzieć się, jakim to sposobem zwiali. Z zamiłowania lubiłem po więzieniach notować w pamięci szczegóły różnych ucieczek więźniów. Zagadnąłem go, przedstawiając mu się, jako wspólnik Szofera.

— Słuchajno, „Czerniak". Toś ty wiał razem z Szoferem?

— Tak. Nietylko ja i Szofer bryknęliśmy. Pół wagonu nas się wtedy ulotniło.

— Opowiedz mi. Ciekaw jestem, jak to poszło.

— Oho. To była bardzo mądra „wystawa". Jestem pewny, że gdyby sam prokurator wiedział, jak mądrze to było zrobione, darowałby nam resztę kary. Ale dajno co podulić. Już dwa dni ani razu nie zaciągnąłem się dymem. Same frajery siedzą w tym oddziele. A z frajerami nie będę się pętał o „szlugi", choćbym zdechł.

— Chętniebym ci dał, ale nie palę. Dam ci sto marek, kup sobie. Tylko sza...

— Bądź spokojny. Cygan nie frajer. Cygan w lesie chowany. Śmierć kapusiom...

Wszedłem do celi, a gdy dozorca oddalił się, Cygan stanął przy kracie drzwi, udając, że wyciera kurz. Wsunąłem mu stumarkówkę i uradowany zaczął opowiadać:

— Było to tak. O godzinie dziesiątej wieczorem ze dwudziestu klawiszów skuło nas, jakich stu więźniów, razem i tak popędzono nas na dworzec główny. Umieszczono nas w dwu wagonach, takich, w których wożą bydło. Sztynk

tam był nie do wytrzymania. Tam rozkuto nas i rozłożyliśmy się na podłodze. Worki z rzeczami ułożyliśmy tak, aby jeden mógł wleźć za worki i zrobić dziurę w podłodze. — W środku był z nami tylko jeden klawisz; na dachu i po bokach pilnowało jeszcze kilku. Na każdej większej stacji „argus" przychodził sprawdzić, czy nic nie zaszło. Za jedno wyjrzenie na stacji przez okno wagonu bito po mordzie bez pardonu; gdy zaś podejrzewano kogo, że kombinuje „chody", skuwano mu ręce i nogi w kajdany. Były między nami same „bandziory", każdy z nas miał dychę, piętnachę, kolo. Najmniejszy ochłap mnial twój wspólnik. Klawisz wyręczał się nim. Szofer pomagał mu nibyto uważać na porządek w wagonie.

— O, twój wspólnik, to byl morowy chłopak. Miał nawet ze sobą kluczyki do branzoletki i w ostatniej chwili rozkuł dwu podejrzanych, którzy także uciekli z nami. Urządziliśmy się tak, że każdy z nas pokolei obrabiał dozorcę. Najpierw jeden opowiadał piękne anegdotki, z których klawisz był tak zadowolony, że patrzał przez palce, gdy na jakiejś stacji jeden z więźniów sprzedał „bimber" konduktorowi i przyniósł dużo do palenia. Następnie ja się wziąłem do dzieła. Wyciągnąłem z mego majdana skrzypce, które miałem przy sobie, gdy mnie „wychlali". Ja pięknie gram na skrzypcach; nieraz wyratowały mnie one z nędzy w przeklętem życiu cygana. Wszyscy ciekawie słuchali mojej smutnej gry, która przemawiała do duszy człowieka. I osiągnąłem to, co przewidywałem. Klawisz zaczął drzemać i, ukołysany mojem graniem, zawtórował mi głośnem chrapaniem. Jeden z naszych wtrynił się za majdany i począł nożem robić podłogę. Na zmianę co pól godziny właził kto inny i cierpliwie rozszerzał otwór do ucieczki. Klawisz wołał od czasu do czasu półsennym głosem: Cygan, graj! Cygan, graj! — i znów spał. Ja nie przestawałem grać, co zagłuszało odgłos noża dochodzący zza majdanów. Loch był już gotowy; teraz każdy radził inaczej. Jeden mówił, żeby Klawisza wziąć za „maszynkę", a potem śmiało wiać. Drugi radził wyrzucić go przez drzwi pociągu. Najwięcej głosów było za tem, by robić pocichu; każdy chciał być pierwszym. Co było robić? Wszyscy naraz przez dziurę uciekać nie mogli. Po jednemu zale-

dwie mogli się przecisnąć, gdy pociąg stanie na jakiejś stacji. Postanowiliśmy ciągnąć losy. Najpierw miało uciekać czterech, a gdy tym się uda, druga czwórka i tak dalej po kolei. Wskutek tego losowania, mimo że staraliśmy się zachować jak najciszej, zrobił się jednak taki harmider, że musieliśmy zaprzestać, obawiając się, że klawisz się obudzi. Ja wciąż grałem skoczne kawałki, a klawisz we śnie pokrzykiwał: Cygan, graj Cygan, graj!

— Nie było chwili czasu do stracenia. Pociąg zatrzymał się o kilka kroków od lasu na odległej stacji. Pierwszy wysunął się właśnie twój wspólnik. Odważny Żyd! Za nim drugi, trzeci. Gdy zaś zauważyłem, że pociąg już ma zamiar ruszyć, kopnąłem skrzypce w kąt i także skoczyłem, odpychając z całej siły innych. Pociąg ruszył; ledwie nie wpadlem pod koła. Biegliśmy do lasu, sami nie wiedząc dokąd... Ucieczka nasza została jednak zauważona przez straż. Usłyszeliśmy salwę karabinową, jaką dano za nami.

— Dopiero po kilkunastu dniach przywlokłem się do domu. Wędrowałem tylko po nocach, bojąc się, aby mnie ktoś nie zwąchal. Żywiłem się marchwią, którą zrywałem w polu i owocami, które kradlem po nocach. „Skufa" moja udawała, że jest rada z mojego przybycia. Przyjęła mnie z otwartemi ramionami. A na drugi dzień lignęla mnie i wydała policji. Ach te kurwy... Zamęczę, gdy wyjdę...

Wymachiwał pięścią tak groźnie, że zrobiłem krok wtył.

Cygan, jak wiadomo, groźby swojej nie spelnił. Ale nie myśl czytelniku, że cyganka mogła wobec tego być spokojna i nie obawiać się zemsty: jak się później dowiedziałem, została ona w straszliwy sposób zamordowana przez wspólników męża.

Powiem ci także, czytelniku, co stało się z Szoferem. Szofer przeszmuglował się do Ameryki i tam też wkrótce dorobił się kilkunastu lat więzienia. Odbywa on karę w osławionem więzieniu amerykańskiem Sing-Sing.

XXVI.

Nie było teraz dnia, by władza nie wykryła w którejś z cel ogólnych pieniędzy pochodzących z kotłowni. Zaczęto przeprowadzać srogie rewizje osobiste więźniów. Wśród nocy wypędzano z łóżek na korytarz, rewidowano najmniejsze sprzęty znajdujące się w celi. Tu i tam znaleziono ukryte pojedyńcze banknoty. Ci sami dozorcy, którzy brali od nas forsę i przynosili wódkę i papierosy, okazali się teraz najsurowsi w przeprowadzaniu rewizji.

Werkmistrz udawał teraz, że mnie wcale nie zna. Po pamiętnej nocy przyniósł mi ze dwa razy po kawałku kiełbasy; był na tyle ostrożny, że nie dawał mi jej do własnych rąk, tylko wskazał gdzie leży. Wspólnicy moi, a szczególnie Tadek grozili mi, że mnie zabiją, jeśli nie oddam im ich doli. Tysiącmarkówki, które schowałem, także rozdałem blatnym klawiszom, którzy obiecywali złote góry, a przynieśli ze dwa trzy razy wódkę i papierosy, które oddawałem wspólnikom; potem zaś udawali, że mnie nie znają wcale. Pewną część oddawałem też pomocnikom pana werkmistrza. Ten nietylko że mi nic nie przynosił, ale nawet zaczął mnie prześladować. Raz postanowiłem zapytać werkmistrza co będzie, dlaczego mi nic nie przynosi? A on mi na to odparł:

— Dziękuj Bogu, że cię trzymam na piekarni. Jak będziesz dużo gadał, to cię do pojedynek zamknę. Co ty sobie myślisz, złodzieju jeden, że jestem tobie równy? Pieniądze, które mi wmówiłeś, dawno spaliłem. Nie chcę o niczem wiedzieć.. Trzymaj mordę, bo będzie źle z tobą. Jeśli chcesz ujrzeć wolność i spokojnie na piekarni wyrok odsiedzieć, więcej mi o tem nie wspominaj. Pamiętaj!

Pogroził mi pięścią i wykręcił się, rzucając przytem szydercze spojrzenie w moją stronę.

Skamieniałem ze zdziwienia. A to bezczelność! Własnym uszom nie dowierzałem. Trafiła kosa na kamień: widać był cwańszym złodziejem odemnie. Co było robić? Kapusiem zostać nie chciałem, o czem werkmistrz dobrze wiedział. Więc milczałem i zabrałem się do pracy.

Starszym piekarzem był obecnie niejaki Gabin, Galicjak, który już odkiwał piętnaście lat w więzieniu. Przyjechał tu

z Czech, gdzie siedział w znanem więzieniu w Szpilbergu. Miał dwadzieścia lat więzienia za zabójstwo kochanki, a siedział od 1907 roku. Był on zawodowym piekarzem. Pewnego dnia spostrzegłem, jak zawinął w kawałek płótna paczki tysiącmarkówek i owinął ciastem, poczem wsadził to do pieca. Zmiarkowałem odrazu, że chce ten oryginalny bochenek chleba przenieść do celi, skąd ma powędrować na wolność.

Nie lubiłem tego Gabina. Był to lizus, a pędził nas gorzej niż dozorca. Przytem był to więzienny „leser" i kombinator. Opowiadał on w celi moim wspólnikom, że ja pieniądze zagarnąłem dla siebie. Więc czekaj, — pomyślałem. — Już ja cię tu urządzę.

Przy obiedzie Gabin zebrał gęstą kapustę, która została i wsypał ją do wiadra, poczem na sam spód wsadził chleb który zawierał pieniądze. Postawił to za szafą z ubraniami i był pewny, że nikt jego kawału nie spostrzegł. Przypilnowałem go i w odpowiedniej chwili niezauważony przez nikogo wyciągnąłem chleb, a na jego miejsce wsadziłem inny bochenek; tamten zaś z banknotami schowałem pod mąką.

Śmiałem się w duchu na myśl, jak głupio będzie wyglądał Julek, ów palacz z kotłowni, który był kolegą Gabina i pieniądze przyniósł z kuchni, gdy szedł na obiad. Stamtąd Gabin, idąc także na obiad, przyniósł pieniądze na piekarnię, skąd już łatwiej było przeszmuglować je do celi.

Paczkę wydobytą z chleba udało mi się łatwo przynieść do celi. Zrobiłem to zaraz w ten sam dzień, gdy werkmistrz wziął mnie do odniesienia chleba do wydziału gospodarczego do kancelarji. Nie rewidował mnie wcale; ale choćby nawet zrewidował i znalazł, postanowiłem mu nie ustąpić.

Pieniądze oddałem Tadkowi o niczem nie mówiąc. Tem załagodziłem trochę naprężone stosunki między mną a wspólnikami. Gabin i Julek dopiero na drugi dzień spostrzegli się, że zrobiono im kawał. Jednakże mieli tyle rozumu, żeby milczeć. Patrzyli jednak od czasu do czasu podejrzliwie w moją stronę.

Pewnego dnia jeden z nas na piekarni krzyknął niespodziewanie przy pracy: „Hipisz". Ten wyraz, tak wiele znaczący dla nas, a tak nagle wyrzucony, uderzył w nas jak piorun. Nie zdążyliśmy się zorjentować, co zaszło, jak piekar-

nia zapełniła się groźnemi twarzami klawiszów. Przystąpiono do rewizji. Każdy z nas odrzucał od siebie zakazane owoce, jakie miał przy sobie. Jeden z więźniów rzucił do ciasta, które mieszałem, kilka banknotów. Po godzinnej rewizji klawisze z niczem poczęli się wynosić jeden za drugim z celi. Po ich wyjściu śmieliśmy się, że nic nie znaleźli i rzucaliśmy różne niepochlebne uwagi pod ich adresem.

Następnego dnia zawołano mnie do kancelarji więzienia. Stanąłem przed pomocnikiem naczelnika. Miałem nieczyste sumienie i inspektor D. odrazu to spostrzegł, to też patrząc na mnie dwuznacznie, uśmiechał się.

— Dużo macie pieniędzy? — zapytał mnie prosto z mostu.

Zawahałem się jedną sekundę, poczem odparłem:

— O jakich pieniądzach pan inspektor mówi?

— No, te pieniądze z kotłowni. Dużo ich mieliście? Jestem bardzo ciekawy.

— Nie wiem o żadnych pieniądzach.

— Zato ja wiem, — odparł ironicznie inspektor i dodał: — Daremne wasze wykręty. Zaraz się przekonamy.

Po chwili skonfrontowano mnie z jednym z więźniów z naszej celi. Ten nietylko na mnie kapował, ale nawet nie wiem jakim sposobem kapował i na werkmistrza.

Nie chciałem się przyznać do niczego, inspektor więc kazał mi stanąć na korytarzu twarzą do ściany. Po całym korytarzu rozstawieni byli twarzą do ściany znani mi więźniowie; po kolei prowadzono ich na śledztwo. Śledztwo trwało dwa dni; ściągnięto również na nie werkmistrza. Postawiono nas naprzeciw siebie, jednakże nie chciałem się przyznać do niczego. U jednego więźnia znaleziono nawet stempelek, którym stemplowano serje na banknotach; palono bowiem i takie banknoty, na których nie było jeszcze numeru serji.

Inspektor próbował wydobyć ze mnie przyznanie się do winy to groźbą, to dobrocią, ale nic nie pomogło. Na wszystkie pytania odpowiadałem, że o niczem nie wiem i trzymałem się przy swojem, że jestem zupełnie niewinny.

Inspektor rozkazał mnie znów odprowadzić pod ścianę; jednakże po chwili wezwano mnie znowu. Przed inspektorem stal werkmistrz mieniąc się na twarzy. Zaraz od drzwi inspektor zawołał triumfująco:

— Teraz nie będziecie mówić, że jesteście niewinni. Werkmistrz przyznał się do wszystkiego. Powiedzcie tylko, komu oddaliście resztę pieniędzy?

Milczałem.

Inspektor, zły, zawołał:

— Co, oniemieliście? Ja was zgnoję tutaj. Znajdę sposób, jak ci gębę otworzyć.

— Nic nie wiem, — powiedziałem, postanawiając w duchu na dalsze pytania nie odpowiadać ani słowa.

Inspektor groził i błagał, a gdy przekonał się, że na wszystkie pytania milczę jak mur, rozkazał zaprowadzić mnie do karceru.

Smutno i gorzko na duszy mi się zrobiło, gdy dozorca zatrzasnął drzwi karceru. Zgrzyt zamku i rygli wrzynał się głęboko w mózg. Wiedziałem dobrze, że wykręcić się z tej całej afery nie będzie zbyt łatwo. Rozmyślałem o pogróżkach inspektora; wiedziałem dobrze, że jeśli zechce, potrafi tak skarcić więźnia, że obróci go w proch, i wydostać z niego wszystko, co zechce. Widziałem teraz jego groźną twarz pobladłą od złości, przypominałem sobie, jak drżał jego głos i jak się trząsł, gdy do mnie mówił.

Postanowiłem jednak za wszelką cenę, nawet za cenę życia milczeć. Zrozumiałem, że gdy zacznę śpiewać, będę zmuszony wplątać towarzyszy i wielu innych.

Rzuciłem się na deskę leżącą na asfalcie i będącą jedynym meblem mojego grobu. Ciemno tu było rzeczywiście jak w grobie. Choć na dworze byl jasny dzień i słońce, tutaj nie wdzierał się żaden promień światła. Grobowa cisza i ciemność. Wpadlem w trans rozmyślania.

Rozmyślałem, jak zwykle w takich chwilach, o dzieciństwie aż do chwili obecnej. Stawiałem sobie różne pytania i na wszystko starałem się sam sobie odpowiedzieć. Pierwsze pytanie w najsmutniejszych chwilach mego życia zawsze było jedno i to samo: jakim sposobem upadlem tak nisko? Kto jest winien temu wszystkiemu, co się ze mną dzieje? Co stało się z moją duszą, wiarą i sercem? Dlaczego mam takie szczęście, że gdy tylko coś zbroję, musi się zaraz wydać! Wieluż to jest ludzi, którzy popełniają stokroć większe zbrodnie przez całe życie, a wszystko im uchodzi bezkarnie.

Badałem w takich chwilach sam siebie, starając się dociec, co było przyczyną mojej zguby. I zawsze znajdywałem tę samą odpowiedź: Miałem za dużo energji w sobie jako dziecko. Każdy wie, że energja gromadzona musi być wyładowana. Gdybym był trafił między dobrych ludzi, moja energja byłaby wyładowana w dobrym kierunku; na moje nieszczęście trafiłem między złych ludzi i wyładowałem ją w kierunku złym. To było przyczyną mojej zguby i nic więcej.

W takich chwilach, gdy mózg mój był już wyczerpany i zmęczony, następowały inne uczucia. Uczucia dziwne, nie dające, się określić słowami. Wszystko wkoło mnie tchnęło zgrozą i śmiercią. Słyszałem jakby z innego świata znane mi dobrze ciężkie westchnienia i przekleństwa więźniów. Dochodziły mnie jakby z grobu zduszone, chrapliwe głosy ludzkie, łajanie, narzekanie na ludzi, Boga i świętych.

Otwieram zmęczone oczy, siadam i natężam słuch. Wszystko dokoła mnie drży i obraca się w nieustannym ruchu. Upadam znów bezwładnie na twardy tapczan i widzę siebie dzieckiem pięcioletniem. Widzę oczyma wyobraźni moją matkę, jak pieszczotliwie głaszcze mnie po dziecięcej główce. Staram się jak najdłużej zatrzymać tę wizję przy sobie. Jednakże tak przyjemny dla mnie obraz rozpływa się i pozostaje rzeczywistość. Szary, smutny, śmiercią tchnący fakt...

Po chwili mam jakieś mgliste wspomnienie z chederu i jeszybotu; znika ono jednak prędko, a na jego miejsce przychodzą inne obrazy.

Widzę wszelkiego rodzaju przestępstwa. Widzę meliny złodziejskie, trzeciorzędne domy publiczne, restauracje, kawiarnie, kabarety i inne miejsca rozrywek znane tylko przestępczemu światu. Widzę także więzienia lekkie i ciężkie, karcer, samotność w celi pojedyńczej, chleb i wodę lub tylko samą wodę, kajdany i mordobicie.

Bardzo mało widzę dobrych chwil w tem życiu. Zrywam się i biegam poomacku po moim grobie tam i zpowrotem. Wszystko boli: głowa od myślenia, oczy od wszystkich przywidzeń, przypominających lata zmarnowane w poniżeniu i męce. Boki bolą od twardego tapczana, który niemilosier-

nie odgniata ciało. Nogi z wyczerpania także odmawiają posłuszeństwa. Znów po kilkakrotnem uderzeniu twarzą o ścianę upadam na tapczan. Tym razem próbuję leżeć na brzuchu i tak zgorzkniały przymykam oczy. Głośne pukanie do drzwi karceru zmusza mnie do odezwania się. To dyżurny wali w drzwi abym się odezwał: sprawdza w ten sposób, czy jeszcze się nie powiesiłem. O, gdyby to można było tam uczynić, napewnobym to zrobił! Niestety ściany karceru są gładkie i niema na czem się zahaczyć.

Gdy dyżurny oddalił się i ucichły jego ciężkie kroki, zasnąłem.

Rano obudzony zostałem hukiem łóżek zamykanych z hałasem na piętrach przez więźniów. Wstałem; wszystko mnie bolało. Powietrze było duszne nie do wytrzymania. Oddychałem ciężko. Wszystko dookoła mnie wydawało się złowróżbne. Ciemność boleśnie raziła oko. Trawiła mnie gorączka, tak że jednym łykiem wciągnąłem brudny dzbaneczek wody, który namacalem w kącie. Usiadłem po turecku na tapczanie i oczekiwałem, co poranek przyniesie. Byłem pewny, że śledztwo na tem się nie skończy.

Dla umilenia sobie nudnego czasu, dużo mówiłem głośno sam do siebie. Musiałem się wygadać, by sobie ulżyć, więc mówiłem do czterech ścian karceru. O, gdyby tak ściany karceru po więzieniach umiały przemawiać, — one jedne tylko słyszały szczere narzekania i jęki ludzkie...

Około dziewiątej rano podano mi porcję chleba i wody. Korytarzowy odpalił mi nieznacznie drugą porcję chleba. Zabrałem się do jedzenia. Dozorca, który przyniósł wodę i chleb, łaskawie uśmiechnął się do mnie. Dozorcy po więzieniach lubią więźniów, którzy umieją milczeć, gdy rzecz ich dotyczy.

Zjadłem kawałek chleba i przestałem jeść mimo głodu, gdyż coś uwięzło mi w zębach. Położyłem się na brzuchu i spojrzałem przez szparę w drzwiach, skąd światło wąskim paseczkiem sączyło się do karceru. Wtem drzwi moje otworzyły się. „Wychodź!" — padl rozkaz. Po chwili byłem znów na śledztwie.

— Dzieńdobry panu, — zawołał ironicznie pan inspektor. — Jak się tam spało?

— Bardzo dobrze, panie inspektorze, tylko kobiety brakowało.

Inspektor groźnie spojrzał na mnie i ryknął:

— Zdechniesz u mnie w karcerze. Ja cię tak długo będę tam trzymał, aż wszystko wyśpiewasz.

— Za długo przyjdzie panu czekać. Choćbym całe życie tam siedział, nic nie powiem. Proszę mnie ukarać, o ile zasłużyłem, ale nic więcej nie powiem.

— Zabrać go! — ryknął na cale gardło.

Dozorca prędko wyprowadził mnie, skąd przyszedłem.

Zacząłem teraz przemierzać celę tam i zpowrotem. Drżałem z zimna, aż mi zęby dzwoniły. Po wszystkich więzieniach karcery znajdują się w piwnicach i podziemnych lochach. Latem nawet, gdy na dworze słońce grzeje i ludzie ukrywają się przed upałem, tam chłód przenika do głębi kości.

Chodząc po celi, niechcący wylałem wodę, która stała w kącie. Zrobiło się ślisko, więc usiadłem zpowrotem na tapczanie. Sięgnąłem po chleb, który mi odpalił korytarzowy. Jakże się zdziwiłem, gdy przełamując chleb, natrafiłem na grypsankę. Zrozumiałem, że koledzy dają mi wskazówki, co mam czynić. Ale jak ten gryps przeczytać? Ciemno było jak w grobie. Wtem usłyszałem, że któryś z więźniów szoruje korytarz przy moich drzwiach. Zbliżyłem się do drzwi.

— Te, brachu, odsuńno trochę wizyterkę, — poprosiłem.

Wizyterka odsunęła się. Mogłem teraz z trudnością przeczytać gryps.

„Drogi Nachalniku, pamiętaj, nie wydaj nas. My podamy ci co wtroić w karcu. Pamiętaj, trzymaj fason".

Świadomość, że wspólnicy dopomogą mi, abym tu nie cierpiał głodu, dodała mi otuchy i odrazu odzyskałem humor. Ogarnęło mnie błogie poczucie, że towarzysze widzą we mnie ofiarę za winę popełnioną razem z nimi. Byłem dumny z tego, wiedząc, że uważają mnie za bohatera. Odzyskałem humor, i zacząłem nucić nagłos ulubioną piosenkę:

Świeci księżyc, świeci także słońce,
W mojem nieszczęściu niema końca.
Niema końca i nigdy nie będzie,
Bo jestem zapisany w mokotowskim urzędzie.

— Cicho tam, psiakrew! Zamkniesz ty mordę, bo jak nie, to ja ci ją zamknę...

Poznałem glos groźnego dozorcy więźniów Stef., i odrazu zamilkłem wiedząc, że nie jest on leniwy i może spełnić swoje pogróżki.

Odgłosem, który teraz pochłaniał moją uwagę, było ciche stękanie i jęki więźnia, pochodzące z drugiego karceru. Słyszałem już w nocy, jak ktoś chodził w tę i tamtą stronę po karcerze. Różne domysły przychodziły mi do głowy. — Wszystko to było dla mnie zagadką. Zapewne tak samo i on słyszał moją bieganinę po celi, jeki i narzekania. Chętnie jeden drugiemu chcialby pomóc, ale jak? Grube ściany i żelazne drzwi są nieczułe na ból ludzki i nie chcą ustąpić...

W południe dziwny hałas panował w jego celi. Zapewne spuścili mu „manto" i wzięli go w „krzyżowy ogień pytań". Ciekaw tylko byłem, kto to taki.

Spędziłem tak czas do wieczora; gdy noc już zapadała, w czem zorjentowałem się podług gwizdków kotłowni i spuszczania łóżek w celach, zawezwano mnie znów na śledztwo. Tym razem wyszedłem z celi jakby na stracenie. Byłem pewny, że teraz wezmą mnie w krzyżowy ogień pytań. Jednakże stało się to, w co nigdybym nie uwierzył. Inspektor rozmawiał ze mną łagodnie i rozkazał mnie zaprowadzić zpowrotem do ogólnej celi, w której przedtem siedziałem. Rozkazał nawet, by mnie zpowrotem puścić do pracy na piekarnię.

W celi koledzy przywitali mnie, jakbym wrócił z tamtego świata; bardzo byli uradowani, że wróciłem, tylko Tadek patrzył na mnie podejrzliwie. Myślal zapewne, że musialem coś „lignąć", gdy mnie wypuszczono z karceru.

XXVII.

Życie moje teraz stało się bardzo dokuczliwe. Na piekarni na każdym kroku dozorcy zastępujący werkmistrza prześladowali mnie. Dobrze zrozumiałem, że mszczą się za werkmistrza, którego wydalono ze służby. Władzy widać zależało na tem, by zatuszować tę sprawę i dlatego dali mi spokój.

Piekarnia stała się teraz dla mnie nie do zniesienia. Nawet pomocnik werkmistrza, który także wziął ode mnie forsę, najbardziej mnie prześladował. Zrozumiałem, że chce mnie się pozbyć. Pracować dalej w takiej atmosferze było rzeczą niemożliwą. Starszy piekarz, który dowiedział się, że świsnąłem mu bochenek z forsą, szukał mnie teraz na każdym kroku. Tadek, podejrzewając mnie, że forsę schowałem dla siebie, rozgłaszał między „swoimi", że jestem kapusiem itd. Doszło nawet do tego, że starszy piekarz raz, udając niezadowolonego z mojej pracy, głośno zawołał na mnie: „Kapuś". Tego było już za wiele. Skoczyłem do niego i tak go zbiłem, że w nagrodę otrzymałem siedem dni karceru i zostałem wydalony z pracy. Osiągnęli więc to, czego pragnęli.

Nastało teraz dla mnie życie nie do zniesienia. Głód wziął mnie w swoją opiekę. Prosto z karceru zabrano mnie na oddział szósty. Byłem tak wyczerpany po siedmiodniowej pokucie, że ledwo dźwigałem po schodach do góry swe manatki, składające się z siennika, zawierającego trochę starej słomy, podartego koca, ręcznika, miseczki i kubka do kawy.

Przez siedem dni karceru otrzymałem czternaście półfuntowych porcyj chleba; dwie porcje dziennie, rano i wieczorem. Wodę dawano mi bez ograniczenia. Nic więc dziwnego, że po takiej kuracji, gdy przyszedłem do celi ogólnej, rozglądałem się po niej, czy nie znajdę znajomego, któryby poczęstował mnie kawałkiem chleba. Niestety, cela była zamieszkana przeważnie przez więźniów koszykarzy. Proletarjat więzienny składał się wówczas we wszystkich więzieniach właśnie z koszykarzy, gdyż robota ta nie dawała więźniowi żadnych korzyści. W całej celi, gdzie mieszkało 24 więźniów, na lekarstwo nie można było znaleźć ani okruszyny chleba. Lochenek kilowy chleba krajano wówczas na 18 porcyj dziennych dla 18 więźniów. Głód panował w celach nie do zniesienia. Mocno w duchu żałowałem bogatej celi piekarskiej i te wspomnienia powiększały mi jeszcze uczucie głodu.

Wieczorem, gdy reszta więźniów przyszła z pracy, poczęli przyglądać mi się ciekawie. Spacerowałem sobie po celi tam i zpowrotem. Zauważyłem, że obserwują mnie nie bardzo przychylnie. Większość moich współlokatorów stanowili

wiejscy chłopi, jak ich tam nazywają — żłoby. Ci ludzie przygnębieni głodem i swemi wyrokami, siedzieli cicho po kątach. Natomiast kilku cwaniaków rozmawiało głośno między sobą, rzucając urągliwe dwuznaczne słówka pod moim adresem. Jak się „tropnąłem“, Tadek dał znać w celi, że jestem kapusiem i że należy się strzec przede mną. Cwaniaki jednak, widząc moje szerokie bary i śmiały spacer po celi, nie odważały się mnie zaczepić.

Rozległ się dzwonek na kolację. Wypiłem wstrętną zupę z marchwi, rozgrzewając wystygły w ciągu siedmiu dni żołądek. Za chwilę dzwonek na modlitwę i sygnał na spanie. Zbliżyłem się do starszego celi, którego nazywano Sierotą i poprosiłem o wyznaczenie mi łóżka. Starszy celi zawołał urągliwie: Kapusie mogą spać pod łóżkiem! Nie zdążył tego wymówić, gdy wymierzyłem mu silny cios między oczy. Sierota nie bronił się, narobił jednak takiego hałasu, że po chwili do celi przybiegło kilku dozorców. Ale żaden z więźniów nie ujął się za nim, gdyż Sierota krzyczał zamiast bić się ze mną. Po chwili zamieszkałem już w tym samym karcerze skąd przyszedłem. Coprawda dobrowolnie nie chciałem wejść zpowrotem do lochu. Jeden z dozorców, Wal... chwycił mnie za gardło, a więzień, pomagający w lochach, uderzył mnie kilkakrotnie pięścią w głowę i wepchnięto mnie z taką siłą, że upadlem nawznak. Po chwili założono mi kajdany na ręce i nogi. Podczas zakładania kajdan jeden z dozorców przygniatał mnie kolanami twarzą ku ziemi. Następnie przewrócono mnie jak beczkę, bym leżał na plecach.

Zpoczątku położenie moje wydawało się okropne. Skoro jednak z wielkim hałasem zaryglowano drzwi, pozostawiając mnie w ciemnościach, myślałem, że i z tem nieszczęściem się oswoję. Stało się jednak inaczej. Ręce zaczęły boleć, krew zatrzymała się w biegu. Serce jakby przestało bić. Płuca oddychały ciężko, pragnąc powietrza, którego tu nie było. Uczucie duszności było tak silne, że myślałem, że pękną mi płuca.

Po upływie kilku godzin spróbowałem się podnieść, jednakże sztywne kajdany na rękach i nogach nie pozwalały mi zrobić kroku w moim grobie. Czułem ostry ból we wszystkich członkach i ostre kłucie w sercu.

To nic, mówiłem sobie zbolały, starając się utrzymać równowagę, — jeszcze nie zdechniesz. Jednakże po chwili ból był tak straszny, że zacząłem jęczeć i wyć jak wściekły pies. Za każdem szarpnięciem i poruszeniem, kajdany wdzierały się głębiej w ciało. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że na nic się nie zdadzą moje wysiłki i szal, że pogarszam tem tylko swoje położenie i wyczerpany upadłem jak pień na zimny asfalt.

Próbowałem teraz leżeć spokojnie. Pod wpływem duszności dostałem zawrotu głowy. Ręce i nogi bolały mnie tak, jakby zwalono na nie ciężar stu pudów. Znów straciłem panowanie nad sobą. Zerwałem się i zacząłem walić plecami w drzwi.

— Przymknij się tam, sk....synie! Przestaniesz hałasować? — wołał groźny glos dozorcy.

— Ręce mi puchną, — krzyczałem. — Za mocno mnie skuto. Niech pan się zlituje i zluźni mi kajdany, — prosiłem błagalnym płaczliwym głosem.

— Jeszcze nie zdechniesz, — usłyszałem odpowiedź. — Nie zawracaj głowy. Śpij, kiedy ci każą. Jak będziesz, cholero, dokazywał, to ci kaftan założę.

Daremnie błagałem i prosiłem; wreszcie usłyszałem kroki dozorcy oddalającego się od mego grobu. Mogłem już teraz wzywać tylko Pana Boga, ale i On podobno zamieszkuje bardzo wysoko, więc zapewne nie usłyszałby mnie.

Rano, gdy przyniesiono mi do karceru moją porcję chleba i wody, zauważyłem, że na drzwiach nalepiony jest już mój wyrok, który brzmiał:

„Za ciężkie uszkodzenie ciała więźnia w celi, i za opór stawiany dozorcom w drodze do karceru, 14 dni aresztu. Co czwarty dzień ciepła strawa i światło dzienne“.

Na dole był podpis pana inspektora, który tak surowo wymierzał sprawiedliwość, nie racząc nawet wezwać mnie na śledztwo.

Straszne było życie w karcu. Przez pierwsze siedem dni liczyłem każdą godzinę, każdą minutę do końca, — a teraz musiałem tak siedzieć 14 dni. Myślałem, że to się nigdy nie skończy. A jednak nic wiecznego niema na świecie. Te czternaście dni skończyło się również. Wyszedłem tak wy-

czerpany, że gdy dozorca przyszedł mnie uwolnić, niechętnie podniosłem się z tapczana; wszystko już było mi obojętne.

Gdy dziś piszę te słowa, i przypominam sobie te straszne męki, jakie wówczas przeżyłem, odczuwam ucisk w żebrach i skurcz żołądka. Przychodzą mi na myśl święte słowa chińskiego poety Li-tai-po:

> Szczęśliwy się skarży, że dzień mu za krótki,
> Smutnemu — godzina wydaje się wiekiem;
> Kto jednak nie zaznał, co radości, smutki,
> O czas nie pyta, jest zwykłym człowiekiem.
>
> O, niechaj w przeszłość myśl twoja nie goni!
> Przeszłość obudzi smutek w sercu twojem.
> Przyszłość?... Człowiecze, nie myśl także o niej,
> Bo duszę twoją skazi niepokojem!
>
> Ja ci dam radę, biedny przyjacielu,
> Byś kres miał wszystkich złudzeń i omamień:
> Przez dzień jak worek tkwij w swoim fotelu,
> W nocy — leż w łóżku bez ruchu jak kamień.
>
> Gdy jesz, — gębę otwórz, a gdy sen cię zmroczy,
> To zamknij gębę, ale także oczy!...

XXVIII.

Przeżyłem moje dwadzieścia jeden dni karceru, ale odtąd nigdy zupełnie nie powróciłem do siebie. Aż po dzień dzisiejszy jestem jakby innym człowiekiem. Dozorców więziennych znienawidziłem z całej duszy. Czy nie mają innych sposobów ukarania więźnia prócz bicia go? Fizycznie także osłabłem. Posadzono mnie teraz na oddziele trzecim w celi Nr. 40. Więźniowie, pracujący tu nad kartoflami, przynosili mi ukradkiem pieczone kartofle, jak mówili, by mnie odreperować.

W celi narożnej mieściło się trzydziestu jeden więźniów, między którymi miałem kilku znajomych. Na kartofle pchano największych cwaniaków. Była to najgorsza praca wię-

zienna, na którą posyłano za karę. Zawsze tu było mokro i zimno i więzień pracował tu niechętnie. Ale cwaniaki nic sobie z tego nie robiły, a nawet starały się trafić do kartoflarni. Wszystkie handle i szmugle przechodziły przez kartoflarnię, wskutek czego pracujące tu cwaniaki całą giełdę mokotowską trzymały w swojem ręku.

Na czele kartoflarni stal Żyd, wcale nie cwaniak; umiał on jednak podchlebiać się administracji tak, że awansował na starszego kartoflarza. Nazywał się Fed..., pochodził z Galicji i miał dwadzieścia lat ciężkiego więzienia. Był to frajer, który umiał żyć w przyjaźni nawet z cwaniakami. W celi umiał się zachowywać jak prawdziwy złodziej, przez co, mimo, że był frajerem, złodzieje trzymali z nim sztamę. Był to szmugler i kombinator pierwszorzędny. Uchodził przed administracją za posłusznego i spokojnego więźnia. To właśnie było przyczyną, że mógł kombinować, nie zwracając na siebie zupełnie uwagi.

Po mojem przybyciu do celi stał się odrazu moim przyjacielem. Było tu kilku takich, co mnie dobrze znali i wiedzieli, że nie jestem kapusiem; znalazłem się więc w swojem środowisku. Po tygodniu zrobiono mnie starszym celi, co jest uważane za wielki zaszczyt.

Fed... w chwilach wolnych od pracy lubił opowiadać o nieszczęściu, jakie go spotkało. Znając jego słabość, często wołałem do niego:

— No, Fed..., opowiedz, jak to tam było!

A Fed... po raz dziesiąty smutno opowiadał swoje dzieje. Zawsze rozpoczynał temi samemi słowami:

— Naser mater te pierońskie baby, och, żebym ja tak mógł, tobym wszystkie baby wymordował. — Wymachiwał przytem groźnie pięścią w powietrzu, twarz jego przybierała jakąś nieokreśloną barwę, a rosła postać pochylała się ku ziemi.

— Byłem sobie szklarzem we wsi, — rozpoczynał opowiadanie. — Zarabiało się nieźle. Jak czasami. W końcu osiemnastego roku ożeniłem się. Pracy było coraz mniej, a żona stawiała mi coraz inne wymagania. Kochałem ją, więc chciałem jej dogodzić. Starałem się dorobić trochę handlem po wsiach, aby tylko ona biedy nie zaznała. Pewnego wie-

czora przybył do nas stary Żyd, który handlował po wsiach i prosił o nocleg. Po zjedzeniu kolacji razem z nami, Żyd usiadł w kącie i począł liczyć pieniądze. Żona mówi do mnie: „Widzisz, taki stary Żyd i ma tyle pieniędzy, a tyś taki niedołęga, zdrowy jak byk, a cholerę masz". Przytem rzucała dwuznaczne spojrzenia w moim kierunku. Zrozumiałem, co ma na myśli.

O świcie Żyd ubrał się i podążył w kierunku lasu. Ja starałem się go wyprzedzić i bocznemi dróżkami zabiegłem mu drogę. Sam nie wiem, jak to się stało, że uderzyłem go kijem w łeb, poprawiłem po raz drugi i przystąpiłem do rabowania. Zanim odszedłem, kilkakrotnie z całych sił uderzyłem leżącego na ziemi. Po upewnieniu się, że nie daje żadnych znaków życia, pobiegłem do domu. Bez słowa oddałem żonie torebkę z pieniędzmi, a zakrwawiony kij rzuciłem jej do nóg. Ona zachichotała szatańskim śmiechem i zawołała: „Coś ty, ośle, narobił! Ja wcale tak nie myślałam!" i wybiegła z pokoju. Nie upłynęło pewnie pół godziny, jak przybyło dwu żandarmów, trzymając mojego nieboszczyka pod ręce. Posadzili go na ławce, umyli mu twarz wodą, a gdy przyszedł zupełnie do siebie, odrazu wskazał na mnie.

Skuto mnie w kajdany. Na śledztwie przypucowałem się do wszystkiego. Byłem przecież wtedy zabitym frajerem, bielić się nie umiałem. Słomiany bandzior był ze mnie, więc wyśpiewałem wszystko na „hyclowni". Sam wskazałem, gdzie schowałem kilka sztuk „blitu", były to jeszcze austrjackie dziesięciokoronówki. Wskazałem też, gdzie zamelinowałem „binder". Wiesz mimo, że do wszystkiego się przypucowałem, spuścili mi takie manto, że do dziś pamiętam. Jeden, taki mały, z „brodawką" na plecach, bil mnie najwięcej. Jedną grabą zgniótłbym tę zarazę, ale co było robić, tych buldogów tam było pełno. Nie masz pojęcia, jaką cykorję miałem wtedy. Jeden hint uderzył mnie pięścią w cyferblat tak, że dwa gryzonie wypadły mi na podłogę, czuchy były zalane czerwoną. „Deka" mi odbili, że jeszcze dziś mnie bolą. Po tem wszystkiem ledwie dokaraskałem się do celi, gdzie mi założono na graby branzoletki.

— Dzira moja codziennie przynosiła mi gary. Przepędzałem ją od siebie, wyrzucając jej, że wszystkiemu jest winna.

Ona trajlowała mi dalej i ciągle płakała. Ja także bajcowałem w dzień i w nocy. Dziad pocieszał mnie, że niedługo pójdę na dyndawkę.

Po czternastu dniach był sąd i dostałem gimzy. Reszty już nie pamiętam: gdy usłyszałem, że zostałem skazany na szmelc, zemdlałem i reszty już nie słyszałem. Przyszedłem do siebie dopiero w celi. Kolo mnie leżała otwarta książeczka do modlitwy. Wziąłem ją do ręki i krew zastygła we mnie. Wiesz, co tam było?

W tem miejscu opowiadania zawsze szturchał mnie dla lepszego pobudzenia efektu. Ja udawałem zawsze, jakbym to wszystko słyszał po raz pierwszy i wołałem ze wzruszeniem:

— Co tam było, opowiedz prędzej!

On nachylał się do mnie i mówił:

— „Widę, widę..." To ona mi podsunęła. Chciała się mnie widać jak najprędzej pozbyć, nawet mi tałes przyniosła.

W tem miejscu zawsze ciężko wzdychał patrząc nabożnie w sufit, poczem ciągnął dalej swoje opowiadanie.

— Naprzekór mojej babie Marszałek Piłsudski ułaskawił mnie. Przenicowali mi gimzę na dwadzieścia wiosenek. — Zawsze to lepiej jak gimza. Może być amnestja, rewolucja. Mogę drapnąć, jak się uda. Gdy kasztan człowieka wywiezie, niema już żadnej nadziei, a tak jestem starszym kartoflarzem i żyję. Tu w więzieniu życie coprawda jest cholerę warte, ale zawsze się żyje...

— Wiesz ty co, — tu znów szturchnął mnie ręką, — żeby choć raz na pół roku kobietę dali, toby jeszcze uszło.

Drugi więzień, Stasiek, który zawsze kpił z niego, zaraz podchwycił:

— Piecież ty szpary nie lubisz. Narzekasz zawsze, że przez szparę tu wpadłeś, a jednak stale mówisz o nich. — O, Fed... Zrobiłeś się całym fetniakiem. Flejeny na paczkarni się nawcinasz, to o babach marzysz.

Fed... próbował się tłumaczyć, ale Stasiek nie dał mu przyjść do słowa i kpił dalej:

— Teraz, jakby cię puścili, nie poszedłbyś z patyczkiem na stój na biednego chałaciarza. Maszyny do graby i do banku na stój, co?

— Ja tam wogóle nie myślę więcej o przestępstwie. Gdyby Bóg dał, abym się stąd wydostał, byłbym mądrzejszy i takiego głupstwa jużbym nie popełnił w życiu. Raz tylko człowiek dostaje ptaka. Ja więzienia więcej nie zobaczę, — zapewniał zawsze tonem stanowczym.

— Co ty tam trajlujesz. Gdy wyjdziesz na wolność, zapomnisz o tem. Nabrałeś tu teraz oleju do makówy i tak prędko nie wpadniesz. Zresztą kto ci da pracę, jak cię znają, żeś miał dwie dychy więzienia. Będziesz musiał kraść, choćbyś i nie chciał. Ja tak samo pierwszy raz zupełnie niewinnie wpadłem na sześć miesięcy do mamra. Tak samo mówiłem, jak ty teraz mówisz. Dopiero przez te sześć miesięcy nauczyłem się złodziejstwa. Dziś siedzę już piętnasty rok w więzieniu. Wszystkiego mam sześćdziesiąt sześć lat życia, a trzydzieści dwa lata przesiedziałem już po różnych więzieniach. Zresztą hinty, jak raz zwąchają człowieka, depczą mu tak długo na odciski, że lepiej już kraść, niż być niewinnie prześladowanym przez nich. Ja sam z natury jestem bardzo litościwy, gdy na wolności spotykam biednego, placzę nad jego losem.

Fed... zaciekawiony zapytał:

— A dlaczego płaczesz?

— Bo nie mam mu co ukraść.

Wszyscy zawsze w celi śmieli się z jego wywodów i nieraz doprawdy umiał on rozweselić nas swemi dowcipami. Jednakże człowiek myślący w jego dowcipach wyczuć mógł wiele jadu i goryczy. Miał on jak sam mówił 66 lat, a wyglądał na osiemdziesięcioletniego starca.

Razu pewnego zapytałem go, czy próbował na wolności życia uczciwego człowieka.

— Próbowałem nieraz, — odpowiedział, — i doszedłem do przekonania, że nie warto.

— Dlaczego nie warto? — zapytałem zdziwiony.

— Dlatego, mój synu, — odparł, — że w życiu grunt to nie uczciwość, tylko forsa. Kto ma forsę, ten jest sprawiedliwy i uczciwy i uważają go za mędrca. Zajdziesz do sklepu i powiesz: Jestem najuczciwszym człowiekiem na świecie, tylko nie mam pieniędzy, proszę mi dać pudełko zapałek. Zaręczam ci, że go nie dostaniesz. Ale możesz za to zajść

do najprzyzwoitszego lokalu publicznego i powiedzieć bez obawy: Jestem największym zbrodniarzem na świecie, proszę mi podać to lub owo, ja płacę. Zaręczam ci, że kelnerzy i lokaje będą przed tobą skakać i kłaniać się do samej ziemi. Więc na cholerę komu potrzebna jest uczciwość? Gdy człowiek jest uczciwy, ludzie określają to głupotą, a gdy zrobisz dobrą „robótkę", ludzie mówią: ten musiał być sprytny i madry.

— Dobrze, masz rację, — odpowiedziałem, — ale jednak policz, że więcej niż połowę życia spędziłeś za kratami i niczego nie użyłeś. Mojem zdaniem już lepiej być uczciwym na wolności.

— Głupi jesteś, mój kochany, — odparł. — Czego złodziejowi dawniej za kacapa brakowało w więzieniu? Dobry złodziej był na najlepszej funkcji. Jeszcze forsę wynosił z więzienia. Klawisze byli blatni, nie jak dziś za Polski; i dziś ich nie brak, ale są lesery. Za wszystko każą sobie płacić więcej, niż warta jest przysługa. Dawniej za kacapa było inaczej. Menty za kieliszek wódki wszędzie szedł. Ot, naprzyklad, ja za kacapa zawsze byłem starszym kucharzem w więzieniu, jak nie w Arsenale, to na Pawiaku. Naczelniki więzienia i menty znały mnie już, że nie jestem grebserem i umiem język trzymać. Za każdym razem wynosiłem trzysta albo czterysta rubli na wolność. Cały handel szedł przez kuchnię, a ja trzymałem wszystkich klawiszów w grabach. Za bramą już ferajna i ślaje na mnie czekały. Rżnęło się w sztosa do upadłego. Hulało z kobietkami, póki człowiek nie był goły. Potem się znów szło na robótki. Nie obawiałem się, że wpadnę. Wiedziałem, że odrazu idę na kuchnię. Nieraz nawet tęskniłem do więzienia.

— Widzisz, brachu, — ciągnął dalej, rozpromieniony wspomnieniami dawnych czasów. — Żywot porządnego człowieka jest paskudny. Zawsze miewa różne przykrości, jakieś głupie obowiązki, na które porządny złodziej gwiżdże. Wszędzie, gdzie się ruszysz, — tego nie można, to nie wypada, to jest zabronione przez policję. Za wszystko płać. Złodziej kpi z tego, robi, co mu się podoba. Ściągnie, co zechce, jedzenie ma dobre i gazu nigdy mu nie zabraknie. Uczciwy frajer będzie wcinał suche gajdaki, albo się rzuci

pod tramwaj i chodzi w podartych nachach. Złodziej sobie zawsze poradzi. Więc powiedz sam, na co być głupim uczciwcem i świętoszkiem, kiedy ludzie na tem i tak się nie znają...

Słuchając jego poglądów na świat i ludzi, w duchu nie przyznawałem mu racji. Ja zawsze pragnąłem i dążyłem do tego podczas pobytu w murach więziennych, by zostać uczciwym człowiekiem. Niestety, gdy opuszczałem progi żywych grobowców, nigdy urzeczywistnić tego nie mogłem.

Zapytałem go też pewnego razu, czy był żonaty. Ten niespodziewanie podskoczył, jakby go żmija ukąsiła i zawołał:

— O, gdyby moja żona świętej pamięci żyła, nie byłbym dziś w więzieniu. W rok po ślubie umarła i z żalu poszedłem na k.....mać. Wpadlem w otchłań występku i do grobu się już nie wydostanę.

Po tych wynurzeniach starzec zamilkł, a jego zgasłe oczy przybrały kolor oczu trupa. Widząc, jaki ból sprawiłem mu tem pytaniem, i rozumiejąc, że niechętnie mówi o żonie, dałem spokój i więcej już o to nie pytałem.

Tak, tak... Kobiety potrafią zepchnąć człowieka do śmietnika ludzkiego. Gdy zechcą, mogą też pchnąć człowieka do zbrodni i do wszystkiego, co jest najohydniejsze na świecie. Potrafią też tak samo podnieść człowieka z bagna do bohaterstwa i genjuszu. Gdy tego chcą, umieją dać człowiekowi cel w życiu...

XXIX.

Minęła zima, przyszła wiosna 1921 roku. Ja jakoś tako trzymałem się przy swojej funkcji jako starszy celi. Starałem się celę utrzymać w najlepszym porządku, by dozorca oddziału nie odebrał mi stanowiska, które dawało mi codziennie dubeltową porcję sałamachy. Musiałem trzymać fason, gdyż wśród więźniów w celi było wielu takich, którzy czyhali na moją degradację.

Rano, gdy wypędzano wszystkich do pracy, zaprowadzałem podług regulaminu więziennego porządek w celi, której więźniowie wychodząc do pracy nie zdążyli uporządkować.

Zaledwie uporałem się z tem, przychodził dozorca i sprawdzał, czy niema gdzie kurzu lub pajęczyny. Opukiwał kraty, oglądał naczynia znajdujące się w celi, poczem rzucał kilka wskazówek, jakie zawsze miał w zapasie i udawał się do następnych cel. Wraz z hukiem ryglowanych dubeltowych drzwi żelaznych, wyrywało się westchnienie ulgi, jakby ze sto pudów zdjęto ze mnie.

Jedynem mojem zajęciem w błogosławionym Mokotowie przez długie dni samotności w celi, było czytanie książek, których dawano na tydzień dwie na celę. Wychodząc na spacer, starałem się zamienić przeczytane książki ze starszym więźniem innej celi. Za to „przestępstwo" według regułaminu groził mi karcer. Byłem łakomy wiedzy i dlatego kara nie odstraszała mnie, toteż wciąż na lewo brałem nowe książki. Czytałem wszystko, co mi wpadło do rąk. Nie oceniałem książek według pięknie brzmiącego tytułu, lecz starałem się wpierw przeczytać, a potem oceniałem wartość książki. Nie miałem wówczas pojęcia o sławnych autorach, nie mogłem więc wybierać książek według nazwisk autorów.

Najbardziej lubiłem tych autorów, którzy znali życie, którzy przeżywali najpierw na własnej skórze i doświadczali sami tego, co opisywali. Uwielbiam pisarzy, których twórczość jest wynikiem najgłębszego doświadczenia, rzeczywistych przeżyć i tragedyj życiowych, a nie przypadkowych okoliczności i sentymentów wyssanych z głupiej fantazji. Lubię pisarzy, którym życie wyrządziło krzywdę, którzy z tem życiem walczyli, którzy upadali pod niem i znowu się podnosili i włóczyli dalej. Uwielbiałem Londona, Gorkija, Conrada, Wacława Sieroszewskiego. Ci mojem zdaniem doskonale znali życie, o którem pisali. Pamiętam, z jakim to zachwytem czytałem książkę Londona: Martin Eden. Byłem zachwycony. Do dziś zapamiętałem cały utwór, tak mi się podobał. Pamiętam też, jak wyczytałem w jakiejś książce (tytułu nie pamiętam), pewien ustęp o filozofji życia. Każde słowo pamiętam do dziś. Ze względu na to, że ten ustęp najbardziej mi się podobał, pozwolę sobie go tu przytoczyć:

„Życie jest to wstrętna komedja. Ohydna, bezcelowa, obrzydliwa i niczem nieusprawiedliwiona otchłań niegodziwości ludzkich, która się nie da porównać z najgorszym

śmietnikiem i najwstrętniejszą kloaką, która przecież istnieje po to, by być napełnioną wszelkiemi obrzydliwościami. Każdy człowiek powinien znać i poznawać życie i jego cierpnie i nie być optymistą. Czego ty, człowieku, chcesz od życia? Chcesz, aby ci rzucano pod nogi kwiaty, hołdy i złoto? Tak?... Tego chcesz. Jeśli tak, — to chcesz niemożliwości! Życie na ziemi odznacza się tem, że jest nie do zniesienia. Chcesz mieć nieznośne życie — żyj!... A nie chcesz, to wal do djabła na tamten świat. Truciznę albo postronek, zawsze możesz znaleźć. Życie jest wstrętne, a jego ohyda — prawem nienaruszonem i usankcjonowanem raz na zawsze. Życie jest pokutą za grzechy ojców. Człowiek otrzymuje od życia tylko to, co mu się słusznie należy..."

Szczęśliwy jest ten, kto potrafi filozofować w podobny sposób. A ponieważ ja szukałem jakiegoś punktu oparcia w swem smutnem życiu, chwyciłem się tej filozofji wiedząc, że z podobną filozofją będzie mi lżej wytrwać w mojem nieszczęściu.

Po obiedzie zawsze dużo mówiłem głośno sam do siebie. Gdy słońce zniżało się do zachodu, świadomość mojego nędznego położenia stawała mi zawsze przed oczyma. Zaczynały się wskrzeszać dawne wspomnienia lat dziecinnych, marzyłem i głośno dyskutowałem sam ze sobą na temat przeczytanej książki.

Nieraz bywało, we środy, gdy przyjmowano od rodzin z wolności wałówki dla więźniów, koledzy ugaszczali mnie obficie. Ja sam bowiem po Czerwoniaku nigdy w więzieniach nie otrzymałem materjalnej pomocy. Wówczas najedzony, odzyskawszy lepszy humor, myślałem o kobietach. Wzdychałem wołając: jakże piękny był świat i życie na wolności, gdy można było kochać! Jakże gorzkie jest życie tutaj, gdy nie można zaznać miłości kobiety...

Miły Boże, cóż to za rozkosz być najedzonym w więzieniu i marzyć słodko!. W takich dobrych chwilach, których ja w więzieniu miałem niewiele, więzień zawsze marzy o kobietach. Kobieta wprowadza więźnia w inny świat. Ileż to razy ukradkiem po dwie godziny i więcej stałem przy oknie, nie bacząc na karę, która mnie czekała, by tylko ujrzeć przechodzącą za murami więzienia kobietę. Mimo krótkiego

wzroku dostrzegałem ją z odległości kilkuset kroków. Kobieta może mieć na sobie sto sukienek, więzień ją zawsze widzi nagą. Może też być brzydka i stara jak śmierć; więzień przez kraty widzi ją zachwycającą.

Każdego więźnia po dłuższym pobycie w więzieniu słowo „kobieta" wyprowadza z równowagi. Więźniowie używają wszelkich sposobów, by można było złapać choć jedno spojrzenie na przechodzącą kobietę. Kobiety przychodzące na widzenia wprost pożerają oczami. Pamiętam, w Czerwoniaku za Niemców zmarła dwudziestoletnia kobieta. Więźniowie mularze, którzy pracowali blisko trupiarni, ukradkiem spoglądali przez okno na leżącego trupa.

Zdarza się często, że więźniowie symulują warjatów, albo zadają sobie ciężkie rany. Spalają sobie wargi papierosem, symulując choroby weneryczne, robią sobie mydłem trypry, aby się tylko dostać na wolnościowy szpital, by po drodze spojrzeć na przechodzącą kobietę, albo też dostać przeniesienie do więzienia, gdzie siedzą kobiety.

Po kilkuletnim pobycie w więzieniu w najłagodniejszych nawet więźniach rodzą się dzikie instynkty. Jedyne ich rozrywki — to bójki i kłótnie, które nie ustają. A wobec przymusowego życia bez kobiet, krzewią się zboczenia seksualne. Tu także w sposób nieopisany kwitła pederastja. Zdarzały się pary, łączące się — że się tak wyrażę, — z prawdziwego wzajemnego uczucia. W większości wypadków była to prawdziwa prostytucja, ponieważ kochanki kupowano za tytoń, dolewki, „klamoty", lub coś w tym rodzaju.

Czy nie lepiej byłoby sprowadzić do więzienia raz na miesiąc pewną liczbę piękności lekkiego prowadzenia się, by zaspokoić panujący tu głód seksualny?

XXX.

Cela kartoflarzy była bardzo oryginalna ze względu na typy, jakie przez nią przechodziły. Każdy zosobna mógł być typem dla powieściopisarza, jak i dla kryminologa. Nie było dnia, aby świeży więzień nie przybył i ktoś nie ubył. Cela ta była czemś w rodzaju karnej „rozbiwki".

Na kartoflarnię pchano największych niedołęgów, a także największych cwaniaków, tak zwane „Czterdziechy“, „Ojratyrera“, „Usiasiusia“, kapusiów, półwarjatów albo symulujących warjatów — wszystko pchano do mojego państewka. Miałem zadanie nielada, by utrzymać porządek między mymi poddanymi. Ja jako starszy celi godziłem spory i kłótnie. Czasami też trzeba było wystąpić namacalnie i zrobić „dyplomatyczny ruch“. Dzięki temu tylko, że szanowano mnie jako dobrego urka, a ferajna, która stale była w celi, trzymała ze mną sztamę, mogłem panować nad resztą nieposłusznych w celi.

Mimo to zdarzało się, że musiałem stoczyć bitwę z kilkoma cwaniakami naraz. Muszę tu powiedzieć bez pochwały dla siebie, że zawsze z tej „dyplomatycznej“ walki wychodziłem wygrany. Po każdym takim wypadku szanowano mnie jeszcze więcej. Moja siła fizyczna, która była znana w całym Mokotowie, musiała im zaimponować. Bywało, pobijemy się, a za chwilę, jakby nigdy nic nie zaszło, już w najlepsze rozmawiamy i dzielimy się wszystkiem, jak najserdeczniejsi przyjaciele. Bójki trzeba było staczać o lada słowo, które się nie spodobało koledze po fachu. Frajer cham nigdy nie stawia oporu i zawsze jest posłuszny, choćby nie chciał. Wie, że tu złodziejowi wszystko wolno i woli przemilczeć swoją krzywdę. Skarżyć się przed władzą jest jeszcze gorzej, — ogłoszą go kapusiem i w każdej celi, do której go wsadzą, jest przegrany. Za każdym świeżym więźniem, skądkolwiekby przybył, — czy z innego więzienia, czy też z drugiej celi, — idzie telegram co do jego osoby. Ten, kto myśli, że więźniowie nie mogą komunikować się między sobą i porozumiewać się w ważnych dla nich sprawach, — jest w błędzie. Przy systemie cel ogólnych jest rzeczą łatwą, by jedna cela w każdej chwili mogła się porozumieć z drugą. Ale nawet w celach pojedyńczych, gdzie jeden więzień wcale drugiego nie widzi, i gdzie rozmowa nawet podczas spacerów jest surowo wzbroniona, więźniowie potrafią porozumiewać się ze sobą. Zapewne zaciekawi czytelnika, jakim sposobem się to odbywa. Ale dla Twojej, Czytelniku, ciekawości nie mogę pozbawiać moich byłych kolegów, cierpiących i nieszczęśliwych, jedynej przyjemności,

od której nieraz i życie ich jest zależne. Sam rozumiesz, że tego zdradzić za żadną cenę nie mogę...

Bywało nieraz, że dozorca oddziału przyprowadzał do celi nowego więźnia i mnie, jako starszemu celi, szeptał coś tajemniczo. Opowiadał, że gość jest kapuś i trzeba dać mu tam trochę. Wówczas zaczynaliśmy badać, co to za jeden, czy nikt go nie znał w celi. Przeważnie okazywało się, że jest najporządniejszym więźniem, a tylko władza, nie chcąc z niezrozumiałych powodów wchodzić z nim w konflikt, napuszczała nas, wiedząc, że kapusiów nie lubimy.

Zdarzały się także wypadki, że dawano do naszej celi prawdziwych kapusiów, niepotrzebnych już administracji, która miała dość ich kapowania. Taki gość długo u nas nigdy nie wytrzymał; błagał, by go zabrano do pojedynki, czego mu zresztą stale odmawiano.

Zaraz po jego przybyciu do celi warjaci i symulujący warjatów otaczali go wkrąg. Jeden wieszał mu się na szyi, drugi wkładał mu wiadro na głowę, trzeci przywiązywał mu ręcznik do nogi, poczem przewracano go na asfalt i wleczono tak po celi wokoło stołów. Po tej wędrówce wylewano na niego wiadro wody, potem bito i kopano gdzie popadło. Jeden zaś stal przy nim i wołał na głos: „Jak będziesz krzyczał i wzywał pomocy, to ci łeb urżniemy!“ Na potwierdzenie tego trzymał w ręku ostrą łyżkę. Trzymanie noży w więzieniu jest wzbronione; dlatego ostrzy się łyżki, co zastępuje nóż. Dozorcy często konfiskują podobne łyżki, dopytując się kto jest ich właścicielem, niema go jednakże nigdy, więc i ukarać niema kogo.

Coprawda z zasady nie lubię zdrajców i kapusiów, jednakże niejedną taką ofiarę wyrwałem z ich rąk. Gdy zawołałem: Dosyć tego! — odrazu dawali spokój.

Życie takich kapusiów jest bardzo marne. Jeśli jest stary, biją go i nie dają mu spokoju; jeśli jest młody, zmuszają go do pederastji. Chcąc, aby mu dano spokój, pozwala on ze sobą zrobić wszystko.

W celi mojej było kilka takich ofiar. Miejsce ich było przy „paraszce“. Po nocy nie dawano im spokoju. Coraz to inny przytulał się pod ich kocem, a gdy odmawiali, to groźbą, lub zapłatą, papierosem czy chlebem zmuszano ich do posłu-

szeństwa. Jeden z nich miał dożywotnie więzienie za zabójstwo własnej matki. Sam mi opowiadał, jak się to stało.

— Widzi pan, — opowiadał smutnym głosem, patrząc wdół; nigdy bowiem nie patrzał nikomu prosto w oczy po zabójstwie. — Ja miałem dwanaście lat, jak mi zmarł ojciec. Matka chciała się żenić, ale siostra nie dala. Później, kiedy miałem dwadzieścia lat, chciała znów się żenić z jakimś Rosjaninem i zapisać mu cale trzydzieści morgów ziemi. Jabym wtedy został żebrakiem. Rozmyślałem długo nad tem i pewnego wieczoru jakby ktoś mi włożył siekierę do ręki: udałem się z matką do obory, gdzie doiła krowy. Macnąłem ją siekierą po głowie, poprawiłem, a potem wykopałem dół w ogrodzie, wrzuciłem ją, przysypałem ziemią. Dla zatarcia śladów, by nie odkryto trupa, postawiłem klozet na tem miejscu. Po wsi rozpuściłem pogłoski, że matka uciekła z Rosjaninem do Rosji. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie moja siostra, której pewnego razu, tknięty wyrzutami sumienia, opowiedziałem wszystko. Odrazu chciała lecieć na policję, ale gdy zagroziłem, że ją także zabiję, zlękła się i dała spokój. Upłynął rok; wzięto mnie do wojska. Odsłużyłem wojsko i przyjechałem do chałupy. Chciałem się teraz ożenić. Siostra żądała połowy majątku i straszyła, że jak nie dam, wyda mnie policji. Udałem, że zgadzam się na wszystko i kombinowałem teraz, jak jej się pozbyć... Ale ona widać zrozumiała co się święci i poleciała do żandarmerji. Aresztowali mnie, dali „koło". Mam teraz ziemię, żonę, wszystko, — zakończył, śmiejąc się idjotycznie.

Zapytałem go, czy nie żałuje tego, co uczynił; a on mi odparł:

— Zgodł pon, ja bardzo żałuję. Ale szkoduję, że i siostry nie posłałem tam gdzie matkę.

Był to czysty typ zwyrodnialca. Zaczepiał każdego w celi, mówiąc:

— Ty, chcesz kichy odgrzać?

„Kichy odgrzać" każdy tu chciał, więc nie brakowało mu gości. Nie mogłem patrzeć na tego więźnia; napróżno mu tłumaczyłem, aby tego nie czynił, — nic nie pomogło. Tłumaczył się, że przyzwyczaił się do tego i bez tego żyć już nie może.

Nie było rady. Kapować, że to robi, nie mogłem, więc dłuższy czas był w celi, aż wreszcie zachorował. Wzięto go na towarową stację i „kasztan“ położył koniec jego nędznemu życiu.

Drugim, który zajmował się tem samem w celi z zamiłowania, był niejaki Steik, Niemiec. Był to piękny chłopiec o wyglądzie dwudziestoletniej dziewczyny. Miał on, jak mi opowiadał, szesnaście lat, gdy dostał się do domu poprawczego w Studzieńcu. Tam zmusili go do tego rówieśnicy. Po opuszczeniu tego domu nie mógł już żyć bez tego. Ponieważ na wolności amatorów na coś podobnego trudno znaleźć, starał się, jak sam mówił, dostać na krótko do więzienia. Omylił się jednak i zamiast spodziewanych kilku miesięcy, dostał osiem lat.

Środa była dla niego najlepszym dniem. Więźniowie, którzy otrzymywali podania z wolności, dawali mu wieczorem coś zarobić. Cała kolejka była do niego. Żartowano z niego, ale on sobie z tego nic nie robił i zgarniał do torby zarobki. Palił tytoń, którym go obdarowywano. Nieraz dostał ode mnie w szyję za swoje postępki; wiele razy musiałem jednak milczeć, gdyż największe cwaniaki były jego gośćmi. Chcąc go się koniecznie pozbyć, postarałem się wypchnąć go na funkcję. Zabrano go na korytarzowego na drugi oddział pod Nr. 24. Jak się dowiedziałem, tam czynił to samo.

Po wszystkich celach ogólnych homoseksualizm panuje w sposób straszliwy. Władza więzienna jest bezsilna przeciw tej zarazie. Dlatego też w niemieckich więzieniach i w wielu innych państwach więźniowie w dzień są w wielkich salach, a na noc każdy zosobna udaje się na spoczynek do pojedyńczej celi.

Więzień taki, przezywany „gliną“, pogardzany jest tak sasamo jak kapuś. Przy stole nie wolno mu usiąść do jedzenia razem ze wszystkimi. Nie wolno też „glinie“ dotknąć się czyjejś miski, chleba czy wogóle wszystkiego, co jest przeznaczone do jedzenia. Różnica między kapusiem a gliną jest tylko ta, że kapusiowi odbierają zdrowie, a tego nie biją. Przeważnie jednak kapuś i glina mieszczą się w jednej osobie.

Bardzo ciekawa jest etyka i prawo panujące w celach więziennych między więźniami. Złodziej może być nie wiem jak

głodny, ale nie wolno mu przyjąć od kapusia ani od gliny nic do jedzenia. Złodziej musi się podporządkować temu prawu, inaczej nie jest uważany za „charakternego“ złodzieja. Nie wolno mu też utrzymywać stosunków koleżeńskich z frajerami. Największą obelgą dla złodzieja jest, gdy mu powiedzą: glina, kapuś. Za taką obelgę rżną się nożami. Natomiast k.... twoja mać jest przyjęte i nikt nie ma prawa się obrazić. Frajer znów odwrotnie, obraża się, gdy mu mówią k.... twoja mać, a na słowa kapuś, glina, — wcale nie reaguje.

Alfonsy i handlarze żywym towarem są również pogardzani przez złodziei. Ale w ostatnich czasach dużo złodziei z powodu kryzysu zaczęło się zbliżać do nich.

Złodziej podług wymagań etyki i zasad złodziejskich jest po wojnie rzadkim okazem w więzieniach. Muszę powiedzieć, że mnie pod tym względem nic nie miano do zarzucenia. Dziś naturalnie śmieję się z mojego zacofania. Ale trudno, stało się: jak wleziesz między wrony, musisz krakać, jak one...

XXXI.

Moralność między przestępcami jest silna, a raczej była silna. Za występki między sobą stawiają przed dyntojrę i krwawo karzą; a jednak podłości i tu nie brak. Nieraz, szukając łupu dla siebie, szkodzą sobie nawzajem.

Stanowczo stwierdzam, że uczeni socjaliści mają rację: znałem w swojem życiu tysiące przestępców, którzy opowiadali mi o swojem życiu, i doszedłem do przekonania, że 99% znalazło się pośród brudu i występku przez złe warunki ekonomiczne i złe wychowanie. Jak się przekonałem, większość bandytów, złodziei, prostytutek i innych pokrewnych im zawodów rekrutuje się z biednej klasy. Początku przestępstwa zawsze należy szukać w nędzy. Chłopiec z biednej rodziny, nie mający co jeść, drapnie co popadnie mu pod rękę. Często też może mieć co jeść i gdzie pracować, ale młodemu chłopcu także zachciewa się mieć jakąś uciechę w swojem nędznem życiu. Chce zakosztować cukierków, iść do kina z koleżkami, a nie ma na to pieniędzy, wtedy ściąga od

swego chlebodawcy. Nie jest on wcale przestępcą, — był tylko naiwny, nie znal życia. Gdyby go zrozumiano i dobrocią wprowadzono na dobrą drogę, nie zawstydzając go karą, wówczas pozbyłby się swojej lekkomyślności i wyrósłby na porządnego człowieka.

Ale ludzie i otoczenie inaczej zapatrują się na takie rzeczy. Gdy schwycą takiego chłopca na gorącym uczynku, biją go, zawstydzają i oddają w ręce policji. Sędzia przeważnie jest automatem, który sądzi nie podług sumienia, tylko podług martwych suchych słów kodeksu karnego. Wsadzając takiego chłopca do więzienia, robi się z niego przestępcę. Tam właśnie dopełnia on swe wykształcenie, nabierając kwalifikacyj w tym kierunku. Rzadko taki chłopiec nie wraca do więzienia. Jak już wyżej powiedziałem, więzienie dla przestępcy, to wódka dla pijaka, bez tego już żyć nie może.

Dlaczego tak twierdzę, — powiem wyraźniej.

Niema większego wstydu w świecie przestępczym, jak siedzieć w więzieniu za mały grzech, albo za jakąś bezwartościową kradzież. Nygus, jold, frajer, wytiszer, jak więźniowie nazywają każdego człowieka nienależącego do świata przestępczego, musi wiele wycierpieć od swoich kolegów fachowców. Kpią z niego, biją go i poniżają wołając urągliwie:

— Jold! Za złapanie brudnej koszuli jakiejś starej babie, poszedłeś do więzienia!

Jołd naturalnie wstydzi się i zaklina w duchu, że od dziś, gdy go zwolnią, weźmie się za coś lepszego. Wielu przybywających do więzienia nie chce, aby ich tu wyśmiano, kłamią więc, opowiadając o różnych kradzieżach i zasłyszanych zbrodniach, jako o własnych uczynkach. Gdy taki wychodzi z więzienia, jest tak zepsuty i podrażniony przez więźniów, że puszcza się na wszystko, staje się naprawdę wytrawnym przestępcą. Więzienie jest szkolą, która wychowuje i udoskonala przestępców, zachęcając ich do coraz większych zbrodni. Wywiera zupełnie odwrotny wpływ, niż społeczeństwo i sprawiedliwość sobie to wyobraża.

Nawet ci, którzy chcieliby po opuszczeniu więzienia iść dobrą drogą i wrócić do społeczeństwa, — jak już zaznaczyłem w poprzednich rozdziałach, nie mogą tego uczynić w żaden sposób. Ludzie nie chcą dać takim pracy, gardzą nimi.

Powstaje poprostu chiński mur między światem a byłym więźniem. Prześladowany, zaczyna nienawidzieć cały świat. Społeczeństwo nie może sobie wcale wyobrazić, jaką nienawiścią pałają tacy przestępcy do wszystkich ludzi „frajerskiego“ świata. Przez zemstę pragną tylko wszystkim czynić źle. Okradać, bić, rabować, czynić różne kawały tym ludziom, którzy nimi gardzą. Jedyni ludzie, jedyne miejsca, które chętnie widzą byłego więźnia i dobrze go przyjmują, — to zawodowi złodzieje, meliny, paserzy, domy publiczne. Żyć przecież trzeba, więc tam więzień pójść musi. A wiadomo, ten co tam stawia swoje kroki, nie wychodzi już stamtąd z czystem sumieniem...

Inny rodzaj ludzi, dobrze rozumiejących przestępców, to prostytutki. W świecie przestępczym złodzieje i prostytutki wprawdzie się nienawidzą, wchodzi tu w grę konkurencja. Ale życie zmusza ich trzymać się razem. Prostytutki są odpychane od społeczeństwa tak samo jak złodzieje i to ich właśnie łączy. Prostytutka uważa sobie za zaszczyt mieć kochanka złodzieja i do tego znanego dobrze w świecie przestępczym. W tym świecie człowiek „znany“ jest bardziej szanowany, niż we frajerskim. Im więcej człowiek groźnych przestępstw ma za sobą, tem bardziej jest poważany. I tak samo, jak każda kobieta lubi ludzi znanych, odznaczających się talentem czy bohaterstwem, tak samo kobiety ulicy lubią „znanych“‘ ze świata przestępczego. Biją się między sobą, by wyprzedzić koleżankę i takiego znanego zatrzymać dla siebie. One też zachęcają przestępców do najryzykowniejszych przestępstw. Przy najmniejszej okazji, gdy taka kobieta czuje już, że przejadła się kochanka, albo już jej obrzydł i chce się go pozbyć, oddaje go w ręce policji. Zawsze stara się go mieć w ręku i wie o jakimś jego grzeszku. Dlatego też złodziej i prostytutka nienawidzą się; a jednak jedno bez drugiego nie może się obejść.

Więzienie i kobieta — to dwie siły, które popychają człowieka do wszystkich przestępstw. Wbijają ich one w ambicję, która każe im chodzić na coraz niebezpieczniejsze wyprawy, — aby tylko dać się poznać w świecie przestępczym i spodobać się kobietom. Ale początek idzie zawsze od warunków ekonomicznych.

Mężczyźni prędzej są skłonni do przestępstw niż kobiety choćby dlatego, że kobiety są słabsze i brak im odwagi. Fach złodziejski wymaga często siły fizycznej i szalonej odwagi, co kobiety posiadają rzadko. Dlatego też po więzieniach kobiet-przestępczyń jest bardzo niewiele.

Jeszcze jedną rzecz trzeba wziąć pod uwagę. Jeśli kobieta jest lekkomyślna i nie chce ciężko pracować, ma inne wyjście, gdzie może lekko (nie życzę żadnej kobiecie tej lekkości) żyć z prostytucji. Dlatego też złodziejkami są albo bardzo ładne kobiety, które dzięki swej piękności mogą się dostać do bogatych, albo też zupełnie brzydkie, którym ciężko jest znaleźć amatorów na swoje ciało...

Muszę też zaznaczyć, że dawniej złodziej rzadko kiedy miał za kochankę ulicznicę. Było to poniżeniem dla złodzieja; bojkotowano go, gdy znalazł się w więzieniu. Dziś w czasie kryzysu niemal każdy złodziej po większych miastach szuka pobocznego zarobku w zabieraniu pieniędzy od „dziewczyny", wzamian za to opiekując się nią. Złodzieje i prostytutki poznają się między tysiącem obcych ludzi. Jedno słowo, spojrzenie, ruch wystarczy, by się poznali.

Teraz, po wojnie fach złodziejski zanika. Dawniej złodziej był fachowcem z własną etyką i zasadami. Złodziej-wlamywacz nigdyby się nie zniżył do kradzieży kieszonkowej jako „marywicher"; każdy strzegł swego fachu, i specjalizował się, by zostać „znanym". Ostatnio fach złodziejski przeniknął między szewców, jak się o tem starsi złodzieje wyrażają. Byle chłopiec chwyta się teraz za kradzież. Upadło poważanie, solidarność i dyskrecja między złodziejami. Niema moralności złodziejskiej, kapuje jeden drugiego, wszyscy zasypują się wzajem. Prawdziwy, „charakterny" złodziej z dobrych czasów wymiera; tak samo typ koniokrada zanika zupełnie. Dawniej kradzione konie szły do Niemiec; było to związane z wielkiem ryzykiem, ale był to dobry fach, jak się o tem starsi złodzieje wyrażają. Ostatnio konie tak potaniały, że nikt kradzionych nie chce kupić. To też ta gałąź fachu złodziejskiego zupełnie zanika.

Tak samo, jak rozmaite interesy przechodzą z żydowskich rąk do nieżydów, tak samo chleb złodziejski również przechodzi od Żydów do innych rąk. Dawniej dobrzy złodzieje

po większej części składali się z Żydów. Paserami byli wyłącznie tylko Żydzi; ostatnio i to przechodzi w inne ręce.

Pretensje, jakie ma jeden przestępca do drugiego, nie mogą być załatwiane w więzieniu. Dopiero gdy więźniowie wychodzą na wolność, mogą się porachować. Zdarza się jednak, że dwaj wrogowie ze świata przestępczego spotykają się w więzieniu przypadkowo. Otóż żyją tu oni w najlepszej zgodzie, dzielą się ostatnim kęsem chleba. Dopiero gdy wychodzą po kilku latach na wolność, kłują się nożami, lub też rachują się w inny oryginalny sposób.

Sprawy, popełnione w więzieniu, załatwia się bójkami więziennemi. Największym grzechem w więzieniu jest, gdy się o czemś donosi klawiszom na kolegów. Za to karzą bez litości. Nawet gdy cię biją, nie wolno wzywać pomocy i ratunku klawiszów: to także podług prawa więziennego nazywa się kapowaniem.

Gdy ktoś pożga nożem kolegę po fachu na wolności, nikt się do tego nie wtrąca; jest to rzecz prywatna. Ale gdy jeden drugiego wydaje w ręce policji, stawiają go przed dyntojrą i nieraz zostaje skazany na karę śmierci.

XXXII.

Lato 1921 roku włokło się powoli bez żadnej zmiany dla mnie. Czas schodził mi na czytaniu książek i na bójkach, które zdarzały mi się często, jako starszemu celi. Zbrzydła mi już ta funkcja i ciągle zadzieranie z ludźmi o porządek w celi. Często tłumaczyłem im, że dla własnego zdrowia czystość i porządek są koniecznie potrzebne. Ale gdzie tam: większość nie dbała o to. Właśnie śmietanka składała się z największych brudasów w celi. Uważali siebie za lepszych gości i nie wypadało im myć misek, podłóg i t. d. Cham, frajer przestrzegał porządku i czystości bez zarzutu. Z tymi to cwaniakami często staczałem bójki o porządek w celi. Nienawidzili mnie za to, ale słuchać musieli.

Najgorsi w celi w życiu koleżeńskiem są właśnie cwaniaki. Wzorowymi współczującymi towarzyszami niedoli w celi więziennej są albo złodzieje pełną gębą, albo też ci pogar-

dzani tu frajerzy. Najgorszą plagą celi są „sezonowcy", o których już w poprzednich rozdziałach wspomniałem.

Miałem już dosyć mojej funkcji, zgłosiłem się więc do kancelarji i prosiłem o przydzielenie mnie do pracy na papierni. Pan starszy Chmiel..., który rządził całym Mokotowem, obiecał mi tę pracę. Jednakże widząc, że mnie nie biorą na papiernię, zapisałem się do naczelnika więzienia, którego więźniowie słusznie nazywali Neronem.

Domyślałem się poniekąd, z jakiej przyczyny nie biorą mnie do pracy na papierni. Tam także więźniowie zaczęli się zasypywać z forsą, która przychodziła z Państwowych Zakładów Graficznych do przeróbki na inny papier. Za forsę, która przychodziła do spalenia i za aferę, do której ja należałem, kilku urzędników zostało już dawno skazanych. Inżynier kotłowni F. w randze inspektora odsiadywał karę czterech lat więzienia w „Arsenale". Dozorca K., który był pomocnikiem werkmistrza na piekarni, a później przy paleniu pieniędzy na kotłowni, został skazany na trzy lata więzienia i odsiadywał na Pawiaku, pełniąc tam funkcję korytarzowego. Ten gdy był na piekarni, odznaczał się gorliwością w pilnowaniu więźniów, aby nie łykali chleba. Zaglądał często więźniom do ust, szukając śladów chleba między zębami. Ostatni wreszcie został skazany na dwa lata więzienia; był to dozorca na ślusarni, przezywany przez więźniów „Dżobus".

We czwartek wezwano mnie razem z innymi więźniami do naczelnika. Zwykle ustawiano zgłoszonych więźniów twarzą do ściany przy gabinecie naczelnika; kolejno jeden za drugim wchodzili wpuszczani przez dozorcę Wol..., który odznaczał się tem, że umiał więźniów dobrze walić po pysku. Był on czemś w rodzaju ordynansa pana naczelnika. Typ ten umiał wdawać się w poufale rozmowy ze złodziejami i podchlebiać się wyższej władzy. Jak mi sam opowiadał, wychował się na przedmieściu Warszawy i znał doskonale życie świata podziemnego.

Tacy dozorcy-cwaniaki są mojem zdaniem bardzo szkodliwymi wychowawcami więźniów. Więzień uczy się od nich więcej złego niż dobrego.

Każdy więzień zanim wszedł do gabinetu naczelnika, mu-

siał zdjąć drewniane trepy i chodzić boso. Pan naczelnik nie mógł znieść ciężkiego stąpania więźniów. Nie przejmował się tem wcale, nawet zimową porą, że więzień może przeziębić się i zachorować. Nie było wyjątków dla nikogo. Każdy, jakby miał wstąpić do świątyni Buddy, musiał to uczynić. Wreszcie przyszła moja kolejka.

Po raz pierwszy zgłosiłem się wtedy do naczelnika. Gdy przestąpiłem próg, doznałem wrażenia, że znajduję się w gabinecie jakiegoś średniowiecznego władcy. Uderzył mnie zapach perfum, jakbym przestąpił próg sypialnego pokoju starej panny Amerykanki. Blade światło elektryczne oświetlało gabinet; wielki dywan przykrywał podłogę. Stałem przy samych drzwiach, słyszałem już bowiem od innych więźniów, że pan naczelnik chętnie widzi u siebie więźnia, ale zdaleka. Z odległości jakichś dwudziestu stóp rzucił na mnie spojrzenie, które przejęło mnie nawskroś i spytał z ironją:

— Co słychać, przyjacielu? Dużo masz jeszcze forsy schowanej z kotłowni?

— Nie miałem i nie mam, panie naczelniku.

— No, no, tak źle chyba nie było.

— Było jeszcze gorzej, niż pan naczelnik sobie wyobraża, — odparłem, wiedząc, że lubi śmiałe odpowiedzi.

— Co wy teraz porabiacie?

— Jestem starszym celi u kartoflarzy.

— Macie poważne stanowisko, jak widzę.

— Tak, panie naczelniku, ale już ta funkcja mi obrzydła.

— A to dlaczego? — zapytał zdziwiony. — Jedzenia mało? Przecież dostajecie dubeltową zupę.

— Tak, dostaję, panie naczelniku, ale chcę pracować teraz, obrzydła mi bezczynność w celi.

— Ja wiem, że jesteście pracowici, — odpowiedział szyderczo. — Z waszych aktów to widzę. Ucieczki, kombinacyjki wam się chce. Ja cię dobrze znam, ptaszku. Nie, na papiernię nie pójdziesz.

— Panie naczelniku, — próbowałem prosić, — ja naprawdę chcę pracować. Chcę się nauczyć jakiegoś fachu, bym po wyjściu z więzienia mógł uczciwie zarobić na kawałek chleba.

Naczelnik patrzył na mnie badawczo kilka sekund, poczem sięgnął ręką w moją stronę i zawołał:

— Chodź tu bliżej, masz papierosa.

— Nie palę, panie naczelniku. Dziękuję bardzo.

— Jakto nie palicie, — zapytał zdziwiony; widać nie zdarzało mu się jeszcze, by więzień odmówił papierosa. — Jak wam daję, to zapalcie sobie.

— Nie, panie naczelniku, nigdy nie paliłem i nie chcę przyzwyczajać się do tego, jeszcze w więzieniu. Pan naczelnik codzień nie da mi papierosów, a skąd ja wezmę?

— Poradzicie sobie, jak wszyscy więźniowie, którzy palą. A skąd koledzy mają papierosy?

— Nie wiem, panie naczelniku.

— Jakto nie wiecie, a u was w celi nie palą papierosów?

Na to pytanie milczałem.

— Dlaczego milczycie? Mówcię, palą czy nie palą?

Namyślałem się, co zrobić, by go nie urazić i wykręcić się z tej sytuacji. Słyszałem już od więźniów, że okropnie nie lubi, gdy mu ktoś zaprzecza i sprzeciwia się. Więc po namyśle odrzekłem, wpadając wprost na Ulissesowy wykręt:

— Nie chcę kłamać, panie naczelniku.

— Rozumiem, rozumiem, — zawołał zadowolony naczelnik. — Kłamać nie chcesz, a kapować nie możesz. Ja i tak wszystko wiem. Więźniowie zawsze mają co palić, mimo, że to jest wzbronione. Ale już dawno w waszej celi „hipiszu" nie było. Muszę kiedy kazać go przeprowadzić.

— Panie naczelniku, nasza cela biedna. Obierków z kartofli nikt nie kupi i szmuglować niema czem.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy. Na kartoflarni są największe cwaniaki. Zawsze sobie poradzą.

— Racja, panie naczelniku, ale z pustego i mądry Salomon nie naleje.

— Chodźcieno tu bliżej, — zawołał nagle naczelnik.

Zbliżyłem się niepewnym krokiem i z wielkim respektem, a w duchu już pragnąłem jak najprędzej zakończyć tę wizytę, gdyż bosę nogi zaczęły mi marznąć.

— Proszę wziąć!

Wyciągnął do mnie rękę z dwoma kawałkami cukru.

— Dziękuję, nie lubię słodyczy, — odparłem już trochę urażony, że mnie traktuje jak innych więźniów, których chce ugłaskać, dając im papierosy lub kawałek cukru.

Zrobiłem kilka kroków wtył i stanąłem na przeznaczonem dla więźniów miejscu. Naczelnik patrzał na mnie chwilę i zawołał:

— Dowidzenia!

Zrozumiałem, że audjencja skończona, jednakże próbowałem jeszcze prosić.

— Panie naczelniku, ja chcę zarobić parę złotych na wyjście. Chcę się nauczyć fachu. Nie chcę więcej kraść i przychodzić do Mokotowa, proszę o pracę.

— Do Mokotowa i tak przyjdziecie jeszcze. Wiele wam zostało do odbycia kary?

— Niecałe dwa lata, panie naczelniku.

— Więc dobrze. Na papierni i tak fachu się nie nauczycie. Dam was na koszykarnię. Będziecie koszyki pleść na wolności. Na chleb zawsze zarobicie.

Co było robić, podziękowałem za tę łaskę i z nadzieją w sercu, że w przyszłości, gdy wyjdę na wolność, będę mógł żyć z wyplatania koszów, wyniosłem się.

W dwa dni po tej wizycie wzięto mnie do koszykarni. Przesadzono mnie znów do celi koszykarskiej, tym razem na oddział pierwszy. Miałem też tu dużo znajomych, ale wszyscy oni byli tak samo biedni jak i ja. Największy głód panował w koszykarni i w celi koszykarskiej. Cały zarobek stanowiło pół funta chleba dziennie. Znów wpadłem w ramiona głodu.

Na drugi dzień po przybyciu do nowej celi, wśród nocy obudzony zostałem znanym mi już szturchańcem i słowem: „Wstawaj".

„Rewizja", przemknęło mi po sennej głowie i po chwili stałem już w bieliźnie wraz z innymi więźniami twarzą do ściany.

W Mokotowie często, niemal co dwa tygodnie, wśród nocy niespodziewanie wpadali do cel dozorcy; nagle budzono wszystkich, w największym mrozie trzeba było stać na korytarzach po dwie i więcej godzin i czekać aż przeprowadzą rewizję w celi.

Po takiej grandzie cela wyglądała strasznie. Kurz był tak gęsty, że jeden drugiego nie widział. Startą słomę z sienników rozsypywano po celi. Zanim doprowadziliśmy po ta-

kim huraganie celę do porządku, nastawał już dzień, i trzeba było głodnym i niewyspanym iść do pracy.

Zabierano z celi nietylko rzeczy zabronione przez regulamin, ale także skarpetki, chusteczki do nosa i inne rzeczy niezbędne do użytku. Szczęście tylko, że dozorcy, którzy przeważnie z natury są leniwi, nie odnajdywali nigdy zapasu tytoniu, który więźniowie-palacze zawsze mieli w kryjówce.

Często bywało, że wśród nocy więzień w celi usłyszał hałas z innych cel, mimo że dozorcy stąpali w miękkich pantoflach, by zachowywać się jak najciszej. Wówczas budził innych więźniów, każdy chował zakazane owoce, poczem układał się napowrót, udając, że chrapie.

XXXIII.

Minęły Święta Bożego Narodzenia, zbliżył się rok 1922. W celi panuje jeszcze jakiś dziwny nastrój świąteczny. Ja pocieszam się nadzieją, że i w tym dniu dobrze sobie podjem, jak i na Boże Narodzenie. W dni świąt człowiek nawet w więzieniu sobie podjadł. Nieraz myślałem o tem, że ten, który ustanowił dni świąteczne, był dobrym człowiekiem. W dni takie dawano gęsty ryż, tłustą grochówkę i kawał świńskiego mięsa. Jednakże nieraz, gdy przy tem obfitem jedzeniu świątecznem przypominałem sobie, że po świętach mojemu żołądkowi przyjdzie się skurczyć, traciłem apetyt.

Po świętach pracowałem jeszcze na koszykarni ze trzy tygodnie; poczem znów tutaj ukoronowano mnie godnością starszego celi. Więzień, który był przedtem starszym celi, poszedł na „towarową stację". Dozorca oddziału, wiedząc, że potrafię celę utrzymać w porządku, za zgodą więźniów zaszczycił mnie tą funkcją.

Sytuacja moja znów się poprawiła. Dwa litry zupy znowu wędrowały przy obiedzie do mego wygłodniałego żołądka. Jednakże dostawałem tylko wielkiego „maczka" po takiej ilości zupy, a głodny byłem jak dawniej. Jedzenie bowiem po świętach ogromnie się popsuło i gotowano teraz tak, że więźniowie słusznie narzekali, iż dostają samą wachę.

Na drugi dzień po objęciu przeze mnie władzy, obudzono

mnie nagle. Spojrzałem, nie mogłem jednak zrozumieć, co zaszło. Kilku więźniów, należących do śmietanki w celi, trzymało jednego więźnia za ręce. Ten wyrywał się, błagał o coś. Wszyscy naraz opowiadali mi, co tu zaszło. Nic nie rozumiałem. Usiadłem przecierając oczy i dopiero widząc krew płynącą strumieniem z nosa trzymanego więźnia, zrozumiałem wszystko.

— Kto go tak bil? — zawołałem groźnie. — Prędzej, puśćcie go i dajcie mu mokry ręcznik do zatamowania krwi.

— Jakto puścić, — zawołał jeden z trzymających przybierając groźną minę. — To „szczur". Myśmy już dawno szukali tego szczura, aż wreszcie go mamy. My go nauczymy, że więcej „po księżycu" chodzić nie będzie.

— Co chcecie z nim zrobić? — zapytałem.

— Chcemy mu boki obić. Niech skituje, ale niech pamięta, że złodziejowi świsnąć nic nie wolno.

Rozciągnęli ofiarę na podłodze, okręcili mu głowę kocem, a jeden z więźniów schwycił taburet i już zamierzył się do uderzenia. Nie namyślając się długo, skoczyłem z łóżka i odepchnąłem tego co trzymał taburet z taką siłą, że uderzył głową o ścianę, a taburet wypadł mu z rąk. Reszta, widząc moją energiczną postawę, odsunęła się od ofiary. Ten korzystając z okazji zwolnił się z koca, zerwał się i błagalnie patrząc na mnie, chwycił mnie za koszulę. Był to strasznie wynędzniały więzień, wieśniak, który już odkiwał swoje kilka lat. Stałem jeszcze przez chwilę drżąc ze wzburzenia, poczem zawołałem:

— Chłopaki, co wam przyjdzie z tego, że mu zdrowie, którego i tak nie ma, odbierzecie. On i tak ledwie dycha. Zróbcie to dla mnie i dajcie mu spokój. Zaręczam wam, że i tak więcej po księżycu chodzić już nie będzie. Ja odpowiadam za to!

— Zabić go, zabić go! — ryczał ten, któremu ściągnięto kawałek chleba. — Niech do frajerów idzie kraść, a nie do mnie!

— A kim ty jesteś, pętaku, psia twoja mać, jak nie frajerem? — wtrącił się jeden z moich przyjaciół. — „Obszemrałeś" się tu w Mokotowie. Zapomniałeś już, jak sam w Arsenale po księżycu chodziłeś. Teraz, jak masz „hydrę" na wol-

ności, która ci podaje wałówki, odrazu stałeś się fetniakiem! Leż w kącie i nie podnoś głosu, bo jak nie, to ja się do ciebie wezmę.

— Wszystko możesz powiedzieć, ale kapusiem nie jestem tak jak ty, coś dal dwa lata chleba wspólnikowi, — odparł napadnięty.

Nie zdążył skończyć zdania, kiedy tamten rzucił się na niego i bójka na dobre się rozpoczęła. Nikt już teraz w celi nie zważał na szczura, wszyscy z zainteresowaniem patrzyli na tych dwu, którzy walczyli z sobą zawzięcie.

Widząc, że kolega mój jest przegrany, doskoczyłem do nich, mówiąc:

— Ja się z tobą biję, cwaniaku, jak taki mocny jesteś.

— Ja się z tobą nie chcę bić, on mnie obraził, więc z nim się biję.

— On ci prawdę mówił! — zawołało kilka głosów naraz. — A tyś go nazwał kapusiem, co nie jest prawda. Lej go, Nachalnik, na drugi raz będzie „jadaczkę" trzymał. Tego już za dużo, żeby alfons obrażał prawdziwych złodziejów.

Jednakże nie biłem go. Nie mogłem bić się z takim, który się nie chciał bronić.

Po chwili dozorca już walił w drzwi, wołając:

— Co tu za hałasy po nocy! Raport napiszę na waszą celę! Co to jest! Starszy celi, chodźno tu!

Zbliżyłem się do drzwi.

— To nic, panie starszy. Tu jeden dostał choroby św. Walentego, musieliśmy go trzymać. Już teraz będzie cicho.

— Pamiętaj, żebym więcej nie potrzebował tu przychodzić, — powiedział dozorca i oddalił się.

Dziwna i pod tym względem jest psychologja więźniów. Gdy złapano szczura, wszyscy jak jeden mąż byliby za tem, żeby go zabić. Potem zaś, gdy ja stanąłem po jego stronie, wszyscy przeszli na moją stronę i chcieli już bić poszkodowanego. Do tego nawet stopnia wzbudziłem litość dla szczura, że częstowano go teraz w nocy czem kto mógł. Byli zachwyceni, patrząc jak szczur zjada łakomie wszystko, co mu podsuwali.

Gdy dozorca już odszedł, a wszyscy leżeli na swoich miejscach, z mojego łóżka przemawiałem im do serca:

— Chłopcy, powiedzcie sami, jacy my podli jesteśmy. Kiedy na wolności okradamy kogoś, pomyślcie tylko, w jaką rozpacz wpada taki człowiek, który pracował cale lata na to, co my zabieramy mu w jednej chwili. Wiele to razy się zdarza, że klawisznik wpadnie do jakiegoś smolucha i zabiera mu ostatnie nachy, albo też na lipku zabierają wszystkie czuchy. Jaka rozpacz ogarnia rodzinę, gdy się budzą i widzą, że nie mają nawet sukienki: wszystko sprzątnięte. Złodziej niesie wszystko do pasera, dostając za to grosze. Robimy ludziom szkodę na tysiące, a sami cholerę mamy zato. A złodziej jeszcze gniewa się, gdy go frajer cupnie i kości mu połamie, albo odda w ręce policji. A co ma frajer robić z rozpaczy? Patrzcie, kawałek chleba mu wziął, chcieliście go zabić za to. Złodzieje złodzieja chcieli zabić za marny kawałek chleba. Coby to było, gdyby mu naprzykład garnitur skradziono? Zabiłby bezwątpienia. Musimy się z tem pogodzić, że skoro my okradamy, tak samo i nas wolno okradać.

— Święta racja, — odparło kilka głosów naraz, tylko poszkodowany zawołał:

— Niech się uczy kraść na wolności, a nie w więzieniu. Złodziej złodziejowi kraść nie powinien. Ja, gdy mieszkałem na Czerniakowskiej, wychodząc z mieszkania nalepiałem wewnątrz na drzwiach kartkę z napisem: „Tu mieszka złodziej". Raz przychodzę z miasta o późnej porze, — patrzę, zamek wyłamany, a drzwi otwarte. Wchodzę, — wszystko leży spakowane i nietknięte. Widać złodzieje dopiero przy wyjściu zauważyli kartkę na drzwiach i odeszli bez niczego. Prawdziwy złodziej złodziejowi nie ukradnie.

— Co tam zalewasz, — zawołał mój przyjaciel. — Zapewne twoje rzeczy były cholerę warte i dlatego je zostawili. Co tam gadać, jabym chciał zobaczyć, gdybyś ty był goły, przyszedł gdzieś i zobaczył, że robota stoi. Trynisz się do środka, zyrkasz, — kartka wisi: „Złodziej tu mieszka". Zapewne plunąłbyś na kartkę i swoje zrobił. Nie wierzę ci zupełnie.

— Tak, tak, — potwierdzili inni. — On buja i chce się pokazać, że jest taki „grojse ganew".

Poszkodowany więcej się już nie odezwał, tylko przyglądał się z nienawiścią, jak częstowano szczura. Ktoś nawet wziął od niego kawałek sera i dał szczurowi, mówiąc:

— Masz, wcinaj, a później zadeklamujesz nam swój wiersz, który napisałeś na imieniny żony. Co, kochasz żonę?

— O, tak, kocham, — odparł wieśniak. Przestał jeść, obejrzał się po obecnych, a widząc, że nikt nie zaprzecza, zaczął deklamować:

Już dziesięć razy okwitły krzewy,
A ja nie widzę swej drogiej żony,
Nie widzę swego Anioła, Ewy,
Bo siłą losu jestem więziony.

Jestem dla Ewci cały wylany,
Bo jestem od niej izolowany,
Ale w uczuciach serca mojego
Nie słyszę też jej głosu dźwięcznego

Ewuś, tyś dla mnie wszystkiem na świecie...
Ewuś, tyś moich marzeń ostoją...
Tyś moją żoną, tyś moje dziecię,
Tyś mojem życiem, tyś panią moją!

Duszą i sercem kocham cię, Ewo;
Pieścić cię wciąż to mój cel jedyny.
Twe imię słodkie, jak rajskie drzewo...
Więc chcę je uczcić w twe imieniny.

Niech ci na ziemi Bóg stworzy raj...
Niech ci wciąż kwitną róże i bzy,
Do snu kołysze szumiący gaj,
A w oczach błyszczą radości łzy.

Niech cię Bóg, Ewo, obdarzy zdrowiem,
I niech ci długich lat życia udzieli,
A resztę moich życzeń dopowiem,
Przy jakiejś tam szczęśliwej niedzieli!

Niech ci też życie słodko płynie,
Niech wciąż kwitnie szczęścia kwiat,
Mojej i twojej rodzinie,
Jak za dawnych młodych lat!

Te życzenia śle wam z poza krat
Mąż, syn, zięć, szwagier, wujek i brat.

Gdy skończył, upadł głową na słomianą poduszkę. W celi panowała przykra cisza. Nikt nie śmiał pierwszy się odezwać. Zapewne niejednemu przypomniał się dom rodzinny i najbliżsi. Po chwili ja pierwszy zawołałem:

— No, chłopcy, widzicie, ktoby się spodziewał, że szczur potrafi takie uczuciowe wiersze układać!

— On stale te wiersze klepie, — odparł jeden z więźniów. — Musi jeszcze ułożyć coś o szczurach, będzie ładniejszy niż do żony. Szczurem jest doskonałym, — żartował.

Ten szczur był skazany za wymordowanie całej rodziny z zemsty. Stale ukradkiem układał wiersze do żony, która pogardziła nim i nie przyszła ani razu go odwiedzić. Szczur żony nigdy już nie zobaczył, bowiem zmarł na gruźlicę wkrótce po opisanym wypadku.

* * *

Długo jednakże starszym celi i tu nie byłem. Potrzeba było więźniów małowyrokowych do pracy na papierni. Mając już tylko kilkadziesiąt miesięcy do odbycia, zostałem również zabrany do papierni. Przeznaczono mnie do pracy w rezerwie. Rezerwa na papierni składała się z 15 najsilniejszych więźniów. Mieli oni za zadanie wyładowywać i naładowywać platformy z papierem, opróżniać wagony z węglem i surowemi materjalami do wyrobu papieru. Kolej dochodziła do papierni, która mieściła się w samym Mokotowie, przegrodzona tylko murem od głównego więzienia. Pracowało tam na trzy zmiany około 300 więźniów; każda zmiana pracowała po osiem godzin. Najgorsza była praca na szmaciarni: tu trzeba było przebierać brudne gałgany, sortując każdy gatunek osobno. Następnie darto je na drobne strzępy i niesiono do gotowania. Kurz w szmaciarni był taki, że jeden drugiego nie widział. Więźniowie obwiązywali sobie nosy i usta gałganami, aby kurz nie przedostawał się do płuc, mało to jednak pomagało. To też często, po kilku miesiącach pracy tam, więźniowie dostawali suchot i umierali. Każdy początkujący, przeznaczony na papiernię, musiał najpierw przejść przez szmaciarnię; stąd dopiero brano do lepszej pracy, jak do sali maszyn, sortowania gotowych wyro-

bów i t. d. Za karę także z lepszych robót przeznaczano do szmaciarni. Więźniowie woleli za odmowę pracy w szmaciarni iść do karceru, niż tam pracować. Rzecz naturalna, że pracowało tu więcej chamów i frajerów niż cwaniaków; przeważnie byli to „pogromcy“ z bandy wspomnianego Józka i ci też najwięcej wymierali w Mokotowie. Byli to górale, wychowani i przyzwyczajeni do górskiego powietrza i to było właśnie przyczyną, że nie było prawie dnia, by któryś z nich nie umarł. Tylko najodporniejsze jednostki z nich ujrzały wolność.

Najlepsza praca na papierni była przy maszynach i w rezerwie. Tutaj można było robić różne kombinacje z cywilami, których bardzo dużo pracowało na papierni. Cały handel przechodził przez więźniów pracujących przy maszynach i w rezerwie. Grypsy na lewo, wódkę i inne zakazane owoce — wszystko załatwiano przez papiernię. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że pracę tę wykonywali wyłącznie cwaniaki.

Wyrabiano też w Mokotowie papier banknotowy. Więźniowie pracujący przy tym papierze byli ściśle do naga rewidowani po skończeniu pracy przez kontrolerów i dozorców. A jednak niejedna paczka papieru banknotowego została przeszmuglowana na wolność i użyta do wyrobu fałszywych pieniędzy. Mogę śmiało powiedzieć, że fałszywe banknoty wyrabiane na prawdziwym papierze banknotowym z całą pewnością pochodziły ze szmuglu z papierni mokotowskiej.

Każdy zrozumie, że więzień sam nie mógł wynieść tego na wolność; musiał to wynieść blatny dozorca, którzy są i będą po wszystkich więzieniach. Naturalnie, ci dozorcy zgarniali 99% zysków płynących ze szmuglu.

W więzieniu niemal każdy palący więzień gotów jest skraść najbardziej wartościowe rzeczy, by je oddać za papierosa. Winę za to, że podobne rzeczy dzieją się po więzieniach, ponoszą nieuczciwi dozorcy, którzy odbierają więźniom wszystko. Gdyby takich dozorców po więzieniach nie było, nie działyby się podobne rzeczy.

W ostatnich czasach więźniowie zostali zupełnie wyrugowani od pracy przy banknotach, gdyż często przyłapywano

podobne szmugle. Miejsce ich zajęli cywile. Czy oni także kradną, tego już nie wiem...

Pragnę też zamieścić tu wiersz, który ułożyłem podczas mojej pracy na papierni. Wiersza tego nauczyli się ode mnie więźniowie na pamięć i często śpiewali go po celach.

Opowiem wam, panowie,
Z moich wrażeń w Mokotowie,
Jak więźniowie tam żyją,
Co też jedzą i piją.

Rano dzwonek na wstawanie,
Za pół godziny śniadanie,
Więc pośpiesznie wszyscy wstają
I sienniki układają.

Kocem nakrywają dziury,
Aż się kurz wzbija do góry.
Jedni usta zatykają,
Drudzy do kroty zmykają.

Starszy celi krzyczy: okna otwierać!
Pomocnik woła: Hej, śmiecie zbierać!
Gdy zaś okna się otwierają,
Cwaniaki pierwsze się pchają.

Poprzez cele wieje wiater,
Galicjak klnie: Naser mater,
Cwaniak myje sobie gębę,
Frajer pucuje zęby.

Wtem dzwonek na modlitwę się rozlega,
Frajer z siennikiem po celi biega,
Tak pchają się pospołu
I stają wokoło stołu.

Po modlitwie wielka wrzawa,
Na śniadanie czarna kawa,
Kto ma cukier, ten ją słodzi,
A kto nie ma, z losem się godzi.

Po śniadaniu, choć też z biedą,
Lecz do pracy wszyscy idą,
Bo warsztatów jest tam moc,
Praca wre tam dzień i noc.

A kto chce pracować wiernie,
Tego dadzą na papiernię,
Tam pracować to nie bajki:
Płacą za to cztery fajki.

Gdy się, bracie, masz na kancie,
To pracujesz przy „golancie",
Jak nie będziesz przytem głupi,
To ci majster flachę kupi..

A gdy masz za długie palce,
To ci je ukrócą walce,
I tak nawpół tłuczesz z biedą,
Aż zostaniesz inwalidą.

Jak się czujesz, bracie, marnie,
To cię pchają na szmaciarnię,
Tam będziesz miał życie cudne,
Bo będziesz darł szmaty brudne.

Gdy dostaniesz już suchoty,
To cię zwolnią od roboty,
Bo przecie gdy więzień chory,
Są felczery i doktory.

Gdy więzień się do nich melduje,
Co jest — felczer groźnie zapytuje,
Bada z miną wielkiego medyka
I palce za kołnierz wtyka.

A żalisz się na ból głowy,
Da ci olej rycynowy,
A gdy cię coś w boku kłuje,
Brzuch jodyną ci smaruje.

Gdy uznaje: masz suchoty,
Pisze ci proszki na poty,
Jak ręka lub noga boli,
To ci daje gorzkiej soli.

Gdy choroba się utrwala,
To cię biorą do szpitala,
Tam się, bracie, wykurujesz,
Do prosektorjum powędrujesz.

Jak kto mądrze symuluje,
To na urlop maszeruje,
Wypadki takie bywają,
Że z urlopów nie wracają.

Lecz co teraz — to nie kpinki,
Dają klapsy i jarzynki,
Ale teraz już nie dają,
Bo im kotły wciąż pękają.

A te klapsy to też plaga,
Gdy go zjesz, to piecze zgaga,
Lecz i tych już dziś nie dają,
Bo w Polsce kotłów nie mają.

Więc oszuści i złodzieje,
Tak się w Mokotowie dzieje.
Lecz niech was nie boli głowa:
Pchajcie się do Mokotowa!

Za pracę dawano dwa papierosy, przezwane przez więźniów „świnkami". Dawano również bochenek chleba czarnego raz na tydzień. Ja codziennie sprzedawałem swoje dwie świnki za porcję chleba. Nieraz po ukończeniu pracy ledwie nogi wlokłem za sobą do celi. Zdarzały się dni, że trzeba było naładować i wyładować dziesiątki wagonów węgla i surowców. Skrzynie papieru i paki surowców nieraz ważyły po dziesięć pudów i więcej. Często trzeba je było dźwigać wysoko wgórę i układać. Ciężka była praca tragarska,

ale za to po całych dniach odbywała się na powietrzu; dla-tego też chętnie pracowałem w „rezerwie".

Do rezerwy każdy palący starał się dostać. Po pierwsze zawsze „z boku" wpadlo po parę fajek dziennie: to od fur-manów przyjeżdżających po towary, to od jakiegoś dozor-cy, któremu wyświadczono przysługę. Często też przywożo-no cale platformy prasowanych bali odpadków papierowych z fabryk tytoniowych i tu często znajdowano tytoń i papie-rosy, nieraz nawet cale paczki. Gdy taki transport przyby-wał, więźniowie-palacze zakradali się do niego i rozrywali bale, grzebiąc w śmieciach, przebierali odpadki i wybierali każde ziarnko tytoniu. Dozorca groził, bil nawet gdy kogo nakrył zagrzebanego w tych śmieciach; ale to nic nie poma-galo, zawsze tam było pełno „poszukiwaczy tytoniu".

Największego spustoszenia w tych śmieciach dokonywała nocna zmiana. Rano znajdywaliśmy wszystkie bele porozry-wane. Dozorca rezerwy stawiał wówczas mnie jako niepala-cza i kazał przez drucianą siatkę przesypywać odpadki, a ty-toń zbierać do worka. Jednego razu zebrałem do dziesięciu kilo takiego tytoniu. Dozorca tytoń ten zamykał do maga-zynu i dzielił łaskawie potrochu dla swojej rezerwy.

Tytoń ten miał zapach zgnilizny, a jednak dla więźniów-palaczy był bardzo pożądanym artykułem, artykułem, za który więzień nieraz oberwał w ucho, a często dostawał pa-rę dni karceru.

* * *

Na papierni także długo nie popasałem. Los mój już był taki, że nigdy długo nie mogłem wytrwać na jednem miej-scu. Pewnego dnia po świętach Wielkanocnych do celi, gdzie mnie przesadzono (wszyscy stąd chodzili na pracę do papierni), przybył nowy więzień. Pochodził on z miasta Ło-dzi i nazywał się Holc. Od pierwszej chwili zaprzyjaźniliśmy się. Holc stał się moim najlepszym przyjacielem. Był to wy-kształcony chłopiec, lat 26, o inteligentnym wyglądzie. Wie-czorem tego samego dnia, gdy przybył, ująłem się za nim, aby mu dano dobre miejsce do spania i od tej chwili nie po-zwalałem mu krzywdy wyrządzić, co nie spodobało się kilku cwaniakom w celi.

Holc pochodził z dobrej zamożnej rodziny. Do więzienia dostał się, jak to w życiu bywa, przez zbieg okoliczności. Był w Legjonach, walczył o Niepodległość Polski, a potem przy wojsku został oskarżony o udział w napadzie i skazany na osiem lat ciężkiego więzienia.

Przyczyną jego zguby moralnej i fizycznej były, jak mi sam opowiadał, kobiety i karty. W naszej celi zwąchano zaraz, że jest to chłopiec zamożny, gdyż otrzymywał dobre wałówki od rodziny; starano się też wciągnąć go do gry w karty. Ja pijąc z nim razem herbatę (gdy dwu więźniów żyje ze sobą w przyjaźni i dzieli się pomocą materjalną, określa się to „piją herbatę razem"), ostrzegłem go, aby się nie wdawał z łobuzerją, gdyż używają oni różnych sztuczek w grze i t. d. On jednak prosił mnie abym mu pozwolił się zabawić, mówiąc:

— Ja i tak umrę w więzieniu, trzeba się zabawić. Doktor mówił mi, że mam suchoty. Na inne zabawki tu liczyć nie mogę, więc niech przynajmniej w karty pogram. Będę ostrożny.

Nie pomogły moje przestrogi. Holc grał codzień do późnej nocy i przegrywał wszystko, co miało w obrocie więziennym jakąkolwiek wartość. Przegrywał wałówki, zanim jeszcze je otrzymał z domu; na słowo przegrał już wałówki, które miał otrzymać w przeciągu trzech miesięcy. We środy, gdy otrzymywał wałówki, nie tknął ich nawet, tylko płacił długi. Gracze zaś, jedząc jego wałówki, naigrywali się dwuznacznie z nas, mówiąc do siebie:

— Felek, smakuje ci kiełbasa Holca?

— O tak, frajerska kiełbasa zawsze smakuje.

— A jaka doskonała szynka, i ciasto! Tylko w mieście Łodzi potrafią takie smaczne rzeczy robić. Prawda?

— Masz rację, jak żyję takiej smacznej kiełbasy nie jadłem. — Tu nachylał się jeden drugiemu nad uchem udając, że mówi cicho, abym ja nie usłyszał. — Patrz, jak Nachalnik ślinkę łyka, gdyby nie my, Żydby sobie podgryzł.

Ja, spacerując z Holcem po celi tam i zpowrotem, udawałem, że nie słyszę. Jednakże rozmawiali tak głośno, że nie było sposobu udawać. Zbliżyłem się do nich i wzburzony zawołałem:

— Nie dosyć, że wymaniliście od chłopca wszystko, jeszcze się wyśmiewacie? Pętaki potrafią tylko tak robić, a nie złodzieje.

— Nie trzeba większego pętaka, jak ty jesteś, — odparł Felek. — Prawdziwy złodziej nie piłby herbaty z frajerami i nie upominałby się o nich.

— A jednak frajerska wałówka pachnie wam, co? Jak będziecie dużo gadać, to ja już będę w tem, że nigdy nic od niego nie dostaniecie.

— No, no, nie bądź taki ważny, bo my z tobą sobie poradzimy. Przegrał, to płacić musi.

Mało brakowało, bym się rzucił do bójki, ale Holc błagalnie wziął mnie za rękę i odciągnął od stołu przy którym siedzieli. Padlo jeszcze kilka wzajemnych pogróżek, poczem udałem się na spoczynek.

Rano zauważyłem, że Holc mnie unika, a więźniowie-gracze szepcą coś między sobą. Zbliżyłem się do Holca, ten jednak odwrócił się do mnie plecami, prosząc, abym mu dał spokój. Po chwili wszystko zrozumiałem: podczas gdy ja spałem, Holc przegrał swoje sześć złotych zębów, które też zaraz mu wyrwano. Wstydził się mnie teraz i dlatego unikał mego wzroku. Zbliżyłem się zdecydowany do graczy i zażądałem zpowrotem złotych zębów. Ci jednak wyśmiali mnie. Nie namyślając się długo, chwyciłem za taburet i począłem uderzać naoślep gdzie popadło.

Kilku naraz rzuciło się na mnie, wyszedłem jednak z tej bójki bez szwanku. Powstał też harmider i po chwili wyprowadzono mnie z celi, a za mną kilku więźniów z rozbitemi głowami.

Nie przyznałem się, tak samo, jak i tamci, na jakiem tle wynikła bójka. Tłumaczyliśmy się zgodnie, że jeden drugiego obraził i nic więcej. Ja za tę bójkę otrzymałem tylko 14 dni karceru i kajdany sztywne na ręce i nogi, prócz tego co czwarty dzień zwykła więzienna instrukcja, a w pozostałe dni jak zwykle chleb i woda.

W karcerze starałem się zmusić całą siłą woli, by spać jak najwięcej. To też pierwsze trzy dni całkowicie przespałem. Tylko od czasu do czasu, gdy kajdany wżerały się w ciało, a twardy tapczan zaczynał dolegać, przewracałem się i znów

gorączkowo zapadałem w półsen. Takie sztuczne spanie pozwalało mi zapomnieć o smutnej rzeczywistości i wejść w świat snów. Dopiero na czwarty dzień przebudziłem się wyczerpany i bez sił. Cały ten dzień wlokłem się po celi tam i zpowrotem pobrzękując kajdanami. O czem też człowiek w takich chwilach nie myśli! Myślałem o wszystkiem na świecie, ale o wszystkiem bez ładu i składu. Nad wszystkiemi myślami górowała myśl o dniu, gdy mnie zwolnią z Mokotowa. Co wtedy uczynić, żeby mokotowskie cierpienie było ostatniem w mojem nędznem życiu? Różowa moja karteczka wyrokowa stała mi zawsze przed oczyma. O, ta karteczka, — za każdym razem, gdy więzień na nią spojrzy, śmiertelne dreszcze go przejmują. Na tę karteczkę więzień patrzy codziennie niezliczone razy, myśląc w duchu, — kiedy przyjdzie termin, aby karteczka, która jest jakby wekslem na życie więźnia, stała się nieważna?

Treść różowej karteczki brzmi:

Nr. celi: 27
Nr. w księdze więźniów: 99
Nazwisko: X
Imię: X
Zawód: robotnik
Za co skazany: napad rabunkowy
Wymiar kary: 6 lat c. w.
od 1919 roku do 25 sierpnia 1923 roku.

Kier. dr. Administr.

Wzór Nr. 7 Min. Spr. Dep. Karny.

Szyldziki są ustawione pod szkłem w szafkach, które wiszą na ścianach korytarza przy każdej celi. Dla więźniów karnych szyldziki są różowe, dla śledczych zaś białe. Szczęśliwy jest ten, któremu wręczają już szyldzik do rąk w ostatnim dniu kary. Ale zdarza się też często, że szyldzik wędruje do aktów przekreślony czarnym atramentem: dłużnik figurujący na tym wekslu zmarł. Holca szyldzik także powędrował do aktów, bowiem, jak przewidywał, zmarł po kilku miesiącach.

W aktach więźnia opisane są najmniejsze szczegóły, które go dotyczą. Chcę też dla zaspokojenia ciekawości czytelnika podać i mój opis z aktów więziennych. Zarazem czytelnik będzie miał obraz mojej nędznej osoby:

OPIS OSOBY WIĘŹNIA:

Wiek: 27 lat
Wysokość: 1 m 72 cm
Postać: silna
Włosy: gęste ciemnoblond
Zarost: ciemnoblond
Broda: golona
Twarz: blada
Czoło: wysokie
Oczy: niebieskie, normalne, głęboko osadzone
Brwi: gęste, czarne
Nos: mały
Uszy: średnie
Usta: średnie, warga dolna wysunięta
Zęby: brak 8
Ręce: średnie, ze średniemi palcami
Dłoń: szeroka
Nogi: średnie
Postawa i chód: prosty
Wymowa: normalna
Język: włada polskim, rosyjskim, niemieckim, hebrajskim, żydowskim
Tatuowanie: żadne
Znamiona szczególne: okulary
Wykształcenie: średnie

(Własnoręczny podpis więźnia):

XXXIV.

Przemęczyłem już dziewięć dni kary, która mnie tak wyczerpała, że nie miałem sił się podnieść. Dziesiątego dnia przy obiedzie dozorca Radecki otworzył drzwi karceru, uwolnił mi ręce z kajdan i podał mi obiad. Przeleciało mi przez myśl,

że pomylił się zapewne, gdyż tego dnia zgodnie z karą nie należał mi się obiad. Znając tego klawisza, nie posądzałem go wcale, że zrobił to z litości. Przywarłem prędko ustami do miski; wtem drzwi nagle otworzyły się i dozorca krzyknął:

— Oddaj, psiakrew, zupę, tobie się dziś nie należy!

Nie słuchając go wcale, tak prędko wciągałem zawartość miski, że o mało się nie udusiłem. Dozorca chciał wyrwać mi miskę; jedną ręką broniłem mu dostępu, a drugą trzymałem miskę. Dozorca groźnie ryknął:

— Rozkazuję wam oddać miskę natychmiast!

Nic nie odpowiedziałem, tylko w dalszym ciągu starałem się bronić mu dostępu do miski, którą postawiłem już w kącie. Dozorca groził, a wreszcie widząc, że nic nie wskóra, trzasnął drzwiami, odgrażając się, że mnie nauczy. Teraz prędko zjadłem resztę zupy. Po chwili przybył znowu, a ja z ironją zawołałem, podając mu miskę:

— Teraz może pan wziąć. Dziękuję za tak smaczny obiad. Może pan jeszcze ma? Proszę, jestem bardzo głodny.

— Cholęrę ci dam, nie zupę. Ty to u mnie odchorujesz. Pamiętaj, gdy będzie ci się należał obiad, ode mnie go nie dostaniesz. Ja cię tu wypasę, zbrodniarzu!

Zakuł mi ręce tym razem tak mocno, że czułem jak krew przestaje krążyć. Trzasnął drzwiami tak silnie, że aż podskoczyłem. Po chwili z całych sił waliłem w drzwi wołając ratunku. Na moje szczęście akurat zmienili się dozorcy, ten bowiem poszedł na obiad. Trafiłem na porządnego człowieka, których czasami i pomiędzy dozorcami więzienia można spotkać. Ten rozluźnił mi kajdany, a nawet rzucił mi dwie kromki chleba.

Dozorca zresztą nie dotrzymał swojej groźby wiedząc, że w dniu, kiedy mi się należy ciepła strawa, dać mi ją musi.

Wieczorem tego dnia, kiedy tak niespodzianie los uśmiechnął się do mnie, obdarzając mię obiadem, o którym nawet nie śniłem, drugi raz jeszcze mi się poszczęściło. Leżąc na tapczanie myślalem o mojem okropnem życiu; doszedlem do przekonania, że nie warto o nie walczyć. Ramiona i piersi bolały mnie, a z ran od kajdan sączyła się wodnista krew. Prosiłem za dnia dozorcę, by zaprowadził mnie do felczera, ale on odparł:

— Za cztery dni skończysz karcer, wtenczas sobie pój- dziesz do felczera.

Leżałem więc na tapczanie, czując wstręt do samego sie- bie. Byłem zły na własne ręce, że należą do mnie. Wtem usłyszałem, że do mojego karceru zbliżają się kroki kilku ludzi naraz. Natężyłem słuch i zadrżałem na myśl, że idą mnie teraz mordować. Drzwi karceru uchyliły się. Światło z kory- tarza uderzyło do celi. Oczy przyzwyczajone do ciemności nie mogły nic zobaczyć.

— Baczność! — usłyszałem glos starszego dozorcy.

Nie ruszyłem się z miejsca.

— Baczność! Wychodź na korytarz!

Próbowałem tym razem się podnieść, lecz upadlem bez- władnie na tapczan.

— Wychodź, co ci jest?

Oczy oswojone już ze światłem spojrzały w stronę drzwi i zauważyły wysoką, dostojną postać pana radcy Bugaj- skiego, którego dobrze znałem z czasów, gdy — jak to już wspomniałem — był tu naczelnikiem. Wytężyłem wszystkie siły i wywlokłem się na korytarz.

Na korytarzu stal jeszcze jakiś dostojnik; gdy mnie zoba- czył, zawołał wzruszony:

— O, Boże, jak to można, jak to można!

Pan radca, marszcząc groźnie czoło, ujął mnie za ręce, obej- rzał rany i krzyknął do starszego, który wyprężył się na baczność:

— Co to jest? Dlaczego podkładek niema? Za co go tak skuto? Rozkuć go natychmiast!

— Rozkaz, panie radco, tylko to jest największy rozbój- nik, nie można sobie z nim poradzić. Bije wszystkich w celi. Teraz rozbił kilku więźniom głowy.

— Marsz natychmiast po kluczyki. Zdjąć mu kajdany i wypuścić z karceru. Dosyć ma już tej kary. Zobacz pan, jakie ma ręce spuchnięte i skrwawione.

— Rozkaz!

Starszy pobiegł po kluczyki, a pan radca zaczął mnie wy- pytywać, za co mnie skazano. Cywil, który, jak się później dowiedziałem, był także wyższym urzędnikiem Ministerstwa Sprawiedliwości, załamując ręce, wciąż wykrzykiwał:

— Jak to można, jak to można!

Opowiedziałem wszystko szczerze, o co się pobiłem. Pan radca, gdy usłyszał prawdę o złotych zębach, zlitował się nade mną i obiecał zaraz mnie uwolnić. Starałem się też poskarżyć na administrację, korzystając z tego, że nikogo obok nas nie było.

Po chwili przybiegł starszy z kluczami. Z nienawiścią rozkuł mnie, poczem kazał mi zaczekać, aż wyprowadzi gości i wróci do mnie.

Czekałem na korytarzu chwilę; poczem przybył starszy, otworzył drzwi karceru i rzekł szyderczo:

— Jazda do budy!

— Jakto, panie starszy, — próbowałem zaprotestować, — pan radca kazał mnie puścić do celi...

— Rozkazuję ci dobrowolnie wejść do karceru, jak nie, to zaraz sam cię wprowadzę...

Oczy nasze spotkały się nienawistnie. Rzuciwszy nagłos kilka przekleństw pod jego adresem, wszedłem do budy. Co miałem robić? Byłem wtedy, podług jego mniemania, tylko psem, który na rozkaz swego pana do budy wejść musi.

Na odchodnem rzucił mi jeszcze:

— Kasztan musi cię stąd wywieźć, zbrodniarzu.

— Ciebie, psie, kasztan prędzej stąd wywiezie, jak mnie! — zawołałem w rozpaczy. Ale on tylko roześmiał się nagłos, zabrał ze sobą kajdany, trzasnął drzwiami i oddalił się.

Gdym się zpowrotem znalazł w mej smutnej norze, począłem biegać po celi i uderzać głową o mur. Biegałem tak długo, aż osłabłem zupełnie i upadłem na tapczan. Zasnąłem tym razem tak twardo, że cały dzień przespałem. Obudziłem się dopiero na odgłos spuszczania łóżek przez więźniów na górze do spania. Po omacku odnalazłem moją porcję chleba, którą rano wrzucono mi do karceru jak psu. Jak wielka była moja rozpacz, gdy przekonałem się, że porcja chleba wpadla do nocnika, który stał w kącie...

W ciągu całej nocy nie zmrużyłem oka. Byłem wyspany, zresztą głód nie pozwalał mi powtórnie zasnąć. Błąkałem się po celi. Chcąc sobie skrócić czas, układałem w głowie wiersze. Jeden z wierszy, które zostały stworzone owej strasznej nocy, mam zaszczyt tu umieścić:

MODLITWA WIĘŹNIA

Boże! Kiedy będę wolny?
Jak ten ptak polny
Pokaż Ty Swą moc,
Błagam w dzień i w noc!

Mury mi zdrowie zabrały,
Wzamian suchoty dały.
Siedzenie mnie już nudzi...
Chcę do świata i ludzi!

Boże! Czekam od Ciebie śmierci lub wolności,
Już zadość się stało sprawiedliwości,
Dłużej cierpieć nie jestem już w stanie...
Niech się skończy to wolne konanie!

Czternaście dni karceru skończyło się. Przesadzono mnie zpowrotem do celi kartoflarzy. Fed... ucieszył się z mojego przybycia do celi. Zaraz na wstępie dal mi kilka porcyj chleba, abym się odreperował. Więźniowie obiecali mi, że mnie znów ogłoszą starszym celi. Tak też się stało. Po kilku dniach zostałem znowu uhonorowany tytułem starszego celi.

Życie znowu powoli się wlokło. Starałem się utrzymać najlepszy porządek w celi. Władza. która nienawidziła mnie, także była zadowolona z wzorowego porządku, jaki u mnie panował. Dostałem raz nawet pochwałę od prokuratora, który zwiedzał cele. Pamiętam, że ów pan prokurator na każdą prośbę lub zażalenie dawał wykrętne i dowcipne odpowiedzi. Jeden z więźniów na jego pytanie, czy dobrze tu karmią, odpowiedział:

— Panie prokuratorze, źle nas karmią. Ja mam 15 lat wyroku, jak mnie będą tak karmić, to nie wytrzymam.

— Co wy sobie myślicie, — odparł prokurator. — Dali wam 15 lat poto, żebyście wyszli na wolność? Duży wyrok daje się dlatego, żeby więcej na wolność nie wypuścić. Wytrzyma który, to jego szczęście. My wcale nie wymagamy od was, żebyście wytrzymali te 15 lat, które wam dano. Możecie zostać nam winni parę lat... Nic nie szkodzi. Żołnierze nie mają lepszego jedzenia od was.

Więźniowie widząc, jak odpowiada, o nic go więcej nie prosili i nie skarżyli się.

XXXV.

Minęła już dawno wiosna, przyszedł lipiec. Pewnego dnia przed samą kolacją wpuszczono do naszej celi świeżego więźnia, lat czterdziestu kilku. Od pierwszego spojrzenia poznałem, że to nie jest człowiek z naszej branży. Więźniowie w celi, jak zwykle gdy zobaczą nowicjusza, otoczyli go kołem, pytając skąd przybył i t. d. Gdy zaś usłyszeli, że przybywa prosto z wolności, padły ciekawe pytania.

Przybysz prosił, aby mu najpierw wskazano, gdzie ma położyć swój tlumoczek. Jeden z więźniów zawołał:

— Tam przy piecu siedzi starszy celi. Do niego się zwróć.

Usłyszawszy to, zbliżyłem się i rzeklem:

— Tymczasem niech pan tu położy rzeczy. Później się zobaczy. Próżnych łóżek i tak niema.

W więzieniu starszy celi najpierw bada z kim ma do czynienia, a potem wyznacza miejsce według swego uznania. Naturalnie najgorsze miejsce musi być dla frajera.

Po chwili zawołano przybysza na korytarz. W celi zapanowało zdumienie, gdy wrócił z wielką wałówką, na której widok wszyscy poczęli ślinkę łykać. Rozłożył na stole różne najdroższe przysmaki, mięso różnych gatunków, czekoladę, a wszystko w obfitych ilościach. Zdziwiło to nas tem więcej, że nie był to dzień podaniowy. Jeden do drugiego mówił zachwycony:

— To musi być ważna gruba ryba. Patrz, jaką wałówkę przytachał. Dla burżuja zawsze przyjmują podania.

— Kolacja, kolacja, — zawołałem głośno. — Stawać w kolejkę!

— Panie dozorco, melduję, w celi czterdziestej więźniów 32. Do kolacji wszyscy obecni.

Więźniowie, wziąwszy kolację, stawali w szeregu, poczem dozorca liczył ich. Rzucił mi znaczące spojrzenie, wskazując oczami na przybysza. Zrozumiałem, że mówił mi oczyma: „Masz tłustego gościa, możesz się odreperować“.

Zasiadłem do kolacji. Piło nas herbatę razem czterech. Trzej moi koledzy byli warszawiakami i należeli do elity świata przestępczego. Dostawali wałówy od żon lub kochanek, a przyjęli mnie jako niemającego znikąd nic. Odreperowałem się przy nich tak, że nawet już dobrze wyglądałem.

Przybysz przy kolacji dzielił siedzącym bliżej niego chleb i po kawałku mięsa. Zbliżył się nieśmiało do mnie, położył kawał mięsa, sera, cukru i cztery jaja, mówiąc z poszanowaniem:

— Proszę bardzo, niech pan weźmie.

Spojrzałem na niego i odparłem:

— Dziękuję panu. Niech pan to da głodnym.

Zabrał zawstydzony i oddalił się patrząc z wyrzutem na mnie.

Po kolacji, jak to się często zdarzało, począłem spacerować rozmawiając z kolegą. Zauważyłem, że przybysz zbliżył się do jednego z moich kolegów i mówił:

— Proszę pana, dlaczego starszy celi gniewa się na mnie i nie chciał przyjąć ode mnie poczęstunku?

— Widzi pan, — odparł mu mój kolega, — u nas jest taki zwyczaj, jak się chce kogoś poczęstować, to się go prosi do stołu, a nie wydziela mu się części jak żebrakowi. Złodziej jest honorowy, nie tak jak pan to sobie wyobraża.

— Proszę pana, ja wcale o tem nie wiedziałem. Dziękuję, że mi pan o tem powiedział. Więc jak mam teraz zrobić?

Przybysz trafił akurat na najdowcipniejszego z więźniów. Po rozmowie z nim, nieśmiało zbliżył się do mnie.

— Pan jest Żydem, ja wcale nie poznałem.

— Pan także jest Żydem, a też nie poznałem, — odparłem.

— Proszę pana, niech mnie pan nie zawstydza i podejdzie ze mną do stołu.

Zbliżył się jego informator, mówiąc nagłos:

— Ten pan nie wiedział, jak ma postąpić. Nic dziwnego, pierwszy raz jest w więzieniu, ale teraz już wie. Co, faterku, — poklepał go przyjaźnie po plecach, że ten aż jęknął. — Jak pobędzie z nami parę wiosenek, przestanie być frajerem.

— Co to znaczy wiosenek? — zapytał naiwnie frajer.

— Wiosenki, to znaczy lata, mój przyjacielu.

— Jak tak, to dziękuję. Wolę już być frajerem.

— No, no, tak nie mów, mój przyjacielu. Jak będziesz z nami trzymał sztamę, to się „wyszemrasz“ i będziesz „blatniakiem“.

— Doprawdy jakoś dziwnie u was tu mówią. Chętnie chciałbym się nauczyć waszego języka. Tymczasem zapraszam was wszystkich do stołu.

— Nie tak, frajerze, trzeba prosić. Musisz tak powiedzieć: Panowie złodzieje, mam zaszczyt zaprosić was na picie herbaty razem ze mną frajerem.

— No, pan żartuje.

— Ja wcale nie żartuję. Jak tak nie powiesz, nie będziesz należał do naszej ferajny.

Frajer żartobliwie powtórzył jego słowa.

— O, tak to rozumiem. Później dam ci lekcję naszego języka, nie będziesz już frajerem.

— Dobrze, dobrze, — zawołał mój drugi kolega. — Przestań już, Mieczek, żartować. Lepiej weźmy się do wcinania.

Po chwili nasza szanowna czwórka zasiadła do stołu; wałówa jego nikła w oczach. Frajer, chcąc udawać hojnego, zachęcał do jedzenia.

— Opowiedzno, brachu, — zawołał Mieczek, — za co cię też tu wtrynili. Wyglądasz na przyzwoitego buca.

— Nie rozumiem, proszę pana.

— U nas tu panów niema, — obraził się Mieczek. — Powiedz: „brachu“ i nic więcej. Pijemy razem herbatę, więc jesteś już nasz. Muszę ci koniecznie dać lekcję naszego języka. Jak widzę, my się tak nie porozumiemy.

— Właśnie, właśnie, proszę pana.

— Co do cholery, znowuż pan?

— Ależ przepraszam pana, zapomniałem.

— To frajer, nie może się odzwyczaić od tego pana, no! Tu u nas, po raz drugi ci mówię, panów niema. Wszyscy równi, rozumiesz?

— Rozumiem, proszę pa... O, przepraszam pana, znów się złapałem.

— Daj mu już spokój, — zawołałem, śmiejąc się razem z innymi z tej lekcji. — Niech lepiej opowie nam za co tu wpadl.

— Owszem, jak panowie pozwolą, to opowiem.

— Opowiadaj już, frajerze, — zawołał Mieczek, — ale bez tego proszę pana, proszę pana! U mnie służył taki pan, to mi skarpetki zjadł i uciekł.

— Ja sam, proszę panów...

— Nie mogę słuchać, — zawołał, zrywając się ze swego miejsca Mieczek. — Niech wam opowie, ja pójdę zagrać w karty. Jak on skończy, wezmę go do swojej szkoły. Muszę z tego frajera człowieka zrobić. Zaręczam wam, że jutro już nie będzie mówił proszę pana, proszę pana...

— Idź już do djabła, — zawołał kolega, — nie przeszkadzaj nam twojemi żartami.

— Ja wcale nie żartuję, muszę tego frajera wyćwiczyć, — odparł Mieczek, oddalając się i przygwizdując sobie melodję piosenki:

„Ach, dróżkarzu, psia cię mać,
Z moją małą wolno jadź,
Moja mała chora jest,
Bo wzięła sześćset sześć..."

— Świrek odknajal się już, może pan opowiadać, — zawołał kolega.

— Pierwszy raz w życiu, panowie, widzę takiego warjata, — zawołał frajer, na co wybuchnęliśmy śmiechem.

— Coś ty na mnie, frajerze, powiedział, że jestem warjatem? Wypluń prędko te słowa, — zawołał Mieczek, zbliżając się zpowrotem do stołu i chwytając frajera za gardło.

— Daj mu spokój, Mieczek, nie przeszkadzaj, — prosiłem go.

— Więc dobra, tym razem daruję ci. Jak jeszcze raz powiesz, że jestem półwarjatem, to ci dyntojrę wytoczę.

— Przepraszam, pan jest całym warjatem, a nie półwarjatem, — odparł frajer, nabierając odwagi.

— Tak, to co innego. Dawaj buzię, frajerze.

Objął go wpół i począł całować, a ten z obawy czynił to samo.

— No, teraz możesz opowiadać. Daj grabę. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Słuchajno koleżko, czy wałówy zawsze będziesz dostawał takie duże?

— Zawsze, proszę pana.

— Jeśli tak, możesz już do mnie i „panie“ mówić. Niech i ja choć raz w życiu spróbuję być panem.

— Nie przeszkadzaj, — zawołał już zły mój kolega. — Przyczepiłeś się jak mendoweszka i breszesz sam już nie wiesz co.

Z tego wszystkiego napewnoby doszło do bójki, gdyby nie ja. Wstałem i odprowadziłem Mieczka, prosząc go, by przestał.

— Ja sam, proszę panów, jestem rzeźnikiem, — rozpoczął przybysz poważnie swoje opowiadanie. — Mam trzy sklepy w Warszawie. Codziennie sprowadzam kilka wagonów bydła na ubój z Węgier. Pracuje u mnie kilkudziesięciu ludzi. Ktoś oskarżył mnie, że jestem paskarzem i wpływam na to, aby ceny mięsa zdrożały. Rząd, prowadząc walkę z lichwą i paskarstwem, aresztował mnie i wytoczono mi sprawę. Na sądzie ogłoszono mi wyrok: trzy miljony marek zapłacić do skarbu, albo sześć miesięcy odsiedzieć z wami, panowie. Prosto z sądu sprowadzono mnie tutaj. Prosiłem, że wpłacę pieniądze do jutra, aby mnie zwolniono. Jednakże nie chcieli słuchać, mówiąc, że gdy zapłacę, to mnie zwolnią.

— Ja z wami tu długo nie będę, panowie. Dziś, jutro żona moja wpłaci pieniądze, a mnie zwolnią. Szkoda mi tylko brody i włosów, które mi ścięli. Wstyd mi będzie pokazać się przed kupcami. Taką ładną brodę jak ja miałem, taką ładną brodę... — biadał.

— Pan bez brody nie wygląda wcale na Żyda, — rzucił mu komplement mój kolega. — Na co panu broda potrzebna? Jak panu głowa została, to i broda odrośnie. Trzeba było powiedzieć starszemu, że dziś, jutro was zwolnią, możeby wam brody nie ścięto.

— Prosiłem, prosiłem, proszę pana. Błagałem starszego, żeby się wstrzymał choć dwa dni. Słuchać nawet nie chciał. Obiecałem mu dziesieć kilo mięsa i ćwiartkę cielęciny dla więźniów, aby mi tylko brody nie tknął, a on, gdy to usłyszał, kazał mi ją natychmiast ściąć. Mówił coś o jakimś karcerze, że tam jeszcze pójdę. Co to jest ten karcer, panowie?

Wszyscy roześmiali się, a jeden odparł:

— Karcer to jest takie miejsce gdzie much niema. Gdy komu jest gorąco, to go tam wtryniają, żeby ochłonął.

— Nic nie rozumiem.

— Karcer to jest podziemny wąski loch, gdzie jest ciemno i zimno. Niema gdzie usiąść, a spać trzeba na twardych deskach. Do jedzenia dają funt chleba dziennie i wodę, — starałem się mu objaśnić.

— Mój Boże! — zawołał rzeźnik, podnosząc ręce nabożnie ku niebu. — Czy człowiek może wytrzymać tam długo? Jabym natychmiast umarł ze strachu.

— Nie umarłbyś, — odparł mój kolega. — Patrz, — tu wskazał na mnie. — Nachalnik siedział już tam czternaście dni odrazu, i nie po raz pierwszy, i nic mu się nie stało.

Rzeźnik popatrzył na mnie litościwie i zawołał:

— Żal mi pana, pan taki młody i tyle pan już wycierpiał. Długo pan już tu siedzi?

— O, długo, parę lat, — odparłem.

— Człowiek może tu wytrzymać parę lat? — zapytał zdziwiony.

— Z takiemi wałówkami, jaką pan dostał, można sto lat wytrzymać, — zawołał jeden z więźniów.

— Panie porządkowy, — zwrócił się rzeźnik do mnie. — Nie mógłby pan wystarać się o moją brodę? Zna pan zapewne tego więźnia, co mi ściął brodę. Widziałem, jak schował ją do kuferka.

— Na co panu teraz ta broda potrzebna? — spytałem.

— Jakto na co? Nosiłem ją całe życie. Mam teraz czterdzieści sześć lat, a hodowałem brodę od dwudziestego roku życia. Chcę ją sobie na pamiątkę schować.

— Dobrze, — zawołałem. — Fryzjer jest moim kolegą. Napiszę do niego grypsankę na oddział szósty, a broda będzie. Tylko myślę, że trzeba mu będzie coś zapłacić, tak przecież nie da.

— Co zechce, zapłacę, aby tylko broda była.

Odeszliśmy od stołu najedzeni i zadowoleni, że złapaliśmy takiego tłustego frajera. Jeden zaś z kolegów odwołał mnie na stronę i szepnął mi do ucha:

— Można u tego frajera wytrajlować dużo forsy za tę brodę. Niech da gryps do domu, ja mam blatnego klawisza, który tam pójdzie.

Nic mu na to nie odparłem. Żal mi było tego człowieka,

że tu się dostał, i postanowiłem w duchu nie dać mu krzywdy wyrządzić. Zbliżyłem się do Mieczka, który znów wziął w swoje obroty przybyłego, wykładając mu język złodziejski.

— Słuchaj dobrze, to ci się przyda. Nie będziesz już więcej frajerem. Masz tu kawałek papieru i ołówek i notuj sobie dzisiejszą lekcję. Wiesz co to jest „argus", frajerze? — zapytał nagle.

— Skąd ja mam wiedzieć, proszę pana.

— Argus, to jest naczelnik, inspektor i ten co ci kazał brodę ściąć. Zanotuj sobie. Dzisiejsza lekcja będzie obejmowała tylko nazwy więzienne.

Żyd ze strachem notował.

— Klawisz — to dozorca więzienny, — tłumaczył poważnie Mieczek. — „Blatny" to przekupny, bryndza, to bieda, której ty nie znasz, frajerze.

— Odejdź od niego, mówię ci, i daj mu spokój, — zwróciłem się do Mieczka. — Czego ty chcesz od człowieka? Chcesz pokazać, że jesteś łobuzem?

Wziąłem przybysza za rękę i zawołałem:

— Chodź pan tutaj, pomówimy sobie, — i począłem z nim spacerować po celi.

— Ja nigdy panu nie zapomnę, że pan się upomina o mnie. Czego ten drab chce odemnie? Daję panu słowo, że gdy wyjdę stąd, nie zapomnę o panu. A za co pan siedzi? Poznaję po panu, że pochodzi pan nie z tego świata, co oni. Zapewne pan siedzi za dezercję, albo za oszustwo, ale nigdy za kradzież. Pan na takiego nie wygląda.

— Niestety pan się myli, ale mniejsza o to, za co siedzę. Powiedz mi pan, co słychać na wolności?

Opowiadał mi o różnych ciekawych rzeczach aż do apelu i sygnału do spania. Ponieważ wolnego łóżka nie było, a siennik miał jeszcze próżny, bez słomy, umieściłem go przy sobie.

Gdyśmy już wszyscy leżeli na łóżkach, Mieczek znów zaczął z niego pokpiwać. — „Co, panie Kac, — mówił, — w domu lepiej było z żoną kimać, jak tu?"

— O, lepiej, — przyznał Kac. — Ale ja tu długo siedzieć i tak nie będę, zobaczycie.

— To frajer, — wołał Mieczek, — czterdzieści sześć lat siedział w domu i więzienie na niego tak długo czekało, a tu dopiero jest kilka godzin i już chce uciekać. Jakby wszyscy byli takimi frajerami jak ty, to klawiszom trzebaby było iść świnie paść, a więzienia stałyby pustkami. No, no, wszystko jest możliwe. Frajery mają szczęście. Mogą was i w nocy jeszcze wywołać na wolność.

Zrozumiałem, co się święci, do czego Mieczek dąży, jednakże mówić nic nie mogłem.

Po chwili ktoś zawołał z korytarza nagłos:

— Cela czterdziesta, Kac! Pakować rzeczy i na wolność!

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać; zerwał się z łóżka i począł się ubierać.

— A to frajer ma szczęście. Nie zdążył nawet celi poznać, a już idzie do domu, — wołali jeden do drugiego.

Głos z korytarza znowu krzyknął:

— Kac, jesteś gotowy? Idę po przepustkę, stań przy drzwiach.

— Już, już, panie starszy, tylko się ubiorę. Już idę! — wołał uradowany frajer.

Wszyscy w celi otoczyli go. Ten prosił o chustkę do nosa, inny zamienił z nim ubranie więzienne. Rozdrapali mu także resztki pozostałe z otrzymanej wałówki. Nie protestował wcale, będąc pewny, że zostaje zwolniony. Wreszcie stanął przy drzwiach, pożegnawszy się najczulej ze mną. — „Ja o tobie nie zapomnę", — zapewniał mnie wzruszony.

Niektórzy dusili się ze śmiechu pod derkami, gdy się ze mną żegnał. Ja dawałem mu znaki, ale on ich nie spostrzegał, będąc zgorączkowany tem, że za chwilę odzyska wolność.

Stał przy drzwiach rozpromieniony jak małe dziecko, ze wzrokiem utkwionym w kraty. Wtem jeden z więźniów zawołał:

— Wal, frajerze, we drzwi. Klawisz tam na ciebie czeka, on myśli, żeś się jeszcze nie ubrał.

Ten zaczął walić we drzwi.

— Silniej, frajerze, co to, siły nie masz? Klawisz stoi na końcu korytarza i twego pukania nie słyszy.

Kac zaczął z całej siły walić we drzwi. Był tem tak zajęty, że nie zauważył, że wszyscy śmieją się pod kocami.

Po chwili dały się słyszeć ciężkie kroki dozorcy i basowy głos wołający jakby z pod ziemi:

— Kac, gotowy już jesteś? Co ty się tak długo ubierasz?

— Jestem gotowy, panie starszy, gotowy. — Ruszał przytem kratą, by pokazać, że już stoi przy drzwiach.

Dozorca zdjął sztabę żelazną z ślepych drzwi celi i stanął przy kracie.

— Czego, cholero, stukasz? — zawołał, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Wołają mnie na wolność, panie starszy.

— Połóż się spać, frajerze, bo jak nie, to ja cię położę.

— Jakto, panie starszy, sam słyszałem, jak mnie wołano na wolność. Niech się pan wszystkich w celi zapyta.

Teraz wszyscy śmieli się tak głośno, że dozorca, zły już, zawołał:

— Masz się natychmiast spać położyć. Taki stary i taki głupi jesteś. Nikt cię na wolność nie wołał. W nocy nikogo się stąd nie wypuszcza. To złodzieje kawał ci urządzili. Lepiej kładź się spać i nie bądź głupi.

Trzasnął drzwiami, nakazał ciszę w celi i oddalił się.

Kac stał jeszcze chwilę niezdecydowany przy drzwiach, poczem na moje zapewnienie, że to był żart, położył się spać. Prosił tylko, by mu objaśniono, jak się to robi, za co obiecywal dać sto papierosów.

Po więzieniach śledczych niemal każdego nowicjusza nabiera się w ten sposób; jeden z więźniów chowa się pod łóżkiem przy drzwiach i krzyczy w but, tak że głos pochodzi jakby z korytarza. Często też między więźniami znajduje się brzuchomówca, a wtedy najłatwiej nowicjusz daje się nabrać. Korzyść z tego kawału jest taka, że ten, którego nabrano, rozdaje potem wszystko co ma z jedzenia i innych rzeczy. Woła się na wolność tylko takiego frajera, który ma co zostawić po sobie współtowarzyszom niedoli. Wiadomo przecież, że więzień nie zabierze ze sobą jedzenia, które mu zostało. Dozorcy po więzieniach znają ten kawał i dlatego wcale się nie dziwią, gdy zobaczą takiego gościa stojącego wśród nocy przy drzwiach i domagającego się wypuszczenia.

XXXVI.

Rano następnego dnia po śniadaniu wypędzono jak zwykle wszystkich do pracy na kartoflarni, przezwanej przez więźniów „rzeźbiarnią". Kac także został wysłany na rzeźbiarnię. Dopiero wieczorem, później niż zwykle wrócili z pracy. Kac najwięcej był przygnębiony. Skarżył się, że nie można naskrobać wyznaczonej ilości czystych kartofli, ponieważ są zgniłe i małe. Prosił mnie, abym się wystarał dla niego o inną pracę; jeden z więźniów, jak mówił, poradził mu, że najlepiej byłoby dla niego, gdyby się mógł dostać na warsztat krawiecki.

Na drugi dzień rano, gdy dozorca zabierał więźniów do pracy, zapewniłem go, że Kac jest chory i zapisałem go do felczera. Felczer naturalnie dał lekarstwo, które zawsze miał w zapasie i jak zapewniał, cudownie działa na wszystkie choroby więźniów. Gdy zaś więzień żalił się, że lekarstwo nic nie pomaga, odpowiadał:

— Święta ziemia wszystko wyciągnie. Jak zdechniesz, będzie o jednego złodzieja mniej na świecie.

Posłałem też grypsankę do kolegi, który był starszym na szwalni, z prośbą, by zabrał Kaca do siebie i z zapytaniem, ile to ma kosztować. Treść mojej grypsanki brzmiała:

> „Kochany Koleżko!
>
> Do mojej celi przybył dwa dni temu bogaty paskarz. Porządny to frajer. Ganiają go na rzeźbiarnię. Tam nie jest dla niego robota. Staraj się zblatować majstra i zabierzcie go do was. U was będzie mógł „duraka walić". Napisz mi, co ten proszek ma kosztować".

W godzinę po wręczeniu przez korytarzowego grypsu, sam ów koleżka przybiegł do kraty. Muszę tu zaznaczyć, że warsztat krawiecki mieścił się na tym samym korytarzu, co cela Nr. 40:

— Gdzie jest ten frajer? — zawołał.

— Możesz ze mną mówić, — odparłem.

— Dobrze, niech będzie z tobą. Rozmawiałem już z majstrem. To ma kosztować 5.000 marek, 1000 papierosów i trzy litry wódki. Wódka i „świnki" dla mnie, a pieniądze dla maj-

stra. Zrobione? Jeżeli tak, to go już biorę. Powiem zaraz majstrowi i przyjdzie po niego. Gryps niech zaraz napisze do swojej żony, a wieczorem majster gryps zaniesie i przytacha wszystko.

— Słuchaj, Szydeł! Ty, jak widzę, chcesz się zaraz na tym frajerze wzbogacić. Tak przecie nie można. To, co ty chcesz, to jest stanowczo za wiele. Możliwe też, że za parę dni go zwolnią. Nie martw się, taki gość długo nie będzie siedział w więzieniu, a ile ci da, to będziesz miał jakbyś znalazł.

— Widzę, brachu, że ty jesteś tym frajerem, a nie on, — zawołał.

— No, no, licz się trochę ze słowami, — odparłem poważnie.

— Nie masz się co gniewać, ale tak jest. Frajer wpadl tu pierwszy i ostatni raz w życiu. Dusza z niego won, jak z konia para. Gdy z naszych na wolności ktoś wpadnie do jego rąk, także się nie zlituje. Mam dobry pomysł, możemy się dobrze podreperować. Niech da gryps, a my przerobimy cyfry. Zarobimy dobrą sumkę. Co będziesz frajera oszczędzał?

— Dobrze, — odparłem po namyśle. — Bierz go tymczasem, a jutro to załatwimy.

— Więc dobrze, zaraz po niego przyjdę, — powiedział zadowolony, — i „odpalę“ ci papier i ołówek, by ten gryps napisać.

W pół godziny po naszej rozmowie przybył Szydeł wraz z majstrem. Ten ostatni wypytywał Kaca przy dozorcy co umie, a ten wyuczony już przeze mnie, na wszystko odpowiadał. Wreszcie majster zwrócił się do dozorcy mówiąc:

— Ja go zabiorę ze sobą na szwalnię. Zobaczę, co to za krawiec jest, skoro się tak chwali. — Mrugnął przytem do mnie lewem okiem i po chwili Kac opuścił celę wraz z nim.

Spacerując po celi, myślałem, co tu zrobić. Słuchać Szydla? Nie, tego zrobić nie mogę. Ten człowiek mi zaufał, więc nie mogę go nabrać. Postanowiłem przedewszystkiem zwlec kilka dni z grypsem, licząc się z tem, że dziś, jutro mogą go zwolnić. Gdy zaś to nastąpi, to zobaczymy później, ile zapłacić za tę przysługę.

Gdy Kac wrócił z pracy, był zadowolony. Wszystko mu

się podobało: ludzie, majster i warsztat. Kazał mi natychmiast napisać gryps o umówioną zapłatę.

— Panie Kac, — powiedziałem, — mamy jeszcze czas. Mogą pana dziś, jutro zwolnić, więc zaczekamy.

— O, jaki z pana porządny człowiek. Na wolności trudno dziś takiego znaleźć. Myślałem zawsze, że po więzieniach siedzą tylko zbrodniarze i złodzieje, a jak widzę, i tu można znaleźć porządnego człowieka. Pan z pewnością nie wpadł tu za sprawę kryminalną. Ale jeżeli można wiedzieć, za co pan tu siedzi? Niech mi pan już powie, — prosił.

— Ja — odparłem z ironją, — siedzę za stuprocentową kradzież. Tak, jestem złodziejem, a jednak nie przestałem być człowiekiem. Byłem przestępcą wtedy, gdy popełniałem przestępstwa, ale nigdy nie byłem pozbawiony lepszych uczuć. Zabierałem cudzą własność na zimno, tak, jak się bierze na rachunek w sklepie, będąc pewnym, że się kiedyś zapłaci. Zresztą zawsze miałem względy dla frajerów, a to dlatego, że poczucia zła i dobra nigdy nie zatraciłem.

Kac patrzał na mnie przerażony.

— Więc pan jest złodziejem? To być nie może. Kpi pan ze mnie i nic więcej. Ja w to uwierzyć nie mogę.

— Niestety tak jest. Jest to gorzka prawda, że upadłem tak nisko, ale muszę się podnieść. Podniosę się z tego bagna bezwątpienia. Rozumie pan, gdyby się wcześniej znalazł człowiek, któryby podał mi rękę, by pomóc mi wydźwignąć się z bagna, dawno już zacząłbym nowe życie. Nikt nie pragnie żyć i umierać pogardzany przez wszystkich jako zbrodniarz. Każdy z nas żyje nadzieją porzucenia gorzkiego chleba złodziejskiego. Wszyscy o to walczą, ale nie wszyscy mają dość silnej woli, by się opanować i wygrzebać się o własnych siłach. Ja na pomoc bliźnich w tym kierunku nie liczę wcale. Będę walczył sam z sobą, aż zwyciężę. Zwyciężę napewno. Mówię panu, że ludzie, którzy mianują siebie porządnymi, będą się ubiegać jeszcze o moją przyjaźń. Stałem się tem, czem jestem, tylko dzięki temu, że nigdy nie natrafiłem na człowieka, — mężczyznę czy kobietę, — któryby mnie zrozumiał. Trudno, tak chcial los, abym przeszedł przez bagno, poznał zło i dobro i mógł wybierać. Co do mnie, widziałem już dużo zła mimo mego młodego

wieku. Dobra zaś bardzo mało widziałem i zaznałem w ży-
ciu; a jednak widziałem tyle, że starczyło, aby zachęcić mnie do tego. Mówię panu, że kiedyś stanę się dobrym, bardzo dobrym człowiekiem. Dobrym mojem zdaniem może być tylko ten, kto najpierw czynił dużo zła; tylko taki człowiek zdolny jest odróżnić zło od dobra. Jestem też zdania, że prędzej popada się w zło, którego się nie zna wcale. Jeśli będę szedł nocą w nieznanym mi kierunku i nie będę wiedział, że drogę może mi przeciąć drut kolczasty albo inne przeszkody, wpadnę w nie. Gdy zaś będę wiedział, co mi tam grozi, ominę przeszkody. Morały komuś prawić jest sto razy łatwiej niż samemu być moralnym. Czy pan mnie zrozumiał? — zakończyłem.

W czasie moich wywodów i filozofowania, Kac patrzał na mnie z zachwytem, a gdy skończyłem, schwycił mnie za ramię i wzruszonym głosem, ze łzami w oczach zawołał:

— Ja pana doskonale zrozumiałem, choć jestem człowiekiem prostym i nieuczonym. Widziałem już wielu ludzi złych i takich, którzy mieli się za dobrych, ale takiego człowieka dobrego i rozumnego, jak pan, jeszcze nie spotkałem. Ja panu pierwszy podam rękę, by panu pomóc do rozpoczęcia nowego życia.

Tu uścisnął mi serdecznie rękę i dodał:

— Gdy Bóg da i zwolnią mnie stąd, zajmę się panem. Daję panu słowo honoru. Dużo panu zostało jeszcze do odbycia kary?

— Już niedużo, kilkanaście miesięcy. Dziękuję panu za obietnicę. Pan, jak każdy frajer, póki jest w celi, złote góry obiecuje, chcąc, aby mu tu dano spokój, a gdy wychodzi za bramę, mówi sobie: Niech ich cholera weźmie, tych złodziei, dobrze im tak. Truciznę bym im podał, a nie wałówki.

— Obraża mnie pan. Za kogo mnie pan ma? Nie jestem takim frajerem, jak pan myśli. Zresztą jestem rzeźnikiem, a rzeźnik ma do czynienia z różnymi ludźmi. Nawet w wojsku najlepszy mój kolega był takim...

— Dobrze, dobrze, zobaczymy, — przerwałem. — Ale grypsanki do żony po forsę teraz nie napiszemy. Zaczekamy jeszcze trzy dni, i jeśli pana nie zwolnią, to napiszemy.

— Zdaję się zupełnie na pana, — odpowiedział. — Pan lepiej wie, jak tu trzeba postępować. Zapewniam pana, że pozostaniemy przyjaciółmi na zawsze. Na całe życie, — dodał wzruszony.

Dano sygnał do spania, więc ułożyliśmy się do snu.

Rano Kac opowiedział mi, że mu się śniło, że jest na wolności i chodzi po wszystkich fryzjerniach, trzymając w ręku brodę, którą ja nabyłem od fryzjera za sto papierosów. Proponuje fryzjerom dużą sumę pieniędzy za przymocowanie brody na swoje miejsce. Nikt jednak nie chce się na to zgodzić. Chodzi tak po ulicach Warszawy z twarzą owiniętą chustką, aby ludzie nie spostrzegli braku brody, i płacze, narzekając nagłos, jakby szczęście ludzkości zależało od jego brody. Złamany wraca do domu, żona i dzieci pocieszają go, że broda odrośnie, proszą, by przestał płakać. Tylko starsza córka kpi z niego mówiąc: „Na świecie żyje więcej ludzi bez bród, niż z brodami, od tego jeszcze nikt nie umarł". Namawiała go nawet, by wogóle zaczął się golić.

Śmiałem się z tego snu, mówiąc do niego:

— Pan stale myśli o tej brodzie. Chowa ją pan na noc pod głowę, więc nic dziwnego, że się panu śni. Siadaj pan lepiej do śniadania!

Wtem z korytarza zawołano nagłos:

— Kac, cela czterdziesta, zabierać swoje rzeczy.

Kac szturchnął mnie ręką śmiejąc się:

— Oho, więcej mnie już nie nabiorą. Niech sobie wołają, niema frajerów.

Kilku więźniów naraz zawołało:

— Kac! Kac! Wołają was na wolność!

Kac udawał teraz, że nie słyszy; dopiero ja wytłumaczyłem mu, że tym razem to nie żart i naprawdę za chwilę będzie wolny.

Wtem sam dozorca otworzył drzwi i zawołał:

— Kac, jazda, spakować manatki i do domu.

Kac zerwał się i z radości nie wiedział, za co się chwycić. Machnął ręką i stanął przy drzwiach gotowy do wyjścia; ale dozorca zawołał, że trzeba wziąć rzeczy ze sobą, by je oddać do magazynu.

Pomagałem mu spakować wszystko, a gdy już był gotowy, pożegnał się ze mną czule i prosił, bym mu na chusteczce napisał swoje imię i nazwisko.

— Na co to panu? — zawołałem. — Dziękuję za dobre chęci, ale ja z zasady nie chcę utrzymywać z nikim na wolności stosunków. Jałmużny nie przyjmuję od nikogo.

— Obraża mnie pan po raz drugi, — zawołał i wręczył mi chusteczkę, prosząc oczyma, bym napisał.

Mieczek wtrącił się teraz.

— Napisz mu. Masz tu „robaka", co ci to może szkodzić.

Napisałem tuszowym ołówkiem nazwisko. Nie zdążył jeszcze dokończyć zapewnienia, że nie zapomni o mnie, gdy dozorca wrócił zabierając go ze sobą.

XXXVII

Upłynął tydzień po zwolnieniu Kaca; siedzimy sobie przy obiedzie, a Mieczek mówi do mnie:

Widzisz, brachu, co frajer, to frajer. Jak był tutaj, obiecywał ci złote góry, a teraz znaku nie daje. Nie pozwoliłeś mu krzywdy zrobić, a on nic. Ja ci mówię, że nad frajerami litować się nie warto. U mnie każdy frajer na sznurku musi chodzić. Ja ci to sto razy mówiłem, a ty się zewsze za nich ujmujesz i nie pozwalasz ich tknąć.

Nic nie odparłem i zajadałem sobie niezbyt smaczny obiad. Wtem drzwi się otworzyły, a dozorca zawołał: „Baczność!". Do celi wszedł starszy dozorca Szper... i odrazu zwrócił się do mnie.

— Czy macie kuzynkę w Warszawie?

— Mam dużo kuzynek, — odparłem, — ale czy są w Warszawie, tego nie wiem.

— Jakaś kuzynka przyszła do was na widzenie. Ale mnie się nie bardzo chce wierzyć, aby to była wasza kuzynka. Siedzicie już tak długo, a jeszcze nikt was nie odwiedzał.

Mieczek nieznacznie uszczypnął mnie w kolano.

— Panie starszy, — zawołałem. — Niedawno pisałem do jednej kuzynki, możliwe, że to ona przyjechała do mnie.

— Dobrze, dobrze, — zawołał starszy śmiejąc się. — Chodź, chodź, synu, ładną kuzyneczkę masz.

Po raz pierwszy stanąłem w przegródce przeznaczonej na widzenia. Po bokach inni więźniowie również mieli widzenia. Krzyk, płacz, narzekania odwiedzających, dobiegały moich uszu. Była to środa, dzień przeznaczony na widzenia. Wtem naprzeciw mnie stanęła kobieta.

— Dzieńdobry, panu, — zawołała głosem zalotnej pensjonarki. — Czy pan jest tym, który tak opiekował się moim ojcem? Ja jestem starszą córką Kaca.

— Bardzo mi przyjemnie, — odparłem.

— Dawno pan tu już siedzi? — zapytała mrużąc oczy.

— Już parę lat, — odparłem, obserwując ją pożądliwie.

— A kobiety tu siedzą? — zapytała naiwnie.

— Nie, nie siedzą, — odparłem.

— A jak ja się panu teraz wydaję, kiedy pan tak długo kobiety nie widział?

— Jest pani piękna jak anioł, — odparłem śmiejąc się.

— Ale po panu wcale nie znać, że pan tak długo siedzi. Dobrze pan wygląda.

— Komplement za komplement, co?

— Wcale nie. Pan bardzo ładnie wygląda. A — przepraszam, że się zapytam, — nie przykrzy się tu panu bez kobiety?

— O, i bardzo. Ale co zrobić, jestem więźniem i muszę cierpieć.

— Żal mi pana doprawdy. Pragnęłabym pomóc panu, czy zgoda?

— Bardzo dziękuję pani. Nie wiem, czem zasłużyłem na taką łaskę pani.

— Jakto czem pan zasłużył? A ojciec mój to nic? My nigdy o tem, co pan dla ojca uczynił, nie zapomnimy. Podałam dziś wałówkę dla pana, proszę ją przyjąć.

— Nic nie przyjmę. Dziękuję bardzo, ale nie mogę.

— A to dlaczego? — spytała zdziwiona.

— Dlatego, proszę pani, że nie jestem żebrakiem i nie wymagam litości.

— Ależ panie! — zawołała wzruszona. — Pan nas zawstydza. My nie jesteśmy takimi ludźmi, którzy narzucają

się komuś by udawać współczucie. Z całego serca chcemy panu pomóc. Zresztą to jest obowiązek nasz wobec pana. Proszę też, aby pan pisał do mnie. Przecież można stąd li=sty pisać.

— Owszem, można, ale ja z zasady nie lubię z więzienia korespondować z nikim.

— Ale do mnie pan napisze, — zawołała kokietując mnie tak, że myślałem, że zemdleję z rozkoszy.

— Dobrze, o ile będę miał czas, to napiszę.

— Jakto, pan tu nie ma czasu? A co pan robi?

— Czytam, myślę, warjuję, tak, że nieraz doprawdy brak mi czasu.

— Ale dla mnie tyle czasu, by list napisać, zawsze pan je=szcze znajdzie. A adres mój proszę zapamiętać: Warszawa, to pan wie, Pelcowizna, ulica Wyromińska 22, Adela Kac.

— Dobrze, zapamiętam.

— Więc kiedy otrzymam list od pana?

— W przyszłym tygodniu.

— Doprawdy za długo mi czekać. Niech pan prędzej napisze, — prosiła. — Będę teraz tęskniła za listem pana.

Tu roześmiała się tak dźwięcznie, że jeszcze parę dni po tem widzeniu śmiech jej dźwięczał mi w uszach.

— Ja właśnie tego chcę, aby pani tęskniła za moim listem, — odparłem. — Dlatego też tak prędko nie napiszę.

Dziewczyna spoważniała.

— Proszę dla mnie to zrobić i napisać zaraz. Ja pana proszę o to.

— Będę się o to starał, — odparłem.

— Więc słowo. A teraz proszę powtórzyć mój adres.

Adresu nie pamiętałem już dokładnie.

— Więc tak, — zawołała z wyrzutem, — obiecuje mi pan pisać, a adresu nawet pan sobie nie zapamiętał? Gniewam się na pana.

— Proszę mi jeszcze raz powtórzyć, teraz już zapamiętam, — śmiałem się.

Powtórzyła mi adres aż dwa razy, a znajomy dozorca, który spacerował między rozmawiającymi na widzeniu i podsłuchiwał rozmowy, śmiał się wraz z nami. Wtem padł okrzyk:

— Wychodzić, wychodzić, koniec widzenia!

Machnęła mi jeszcze chusteczką i rozłączono nas.

Nigdy nie zapomnę wyrazu współczucia, jakie malowało się w jej oczach przy rozstaniu ze mną. Po raz drugi takie jej spojrzenie widziałem na wolności, o czem w ciągu opisu dalszych wypadków jeszcze wspomnę.

Wróciłem do celi przygnębiony zupełnie. Widok młodej dziewczyny, która okazała się dla mnie tak łaskawa, prześladował mnie i nie dawał spokoju. Koledzy w celi, a głównie Mieczek, dawali mi rady co do nowej znajomej.

— Ty, nie bądź frajerem, — pouczał mnie Mieczek. — Trajluj jak możesz najlepiej, a ona niech ci wałówy odpala. To bogata frajerka, może tachać. Ojciec ją do ciebie wysyła. Podobałeś się staremu. On chce cię ochajtnąć z nią, nie bądź głupi. Napisz gryps na lewo, a ja przez robotników polnych ci to załatwię.

Tak się jednak składało, że listu nie pisałem. Po pierwsze nie miałem znaczka, a po drugie chcialem zobaczyć, czy ona wpierw do mnie nie napisze.

Po kilku dniach otrzymałem przez kancelarję list następującej treści:

Szanowny Panie!

Jak widzę, nie jest pan słowny. Codziennie zdenerwowana oczekiwałam poczty i nic. Pan jest niedobry. Postanowiłam gniewać się na pana, ale gdy pomyślałam, że pan jest więźniem, a więc człowiekiem bez własnej woli, odrazu wszystko panu przebaczyłam. Mówiłam sobie, że zapewneby pan do mnie napisał, gdyby miał możność. Ojciec mówił mi, że więźniom wolno pisać jeden list na miesiąc i to mnie trochę uspokoiło.

Muszę też panu powiedzieć, że gdy wyszłam z Mokotowa, doznałem wrażenia, że się oddalam nie od obcego mi człowieka, lecz od bardzo bliskiego mojemu sercu. Niech mi pan wybaczy szczerość, trudno, inaczej nie mogę postąpić. Rozumiem, że po naszem oryginalnem zapoznaniu się w tak dziwnych okolicznościach nie wypada osiemnastoletniej niedoświadczonej

dziewczynie pisać w podobny sposób. Ale piszę to, co mi serce niewinne dyktuje. Mam nadzieję, że pan mnie zrozumie i wybaczy śmiałość.

Ukłony od ojca, matki, siostry i brata. Czekam z biciem serca na rychłą odpowiedź.

Pozdrowienia

Adela Kac.

Czytając ten list, nie dowierzałem własnym oczom. To być nie może, aby ta dziewczyna tak do mnie pisała. W tem jest coś nie w porządku, — pomyślałem.

We środę otrzymałem podanie jeszcze lepsze niż przedtem. Odpisałem też jej tego dnia na lewo, starając się włożyć w ten list cały mój talent pisarski.

Po dwu tygodniach przybyła znów do mnie na widzenie. Sama zaproponowała, abyśmy sobie mówili ty. Od tego dnia, niemal codziennie pisałem grypsy, wysyłając je na lewo, gdyż przez kancelarję, jak wyżej wspomniałem, wolno było pisać raz na miesiąc. Listy nasze były treści miłosnej. Jednem słowem doszło do tego, że podałem nawet adres mojego miejsca urodzenia i rodzice jej dopytywali się tam, czy nie jestem żonaty.

Sytuacja moja w tym czasie znów się poprawiła. Co tydzień otrzymywałem obfite jedzenie od Adeli. Było mi dobrze; tylko jedna rzecz mnie martwiła. Powiedziałem Adeli podczas pierwszego widzenia, że mam jeszcze ośm miesięcy do odbycia kary, a ona uwierzyła mi. Termin ten zbliżał się coraz bardziej, — niedługo okażę się kłamcą. To nie dawało mi spokoju. Przed każdem widzeniem postanawiałem powiedzieć prawdę. Jednakże widząc, z jaką radością odlicza ona każde widzenie od liczby widzeń, jakie mieliśmy jeszcze mieć do dnia 27 lutego 1923 roku, nie miałem odwagi powiedzieć jej prawdy.

Dawno już nastąpił 1923 rok. Luty już się miał ku końcowi. Na ostatniem — według jej rachunku — widzeniu zapytała mnie delikatnie:

— Kochany, czy masz ubranie na wyjście?

— Tak, mam, — odparłem.

— A ja wiem, że ty nie masz nic. Nie wstydź się, ja wszystko przyniosę, ubranie, palto i trzewiki.

— Kto ci mówił, że nie mam? — zapytałem oburzony, choć naprawdę palta nie miałem, oddałem je bowiem dawno za chleb jednemu zwalniającemu się więźniowi.

— Byłam w kancelarji i tam mi powiedziano. Nie masz się czego wstydzić.

— Słuchaj, Adelo, — zawołałem wreszcie zdecydowany. — Chcę ci coś wyznać, ale daj słowo, że się nie rozgniewasz na mnie.

Spojrzała na mnie lękliwie, przybladła trochę i zawołała:

— Mów wszystko, — gotowa jestem wszystko ci przebaczyć.

— Ja nie zwalniam się w lutym, gdyż jak się teraz dowiedziałem, nie zaliczono mi aresztu śledczego.

Adela zbladła jak płótno, a z piersi jej wydobyło się ciężkie westchnienie. Po chwili odparła z żalem:

— Dlaczego mi wpierw o tem nie mówiłeś? Powiedz teraz, kiedy naprawdę mają cię już stąd uwolnić?

— Wyrok mój się kończy 25 sierpnia tego roku. Przysięgam, że mówię prawdę.

Adela odrzekła chłodno:

— Jak tobie się nie przykrzy tu siedzieć, tak mnie się nie sprzykrzy chodzić do ciebie. Ale już ci nie wierzę teraz. Ty chcesz, abym ja nie wiedziała, kiedy cię zwolnią. Chcesz iść do twoich przyjaciół, a nie do mnie...

— Prawdę ci powiedziałem, zresztą możesz do mnie nie przychodzić, — rzeklem wyzywająco.

Pożegnanie nasze było chłodne. Dowiedziałem się też nazajutrz, że była u inspektora policyjnego, by sprawdzić w moich aktach, kiedy się kończy moja kara i za co siedzę. To właśnie tak mnie rozgniewało, że napisałem list krótki i wyraźny:

Szanowna Pani!

Dziękuję za wszystko, co uczyniła pani dla mnie. Gdy się zwolnię, zwrócę wszystko, co kosztowałem. Nie przyjmę od pani nic więcej. Myliła się pani, jeśli my-

ślała, że za mięso i chleb można mnie nabyć. Żegnam na zawsze, na wolności ureguluję mój rachunek.

Z poważaniem

. . . .

Od tego dnia wszystko między nami zostało zerwane. Coprawda cierpiałem znowu głód, jednak więcej do niej nie pisałem.

Przyszła znów wiosna, ostatnia wiosna, jaką miałem przetrwać w murach więziennych. Był już kwiecień. Siedziałem jeszcze w tej samej celi. W nocy z 21 na 22 kwietnia — było to z soboty na niedzielę, — kropił deszcz. Wśród nocy obudził mnie głośny wystrzał z karabinu. Zerwałem się i stanąłem w oknie. Kilku więźniów uczyniło to samo. Po chwili padł drugi i trzeci wystrzał na podwórku więziennem. Spostrzegłem też, że dozorcy biegają po podwórku tam i z powrotem. Starszy dozorca biegł zpowrotem do więzienia.

Dopiero zrana dowiedzieliśmy się, co zaszło. Czterech więźniów uciekło z piekarni, zabijając trzech dozorców. Znałem tych więźniów; nazywali się Dudeńko, Nowicki, Dębisz i Roszkowski. Jeden Dudeńko miał dożywotnie więzienie, pozostali mieli po kilkanaście lat ciężkiego więzienia. Sposób przeprowadzenia ucieczki warto tu opisać.

Na piekarni pracowała wtedy większa ilość więźniów na dwie zmiany. Dozorców zaś było tylko dwóch: majster i podmajster. Podmajster byl to właśnie ten dozorca, o którym wspomniałem, że siedział na Pawiaku za sprawę pieniędzy palonych na kotłowni. Na jego nieszczęście zwolniono go przed tygodniem i wrócił zpowrotem na służbę jako wychowawca więźniów, jak gdyby nigdy nic nie zaszło. Został przeznaczony zpowrotem na piekarnię. Więźniowie opowiadali mi, że po powrocie stał się o wiele lepszy. Nic dziwnego: skosztował sam, co to znaczy być więźniem, chociaż korzystał jako „swój“ z wielu ulg, niedostępnych żadnym sposobem dla przeciętnego więźnia. On to właśnie o godzinie drugiej w nocy zabrał wspomnianych więźniów do sprzątania; byli to dwaj z tej czwórki. Ci dwaj brali sobie czasami do pomocy innych, których wskazywali dozor-

com. Gdy dozorca przybył owej nocy do celi, cała czwórka już była gotowa. Zapytał podobno, do czego potrzeba ich aż czterech, na co otrzymał odpowiedź, że jest dużo pracy i dwaj nie zdążą. Dal się namówić, — i przypłacił to życiem.

Gdy weszli na piekarnię, jak się później dowiedziałem od Dębisza, którego w krótkim czasie schwytano i skazano na śmierć, — Roszkowski uderzył dozorcę w tył głowy siekierą. Gdy ten upadł, uderzył go po raz drugi; poczem zabrano mu rewolwer, który zawsze nosił przy sobie. Następnie Dudeńko, który był organizatorem ucieczki, przebrał się w mundur dozorcy, otworzył drzwi piekarni i zaczął bębnić kluczami. Dozorca stojący na posterunku przy piekarni zbliżył się myśląc, że podmajster, jak zawsze, ochładza się w drzwiach. Nagle schwytano go i wciągnięto do środka, gdzie także i jego zamordowano. Teraz cala czwórka wzięła ze sobą drabinę, która była zawsze w piekarni i pobiegła w kierunku parkanu przy szpitalu więziennym. Spostrzegł to posterunek stojący przy bramie szpitala i zawołał: „Stać! Kto idzie?" — na co w odpowiedzi otrzymał kulę w samą pierś. To Dudeńko strzelił z karabinu, który zabrał zamordowanemu dozorcy z posterunku przy piekarni. Padlo kilka strzałów z posterunku stojącego na wyżce przy kotłowni; zrobił się alarm i cała służba więzienna zerwała się na równe nogi, jednakże czterej więźniowie nieomal w oczach dozorców uciekli bez szwanku. Pogoń, składająca się z dozorców i zaalarmowanej policji, nie dala rezultatu. Dopiero po jakimś czasie schwytano — jak już powiedziałem — pierwszego Dębisza, a następnie Nowickiego, który także został skazany na śmierć. Dębisz także opowiedział mi, gdyśmy się spotkali w łaźni więziennej, że Nowicki do ostatniej chwili nie wiedział i nie był wtajemniczony w to, co miało nastąpić. Na piekarni dopiero zmusili go, by należał do spisku, grożąc, że go zamordują. Dudeńko podobno później został, jak się potem dowiedziałem, zamordowany przez własnych wspólników; chodziło o jakąś kobietę, którą Dudeńko zabrał koledze. Jeden tylko Roszkowski uciekł podobno do Rosji i tam został zabity na robocie.

Po tym przykrym wypadku, w więzieniu zapanowała dy-

scyplina jak nigdy. Więźniów z większemi wyrokami za=brano z ogólnych cel do pojedyńczych i zakuto w kajdany. Wieczniakom ostrzyżono zerem włosy z połowy czaszki. Było ich wówczas w Mokotowie przeszło stu; strasznie by=ło patrzeć na tych napiętnowanych ludzi. Dozorcy mścili się na nas na każdym kroku. Jednem słowem, dla więźniów o dużych wyrokach nastąpiły czasy tak złe, że każdy wo=lałby śmierć, niż takie życie. Mnie cieszyła tylko nadzieja, że pozostało mi zaledwie kilka miesięcy do wolności; a jed=nak serce mnie bolało na widok ludzi zakutych w kajdany i golonych głów.

Liczyłem teraz każdą godzinę i minutę; ale dni, tygodnie i miesiące mijały powoli. Najgorsze są dla więźnia ostatnie miesiące. Cały długoletni wyrok jest niczem w porówna=niu z ostatniemi tygodniami. Więzień nie może już ani stać, ani chodzić, ani siedzieć, dręczy go jakaś nieznana mu psy=choza.

Wreszcie przyszedł tak upragniony dla mnie miesiąc sierpień. Myślałem, że zwarjuję, nie mogłem sobie miejsca znaleźć, czułem się niewypowiedzianie szczęśliwy. Schu=dlem i wynędzniałem tak, że na spacerze ledwie nogi wlo=kłem za sobą. Najwięcej gnębiła mnie myśl, co ze sobą pocznę. Dokąd skierować swoje kroki? Chodząc po celi, gdy koledzy wyszli do pracy, wykrzykiwałem sam do sie=bie i do nieznanych mi ludzi: dajcie mi pracę! Najcięższą pracę mi dajcie! Abym nie potrzebował kraść i spędzać re=szty życia w żywym grobowcu... Pozwólcie mi oddychać powietrzem wolności, pozwólcie mi upajać się zapachem pól i lasów i patrzeć na słońce, którego przez tyle lat nie widzia=łem, nie zaznałem jego ciepła... Nie chcę gnić więcej i ple=śnieć w wilgotnych murach więziennych. Ratujcie! Ra=tujcie!

XXXVIII

Niema nic wiecznego na świecie; i moja kara skończyła się. Nastąpił piękny słoneczny poranek 25 sierpnia. Nad=szedł dzień wolności, dzień na który czekałem lata całe,

dzień, który powinien byl być dniem radości. Jednak nie-stety tak nie było.

Więzień po długoletnim pobycie w murach więziennych przestaje odczuwać radość. W piersi jego wysycha źródło nadziei na lepsze jutro. Staje się obojętny na wszystko, odnosi się nieufnie do owej wolności. Przyjmuje wszystko jako przeznaczenie, po którem niczego nadzwyczajnego nie oczekuje.

Słowo „wolność“, które przez cały czas odsiadywania kary jest dlań wszystkiem najdroższem na świecie, w ostatniej chwili, gdy już ma tę wolność odzyskać, staje się bańką mydlaną, i niczem więcej. Dopiero teraz doznaje rozczarowania i pustki w sercu, że czekał daremnie. Wolność odzyskana staje się teraz nowem więzieniem, gorszem od tego, które go zwalniało.

Tu przynajmniej ma jaki taki dach nad głową, otrzymuje regularnie pożywienie, a na wolności?... Kto go przyjmie do siebie i da mu strawę? Co może począć ze sobą człowiek, który nie ma na świecie innych opiekunów prócz policji, i dachu nad głową prócz więzienia?

Więzień, którego społeczeństwo mianuje recydywistą, przyjmuje wolność jak dopust Boży. Wie on zgóry, że jakkolwiek postąpi na wolności, wszystko będzie się składało na to, by go wepchnąć do więzienia zpowrotem. Wie on, że los zepchnął go w otchłań wyrzutków spoełczeństwa, omotał go pajęczyną pogardy i potępienia i nikt na wolności nie poda mu ręki. Wychodzi na wolność z uczuciem buntu, z pragnieniem zemsty na tych, którzy wepchnęli go do murów więziennych. Rozumie i wie doskonale, że na tej wolności długo popasać nie będzie; to też nie zachwyca go ona wcale, gdyż wie, że będzie musial ją nanowo pożegnać.

Ja tak samo pragnąłem tej wolności, a jednocześnie obawiałem się jej. Odwykłem od jarmarku życia i ludzi. Zdejmował mnie lęk przed nieznaną przyszłością, poprostu — przed ludźmi.

Byłem też przygnębiony dziwnym snem, jaki mi się śnił tej nocy.

Śniło mi się, że przełażę przez kraty mojej celi wprost na

ulicę. Najpierw przesadzam głowę, później ręce, następnie resztę ciała. Ulica jest przepełniona tłumem odświętnie ubranych ludzi. Skoczna muzyka gra z całych sił, a tańczące pary kręcą się wokoło mnie, śmiejąc się i krzycząc w niezrozumiałym dla mnie języku. Stoję w więziennem ubraniu i drżę z zimna. Każdy, kogo chcę powitać, oddala się ze wstrętem ode mnie, uciekając jak od trędowatego. Biegam za nimi wołając, że jestem głodny, błagając o kawałek chleba. Ale nikt nade mną się nie lituje. Kilku ludzi z tłumu zbliża się do mnie, wymachuje mi przed nosem grubą kiełbasą i chlebem i naigrywa się ze mnie. Zmęczony i wyczerpany ledwie mogę dowlec się do bramy więziennej. Tam natychmiast przyjmują mnie zpowrotem.

Wstałem tego dnia bardziej przybity smutkiem, niż wtedy, kiedy zamknięto mnie w więzieniu. Towarzysze niedoli żegnali mnie życząc, abym nigdy więcej nie wrócił do tych murów i naturalnie, abym dobrze „zarabiał".

Gdy wszyscy wyszli do pracy, biegałem po celi jak szalony, nie mogąc doczekać się, aby mnie już zabrano do przebrania. Wreszcie przed samym obiadem zawołano mnie do magazynu, gdzie otrzymałem worek z mojem ubraniem. — Wysypałem zawartość worka i zrobiło mi się ciemno w oczach. Ubranie było zupełnie białe, podziurawione i zjedzone przez mole. Gospodarz kopnął moją garderobę i zawołał:

— Marsz do gmachu, musicie poczekać, ja dla was z patronatu zapotrzebuję ubranie.

— Jakto, — próbowałem protestować, — ja miałem dobry granatowy garnitur, nie przyjmę patronackich łachów.

Gospodarz pchnął mnie w kierunku gmachu, mówiąc:

— Psia twoja mać, nie myśl, że już jesteś wolny. Zanim wyjdziesz za bramę, tak ci mordę zbiję, że mnie popamiętasz!

Próbowałem się teraz hardo postawić, jednakże po namyśle dałem spokój, wiedząc z doświadczenia, że póki jeszcze jestem tutaj, naprawdę mogą ze mną zrobić, co im się podoba.

Zostałem znów zaprowadzony do gmachu, a po drodze nie żałowałem pochlebnych uwag pod adresem administra-

cji, za co też trzymano mnie do godziny trzeciej w celi pojedyńczej.

Patronat nad więźniami był dla mnie bardzo łaskaw. Przysłał mi ubranie najnowszej mody paryskiej: a więc frak, dosłownie frak od jakiegoś zbankrutowanego mecenasa, który ofiarował go na ten cel; koloru fraka mimo najszczerszych chęci nie potrafiłbym określić, gdyż był już nicowany na trzecią stronę. Rękawy były jakby wydziobane przez wrony, a zamiast guzików, wpięte były weń dwie agrafki. Posiadacz tego oryginalnego fraka musiał go odziedziczyć po pradziadku, który zapewne paradował w nim jeszcze za czasów Napoleona I. Spodnie sztuczkowe zapewne pamiętały króla Jana Sobieskiego. Jednem słowem, gdy przebrano mnie w więzienną bieliznę, którą mi podarowano, we frak, spodnie, spleśniały melonik, o którym także hojny patronat nie zapomniał i drewniane trepy, — także dar więzienny, — wyglądałem zachwycająco. Sam siebie nie poznałem. Więc też nic dziwnego, że gdy stanąłem w kancelarji więziennej, panowie urzędnicy i urzędniczki boki zrywali ze śmiechu, patrząc na mnie.

Tak oto miałem więc wstąpić w nowe życie, po kilkuletniem więzieniu zostać uczciwym człowiekiem. Zjawił się też mój przyjaciel, stary dozorca Szper... Oczywiście jemu wypadło palnąć mi kazanie i w upomnieniu na nową drogę życia, cisnąć garść grochu o ścianę. Gdy ceremonja ta została zakończona, odezwałem się do niego nie bez ironji:

— Panie starszy, no, kogo teraz kasztan wywiezie z Mokotowa? Pan nie dotrzymał słowa, za parę minut będę wolny. Uważaj pan, aby pana nie spotkało to, co pan mnie wróżył.

— Przyjdziecie tu zpowrotem, — odparł pewny siebie. — Kasztan na was tu czeka.

I zaśmiał się szyderczo.

— Zobaczymy, — zawołałem, — kogo kasztan wpierw stąd wyciągnie.

— Zobaczymy, — powtórzył i odwrócił się, rzucając urągliwe spojrzenia w moją stronę.

Słowa jego spełniły się, o czem w trzecim tomie czytelnik się dowie.

Wyszedłem z tego przeklętego grobowca jak pijany. Wolność, a potem jakby we śnie widok drzew i kwiatów sprawiły, że doznałem zawrotu głowy. Jakiś policjant przeciął mi drogę, co wziąłem za niedobrą wróżbę dla siebie. Przyglądając się to sobie, to przechodniom, pojąłem wówczas jak nędznie wyglądam wobec tych ludzi. Stanąłem, nie wiedząc dokąd skierować swoje kroki. Wstydziłem się zrobić krok naprzód, patrząc, jak ludzie mnie obserwują. O, jakże gorzka jest wolność dla człowieka, który nie wie, dokąd skierować swoje kroki! Świat jesttaki piękny, a ja stoję niezdecydowany, ubrany jak warjat, w starych trepach. Wszystko, co posiadam, otrzymałem w drodze łaski, jakby tym moim dobroczyńcom chodziło specjalnie o to, by z mego ubrania ludzie odrazu mogli odgadnąć skąd powracam.

Spoglądałem beznadziejnie na wszystkie strony, oszołomiony hałasem tłumu, dorożek i aut. Po chwili ruszyłem ulicą Rakowiecką do Marszałkowskiej. Głowa pracowała uparcie, rozmyślając o różnych znajomych na bruku warszawskim. Cały mój kapitał zarobiony przez tyle lat w więzieniu, stanowiło 3. 223 marki. Więc myślałem sobie: jeśli będę żył oszczędnie i rozsądnie, jak to talmud mówi: „Pas ba mełach tejchał a majim bam suro tyszte" (chleb ze solą jedz, a wodę z umiarkowaniem pij), mogę istnieć jako człowiek uczciwy zaledwie dwa dni. A co będzie dalej?

Zła myśl pośpieszyła na pomoc. Nie wiesz, co będzie dalej, frajerze? Pójdziesz na ulicę Niską do dawnych koleżków i koleżanek, oni ci zginąć nie dadzą.

Całą duszą czułem wstręt przed udaniem się tam; postanowiłem więc przedewszystkiem zwrócić się do patronatu, aby zamieniono mi moją teatralną garderobę na inne ubranie i dano mi jakąś pracę.

Gdym tak szedł przez Marszałkowską, wybijając takt trepami, wyelegantowani ludzie patrzeli na mnie jakoś dziwnie, ustępując mi z drogi. Wreszcie przywlokłem się do bramy Nr. 74 przy ul. Marszałkowskiej, gdzie mieści się poważna instytucja społeczna — patronat.

Wszedłem na podwórze, rozglądam się dookoła pięknego gmachu i wchodzę na schodki naprzeciw bramy, gdzie na drzwiach czytam napisy:

Od godziny 10=ej do 11=ej dla więźniów.
Od godziny 11=ej do 12=ej dla inwalidów wojennych.
Od godziny 12=ej do 1=ej dla sierót i wdów wojennych.
Od godziny 1=ej do 2=ej i t. d.

Jednem słowem, pomyślałem sobie: taka instytucja społeczna nie da mi zginąć. I z sercem pełnem nadziei ująłem za klamkę drzwi. Były jednak zamknięte.

Wyszedłem na podwórze i stanąłem w bramie. Zbliżył się do mnie tęgi mężczyzna, dozorca tego domu.

— Czego tu szukacie? — zapytał groźnie.

— Do patronatu, proszę pana, chciałem.

— Patronat jest zamknięty i nikogo się nie przyjmuje teraz. Marsz stąd. Cholera z tymi złodziejami, stale ich tu pełno.

A widząc, że się nie ruszam, chwycił za miotłę, która stała w kącie i zawołał:

— Precz stąd, złodzieju jeden, bo policjanta zawołam!

Bez słowa protestu, przygnębiony, z żalem do całego świata i ludzi ruszyłem naprzód przed siebie, nie zdając sobie sprawy dokąd. Wtem poczułem czyjąś rękę na ramieniu i obejrzałem się.

— Coś ty za jeden? — wołał policjant groźnie mierząc mnie wzrokiem i odprowadzając mnie na stronę.

Bez słowa podałem mu czerwoną kartkę zwolnienia.

— A poco się wałęsasz po ulicy? — zawołał oddając mi kartkę zpowrotem.

— Nie wałęsam się wcale, — odparłem, — idę sobie poprostu, chyba teraz mam prawo chodzić po chodniku jak każdy.

Policjant obejrzał mój ubiór i roześmiał się tak szczerze, że począłem się śmiać wraz z nim. Po chwili machnął ręką, splunął i oddalił się. Powędrowałem więc znowu bez celu dalej.

XXXIX.

Nazajutrz rano po nieprzespanej nocy, wyczerpany wałęsaniem się po dworcach kolejowych, udałem się znów do patronatu. Po chwili wkroczyło tam kilka kobiet wykrzykując niepochlebne wyzwiska pod adresem dobroczyńców.

Męża zabrali mi do więzienia, — lamentowała jedna z kobiet. — On był niewinny, a ja z czworgiem dzieci umieram z głodu. Codziennie każą mi jutro przyjść po zapomogę. Dosyć tego, jak mi dziś nie dadzą, ślepia im wydrapię.

— Dobrzeby pani zrobiła, — zachęcała druga. — Mojemu mężowi także dali sześć lat. Siedzi w Mokotowie, a ja umieram z głodu. Muszą mi także coś dać dla dzieci.

Woźny ukazał się na korytarzu i nakazał ciszę. Jedna z kobiet zawołała:

— Proszę nas zameldować, musimy iść do pracy, by zarobić coś dla dzieci!

— Proszę zaczekać, — odparł obojętnie woźny. — Pani radczyni pije herbatę, proszę zachowywać się ciszej, jak przyjdzie kolejka to zawoła.

— Herbatkę! — ryknęła jedna z kobiet. — Ja i moje dzieci także jeszcze nie piłyśmy herbaty.

I bez chwili wahania wkroczyła do gabinetu radczyni. Woźny nie zdążył zastąpić jej drogi; reszta kobiet wdarła się za nią.

Po chwili wyszły z jeszcze większym krzykiem, niż weszły, rzucając przekleństwa pod adresem wszystkich.

Widząc, że nikt mnie nie pyta, po co tu przybyłem, wstałem i przybliżyłem się do woźnego, który co chwila znikał i ukazywał się zpowrotem.

— Proszę mnie zameldować do pani opiekunki.

— A w jakiej sprawie?

— Wczoraj wypuścili mnie z Mokotowa, — odparłem.

— Źle zrobili, — odburknął. — Czego tu chcecie?

— Chcialem prosić o pomoc.

— Teraz niema nic. Możecie iść.

Krew uderzyła mi do głowy. Bez słowa, zapukawszy do drzwi, wkroczyłem do gabinetu.

Przy eleganckiem biurku siedziała wytwornie ubrana oty-

ła dama, a naprzeciw niej przy drugim stoliku młoda dziewczyna. Gdy ta ostatnia ujrzała mnie, wybuchnęla niepohamowanym śmiechem.

Dama powoli podniosła głowę i spojrzała na mnie jak królowa na nędzarza, poczem zawołała:

— Czego pan sobie życzy?

— Proszę zobaczyć, jak ja wyglądam.

— Cóż ja wam mogę zrobić? Kartę zwolnienia macie?

— Tak, mam, oto jest moje świadectwo dojrzałości, — rzekłem z ironją.

Dama popatrzyła teraz na mnie uważnie i wzrokiem skarciła dziewczynę, która zanosiła się od śmiechu, patrząc na mnie.

— Więc czego pan chce? My możemy panu dać kilo chleba i bilet kolejowy tam, skąd pochodzicie. Dokąd chcecie się udać?

— Ja sam nie wiem dokąd, nie mam nikogo na świecie, — odparłem.

— To nie nasza wina, — odparła dama. — Nie trzeba było kraść i rabować, to nie siedzielibyście w więzieniu.

— Ale proszę pani, ja właśnie już nie chcę więcej kraść i błagam o pracę. Chcę pracować, nauczyłem się fachu piekarskiego w więzieniu. Proszę, żeby pani wystarała się dla mnie o pracę.

— Ho, ho! Pracę? Skąd ja dla was wezmę pracę? Mówcie, gdzie macie zamiar się udać, bo nie mam czasu.

— Przedewszystkiem proszę o możliwe ubranie i obuwie. Przecież tak dzieci za mną biegają jak za warjatem.

— Ubranie wam zamienię, ale obuwia niema. Ile miałam amerykańskiego obuwia na ten cel, to już rozdałam.

— Ja stąd nie pójdę, dopóki nie dostanę obuwia, — rzekłem stanowczym tonem, wiedząc od kolegów z więzienia, że w patronacie trzeba stawiać się śmiało, bo inaczej zbywają niczem.

— Skąd ja dla was wezmę obuwie? — zawołała już zła. — Swoich wam nie dam, a za własne pieniądze kupić wam obuwia nie mogę.

— Niech pani każe temu panu przyjść po obiedzie, — wtrąciła dziewczyna. — Może się co w magazynie znajdzie.

— Ja stąd nie wychodzę. Po obiedzie nikogo tu nie zastanę.

Dama, widząc, że nie ustępuję, zawołała woźnego. Ten zabrał mnie ze sobą, przyniósł marynarkę, spodnie i obuwie. Po chwili byłem ubrany nie mniej oryginalnie jak poprzednio. Powiedziałem też, że chcę się udać aż do Wilna. Wybrałem daleką podróż jedynie dlatego, by sprzedać bilet i mieć parę groszy. Dama wręczyła mi zaświadczenie i — o dziwo — pieniądze na pół biletu. Dostałem też kilo chleba na drogę i pakę przyzwoitych morałów na zakąskę, z czego wcale nie zamierzałem skorzystać.

Do późnej nocy chodziłem zdenerwowany po ulicach Warszawy, dumając, w jaki sposób utrzymać się na wolności. Chodziłem wściekły wielkiemi krokami, podniósłszy kołnierz marynarki, z rękoma w kieszeniach, i klnąłem na czem świat stoi. Późną nocą stanąłem przy jednej z bram na ulicy Smoczej. Bramę tę dobrze znalem z dawnych czasów . Mieszkał tu znany paser, którego zwano „Aleksander tretij". Tam też zamierzałem spędzić noc.

„Aleksander tretij" przyjął mnie z otwartemi rękoma, skarżąc się na ciężkie czasy. Zachęcał mnie do nowych występów i pocieszał mnie, że pomoże mi się urządzić.

— Dziękuję, nie mam zamiaru więcej kraść. Jutro będę się starał o pracę.

Paser na te słowa wybałuszył tylko oczy. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

— Co się z tobą stało? To chyba nie ten sam Nachałnik! Ty a praca, to były dwa bieguny. Dziś tak mówisz, bo jeszcze masz mokotowską grochówkę w żołądku. Chciałbym wiedzieć, jak długo będziesz chodził w tem ubraniu. Wyglądasz jak łachudra, aż mi wstyd. Mogę ci dać nowy garnitur i płaszcz, — mówił z zagadkowym uśmieszkiem na ustach, — ale wiesz przecież...

Zrozumiałem do czego zmierza, więc odparłem:

— Nie chcę twego garnituru i nie chcę więcej ryzykować. Mam już tego dobrego dość. Co ja miałem z tego przeklętego życia w waszym świecie? Gdybym te lata, które spędziłem w murach więziennych, był na wolności i pracował jak każdy uczciwy człowiek, byłbym szanowany i miałbym

zapewne więcej, niż mam z nędznego życia złodzieja. Wiele ja się głodu nacierpiałem i mąk po lochach więziennych! Wstyd, poniżenie, bicie i różne inne katusze — był to dla mnie w tem życiu występku i brudu chleb codzienny. Boleję nad tem i do grobu sobie tego nie przebaczę, że dałem się wciągnąć do tego życia, do tego bagna ludzkiego, skąd nie mogę się wydostać.

Odwróciłem się i splunąłem ze wstrętem; paser odstąpił kilka kroków wtył, poczem spojrzał na mnie, wskazał mi żartobliwym gestem krzesło i zawołał:

— Nachalnik, doprawdy nie poznaję cię. Tchórzostwo przez ciebie mówi i nic więcej. Ja trochę więcej odkiwałem w więzieniu od ciebie, a jednak nawet dziś, mając 59 lat, nie stchórzę. Więcej trochę niż ty przecierpiałem w tiurmach rosyjskich. Dzisiejsze więzienia są rajem w porównaniu z dawnemi rotami aresztanckiemi. Siadajno brachu, czemu stoisz przy drzwiach? — I po raz drugi, już poważnym gestem wskazał mi krzesło, poczem ciągnął dalej:

— Pamiętam, było to w 1892 roku. Miałem wtedy sześć lat aresztanckich rot. Wysłano mnie z Butyrek w Moskwie za udział w buncie do Orla. Tam nie było dnia, aby nie zabito więźnia. Naczelnik więzienia nazywał się także Orłow; własnoręcznie mordował on i bił więźniów. Za najmniejsze przekroczenie, jak wyglądanie oknem, rozmowa na spacerze, pukanie w ścianę, a nawet gdy więzień tylko krzywo spojrzał na klucznika, kazał odmierzać 30 kijów i więcej. Wszystko zależało od tego, którą nogą tego dnia wstał z łóżka, i ile butelek wódki i wina wypił tej nocy. Im bardziej był spity, tem był łaskawszy. Klucznicy również składali się z największych chuliganów i byli wiecznie pijani. Gdy przybył nowy więzień, pakowano go do łaźni i tam dawano mu pierwsze 30 kijów, zawiadamiając go przytem, że jest to zaliczka na dalsze kije, jakie otrzyma. Bywało, świeży więzień rozbiera się w łaźni. Kilku kluczników przygląda mu się, aż staje nagi. Klucznik rozkazuje mu uklęknąć, poczem zapytuje groźnie:

— Kak twoja familja?

— Matwiej Grigorjewicz Wierbinko.

— Prawosławnyj?

— Tak toczno.
— Familja otca kak budiet?
— Grigorij Wierbinko.
— Toże prawosławnyj?
— Tak toczno.
— A mat‘ kak nazywajut?
— Natalja Wierbinko.
— Toże prawosławnaja?
— Tak toczno.
— Charaszo, gołubczyk. Za czto popal?
— Za grabioż.
— Skolko połucził?
— Szest‘ liet aresztanckich rot.
— Ładno, ładno. A w Boga wierisz?
— Kakże nie wieriu!
— Wierisz?
— Wieriu.
— Ty swołocz, sobaka, poczemu ty krest nie nosisz, jesli ty wierisz w Boga? Tridcat‘ pałok wsypat‘ jemu.

Nie pomagają prośby i lamenty, swoje trzydzieści pałek musi dostać i z wielką ceremonją zawieszają mu krzyżyk na szyję. Gdy zaś więzień nosił krzyżyk na szyi, zaczynali z innej beczki:

— W Boga wierisz i krest nosisz, a na grabież paszoł? Tridcat‘ pałoczek dat‘ jemu.

Jednem słowem swoich 30 pałek każdy musiał dostać na początku. Żyd musiał dostać, gdy nie nosił cyces na sobie, a gdy nosił, znów dostawał, jako wierzący w Boga, który popełnił przestępstwo.

Takie czasy były, a jednak człowiek wytrzymał. A ty przychodzisz po odsiedzeniu kilkuletniego więzienia w Mokotowie i mówisz, że ci chleb złodziejski już obrzydł? Wstydź się Nachalniku, ja się tego po tobie nie spodziewałem.

— Ty wiesz swoje, a ja wiem swoje, — odparłem. — Postanowiłem zerwać z tem życiem i zerwę. Czy mogę tu u ciebie noc przekimać?

— Możesz, tylko jak masz zamiar zostać świętoszkiem, może ci zaszkodzić spanie u starego złodzieja i pasera, —

rzekł Aleksander tretij z ironją. — Chciałem cię poratować, ugościć jak należy, przyjąć swojego człowieka po wyjściu z więzienia, — ciągnął zakłopotany. — Ale ty sam tego nie chcesz. Rób jak ci się podoba. Spać u mnie możesz, ale popierać frajerów, do których od dzisiaj chcesz należeć, nie chcę. Ja ci poradzę jak przyjaciel po raz ostatni. Pluń na wszystko. Tyle lat zmarnowałeś, trzeba się teraz odegrać, użyć; a jak mnie posłuchasz, to się raz, dwa odreperujesz. Nadam ci dobrą robotę i będziesz mógł odpoczywać. Zresztą uczciwej pracy i tak nie dostaniesz, więc na co masz się pętać między frajerami? Oni i tak, wiedząc kim jesteś, pracy ci nie dadzą. Próbowałem i ja nieraz, i doszedłem do przekonania, że nie warto. Jutro zawołam kilku chłopaków, wezmą cię na robótkę, ubierzesz się i będziesz znów gwizdał na cały świat z jego morałami. Dobrze jest prawić komuś morały, gdy się jest najedzonym i ma się kilka tysięcy dolarów w banku i ze dwie kamieniczki do tego. Ja też potrafię morały prawić moim dzieciom, a sam cholerę wart jestem, — śmiał się dobrodusznie Aleksander tretij.

— Niema o czem mówić, — odparłem wstając z miejsca. — Raz postanowiłem i pójdę do celu. Proszę mi pokazać, gdzie mam się położyć, spać mi się chce, bo wczorajszej nocy oka nie zmrużyłem.

— No, no, brachu, nie jest jeszcze tak źle, kolację musisz jeszcze ze starym złodziejem zjeść. Wypijemy sobie też za twoje powodzenie na drodze frajerskiej. Jabym był rad, żebyś kiedy został wielkim człowiekiem, — no, profesorem, pisarzem albo posłem w sejmie. Ha, ha, ha, wybralibyśmy cię jako posła ze świata złodziejskiego, abyś bronił jego spraw. Najlepiejby było domagać się w sejmie, by zlikwidowano policję i więzienia. Albo wiesz co? Jeszcze lepiejby było, gdyby policja nas zastąpiła, a myśmy zostali stróżami bezpieczeństwa. Zaręczam ci, Nachalniku, — rzekł wesoło, — że społeczeństwo tylkoby na tem wygrało.

— Stałeś się grebserem na starość, mój drogi. Po co mówić o tem, co się nigdy nie stanie? Każdy z nas, który przesiedział kilka lat w więzieniu, ma trochę fioła w głowie. A ty, Aleksander tretij, który siedział w Orle i często brał kije, masz już chyba całego ptaka.

— Masz rację, chodź do stołu. Felcia, Felcia! — krzyknął na córkę, która momentalnie zjawiła się i poczęła szykować do stołu, patrząc zukosa na mnie.

Po chwili już siedzieliśmy przy stole. Rozkoszowałem się smaczną kolacją i alkoholem, słuchając przytem wiadomości o tem, co się działo w czasie mojej nieobecności w naszym świecie. Stary skarżył mi się, że nastały ciężkie czasy dla paserów i że złodzieje stali się kapusiami. Hinty — mówił — nagromadziło się tyle, że jest ich więcej niż złodziei.

— Kto to słyszał za moich czasów, aby wspólnik wspólnika wydał, albo mu inną podłość zrobił? Gdzie jest nasza dawna solidarność? Gdzie jest dawna szczerość między nami? — biadał Aleksander tretij. — Dawniej złodziej za złodzieja był gotów ostatnią kroplę krwi oddać, a dziś...

Ja nic nie odpowiadałem, tylko zajadałem z apetytem i zukosa zerkałem na córkę, która stała w kącie.

— Czy ty pamiętasz Miszkę Fartowca? — rzucił nagle paser. — Czy ty wiesz, co ten drań zrobił?

— Nic nie wiem. Skądże mam wiedzieć?

— Ale znałeś go, — nalegał.

— Znać go znałem, ale nic o nim takiego nie słyszałem.

— Więc słuchaj, teraz ja ci opowiem wszystko; aż wstyd, że się takie podłe rzeczy dzieją między nami.

Miszka Fartowiec chodził przez długi czas razem z Joskiem Bękartem. Zarabiali nieźle. Najwięcej chodzili na „sobaczkę". Dobrze im się powodziło, usypiali frajerów w międzynarodowych pociągach i grasowali z powodzeniem. Pewnego dnia wyjechali międzynarodowym pociągiem z dworca głównego do Paryża. Po drodze w Berlinie, Josek Bękart nagle zachorował i został w szpitalu na kuracji. Miszka miał jechać z powrotem do Warszawy i przywieźć jego żonę, aby czuwała przy chorym. Przyjechał rzeczywiście do Warszawy, ale rozgłosił między nami, że Bękart zasypał się w Berlinie i siedzi w Moabicie. Namawiał żonę Bękarta, aby zebrała wszystkie pieniądze jakie posiada i biżuterję, on zaś zbierze swoje pieniądze i pojadą do Berlina, by wspólnemi siłami wydobywać go z więzienia. Żona Bękarta nie podejrzewając niczego, ubrała się w najlepszą garderobę i karakułowe futro, bo jak Miszka Fartowiec mó-

wił, trzeba przyzwoicie zaprezentować się w Polizeipräsidium w Berlinie, by męża wydobyć. W drodze uśpił ją, zabrał wszystkie pieniądze, biżuterję i futro, a nawet suknię, którą miała na sobie, zgwałcił uśpioną i tak zostawił. Przyjechała złamana, odstawiona do Warszawy przez policję. Wszyscy nasi przysięgli sobie, że muszą sprzątnąć Miszkę. Bękart po kilku dniach wyzdrowiał i nie wiedząc nic co się stało ze wspólnikiem, przyjechał do Warszawy; tu dopiero dowiedział się o wszystkiem. Zły na żonę, że się dała tak nabrać, zbił ją do utraty przytomności, a potem porzucił. Puścił się w świat na poszukiwanie Miszki. Nagolił go aż w Ameryce Południowej i strzelił mu w łeb. W rok dopiero po tem zdarzeniu odszukał żonę w Warszawie i zabrał ją do siebie. No, widzisz, jakie podle czasy teraz u nas. Kto dawniej z naszych zdolnyby był do takich podłości?

— Ale bo też dziś większość złodziejów — mówił dalej — stało się alfonsami i żyje z tego wstrętnego procederu; dawniejszy złodziej gardziłby tem całą duszą. Opowiem ci inną ładną historję. Znałeś przecież Aeroplana? Aeroplan zabrał koledze żonę i namawiał ją, żeby pojechała z nim do Argentyny na sztyft... Ubrał ją jak grafinię, wyłożył pieniądze na szyfkartę i wyjechali razem. Przyjechali szczęśliwie do Argentyny. I wiesz co ona zrobiła? Zaraz w porcie podała mu damskie majtki i powiedziała: „Masz majtki, włóż i możesz mnie zastąpić". On chciał skoczyć do bicia, ale w tej chwili wpadło dwu agentów, których miała już w pogotowiu. Ci aresztowali go jako handlarza żywym towarem i odesłali zpowrotem pod strażą do Polski. Dostał tu trzy lata więzienia. To mi gierojska baba, — zakończył śmiejąc się.

— Dobrze zrobiła, — dodałem. — A mąż jej nic mu nie zrobił?

— Dotychczas nie, bo Aeroplan siedzi jeszcze w więzieniu. Ale czeka na niego, aż go zwolnią. Takich rzeczy się nie darowuje, kawałek ołowiu przeznaczony dla niego musi połknąć.

— Niech sobie głowy urywają, — powiedziałem, — nic mi do tego świata i nie chcę o nim wiedzieć. Czuję teraz wstręt do wszystkiego, co pachnie tym światem. Niech go

cholera weźmie. Ja już mam tego dosyć, — zakończyłem wstając od stołu.

Aleksander tretij ujął mnie mocno za dłoń, pociągnął ku sobie i zawołał, patrząc mi przenikliwie w oczy:

— Słuchaj, Nachalnik. Ty mi się jakoś przestajesz podobać. Może chcesz wstąpić do policji, hę? Tylko przyszły policjant może tak o złodziejach mówić, jak ty mówisz. To hańba dla ciebie, dla takiego urke, jak ty byłeś. Słuchaj mnie, to ci będzie dobrze i nigdy tego nie pożałujesz. Wyśpij się, odpocznij u mnie parę dni, a potem zobaczymy. Kiedy zobaczysz, jak nasi się jeszcze bawią, to wszystkie swoje uczciwe głupstwa wybijesz sobie z głowy.

Zaprowadził mnie do nawpół ciemnego pokoiku, słabo oświetlonego naftową lampką. W kąciku leżały różne towary wątpliwego pochodzenia. Zamknął mnie od zewnątrz i oddalił się.

Upadłem na żelazne łóżko zupełnie wyczerpany. W uszach dźwięczał mi hałas i zgiełk ulicy. Po tak długoletnim pobycie w miejscu spokoju i ciszy nie mogłem oswoić się z gwarem tłumu, hałasem tramwajów, aut, dorożek. To też zasnąć nie mogłem. Wrażenia, jakich doznałem na wolności i słabnąca nadzieja utrzymania się na powierzchni nie dawały mi zasnąć. Przyszłość budziła przestrach w mojem sercu. Żałowałem nawet, że kara moja tak prędko się skończyła i że zostałem zwolniony. Obawa o jutro nasuwała mi okropne myśli. Wreszcie rozmyślając nad wszelkiemi możliwościami ratunku — zasnąłem.

XL.

Gdy się przebudziłem, było już dawno po południu. Promienie słoneczne, słabo wdzierając się przez okienko pod sufitem do pokoiku, zachęcały mnie do wstania; ubrałem się więc. Zapukałem do drzwi, a po chwili gościnny gospodarz przywitał mnie z ironicznym uśmieszkiem na ustach.

— No, jak ci się spało? Pewno lepiej jak tam, co? Chodźno ze mną, śniadanie już dawno na ciebie czeka i ktoś z twoich dawnych znajomych także tu jest.

— Kto taki? — spytałem niechętnie.

— Bądź cierpliwy, zaraz zobaczysz. To twój dobry przyjaciel, a mój klient.

— Jak się masz, Nachalnik, — zawołał ktoś nagle i wziął mnie w objęcia.

Nie byłem zadowolony z tego spotkania. Był to dawny mój wspólnik. Aleksander tretij wiedział, że byliśmy wspólnikami i umyślnie go tu przyprowadził, aby wpłynął na mnie, bym broń Boże nie został frajerem.

Po chwili byłem już zupełnie innym człowiekiem, zapomnialem o wszystkiem, co postanowiłem. Wspólnik przypomniał mi dawne dobre czasy i obiecał, że dopomoże mi stanąć na nogach. Opowiadał mi, że dobrze stoi. Zabrał mie też z sobą do domu na ulicę Pawią, by mnie przebrać w inny garnitur i obuwie, zapewniał mnie bowiem, że mu wstyd, że Urke Nachalnik jest tak nędznie ubrany.

— Wybij sobie wszystkie głupstwa z głowy, — mówił. — Masz czas zostać porządnym człowiekiem, jak będziesz miał 50 lat i kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Tak na gołego to niema interesu, zostaw to dla innych frajerów. Dziś zabawimy się na całego. Musimy oblać twoją wolność i wypić za twoje zdrowie. Głowa do góry, brachu! — Tu nachylił mi się nad uchem. — Mam fajną dziewczynę dla ciebie...

Będąc już pod jego wpływem, mimowoli udałem się do jego mieszkania, żegnany życzeniami przez pasera, bym dobrze zarabiał i nie zapomniał o nim. Ja pierwszy byłem — wołał — który cię przyjął z więzienia i ugościł. Pamiętaj o tem, — powtarzał ciągle.

Po drodze kolega, którego zwano w świecie przestępczym „Brytan“, opowiadał mi o różnych robotach, jakie ma w swoim repertuarze. Mówił też, że tylko ze mną potrafi ich dokonać. Dziś — mówił — porządnego chłopaka trudno znaleźć. Kapuś na kapusiu jedzie i kapusiem pogania.

Wchodząc do jego mieszkania, stanąłem zdziwiony. Nie dowierzałem własnym oczom, — by to była jego żona, jego dwoje dzieci, jego pięknie umeblowane mieszkanie. Brytan widząc moje zdziwienie, zawołał:

— Widzisz, brachu, nie jest jeszcze tak źle. Porządny

Urke zawsze sobie poradzi. To wszystko, co widzisz, to z dawnych lepszych czasów, rok dwudziesty, dwudziesty pierwszy, kiedy to „buce" jeździły z Ameryki do Polski. To było życie! Nie było dnia, aby nasza paczka nie zarobiła kilku tysięcy dolarów. Później już „obcięli" się i policja odprowadzała buców na miejsce. Teraz to jest gorzej: blat, co szedł dawniej z tajniakami, teraz już z nimi nie daje się zrobić; ale jeszcze z forsą wszystko można. Zasypiesz się, to blat kaucja i jesteś znów na wolności. No, siadaj przy stole, nie wstydź się, jesteś u siebie w domu. Mania, krzyknął na żonę, — podajno wiesz już co...

Na stół wywędrowała z kredensu wódka, wino, różne zakąski, których nazw nie znałem. Po wypiciu jednej kolejki zawołał:

— Idź, brachu, do drugiego pokoju, jest tam łazienka, wykąp się elegancko i ubierz się. Tam wszystko już masz.

Zawahałem się i nie ruszyłem się z miejsca. Żona jego jednak zaczęła mnie prosić, tłumacząc mi, że tak być ubranym nie wypada i t. d.

Gdy wyszedłem z łazienki, oboje chwycili mnie pod ręce i posadzili przed wielkiem lustrem. Wygląda teraz jak lord! — zawołała żona. Wszystkie panny się w tobie zakochają, zapewniał Brytan. Po chwili już swobodnie usiadłem przy stole i podano smaczny i obfity obiad.

— Co masz zamiar robić ze sobą? — zapytał Brytan nie patrząc na mnie.

— Postanowiłem rzucić to życie i rozpocząć życie uczciwego człowieka.

— Mania, — krzyknął Brytan na żonę — podajno termometr, Nachalnik ma zapewne gorączkę. Chodźno tu! Ha, ha, Nachalnik i uczciwy człowiek! Och, nie wytrzymam!

Wybuchnął śmiechem, poczem zerwał się od stołu, przyłożył mi rękę do czoła i znów zaczął zataczać się ze śmiechu.

— Czego ty się tak śmiejesz? — zawołałem zdenerwowany. — Dla ciebie fach złodziejski jest wymarzony, masz więcej szczęścia jak rozumu. Kradniesz już od dziecka, a w więzieniu siedziałeś — czy ja wiem ile? Chyba parę tygodni. Ja nie mam takiego szczęścia jak ty. Od chwili

kiedy poznałem to przeklęte życie, stale poniewieram się po różnych więzieniach. Muszę spróbować czego innego, może tam będę szczęśliwszy. Zresztą tyś się jeszcze nigdy nie oparzył; ale niech ci się tylko noga poślizgnie, już będzie po wszystkiem. Będziesz zmuszony sprzedać wszystko, co zdobyłeś za cenę życia i kto wie, czy będziesz mógł się dźwignąć nanowo. Tak, tak, bracie... Póty dzban wodę nosi, aż mu się ucho nie urwie...

— Ja mu to zawsze mówię, — wtrąciła się żona, — aby porzucił to życie i rozejrzał się za jakimś interesem, który nie ma nic wspólnego z kodeksem karnym. Stawiałam mu za przykład „Mojsze Rebejnu". Ten także miał całe życie szczęście, a jak wpadł to odrazu na osiem lat. Siedzi w Rawiczu, a żona jego chodzi żebrać.

— Ja tam nigdy tak nie wpadnę, od czego głowa na karku.

— Mądrzejsi od ciebie wpadali, — zawołałem.

— Ale ja nie wpadnę. Znam się na ludziach. Wiem, z kim mam się zadawać.

— Można się czasami pomylić, — zawołała żona. — Czy niema wypadków, że z zazdrości ktoś kogoś bierze do sprawy i już wyrok murowany?

— Dosyć tego, — zawołał. — Mówmy teraz bez żartów. Czy doprawdy tak postanowiłeś?

— Tak, inaczej być nie może.

— Więc jeśli tak, mój kochany, możesz się ubierać zpowrotem w patronackie lachy. Dla frajerów i to jeszcze za dobre.

Cały zapłonąłem ze wstydu i bez słowa skierowałem się do łazienki; żona zastąpiła mi drogę.

— Czy pan żartów nie zna? On żartował. Niech pan da spokój, — prosiła.

— Ja wcale nie żartowałem, — zawołał stanowczym tonem mój kolega. — Chcialem go poratować jak należy, ale on sie nie poznał na tem. Niech spróbuje zostać uczciwym człowiekiem. Chciałbym zobaczyć, czy na całej kuli ziemskiej, nie tylko w Warszawie, znajdzie takiego warjata, któryby mu rękę podał. Jak swój cię nie poratuje, to frajer z pewnością nie. Czy ty myślisz, że ciebie odrazu złapią do

pracy? Czem ty się wylegitymujesz przed pracodawcą? Czy ty masz jakiś inny dokument prócz karty zwolnienia? Ha, ha, idjoto jeden! Kto da ci pracę, gdy zobaczy twój czerwony dowód osobisty? Nawet gdy zechcesz przespać się gdzieś, a wylegitymujesz się tym dowodem, to cię stróż miotłą wygoni. Karta zwolnienia ważna jest tylko dla policji, że możesz się wałęsać wolny po ulicach, ale nigdy nie jest żadnym dowodem dla frajerów. Gdy ją zobaczą, to cię psami wyszczują. Powiedz teraz sam: przecież nawet gdybyś chciał zostać uczciwym, wszystkie uczciwe drzwi są przed tobą zamknięte.

Nie chciałem więcej słuchać jego morałów, choć w duchu przyznawałem mu rację. Po chwili stałem znowu w mojem wyszarzałem patronackiem ubraniu, od którego roznosił się wokoło zapach naftaliny.

— Uciekaj prędko, — wołał szyderczo mój wspólnik. — Całe mieszkanie będę musiał ze trzy dni wietrzyć po tobie, frajerze. Śmierdzisz naftaliną i zgnilizną, aż w nosie kręci. Wynoś się stąd prędzej, bo każę stróża zawołać!

Chciałem wprawdzie rzucić się na niego za taką obelgę, ale żona przestraszona poczęła mnie uspokajać, że jest pijany i dlatego tak mówi. Prosiła, żebym został.

Nie słuchałem jej i wybiegłem po schodach na ulicę, odprowadzany szyderczym śmiechem kolegi.

Szedłem ulicą nie widząc nic przed sobą. Kilku przechodniów, których potrąciłem, wołało coś za mną. Jeden nawet pchnął mnie, tak, że upadłem na ścianę. Obejrzałem się tylko i szedłem dalej. W głowie szumiało mi jak w ulu. Pewno za dużo wódki wypiłem. Jednakże byłem na tyle trzeźwy, że słowa kolegi wciąż brzęczały mi w uszach.

Bez celu błąkałem się po ulicach i uliczkach. Przeliczyłem po raz setny swoje kapitały, ale nic nie przybyło. Pięćdziesiąt tysięcy marek — to był mój cały majątek. Dla lepszej orjentacji czytelnika, jaką wartość miała wspomniana suma w końcu sierpnia 1923 roku, przytoczę, że przejazd tramwajem kosztował 10.000 marek. Za mój kapitał więc mogłem pięć razy przejechać się tramwajem, a potem skoczyć do Wisły. Albo też kupić sobie dwa funty chleba i śledzia, a za resztę używany sznurek, by się powiesić.

Im bardziej trzeźwiałem po wypitej wódce, tem rozmaitsze pomysły przychodziły mi do głowy i tem jaśniej rozumiałem swoje położenie. Stanąłem w bramie jednego z domów przy ulicy Żelaznej i głupkowato obserwowałem przechodniów. Pod wieczór powlokłem się w kierunku Marszałkowskiej. Myśl natrętna: gdzie spędzić noc dzisiejszą? — dokuczała mi gwałtownie, nie dając spokoju. Przystanąłem znów w bramie eleganckiego domu obserwując z zazdrością wytwornych przechodniów, kobiety i mężczyzn. Policjant stojący na rogu przyglądał mi się uparcie, a gdy zauważył, że posuwam się dalej, chcąc go ominąć, zawołał:

— Hej, stańcieno!

Stanąłem.

— Co wy tu robicie?

— Nic nie robię. Patrzę.

— A na co patrzycie?

— Patrzę, jak świat jest źle urządzony, panie posterunkowy, — odparłem z goryczą.

Policjant uważnie spojrzał mi w oczy. Kilku gapiów ulicznych otoczyło nas dokoła.

— Co wam się tu nie podoba? — zawołał groźnie.

— Nie podoba mi się to, że pan stoi na rogu i zaczepia porządnych ludzi, jak ja, — odparłem ironicznie.

— Pokażno, braciszku, dowód osobisty. Zobaczymy, coś ty za ptaszek, że się tak potrafisz mądrzyć, — rzucił, mierząc moją nędzną postać od góry do dołu.

— Nie mam dowodu osobistego, — odparłem, — ale mam jeszcze lepszy dokument, niż dowód osobisty.

— Pokaż, pokaż, zobaczymy.

— Tu nie pokażę, — odparłem.

Policjant, już zły, zawołał:

— Jak nie chcesz tu pokazać dowodu osobistego, to marsz! Jazda, jazda!

Pchnął mnie i chwycił za kołnierz, rozglądając się na wszystkie strony; poczem zagwizdał i oddał mnie w ręce przybyłego policjanta, by ten odprowadził mnie do komisarjatu. Mówił przytem:

— To musi być podejrzany ptaszek. Odprowadź go do nas, zobaczymy, czy i tam będzie taki mądry.

W komisarjacie bez słowa podałem kartę zwolnienia. Starszy przodownik spojrzał na mnie ze współczuciem i rzekł:

— Muszę was zatrzymać. Nie wolno się tak wałęsać po głównych ulicach. Stawialiście też opór władzy, to niedobrze. Wczoraj was wypuszczono z klatki, a już zaczynacie.

— Proszę bardzo. Spać mi się chce okropnie. Chętnie u was zanocuję.

Starszy przodownik roześmiał się na tę odpowiedź i rzekł:

— Ale u nas przyjacielu to nie Mokotów. Pluskwy i pchły ci spać nie dadzą.

— To nic, mam twardą skórę. Zresztą i po więzieniach tych gości nie brak. Wolę już nocować w areszcie niż na ulicy.

— Zabrać go, — zawołał starszy przodownik. — Niech się prześpi.

Po chwili znalazłem się w ciemnym pokoju. Poomacku natrafiłem na nary zbite z desek. Głośne chrapanie rozlegało się po celi. Więc ktoś tu śpi? — pomyślałem. Począłem obmacywać nary, czy nie znajdę jakiegoś siennika lub koca; wtem ręka moja natrafiła na damski bucik. Serce poczęło mi bić. Oto mi okazja, — pomyślałem i powoli poomacku doszedłem do przekonania, że tu śpi kobieta. Zapach wódki bił od niej jak z gorzelni. Nie namyślając się długo, przytuliłem się do niej, po tylu latach postu...

Nie zdążyłem się nacieszyć takiem niespodziewanem szczęściem, które mnie tu spotkało, gdy nagle usłyszałem zgrzyt odmykanych drzwi celi.

— Ty, ty, wyłaźno stąd, psiakrew! Za dobrzeby ci się tu powodziło! Cholera, zapomniałem, że tu pijana baba leży! A może już zdążyłeś poromansować, co?

— A jak zdążyłem, to co? — odparłem, zły, że przerwano mi taką idyllę, jaka się zdarza raz na sto lat. — Pan chce się tu pewnie dostać do tej pijanej baby, a ja panu przeszkadzam?

— Stul gębę, psiakrew, i marsz!

Zostałem po ciemku wepchnięty do innej celi.

Co było robić? Z ciężkiem sercem upadłem na gołe nary, z myślą, by jak najprędzej zasnąć. Zasnąć jednak nie mo-

głem w żaden sposób. Pluskwy i pchły widać długo już tu nie miały smacznego kąska, to też teraz rzuciły się na mnie atakując tak zawzięcie, że zmuszony byłem do rana wędrować po celi.

Zaraz też zrana zawołano mnie nadół do kancelarji. Tu spisano protokół i objaśniono mnie, że jestem wolny. Po chwili już, niewyspany i głodny, wlokłem się znowu przez ulice Warszawy.

XLI.

Było już dawno po południu. Droga z Warszawy na Pragę przez most Kierbedzia była przepełniona wozami ciężarowemi, ludźmi i autami. Kroczyłem po chodniku, zataczając się jak pijany. Słyszałem nawet kilka niepochlebnych uwag eleganckich dam, rzuconych w moją stronę. „Upił się jak świnia", — rzuciła otyła dama, — „a teraz przewraca się na nogach". „Lepiejby sobie ubranie sprawił, — dorzucił inny, — niż wydawał pieniądze na wódkę". — „Z rozkoszy się nie upił", — dodał jeden z przechodniów, z ubrania podobny do mnie.

Stanąłem na moście i przypatrywałem się Wiśle. Sugestjonowała mnie ona tak, że gdyby nie przechodzący policjant, który trącił mnie mówiąc, że nie wolno się tu zatrzymywać, na pewno skoczyłbym w jej nurty. Ruszyłem przed siebie na Pragę.

Znałem dobrze Pragę, więc nie szedłem taką ulicą, gdzie wiedziałem, że mogę spotkać znajomych z dawnych czasów. Szedłem ulicą Targową, myśląc, skądby wydobyć tu choćby na funt chleba. Sprzedawcy uliczni kroczyli niedaleko mnie, okrzykami wychwalając swój towar. Kobieta w starszym wieku podsunęła mi kosz z obwarzankami pod sam nos i zawołała: Trzy za dziesięć, trzy za dziesięć! Znaczyło to trzy obwarzanki za dziesięć tysięcy marek. Zapach boskiego daru uderzył mnie jak policzek i zatoczyłem się jak pijany. Kobieta była już o kilka kroków ode mnie i wykrzykiwała jeszcze bardziej zawzięcie swoje: Trzy za dziesięć. Nagle, jakgdyby obcym głosem, wydarło mi się z gardła:

— Proszę pani! Proszę pani!

Kobieta stanęła.

Zbliżyłem się niepewnym krokiem z myślą, by poprosić ją o obwarzanek, jednakże prośba o jałmużnę nie chciala mi przejść przez gardło. Kobieta patrzała na mnie chwilę i już się chciala oddalić, otwierając znów usta, by krzyknąć swoje „trzy za dziesięć", gdy nagle zapytałem:

— Czy kupi pani kamizelkę?

— Na co mi kamizelka, — wybuchnęła szczerym śmiechem, — ja w kamizelce nie chodzę.

— Wiem, że pani w kamizelce nie chodzi, ale widzi pani, ja... ja...

— No, gadaj pan, co ja, ja? Nic nie rozumiem. Mów pan, czego pan chce.

— Chcę sprzedać kamizelkę za obwarzanki. Mnie się jeść chce, — rzuciłem prędko.

Kobieta opuściła koszyk na ziemię. Przypatrywała mi się chwilę uważnie, poczem bez słowa wyjęła pięć obwarzanków i podała mi mówiąc:

— Masz, masz, zjedz sobie. Niech ci będzie na zdrowie. — I chwyciła za kosz chcąc się oddalić.

Zatrzymałem ją.

— Pani jest dobra, bardzo dobra, ale nie mogę od pani tak przyjąć. — I bez słowa, na środku ulicy zdjąłem marynarkę, potem kamizelkę, rzuciłem jej ją do nóg i uciekłem.

Kobieta zdziwiona wołała nagłos, abym zabrał kamizelkę, lecz nie słuchałem, kierując się w boczną uliczkę. Gapie uliczni śmieli się nagłos, zapewniając się wzajemnie, że jestem chyba warjatem.

Po zjedzeniu obwarzanków, wpadłem w stan odrętwienia, nie mogąc iść dalej. Żołądek, przyzwyczajony przez tyle lat do więziennego wiktu, który składa się w 90% z wody, nie mógł teraz przetrawić tak twardego pożywienia jak obwarzanki. Okropny ból żołądka nie dawał mi spokoju. Skręcony z bólu, pochylając się ku ziemi, dotarłem wreszcie do skwerku ulicznego i usiadłem na ławce. Przechodnie patrzyli na mnie raczej z pogardą niż z politowaniem, ja zaś myślałem, że lada minuta umrę z bólu.

Jakby to było dobrze teraz skończyć, — przeleciało mi

przez zbolałą głowę. Co za okropne, wstrętne życie! Co robić, gdzie spędzić noc, która znowu się zbliża? Czy nie znajdę już na wolności innych opiekunów, którzy udzieliliby mi przytułku, prócz policji?

Siedziałem na ławce, sam nie wiem, jak długo, i rozmyślałem, jak brzydko wygląda ta wolność, do której przez tyle lat tęskniłem. Czułem wstręt do samego siebie. Patrząc na eleganckich przechodniów i uśmiechnięte kobiety, doznawałem wrażenia, że naigrawają się z mojej nędzy. Znienawidziłem siebie i cały świat, a w sercu budziło się pragnienie zemsty. Sam zadrżałem na myśl, że muszę dokonać czegoś takiego, aby zemścić się na tych, którzy przyczynili się do mojego upadku. Upadek mój przypisywałem w tej chwili nawet małym dzieciom, które bawiły się niedaleko mnie i zajadały smacznie słodycze. O, Boże, gdyby tak teraz nagle przyszło trzęsienie ziemi i wszystko, co widzę, zapadło się wraz ze mną, — coby to było za szczęście dla mnie!... Trąbka przejeżdżającego auta wyrwała mnie z zadumy. Zupełnie złamany na duchu i na ciele, upokorzony we własnej świadomości, wstałem z trudem, i szaleńcze pomysły znikły zupełnie z mego mózgu. Patrzyłem na świat już innemi oczyma, oczyma które pragną i uwielbiają życie, życie wolnego człowieka...

Ruszyłem w stronę dworca Wileńskiego z myślą, że tam spędzę noc, noc, która już dawno wzięła w objęcia Warszawę.

Na dworcu dopiero ku mojemu utrapieniu dowiedziałem się od takich samych bezdomnych jak ja, że po dwunastej opróżniają go i zamykają do czwartej nad ranem. Jedyne miejsce, gdzie można spędzić noc, — mówił jeden z moich kolegów po nędzy, — to dworzec Główny. Nie namyślając się długo, razem z innym kolegami udałem się tam.

Jednakże widać nie pisane mi było spokojnie odpocząć. Zaraz na progu dworca przyjęło nas bystre oko policjanta, który natychmiast roztoczył nad nami opiekę. Opieka ta nie pozwoliła nam spokojnie się zdrzemnąć.

Wreszcie nastąpił poranek. Głód skręcał mi wnętrzności tak, że musiałem trzymać się rękoma za brzuch. Koledzy, z którymi przez ten krótki czas zdążyłem się już zbratać,

okazali mi dużo współczucia. Przekonałem się po raz setny, że nic tak na świecie nie zbliża i nie brata ludzi, jak wspólne nieszczęście. Okazało się, że jeden z trójki, którą poznałem na dworcu Wileńskim, przed miesiącem opuścił Pawiak i także, jak ja, postanowił być uczciwym człowiekiem. Tego, że przez miesiąc żywił się kradzionemi jarzynami i owocami po ogrodach, nie uważał wcale za nieuczciwość. Poczęstował mnie także owocami, któremi miał napełnione kieszenie podartej kurtki. Pozostali dwaj byli bezrobotni, którzy żyli z przypadkowego zarobku na dworcach Warszawy.

Nie opowiadałem wcale kolegom, że z Mokotowa wyszedłem, więc ma się rozumieć mieli mnie za frajera. Jeden nawet zaproponował mi zamianę spodni z dopłatą pół kila kiełbasy i funta białego chleba. Bez wielkich namysłów handel doszedł do skutku, i wyglądałem teraz zachwycająco. Elegant paryski mógłby mi pozazdrościć mojego smaku. Gdyby mnie wówczas ujrzał jakiś właściciel ziemski, mógłby mnie wynająć abym stanął jako straszydło na jego polu i straszył ptactwo.

Postanowiłem jednak rano z kolegami się pożegnać raz na zawsze. Wiedziałem, że wcześniej czy później zaciągną mnie na owoce czy ogórki. Nie życzyłem sobie, aby za taką „robotę" dostać się na Pawiak, co było więcej niż możliwe.

Zaczęły się znów nieskończone wędrówki po Warszawie. Po zjedzeniu chleba i kiełbasy, nabrałem trochę sił, a nawet odzyskałem humor. Eleganci warszawscy starali się, by mnie broń Boże nie dotknąć na chodniku. Bawiło mnie to niezmiernie, że kroczę sobie po ulicach Warszawy, a ludzie omijają mnie i ustępują mi z drogi, jak jakiejś wielkiej osobistości. Tak zagłębiony w rozmyślaniach, wlokłem się powoli przed siebie.

W miarę, jak zbliżałem się do jakiejbądź ulicy, doznawałem wrażenia, że idę naprzeciw jakiegoś niebezpieczeństwa, które czyha na mnie z za rogu. Na jednej z bocznych ulic uderzył mnie znany mi zapach świeżego chleba, wyjmowanego właśnie z pieca. To nasunęło mi myśl, żeby wstąpić do tej piekarni, skąd właśnie dolatywał okrzyk piekarczyka, wołającego kogoś.

Po chwili kilku czeladników piekarskich przyglądało mi się ciekawie, wypytując gdzie pracowałem i co umiem. Jeden z nich żartobliwie nałożył mi fartuch i białą myckę i kazał zbliżyć się do bajty, bym zaprezentował, co potrafię. Spodobała im się moja praca tak, że jeden poprosił mnie, abym mu pomógł ciasto robić. Dano mi także się najeść, a nawet pozwolono mi spać za piecem.

Wszystko może byłoby dobrze, gdyby nie pech, który mnie na każdym kroku prześladował. Traf chciał, że tragarz, który przyniósł mąkę do piekarni, siedział kiedyś w jednej celi ze mną za pobicie. Poznał mnie odrazu i zdziwiony zawołał:

— Jak się masz, Nachalniku! Dawno cię już zwolnili z Mokotowa? Co tu robisz?

Wszyscy patrzyli na mnie jakoś dziwnie; po chwili gospodarz, który też zaraz przybył, oświadczył mi, że mam się natychmiast wynosić. Próbowałem go błagać, przekonywałem, że przypadkowo dostałem się do więzienia, że jestem z zawodu piekarzem, że będę pracował za samo życie. Gospodarz jednak nie chciał słuchać i twierdził:

— Ja się już dowiedziałem, kim wy jesteście. Jazda, jazda, tu niema dla takich ptaszków miejsca.

Co miałem robić? Ze złamanem sercem i bochenkiem chleba, który podarował mi litościwy czeladnik, pod pachą, wyniosłem się na ulicę.

XLII.

Noc była pochmurna. Deszcz skrapiał ulice i wybijał takt na parasolach przechodniów. Ukryłem bochenek pod marynarką, by ocalić przed deszczem to, od czego zależała moja chwilowa uczciwa egzystencja. Myśl o tem, gdzie spędzić noc, wdzierała się wgłąb duszy. Ach Boże, wołałem, czy długo tak wytrzymam? Nie, w takich okolicznościach długo żyć nie można. Złość moja wzrastała z każdą chwilą. Życie zbrzydło mi do cna, i moje uczciwe zamiary również.

Deszcz padał coraz gęściej; przemokłem już do nitki. Płakać i śmiać mi się chciało zarazem z siebie samego. Koszula

więzienna stwardniała od deszczu, jak deska i tarła mi ciało do krwi. Smutny przedstawiałem obraz, a znikąd nie widziałem nawet przebłysku zbawienia. Ciągle myślałem tylko o jednem: gdzie się tu osuszyć i wypocząć przez noc?

Wreszcie usiadłem na ławce, stałem się obojętny na wszystko. Deszcz lał i nie miał wcale zamiaru przestać. Z nogawek spodni i z rękawów lało się jak z rynny. Jakże chciałem wtedy zmoknąć tak, by się rozpaść, rozpłynąć i przestać istnieć! Urągałem w duchu Bogu, ludziom i sobie. Zrozumiałem wreszcie po raz setny słowa ojca, który mnie zawsze przestrzegał: „Pożałujesz, ale będzie już zapóźno...“

Zrozumiałem teraz, że wszystkie ścieżki i dróżki, które prowadzą do świata ludzi wolnych, są dla mnie raz na zawsze zamknięte. Owładnęło mnie zuchwale pragnienie zemsty. Otrząsnąwszy się z deszczu rozglądałem się dokoła z myślą, że muszę sobie wreszcie znaleźć jakieś schronisko.

Szedłem przed siebie gryząc zmoczony chleb z pod marynarki. Ludzi na ulicy było z powodu deszczu bardzo mało; tylko policjant, pełniący służbę nocną, stal na rogu ulicy nieruchomo, i jak mi się zdawało, patrzał na mnie. Przemoczony i znużony znalazłem się na jednej z bocznych ulic i ruszyłem przez jakąś bramę na podwórko. Obszedłem długie podwórko, szukając tego, co jak zgóry obliczyłem, gdzieś tu być musiało. W domu tym bowiem był skład rzeźniczy, więc i furgon musiał tu gdzieś być. W rogu podwórka przy samym śmietniku stał ów tak poszukiwany przeze mnie dach nad głową. Nie namyślając się długo, położyłem się znużony i przemarzły i po chwili już spałem.

Spałem tak do czwartej czy piątej. Ktoś obok mnie głośno zakasłał i to mnie zbudziło. Nie było jeszcze całkiem jasno, ale wstałem zrywając się prędko. Otrząsnąwszy się, jak pies zbłąkany, wysunąłem się niepostrzeżenie z podwórka. Niebo bladło z każdą chwilą, stając się coraz jaśniejsze i czystsze. Wezbrana w mojej duszy złość na widok rozwiewających się chmur malała z każdą chwilą. Jakaś radość i nadzieja znów wstąpiła we mnie. Zapomniałem o troskach i nędzy i pocieszałem się myślą, że nieraz już było mi o wiele gorzej. Jestem przecież teraz wolny! — uderzyłem się

w piersi. Mogę iść dokąd zechcę i łykać ile zechcę powietrza wolności. Zawsze lepiej spać w pustym furgonie rzeźniczym, niż w tych przeklętych żywych grobowcach. Światło nadchodzącego dnia podziałało na mnie silnie i omal nie zacząłem tańczyć na środku ulicy.

Ruszyłem naprzód, rozważając, dokądby się teraz udać. Musialem gdzieś znaleźć punkt oparcia, by nie wrócić do dawnego życia. Wściekałem się wprost na tę myśl, że będę musial znów do tamtego świata wrócić. Słońce wyłaniało się coraz bardziej na niebie, a ruch uliczny, który powstawał dokoła mnie, orzeźwił mnie zupełnie i wprawił moje myśli w szybszy bieg. Nagle błysnęła mi myśl: udam się do związku piekarskiego i poproszę tam o pracę. Opowiem im, że siedziałem w więzieniu za politykę, a napewno wówczas pracę mi dadzą. W najgorszym wypadku dadzą mi zapomogę.

W drodze do związku piekarskiego, który się wówczas mieścił przy ulicy Pawiej, nuciłem sobie jakąś piosenkę, lecz głos mój do łez mnie rozczulał. Co będzie, — nie opuszczała mnie myśl, — jeśli i tam mnie nie przyjmą?

Związek piekarski. Duży przedpokój, kilka ławek przy ścianach. Niedopałki papierosów i inne odpadki, porozrzucane na podłodze, upiększały lokal. Co chwila jakaś blada twarz przesuwała się przez pokój w kierunku drzwi, gdzie widniał napis: „Sekretarz związku".

Coraz więcej przybywało tu ludzi; widać skończyli pracę nocną i przychodzą tu załatwiać swoje związkowe interesa. Kręcą się zdenerwowani tam i zpowrotem, a każdy z obecnych obserwuje mnie podejrzliwie, myśląc zapewne, że jeszcze jeden bezrobotny, których wielu było tu między nimi, przyszedł po zapomogę. Po chwili jeden z obecnych zwrócił się do mnie:

— Kogo tu potrzebujecie?

— Do prezesa związku, — zawołałem wstając z ławki, na której spocząłem.

— Oho! — zawołał inny, — coś pan za jeden, że chce odrazu do pana prezesa? A sekretarz nie może załatwić?

— Ja nie wiem, — odparłem, upadając już na duchu, — kto tu załatwia sprawy. Nie jestem tutejszy, — dodałem.

— A skąd wy jesteście?
— Z Mokotowa wyszedłem.
Otoczono mnie teraz wokoło.
— Długo siedzieliście? — zapytało kilku naraz.
— Sześć lat.
— Co? Sześć lat? — pytali zdziwieni. — A za co?
Nic nie odparłem, a jeden odezwał się:
— Nie wiecie za co? Za to, że nie chciał jeść chleba z masłem i modlić się trzy razy dziennie. Co to was obchodzi za co? Dość, że siedział, a każdy kto siedział, nie jest świętoszkiem. Oho, ja wiem, co to jest więzienie. Ja także siedziałem w Mokotowie, niech go szlag trafi. A jak tam polityczni żyją?
— Lepiej niż kryminalni, — odpowiedziałem.
— Wiadomo, że lepiej, — zawołał jeden rozczochrany o czarnej czuprynie rewolucjonisty. — Polityczni nikogo nie skrzywdzili, nie okradli, tylko walczą o dobro proletarjatu. Tacy ludzie powinni być na wysokich stanowiskach, a nie w Mokotowie.
— Daj spokój, Moniek, — zawołał ten co siedział. — Ty przy każdej okazji starasz się wygłaszać swoje ideje. Później o tem pomówimy. Zapewne jest głodny i trzeba go wpierw nakarmić, a później będzie czas na wszystko.
Wziął mnie przyjaźnie pod ramię i przez wszystkich odprowadzony zostałem do bufetu związkowego. Tu posadzono mnie przy stole i podano chleb, pól śledzia i mleko.
Teraz zacząłem im opowiadać o Mokotowie, starając się zyskać ich zaufanie. Opowiadałem, że z zawodu jestem piekarzem i że podczas okupacji dostałem się do więzienia i skazano mnie na sześć lat nibyto za włamanie, o którem nie miałem pojęcia i nie wiedziałem wogóle, jak się to robi. Trajlowałem, że pochodzę z proletarjatu i że podzielam ich poglądy co do ustroju społecznego, o czem mi opowiadali, badając czy mam jakieś wiadomości w tym kierunku.
Teraz, po zapoznaniu się z tymi uczciwymi ludźmi pracy, których sposoby myślenia znałem dobrze z czasów Mitrofana w Bristolu, byłem pewny, że dadzą mi pracę i zapomogę. Zaraz też przez wszystkich zostałem zaprowadzony do sekretarza, który rozpoczął urzędowanie.

Pan sekretarz widać pochodził nie z tej sfery, co robotnicy, gdyż zadawał mi pytania tonem sędziego śledczego, patrząc na mnie podejrzliwie.

— Macie jakieś dokumenty, książkę związkową albo kartę zwolnienia, abym mógł przekonać się, czy naprawdę siedzieliście w więzieniu i za co? Ta cała sprawa podejrzanie mi jakoś wygląda, — dodał.

— Może to prowokator, — szepnął ktoś do ucha sekretarzowi, co dobrze słyszałem.

— Zapewne pan jest tym prowokatorem i innych podejrzewa, — oburzyłem się i wyciągnąłem kartę zwolnienia.

Wszyscy nachylili się nad sekretarzem, a ten czytał naglos, powoli i kładąc nacisk na każdem podejrzanem słowie. Po przeczytaniu spojrzał na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie niż poprzednio i zawołał:

— Paragraf 587 to jakiś podejrzany paragraf. Kto z was wie, co to za paragraf? — zwrócił się do obecnych. — Mnie się zdaje, że to jest paragraf złodziejski i to dla recydywistów.

— Tak, tak, — podchwycił ten, co siedział w Mokotowie. — Ale on jest piekarzem, trzeba mu pomóc. Co to nas obchodzi, za co siedział. Jak my go nie poratujemy, to znów będzie zmuszony iść kraść. Jestem za tem, by albo dać mu pracę na kilka dni w tygodniu, albo zapomogę, niech jedzie do innego miasta.

— Co ty tam mówisz, — krzyknął nagłos Moniek. — Za złodziejami się ujmujesz! My mamy dość swoich ludzi, którzy pracy nie mają. Zapomnieliście już towarzysze, jak za kacapa kryminalni bili naszych po więzieniach. A walka 1905 roku z tymi zbrodniarzami to nic? Ja jestem zdania, żeby sobie poszedł do złodziejów, których w Warszawie nie brak. Oni swego przyjmą. Niech się stąd wynosi i nam da spokój.

— No, no, schowaj się tam z twojemi głupiemi wywodami, — zaprotestowało kilka głosów naraz. — Może nie chce iść więcej do złodziei i chce pracować? Obowiązek nam nakazuje mu pomóc i nic więcej nie powinno nas obchodzić.

Zawrzało tu jak w ulu. Krzyczano, wołano, jeden dru-

giemu nie dawał dojść do słowa. Zrozumiałem jednak, że większość jest przeciwko mnie. Wtem sekretarz zawołał, abym się oddalił na kilka minut do poczekalni, aż mnie znów zawołają.

Chciałem plunąć na wszystko i oddalić się, lecz po namyśle postanowiłem wytrwać i zaczekać na wyrok.

Zawołano mnie. Sekretarz objaśnił mi urzędowym tonem, że postanowiono mi dać na bilet kolejowy do Łodzi i parę tysięcy marek zapomogi. Otrzymałem także list polecający do związku piekarskiego, aby się mną zaopiekowano.

Podziękowałem za wszystko. Kazano mi znów zaczekać w poczekalni i po jakichś dwu — trzech godzinach zawołano mnie zpowrotem, wręczono wszystko i dodano przestrogę, że roztoczą nade mną obserwację, bym nie został w Warszawie. Pożegnawszy się chłodno z moimi zbawicielami, odprowadzany współczującemi spojrzeniami obecnych, wyniosłem się na ulicę.

XLIII.

Była już pora obiadowa, zjadłem więc resztki zmokniętego chleba, wstąpiwszy po drodze do trzeciorzędnej herbaciarni. Zafundowałem sobie miseczkę grochówki z kluskami, wypiłem też szklankę sodowej wody. Nie omieszkałem też przeczytać brudnej gazety, która leżała na stoliku. Przeleciałem oczyma wypadki dnia, kradzieże, samobójstwa i inne szczęścia i nieszczęścia ludzkie, któremi dzienniki zwykle są przepełnione. Wzrok mój zatrzymał się na jednym wypadku kradzieży, gdzie schwytano dwu złodziei, których dobrze znałem. Czytając to, czułem się szczęśliwy, że to ja jestem wolnym człowiekiem, a oni, którzy niedawno opuścili Mokotów, znów znajdują się za kratami.

Zdrzemnąłem się trochę opierając głowę o stolik, przy którym siedziałem. Doznałem wrażenia, jakbym się nagle znalazł w celi więziennej. Widziałem szare ściany, zakratowane okna u góry z wgłębieniem w murze, nędzne łóżko żelazne z burą kołdrą, żelazny stolik i stół przykuty do ściany, oko dozorcy zaglądające przez judasza do mojej celi, —

to oko, którego nienawidziłem całem mojem jestestwem, wstrętne zdradzieckie oko szatana. Widziałem siebie już ubranego w szary mundur więźnia, — okropne widziadło dawnych mąk w karcerach wypłynęło jak na jawie.

Widocznie wzywałem pomocy, gdyż gospodyni trąciła mnie mocno, wołając:

— Czego pan tak stęka? Tu nie jest „cyrk", żeby się wylegiwać. Proszę się stąd wynosić, tu nie „bajrak".

Nie stawiając oporu wyniosłem się, macając się po kieszeni, czy nie skradziono mi mego kapitału. Podczas sprawdzania śmiałem się sam ze siebie, że już się boję złodziei.

Skierowałem teraz swe kroki w kierunku dworca Wileńskiego, z silnem postanowieniem udania się do stron rodzinnych, a nie do Łodzi. Zobaczę, myślałem, jak brat mnie przyjmie. To była ostatnia droga powrotu do ludzi uczciwych. Zapewne brat nie odmówi mi teraz pomocy, zabrawszy wszystko, co pozostało po ojcu.

Na dworcu staczałem walki ze sobą, zanim wykupiłem bilet w kierunku stron rodzinnych. Co zrobię, — przyszło mi do głowy, — gdy brat mnie potraktuje tak, jak kiedyś potraktował mnie ojciec po pierwszym powrocie z rosyjskiego więzienia? Po krótkiej walce ze sobą, doszedłem do przekonania, że brat nietylko mnie przyjmie, lecz że uszczęśliwię go po tylu latach swojem przybyciem. A gdy jeszcze przekonam go, że przyjechałem z zamiarem porzucenia dawnego życia, napewno przyjmie mnie z otwartemi rękoma.

W drodze do domu, do samego miasta Łomży nie spotkałem ani jednej znajomej twarzy. Dopiero na miejscu spostrzegłem kilku dorożkarzy, lecz wstydząc się mego nędznego ubrania, skryłem się między pasażerami i niepostrzeżenie przesunąłem się na ulicę.

Gdy przekroczyłem próg dworca, pierwsze moje spojrzenie padło na Czerwoniak, który stoi w odległości kilkunastu kroków od dworca. Czerwoniak dumnie spoglądał w górę, a czarne kominy jego wyglądały, jak paszcze potworów, gotowych połknąć cały świat. Zbliżając się do Czerwoniaka, doznałem wrażenia, jakby ktoś pchał mnie w tym kierunku. Jak zahypnotyzowany szedłem z oczyma utkwionemi w małych okienkach Czerwoniaka. Stanąłem

naprzeciw niego i nie mogłem zrobić ani kroku naprzód. Czułem, że połowa mego j a znajduje się jeszcze w tych przeklętych murach. Stałem teraz przed tym gmachem jako człowiek wolny, — a jednak czułem, że jakaś część moja wałęsa się tam po celach tego domu... Cierpiałem za ową część, za tego m n i e, który tam pozostał na zawsze...

Stałem tak długo zapatrzony w Czerwoniak, aż poste=runkowy, spacerujący tam i zpowrotem, zwrócił na mnie swoją uwagę.

— Czego tu chcecie? Marsz stąd, tu nie wolno się za=trzymywać.

Ruszyłem bez słowa w kierunku miasta. Po chwili latar=nie uliczne poczęły gasnąć jedna za drugą. Było już dobrze po północy. Włóczyłem się po mieście niezdecydowany, dokąd skierować swe kroki, by znaleźć jakieś schronisko. Ktoś przesunął się obok mnie cicho jak cień. Starczyło mi jedno spojrzenie na sylwetki tych cieni, by poznać w nich ptaszków nocnych. Zapewne udają się, albo wracają z „ro=boty", pomyślałem. Był to mężczyzna i kobieta; przesu=nęli się obok mnie tak cicho, że zatopiony w myślach nie słyszałem zupełnie ich kroków za mną. Zauważyłem, że na nogach mieli gumowe pantofelki, znane mi jako używane do wypraw nocnych „na ślam".

W pierwszej chwili stanąłem, i nie wiedząc sam dlaczego, chcialem ich zatrzymać i przyłączyć się do wyprawy. Zrobi=lem nawet kilka prędkich kroków w ich kierunku. Ale cie=nie, słysząc moje przyśpieszone kroki, poczęły umykać. Za=zdrościłem z całej duszy tej parze. Przeniosłem się myślą do dawnych czasów, kiedy to ja byłem tu władcą nocy. My=ślałem o chwilach spędzonych tu na hulankach i zabawach. Miałem okropną chęć zobaczyć się z dawnymi kolegami. Czułem się teraz nieszczęśliwszy od wszystkich moich kolegów, gdyż nie byłem zdolny w mojem nowem życiu do żadnego decydującego kroku. Czułem, że nie potrafię te=raz działać ani źle, ani dobrze. Byłem jak zbędna ścierka, która leży i czeka, aż ktoś zrobi z niej użytek.

Jak to zwykle bywa w podobnych nastrojach, starałem się całą winę zwalić na kogoś, przypisując wszystkie nieszczę=ścia, jakie mnie w życiu spotkały, rozmaitym ludziom, tylko

nie sobie. Miałem teraz żal do ojca, matki, chederu, jeszybotu, Soni, policji, sędziów, prokuratorów, do wszystkich wogóle ludzi, z którymi miałem styczność w mojem nędznem życiu. Na samym ostatku złość moja zwróciła się przeciwko fryzjerce, która mnie wydała. Postanowiłem nawet odnaleźć ją i zemścić się. Nigdy nie szukałem okazji, a nawet nie myślalem o tem, by kogoś zabijać. Ale teraz ogarnęła mnie chęć dokonania morderstwa na tej zdrajczyni. Zapałałem taką chęcią zemsty, że ta myśl jak żądło utkwiła w mojej głowie. Ręce już były gotowe do czynu, ale dusza wzdrygnęła się na myśl o tem.

Skierowałem teraz swoje kroki do znanego mi pasera na Rybakach. Był to ten sam paser, o którym wspominałem w pierwszym tomie: on to posłał mnie, bym poszedł obrabować drugiego pasera, konkurenta. Zapukałem do drzwi obdrapanego domu i po chwili padło zaspane pytanie kobiety: „Kto tam?"

Gdy zawołałem kim jestem, kobieta krzyknęła zdziwiona:

— Kto? To być nie może! — I z temi słowami otworzyła okno.

Patrzała na mnie chwilę,poczem zaprosiła mnie do pokoju, gdzie też zapaliła światło.

Opowiadała mi, że mówiono, że już dawno umarłem w więzieniu mokotowskiem. Elcia podobno kilkakrotnie dopytywała się o mnie. Opowiedziała mi też o stosunkach w mojej rodzinie i o tem, że mąż jej wyjechał na czas dłuższy z domu. Wreszcie zrobiła mi wygodne posłanie w łóżku męża, naprzeciw swego łóżka i kokietowała mnie nie gorzej, jak sześć lat temu...

Rano, bardzo rada z mojego przybycia, dala znać znajomym, a gdy prosiłem, że nie chcę nikogo z dawnych czasów widzieć, rzekła zdziwiona:

— Co się z tobą stało? Widzę, że w Mokotowie umieją przerabiać ludzi. Nie poznaję cię zupełnie. Kraść, mówisz, że już nie chcesz. Do kobiet też jak widzę straciłeś trochę apetyt. Fe, aż mi wstyd, co z Nachalnika zrobili. Ubrany jesteś jak zbankrutowany dorożkarz. Gdzie twój dawny gust? Najlepsze garnitury nosiłeś, a teraz wyglądasz jak żebrak. Popraw się, Nachalniku, — groziła mi kokieteryjnie

palcem. — Dam ci garnitur męża i masz zaraz go włożyć, jak nie, to nie chcę cię widzieć w moim domu. Nie można się tak opuszczać, — zakończyła; a gdy widziała, że nic nie odpowiadam, zawołała kapryśnie:

— Ja tak chcę! — tupnęła przytem nóżką, biorąc mnie za ramię i popychając w stronę sypialnego pokoju, bym się przebrał.

Była to kobieta niebrzydka, w niebezpiecznym balzakowskim wieku. Od pierwszej chwili poznałem, że jest bardzo rada z nieobecności męża; znając moje dawne zamiłowanie do kobiet, teraz przy okazji chciala skorzystać. Ciągle mnie wypytywała, jak mogłem obejść się tyle lat bez kobiet. Co robiłem, by zaspokoić potrzeby seksualne w więzieniu? Czy też po zwolnieniu zakosztowałem już kobiety? Gdy zaś starałem się naszą rozmowę skierować na inne tory, nerwowo szarpała swój szlafrok i znów wracała do poprzedniego tematu.

Przypominając sobie, jakie nieszczęścia tutejsze miłostki sprowadziły na mnie, postanowiłem w duchu tym razem oprzeć się z całych sił tej kobiecie, która naprawdę była jeszcze warta grzechu. Pożegnałem się z gościnną paserką, która teraz patrzała na mnie nienawistnie i piechotą udałem się do domu.

XLIV.

Człowiek, który po długich latach wałęsania się po świecie powracał do domu rodzinnego, łatwo mnie zrozumie, gdy powiem, że wydawało mi się, iż te 20 kilometrów od Łomży do domu nigdy się nie skończą. Szedłem nocą, przypominając sobie spotykane po drodze kamienie, drzewa, góry, lasy, wsie. Zdawało mi się, jakbym wczoraj odszedł z tych stron; a zarazem miałem wrażenie, że jestem tu zupełnie obcy, że idę do obcych mi ludzi, którzy mnie nigdy nie rozumieli i nie zrozumieją. Myśl, jak mnie przyjmie brat i małe siostrzyczki, które z całej duszy pragnąłem zobaczyć, nie pozwalała mi myśleć o niczem innem. Droga dłużyła się strasznie. Począłem liczyć słupy telegraficzne, by nie

myśleć o okropnych rzeczach, które przedstawiały się mojej wyobraźni.

Po północy dopiero zaczęły się przede mną wyłaniać nędzne chałupy mego miasteczka. Przeciąwszy uliczki, które miały zupełnie wygląd wsi, skierowałem się do głównego rynku, gdzie stał nasz dom. Gdy go ujrzałem, ogarnęło mnie dojmujące przeczucie oczekujących mnie nieszczęść. Wszedłem na podwórze; brama stała otworem, z czego wywnioskowałem, że brat niezbyt dobrze gospodaruje. Obejrzałem najpierw wszystko, poczem zapukałem do okna, w którem mieszkaliśmy kiedyś. Chwila ciszy, potem pytanie. Powiedziałem kim jestem; znów cisza. Słyszę głos kobiecy: To on! Głos ten jednak nie był mi znany. Po chwili drugie pytanie mężczyzny; ten głos poznałem odrazu. Był to głos stryja, który mieszkał w naszym domu. Otworzono mi drzwi i wszedłem, dopytując się o brata.

— Siadaj, — rzekł stryj po przywitaniu się ze mną, patrząc podejrzliwie zukosa. Przedstawił mnie też żonie, która zdążyła już włożyć szlafrok, poczem zapanowało milczenie. Po chwili pierwszy odezwał się stryj:

— Kiedy cię wypuścili? Mówili już żeś umarł. Brat przestraszy się, gdy cię zobaczy. Pójdę go obudzić i powiem mu, żeś przyjechał.

Wyczułem ze słów stryja, że brat wolałby, aby to było prawdą, że umarłem, i powiedziałem:

— Brat nie ma się czego obawiać i straszyć. Ja i tak u was nie myślę pozostać. Chcę, by mi pomógł i nic więcej.

Żona wtrąciła się do rozmowy. Dowiedziałem się też, że brat mój ma jej siostrę za żonę.

— Twój ojciec, — mówiła, — wszystko przechorował. Nic nie pozostało. Wszystko, co tu jest, twój brat sam zapracował. Spadku po ojcu wcale niema.

Stryj przypatrywał się uważnie, jakie wrażenie sprawiły na mnie jej słowa.

— Ja już sam zobaczę co mam robić, — odparłem. — Proszę mi pokazać, gdzie brat mieszka.

Stryj poszedł ze mną wolno do drzwi prowadzących z korytarza do mieszkania brata i nacisnął dzwonek. Poznałem głos brata. Po chwili ktoś szeroko otworzył drzwi.

— Wejść! — krzyknął nie zatrzymując się wcale.

Wszedłem za nim z napiętemi nerwami, a stryj pozostał przy drzwiach.

Brat w nocnej koszuli stanął jak skamieniały patrząc na mnie. Ja tak samo stałem, z oczyma i duszą pełną łez na widok mebli i wszystkiego co tu było, a co przypominało mi ojca i matkę. Pierwszy zbliżyłem się do brata. Przywitał się ze mną, a w jego pocałunku wyczułem pewną niechęć do mnie. Usiadłem milcząc; on uczynił to samo. Po chwili żona jego przywitała się ze mną serdeczniej niż brat, jednakże wyczułem, że zrobiła to raczej z obawy, niż z serca. W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Nie wytrzymałem i zapłakałem nagłos.

— Gdzie są siostry? — zawołałem.

— W drugim pokoju, — szwagierka wskazała mi drzwi.

Wstałem chwiejąc się na nogach i wszedłem do pokoju nawpół zasłoniętego firankami. Blade światło, wpadające z ulicy, nadawało mu smutny wygląd. Stanąłem przy łóżku siostrzyczek jak przykuty.

Przede mną leżała starsza siostra z otwartemi oczyma i z wyrzutem patrzała na mnie. Potem usiadła wyciągając do mnie ręce i padliśmy sobie w objęcia. Młodsza siostra, którą zostawiłem dzieckiem, a która teraz miała dziesięć lat, także zbudziła się, a widząc, że trzymam w objęciach siostrę, zawołała przerażona i zdziwiona:

— Kto to jest?

— Jakto kto? — odparła starsza siostra. — To jest brat twój. Przywitaj się prędko.

Mała wpatrywała się we mnie oczyma podobnemi do oczu matki; gdy zaś wyciągnąłem do niej ręce, chcąc ją chwycić w ramiona, przestraszona odwróciła się ze wstrętem i zawołała:

— To jest ten brat Icek, ten złodziej! Ja go nie lubię!

I ukrywszy głowę w poduszkach, zapłakała głośno.

Nie jestem w stanie opisać, jakiego przykrego wrażenia wówczas doznałem. Ciemno mi się zrobiło w oczach, czułem tak wielki wstyd, jak jeszcze nigdy w życiu. Oto stałem teraz czując swoje winy przed dziesięcioletnią siostrzyczką, która oskarżała mnie, wykrzykując płaczliwym, narze-

kającym głosem, że przeze mnie umarła matka, której nie znała wcale, że ja ojca wpędziłem do grobu...

Starsza siostra przerażona tym nagłym wybuchem młodszej, starała się ją uspokoić. Ja zaś klęknąłem przy jej łóżku i całując ją i łkając, błagałem, by się uspokoiła. Brat, jego żona i stryj także płakali. Wreszcie uspokoiła się trochę, zarzuciła mi prędko rączki na szyję i tuląc się do mnie wołała błagającym dziecinnym głosem:

— Icie, bracie kochany, nie będziesz więcej złodziejem? Powiedz, powiedz, — błagała ze łzami w oczach.

Ból skręcał mi wnętrzności. Okrzyk bólu obudził we mnie oddawna uśpioną miłość braterską. Objąłem ją pieszczotliwie i błagałem o przebaczenie. Przysięgałem, że już więcej nie będę złodziejem, a ona uradowana tuliła się do mnie mówiąc:

— Braciszku kochany, nie mam przecież matki ani ojca. Ty teraz mi ich zastąpisz, przecież ty jesteś najstarszy.

Rozmawiała ze mną jeszcze długo, jak dorosły człowiek. Zrozumiałem ją dobrze. Jak każda sierota była umysłowo rozwinięta ponad swój wiek. Cierpienie i samotność, jakie każda sierota przeżywa, rozwinęły ją umysłowo bardziej niż dziecko mające rodziców, którzy troszczą się o jego los.

Na dworze ustąpiła już noc i przez okna do pokoju zaglądał poranek. Siedziałem między siostrami na ich łóżku. Zdawało mi się, że jestem, jak kilkanaście lat temu, rozpieszczonym małym urwisem, a nawet, że lada chwila wejdzie do pokoju matka i ojciec. Fantazja pozwoliła mi zapomnieć o smutnej rzeczywistości, że matka i ojciec dawno już leżą pochowani w ziemi. Ja moralnie także już leżę w ziemi, a tu jestem jak zupełnie obcy człowiek...

Zauważyłem, że brat i siostra szepczą coś sobie w kącie; widocznie naradzają się, jak mają ze mną postąpić. Chcę spytać brata, gdzie jest moja część spadku po ojcu, ale czuję się tu obcy, a ci wszyscy, co mnie otaczają, są mi także zupełnie obcy. Brat zaprasza mnie do stołu takim głosem, jakim zaprasza się pielgrzyma do darowanego posiłku. Słowa jego są sztuczne, pozbawione cieplejszego uczucia. Siadam bez słowa ze spuszczoną głową. Obaj czujemy, że nie możemy sobie wzajemnie patrzeć w oczy. Obaj czujemy,

żeśmy się wzajemnie skrzywdzili. Niewiadomo, który z nas jest Kainem, a który Ablem. Ja zawiniłem, że przysporzyłem jemu i rodzinie wstydu mojem wykolejeniem się; on zaś czuł się wobec mnie winny, że wszystko, co zostało po ojcu, zagarnął dla siebie. Po dłuższej chwili milczenia, takiego milczenia, które nieraz więcej wstrząsa człowiekiem, niż najgłośniejszy krzyk, brat mój pierwszy odezwał się:

— Czemu nie pijesz? Napewno jesteś głodny, zjedz co.

Wymówił to nie patrząc na mnie, a ja wyczułem, że obawia się burzy, wiszącej nad jego głową.

Chwila milczenia.

— Dziękuję. Nic nie będę pił ani jadł u ciebie, — odrzekłem.

— Dlaczego? — spojrzał pytająco na mnie.

— Dlatego, kochany braciszku, — wstałem ze swego miejsca, — że boję się, żebyś mnie nie otruł. Zrozumiałeś teraz? — zawołałem szyderczo.

Żona brata wpadła z sypialnego pokoju przestraszona i stanęła w drzwiach. Obie siostry stanęły w przeciwległych drzwiach i niemniej przestraszone patrzyły na mnie i na brata. Spoglądałem na pokój, a złość wzrastała we mnie z każdą chwilą. Zerwałem się z miejsca jak szalony, chcąc uciec na ulicę, by nie dopuścić do jakiegoś szaleńczego czynu, do którego jakby mnie coś pchało siłą. Byłem już przy drzwiach, gdy usłyszałem jak siostrzyczki zaszlochały nagłos. Stanąłem, nie wiedząc sam co począć. Siostry uwiesiły mi się na szyi i całując mnie błagały, abym się uspokoił.

— Bracie kochany, — mówiła ze łzami w oczach młodsza siostrzyczka, — uspokój się. Przyjechałeś do nas, żeby nam zrobić coś złego. Ja się ciebie boję, — powtarzała tuląc się do mnie.

Chciałem się uwolnić i wybiec na ulicę, lecz uległem prośbie i znów upadłem bezsilnie na krzesło. Łzy rzuciły mi się do oczu i nagłos zaszlochalem.

Po chwili jakbym się zawstydził swej słabości, starałem się znów przybrać zdecydowaną postawę i zawołałem:

— Braciszku! Nie myśl, że przyjechałem do ciebie, by ci być ciężarem. Chcę tylko, abyś mi dał zapomogę z mojej

części, jaka została po ojcu, abym mógł ubrać się przyzwoicie, i pójdę sobie. Nie mam wcale zamiaru pozostawać u takiego brata, do którego zwracałem się jedyny raz w życiu o pomoc z murów więziennych. Pamiętasz zapewne, dwa lata temu napisałem do ciebie list błagając o kilka funtów chleba, gdy głód skręcał mi wnętrzności. Było to wtedy, gdy odsiedziałem czternaście dni karcu w kajdanach o chlebie i wodzie i nie miałem sił nogi wlec za sobą. Myślę sobie, — napiszę do brata, on napewno mnie poratuje. A tyś nawet nie raczył mi odpisać... Zdaje mi się, że spadek pozostały po ojcu wystarczyłby, by z niego wydzielić dla rodzonego brata pięć funtów chleba. Tyś nigdy w życiu nie cierpiał głodu i naturalnie nie mogłeś mnie wtenczas zrozumieć, a ja przysiągłem sobie w duchu, że nigdy ci tego nie daruję. Myślałeś, że zdechnę w więzieniu, rozumiem to doskonale, że pragnąłeś tego. Ale ja potrafiłem wszystko przecierpieć i przeboleć, a cierpienie moje było bardzo wielkie, większe, niż twoja frajerska głowa wyobrazić sobie może. Czy ty mnie rozumiesz? — zawołałem groźnie zbliżając się do brata.

Podczas moich wynurzeń wszyscy, z wyjątkiem brata, który siedział nieruchomy patrząc w jeden punkt pokoju, płakali nagłos. Siostry tuląc się do mnie, całowały mnie błagając:

— Uspokój się, braciszku. Pozostaniesz teraz w domu. Nie będziesz więcej głodny. Nie pójdziesz więcej do tego więzienia, nie pójdziesz, będziesz zawsze z nami.

— Nie, siostrzyczko, ja tu zostać nie mogę, — zawołałem. Czując zaś, że moje podrażnione nerwy lada chwila doprowadzą mnie znów do zrobienia jakiegoś głupstwa, wybiegłem na ulicę, odpychając brutalnie siostry, które chciały mnie zatrzymać.

XLV.

Słońce już ukazało się na niebie i zapowiadał się piękny dzień wrześniowy. Gdym patrzał na piękny poranek, wróciło we mnie znów pragnienie życia rodzinnego, życia które

płynie spokojnie, normalnie, bez żadnych niespodzianek, jakie są chlebem codziennym w życiu tułaczy i niebieskich ptaków.

Usiadłem na ławce za naszą stodołą z silnym bólem głowy. Moje postanowienie i chęć zemsty, z jaką tu przyjechałem, opuściły mnie zupełnie. Czułem się okropnie osamotniony i nieszczęśliwy, aż serce pękało mi z bólu. Chciałem pozostać w domu i zapomnieć o przeszłości. Ale jak tego dokonać? Po rozważeniu niespodzianek, jakie zastałem w domu, zdałem sobie sprawę, że to jest niemożliwe. Brat ożenił się, ma już dzieci, zagarnął wszystko dla siebie. Po siostrach też poznałem, że im nie jest dobrze u brata i bratowej. Kiedy wracałem do domu jeszcze za życia ojca, jako „początkujący", też nie mogłem tu długo wytrzymać, a teraz...

Postanowiłem tylko wydobyć, co będzie możliwe i uciec stąd gdzie mnie oczy poniosą. Znajomy nasz, Żyd, handlarz koni, przeszedł obok mnie. Poznał mnie odrazu.

— Dzieńdobry! A to mi gość u nas...

Nic nie odpowiedziałem. Handlarz zbliżył się do mnie.

— Ny! Co taki zły jesteś? Tak długo u nas nie byłeś, to powinieneś być wesoły, że jesteś znów w domu. Oj... Nieboszczyk ojciec twój w moich oczach skonał, a przed śmiercią tylko ciebie wspominał. Mówił, że przez ciebie umiera, że ciebie najwięcej kocha ze wszystkich dzieci. Przed zgonem rodzina nastawała, by cię wydziedziczył, a on odpowiedział: Ja go uważam za takie same moje dziecko, jak i wszystkie moje dzieci. Nawet go więcej kocham; i dlatego, że on zbłądził, może nie z własnej winy, mam go wydziedziczyć? Nie, nigdy na to nie pozwolę. On potrzebuje jeszcze więcej niż ten drugi, — zaśmiał się gorzko ojciec. — Potrzebuje bawić się i używać i dlatego dam mu, co mu się należy. Twój ojciec mówił nawet, że on i matka nie rozumieli cię i dlatego tak się stało.

— Tak mówił ojciec? — zawołałem, zrywając się z ławki i chwytając go za klapę, potrząsałem nim, jakbym chciał z niego wydobyć głos ojca.

— Przysięgam ci, że tak twój ojciec mówił, a nawet rabin na pięć minut przed jego zgonem, to samo słyszał.

Upadłem znów na ławkę, a handlarz koni zaczął mnie pocieszać.

— Ty dobrze wiesz, że ja byłem najlepszym przyjacielem twego ojca. Takich ludzi, jak byl twój ojciec, dziś trudno znaleźć. Powiedz mi, jak ojcu, dlaczego tu siedzisz i nie idziesz do brata? Przecież to twój dom tak samo jak i jego. Po ojcu zostało czem się dzielić. Najlepsze konie i krowy w miasteczku miał twój ojciec, a jakie domy! — tu nachylił się nad mojem uchem i szepnął: — Pieniędzy też dużo zostało. Ja wszystko wiem, tylko sza. Ja nie chcę mieć twego brata za wroga i nie chcę, żeby on wiedział, że to ja ci o wszystkiem mówiłem. Żona jego, to też dobry ptaszek, — tu znów nachylił mi się nad uchem. — Mówią, że ona bije twoje siostry, a nawet im jeść żałuje. O, Boże, — westchnął stary, — czego się dzieci F... doczekały! Ja ci coś powiem. — Usiadł teraz przy mnie. — Niech ci brat da twoją część i ożenisz się. Co było, plunąć na to i już. Nie jesteś panną, co dzieci przynosi do domu. Jesteś mężczyzną i nic po tobie nie znać. Kilka lat przejdzie, ty i ludzie zapomnicie co było i będzie znów dobrze. Co ty na to?

Trącił mnie w ramię, widząc, że nie odpowiadam, tylko patrzę w dal.

— Dlaczego nie odpowiadasz? — trącił mnie po raz drugi.

— Idź do djabła, — zawołałem zrywając się. — Nie zawracaj mi głowy.

Ruszyłem przed siebie zatopiony w myślach, a handlarz koni kroczył przestraszony za mną.

— Jesteś głodny? — zawołał. — Chodź ze mną, starym przyjacielem ojca. Chodź do mojego domu, jeśli nie chcesz iść do brata. Może masz rację. Chodź, będziesz u mnie.

— Idź do cholery, bo jak nie, to ci mordę rozbiję, rozumiesz?

— Nie! Tego zrozumieć nie mogę. Ja cię chcę ratować, a ty mnie tak przeklinasz! Na rękach cię nosiłem, kiedy byłeś dzieckiem. Ojciec także mnie prosił, abym dał baczenie na jego sieroty, a ty tak postępujesz...

— Daj mi spokój, — zawołałem przybierając groźną minę.

Stary wlepił we mnie przestraszony wzrok i splunął kilkakrotnie, powtarzając sam do siebie: „Zwarjował chłopak, zwarjował...“

Szedłem w kierunku pól, które ciągnęły się zaraz za miasteczkiem. Starzec stał jeszcze na miejscu, gdy się już znacznie oddaliłem od niego. Żałowałem teraz, że tak brutalnie z nim postąpiłem. Kiedy tak snułem swoje żale przed samym sobą, nagle i nieoczekiwanie, sam nie wiedziałem skąd, zjawiła się moja młodsza siostra, za nią zbliżała się bratowa, na końcu zaś kroczył starzec, wzdychając ciężko.

— Czego wy ode mnie chcecie? — zawołałem.

Bratowa poczęła mnie prosić i błagać, abym wrócił do domu.

— Przebędziesz wszystkie święta, a potem jak zechcesz opuścisz nas. Nie rób nam wstydu, — prosiła niepewna, jak przyjmę jej zaproszenie. Siostra tylko płakała.

Starzec stał na stronie i kiwał smutno głową, a widząc mój upór, chwycił mnie za rękaw mówiąc:

— Zaklinam cię, abyś natychmiast wrócił do domu. To niełądnie zaraz pierwszego dnia tak postąpić. — Tu zwrócił się do bratowej. — A ty pamiętaj, przyjmij go jak brata. Na co wystawiać się na ludzki śmiech? Niełądnie, niełądnie, — powtarzał, ciągnąc mnie jedną ręką, a siostrę i bratową drugą.

Nie było rady. Choć udawałem, że nie chcę wracać, ale w duchu pragnąłem tu odpocząć i odreperować się po tylu latach tułaczki.

Brat chodził jak mruk i tylko zukosa zerkał na mnie. Był on z charakteru i budowy zupełnie podobny do ojca. Zrozumiałem, że obawia się rozmowy ze mną na temat spadku po ojcu.

Wieczorem tego dnia wypadało pierwsze święto Trąbek. Siostry starsza i młodsza uwijały się dokoła mnie, starając się mnie ubrać przyzwoicie w dobry czarny garnitur brata, kapelusz i obuwie. Nielada kłopot miała młodsza siostra z doborem krawata dla mnie. Chciala koniecznie, abym się udał się na wieczorną modlitwę do bóżnicy i przyzwoicie zaprezentował się przed współwyznawcami. Odmówiłem jej stanowczo, wiedząc, że moi współwyznawcy zamiast patrzeć

w modlitewniki, będą patrzyli na mnie; ona jednak nie ustąpiła i zdecydowawszy, że w białym krawacie będzie mi najbardziej do twarzy, zmusiła mnie, bym jej przyrzekł, że spełnię jej prośbę. Postanowiłem coprawda w duchu udać się gdzieś za miasto, zamiast do bóżnicy, ale siostra odprowadziła mnie do samych drzwi. Nie ufała mi.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia współwyznawców, jakiem mnie przyjęli. Była w niem pogarda, szyderstwo i drwiny zarazem. Oddychałem ciężko, jakbym się znalazł w cieplarni. Dusiłem się poprostu od zapachu zapalonych świec i potu ludzkiego. Dawno nie byłem w takiej łaźni. Krew uderzyła mi do twarzy, kiedy brodaci starcy i dzieci poczęli się grupować wkoło mnie i pokazywać na mnie palcami. Wyraz „ganew“ co chwila uderzał moje uszy jak kula rewolwerowa. Słyszałem też inne dwuznaczne słówka pod moim adresem:

— Mamy dostojnego gościa na święto, — mówił otyły Żyd, handlarz ryb. — Trzeba urządzić bankiet na jego cześć.

— Może poprosimy tego „tachszyta“, aby wygłosił nam kazanie jutro po modlitwie, — drwił głośno znany w miasteczku naszem lichwiarz o przezwisku „Dralacz“.

Byli i tacy, co witali się ze mną, ale gdy odchodzili, widziałem, że kpią ze mnie.

Czytelnik łatwo zrozumie, że w takiej atmosferze nie myślałem o modlitwie. Brat mój mienił się na twarzy widząc, jak cała bóżnica jest mną zajęta. Nawet stary rabin, który kiedyś był moim nauczycielem, ukradkiem spoglądał na mnie. Nie było rady, musiałem wynieść się jeszcze przed zakończeniem modlitwy.

Byłem tak zły, że chciałem każdemu napotkanemu człowiekowi napluć w oczy. Gdzie tylko się ruszyłem, wszystkie oczy szły za mną. Każdy wie, że w małem miasteczku na każdą nową twarz wszyscy się patrzą, wiedząc, że to jest obcy. Nic więc dziwnego, że byłem teraz centralnym punktem zainteresowania całego miasteczka. Gdy ukazałem się na ulicy, w różnych domach otwierały się furtki, a ciekawe oczy moich współwyznawców kłuły mnie jak szpilki.

W ciągu tych paru dni, które tu spędziłem, brat mój chodził jak lunatyk. Dobrze go rozumiałem i cierpiałem z te=

go powodu więcej niż on. Ale on mnie napewno nie rozumiał. Żal mi było patrzeć na siostry, jak unikały teraz spacerów po miasteczku.

Pewnego dnia, w ostatnim dniu Kuczek, postanowiłem rozmówić się z bratem. Ten zmiarkował to widocznie, gdyż jeszcze bardziej starał się mnie unikać. Wreszcie przy obiedzie, gdy zamierzał już odejść, zawołałem:

— No, tak długo być nie może. Po świętach rozliczymy się i pójdę stąd. Poco macie się czerwienić, że jestem waszym bratem? Daj mi, co mi się należy, i już mnie niema. Daję ci też słowo, że nigdy więcej w życiu do tego przeklętego miasteczka nie wrócę.

Brat nie słuchał mnie wcale, tylko zbierał się do wyjścia, a bratowa zbladła jak płótno i tuliła do siebie przestraszone siostry.

Zastąpiłem mu drogę.

— Czego chcesz ode mnie?

— Chcę mojej części po ojcu, — krzyknąłem mu nad uchem.

— Po twoim ojcu nic nie zostało, — odpowiedział nie patrząc na mnie, a bratowa poczęła głośno płakać.

— Jakto nic nie zostało? — chwyciłem go za kołnierz i oczy nasze spotkały się.

— Puść mnie! Czego ode mnie chcesz? — wołał przestraszony, a wszyscy obecni uderzyli w płacz wołając o pomoc.

— Nie puszczę cię, póki mi nie powiesz, czy mi się należy coś po ojcu, czy nie.

Do mieszkania wpadł stryj i sąsiedzi, a za oknami już było pół miasteczka. Odważniejsi zaglądali nawet przez okno do mieszkania. Brat zwolniony z moich rąk przez przybyłych, siedział teraz blady na kanapie i wykrzykiwał:

— Co ty sobie myślisz, że ja się ciebie boję? Zawołam policję i każę cię zabrać. Idź, skąd przyszedłeś. Nic nie mam dla ciebie. Nie jesteś moim bratem. Znać cię nie chcę, złodzieju, bandyto. Wszystko, co zostało po ojcu, poszło na zapłacenie długów. Nic tu dla ciebie niema, wszystko jest moje i żony. Jeszcze siostry mam na swojej głowie.

A bratowa, siedząc teraz wygodnie na krześle, otoczona przez swych braci i ojca, krzyczała:

— Precz stąd, bandyto! Męża chciałeś mi zamordować! Chciałeś zabrać ojca moim dzieciom, jak twój ojciec przez ciebie umarł, chcesz i nas wymordować! Precz stąd, złodzieju, majątek jest zapisany na mnie. Idź do twojego adwokata, któremu w więzieniu zapisałeś swoją część, niech ci daje jeść. Nawet w więzieniu nie mogłeś się powstrzymać od hultajstwa i wszystko, co ci się należało, oddałeś adwokatowi za kiełbasę i masło. Idź do niego, to on wszystko zabrał, — drażniła mnie.

Dłużej nie mogłem wytrzymać; odruchowo sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni, potem zaś chwyciłem nóż ze stołu sam nie wiedząc co robię. Z krzykiem i piskiem wszyscy rzucili się na mnie, a ja wymachując groźnie nożem w powietrzu, wybiegłem na ulicę.

Ledwie przedarłem się przez tłum, zebrany kolo naszego domu. Jedno spojrzenie na tych ludzi wystarczyło mi, by poznać, że opinja publiczna jest tu po mojej stronie. Do moich uszu dobiegały nawet urywane zdania: A to podły braciszek, to podły, no! Brata z więzienia tak przyjąć! Przecież i on jest synem i t. d.

Cała ta scena tak mnie wzruszyła, że o kilkanaście kroków od domu nawpół zemdlałem. Oparty o parkan stałem dłuższą chwilę, aż z moich gorzkich rozmyślań wyrwał mnie stary przyjaciel ojca. Ujął mnie po ojcowsku za rękę i pociągnął za sobą.

— Żal mi cię, żal. Serce mi się kraje, gdy widzę, co się dzieje z j e g o dziećmi. Słuchaj mnie synu. Ja więcej dbam o twoje dobro, niż o brata, który tak podle z tobą postępuje. On nie tyle jest winien, co jego żona. Ona tu chodzi w spodniach, a nie twój brat. Tu dla ciebie miejsca niema, kłótnia między wami za daleko już zaszła, dobrze już być między wami nie może. Wysłuchaj mojej rady, a wszystko będzie w porządku. Masz tu trochę pieniędzy, jedź natychmiast do Łomży, albo idź piechotą. Zajdziesz do rejenta powiatowego i do archiwum przy sądzie okręgowym i sprawdzisz tam, kto jest spadkobiercą po ojcu i matce. Później trzeba odnaleźć tego adwokata, który cię oszukał, a który jeszcze stąd nic nie wziął. Trzeba od niego wydostać umowę, a wtedy będziesz mógł wytoczyć bratu proces;

świadków na twoją korzyść nie braknie. Każdy prawdę powie, żeś nie gorszy syn, niż twój brat. Tylko o jedno cię proszę, synu... — tu pieszczotliwie pogładził mnie po głowie i ciągnął dalej: — Daj mi rękę, że więcej nie pójdziesz tą drogą, którą szedłeś. Czas rozpocząć nowe życie. Ożenić się i pomodlić od czasu do czasu za spokój dusz ojca i matki twojej. No, daj rękę.

Bez słowa podałem mu rękę, a on mnie po ojcowsku uścisnął. Nie bacząc na deszcz, który teraz lał i rozpędził ciekawskich koło naszego domu, staliśmy tak na rogu ulicy żegnając się czule. Odprowadził mnie też ze dwa kilometry za miasto, przez cały czas prawiąc mi bardzo rozsądne morały, w przeciwieństwie do handlarza koni. Pożegnaliśmy się jak ojciec z synem. Kazał mi, gdy załatwię wszystko, natychmiast przyjechać do niego, a dalszych wskazówek mi udzieli.

XLVI.

Droga powrotna do Łomży zeszła mi na gorzkich rozmyślaniach. Biegłem myślą w daleką przeszłość i przyszłość; i jak zawsze, przyszłość malowała się w mojej wyobraźni stokroć gorzej, niż tak tragiczna przeszłość. Robiłem ścisły rachunek sumienia, jak jeszcze nigdy dotychczas. Doszedłem do przekonania, że zło, jakie czyniłem w życiu, nie było koniecznym skutkiem mojego charakteru; sumienie wbijało mnie w dumę, że jestem z gruntu dobrym człowiekiem i że tylko inni ludzie są winni mego upadku. To ludzie, z którymi się zetknąłem w życiu, przyczynili się do tego i pchali mnie w szeregi wyrzutków społeczeństwa.

Nic dziwnego, że po takich rozmyślaniach cały mój żal i gorycz skierowałem na głowę brata. On będzie winien, tylko on, jeśli teraz wrócę do dawnego życia. Opuściwszy Mokotów, przyjechałem do niego, chcąc zostać uczciwym człowiekiem. Byłem pewny, że ucieszą go moje zamiary i dopomoże mi. A teraz co się okazało... Ostatnia deska ratunku osunęła się z pod moich nóg! Brat, aby tylko nic mi nie dać z części należnej mi po ojcu, gadał swoje: „Nie mogę ci nic dać, boś wszystko przepisał adwokatowi. Praw-

da, że on jeszcze nic nie wziął, gdyż siostry są małoletnie, ale on weźmie. Wszystko sobie zapisał i nic mi nie podaruje. Przynieś mi od niego papier, że umowa z tobą jest nieważna, a wtedy pomówimy".

Nie było dla mnie innej drogi ratunku, — choć wiedziałem, że to jest tylko wykręt ze strony brata, — jak odnaleźć tego adwokata. Zaraz po przybyciu do Łomży dowiedziałem się, że ten adwokat wyprowadził się do Białegostoku. Postanowiłem za wszelką cenę go odnaleźć. Za radą starego przyjaciela ojca wstąpiłem do archiwum; ale to, czego tam się dowiedziałem, wyprowadziło mnie z równowagi zupełnie. Okazało się, że ja wcale nie figuruję w rejestrze, jako prawowity spadkobierca po ojcu i matce; figurował jedynie brat i siostry. Sekretarz widząc moje wzruszenie, zawołał:

— Czy wy jesteście rodzonym bratem tych spadkobierców, o których pytacie?

— Jestem prawowitym synem tego samego ojca i matki, co i oni, i do tego pierworodnym synem. Dlaczego ja tu nie jestem zapisany?

Sekretarz ze współczuciem spojrzał na mnie i rzekł:

— Gdzież byliście, kiedy rodzice zmarli?

— Matka umarła jeszcze przed wojną światową, a gdy umarł ojciec, nie było mnie w domu.

— To nic, żeście w domu nie byli, — odparł sekretarz. — My podług prawa ogłosiliśmy po śmierci ojca, aby spadkobiercy zgłosili się w ciągu sześciu miesięcy. Po upływie tego terminu, postępowanie się zamyka. Więc dlaczego nie zgłosiliście się?

— Nie zgłosiłem się dlatego, że byłem w takiem miejscu, gdzie ogłoszeń się nie czyta.

— Zagranicą?

— Nie. Byłem w więzieniu.

— Rozumiem teraz. A czy można wiedzieć w jakiem więzieniu?

— W Czerwoniaku siedziałem.

— Nie rozumiem.

— Czerwoniak to tutejsze więzienie, — objaśniłem.

— Aha, Trafna nazwa, — zaśmiał się sekretarz. — Ale dlaczego brat nie podał was jako spadkobiercy?

— Dlatego, proszę pana, że brat liczył na to i chciał, żebym zdechł w więzieniu. Chciał zagarnąć wszystko dla siebie.

— Tak, tak, macie rację. Wszystko jest możliwe. Żal mi was, więc poradzę wam, co macie robić. Musicie się wystarać o metrykę urodzenia, a potem wytoczyć bratu sprawę. Sprawa jest wygrana. Radziłbym poradzić się adwokata.

— Ja bardzo adwokatom nie ufam, gdyż jeden adwokat mnie już nabrał.

— A kto to taki?

Opowiedziałem mu o całej aferze przepisania mojej części adwokatowi w Czerwoniaku.

— Teraz wszystko rozumiem, — powiedział sekretarz. — Brat umyślnie was nie podał do spadku, aby ten adwokat miał trudności z odebraniem waszej części. Wam znów nie opłaci się prawować z bratem, gdyż jak wygracie, to adwokat wam wszystko zabierze. Więc teraz ani wy, ani adwokat nie możecie z tego korzystać. Mądry lis z waszego brata. Obu was wykiwał porządnie.

— Cóż mam teraz zrobić? — pytałem.

— Moja rada jest udać się teraz do innego adwokata, opowiedzieć mu, że tamten adwokat popełnił oszustwo i wytoczyć mu proces. Później zaś wziąć się do brata. Ale na to, mój panie, trzeba dużo pieniędzy.

Złość moja do brata zwiększała się coraz bardziej; postanowilem zemścić się na obu: na adwokacie za to, że mnie oszukał, a na bracie, że skorzystał z okazji. Zapłaciłem sekretarzowi za fatygę i ze zbolałą duszą, przepełnioną uczuciem zemsty, wyniosłem się.

Tegoż dnia spotkałem się ze stryjem, który specjalnie przyjechał tu za mną.

— Staraj się wydostać twoją część po ojcu, — mówił stryj, — a ja od ciebie to kupię. Tylko sza, aby nikt nie wiedział o tem. Ty wiesz, że ja nie chcę twojej krzywdy.

Muszę tu przypomnieć, że żony stryja i brata były siostrami.

Popatrzałem na niego, myśląc w duchu: „O, jacy podli jesteście wy wszyscy!“ Postanowiłem z moją szlachetną familją zerwać raz na zawsze. Stryj na dowód przyjaźni i na

rachunek przyszłego kupna wręczył mi trochę pieniędzy, które przyjąłem. Musiałem mu też dać słowo, że nikt się ani słowa o naszej tranzakcji nie dowie.

Czując trochę pieniędzy w kieszeni, wyszedłem na miasto. Miałem nieprzepartą chęć odwiedzić moich dawnych znajomych. Nie potrzebowałem ich długo szukać. Na Starym rynku spotkałem dwu dawnych kolegów po fachu. Jeden z nich, przezwany Franek Bucał, poznał mnie odrazu. Radość z tego spotkania była nie do opisania, to też natychmiast wciągnięty zostałem do najbliższej knajpy. Tam przy kieliszku wspomnieliśmy sobie dawne dzieje i jeden przed drugim zwierzył się ze swych radości i smutków. Franek Bucał, znany na bruku tamtejszym jako największy awanturnik i najsilniejszy człowiek w całej okolicy, przy każdym kieliszku wznosił toast za zdrowie wszystkich złodziei na świecie i wykrzykiwał na glos:

— Niech cię szlag trafi, Nachalniku! Kto się spodziewal, psia twoja mać, że będziemy tu dzisiaj siedzieć z tobą przy kieliszku? Niech cię piorun trzaśnie! — Przy tych słowach z całego serca chwytał mnie w objęcia i całował. Do kolegi zaś wołał, waląc go muskularną dłonią w plecy tak, że ten za każdym razem podskakiwał z miejsca: „Czego, durniu, tak powoli pijesz, jak pr...iczka? Nachalnik jest z nami! Czy słyszysz, durniu? Krzycz na glos i pij za jego zdrowie!"

Tamten chcąc nie chcąc spełniał rozkaz ze strachu, a gdy mu przyszło wypić całą szklankę od herbaty, zakrztusil się tak, że myślałem, że się udławi.

— Pij, durniu, pij, durniu! — wołał wciąż Franek Bucał już trochę podchmielony.

Chcąc się wydostać z tej pijatyki i z jego niedźwiedzich uścisków, udałem, że mnie brzuch boli, prosząc, aby mnie zwolnił od picia. Franek jednak nie chcial słuchać i wołał:

— Pij, draniu, bo dostaniesz w nos. Nie puszczę cię, aż koszula moja będzie mokra od wódki. Forsa jest, nie martw się. Wczoraj fest zarobiłem. Patrz, ile forsy.

Wyjął całą garść banknotów i podsunął mi pod sam nos.

— Wąchaj, Nachalniku, — wołał, — jak pachną pieniążki, chociaż to była bardzo paskudna robota!

Gospodarz podając nam do stolika chodził na palcach i z wielkim respektem przed Frankiem, bojąc się, by go czemś nie urazić. Nie chcial też już więcej podawać nam napojów, jednakże jedno groźne spojrzenie Franka wystarczylo, by podawał dalej. Prosił mnie tylko oczyma, abym nie pozwolił tu na urządzenie awantury.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Kolega Franka, zwany Bulanem, musiał uregulować rachunek i chwiejąc się na niepewnych nogach, ledwo opuściliśmy przybytek Bachusa. Żegnało nas ciężkie westchnienie gospodarza, który rad był, że widzi nas już za drzwiami swojej restauracji.

XLVII.

Kiedy w towarzystwie kolegów znalazłem się na ulicy, przekonałem się, że prawdą jest, że ziemia się kręci. Nietylko ziemia, ale cala ulica wraz z domami tańczyła mi w oczach. Byłem kompletnie pijany. Jednakże, by nie zdradzać się przed kolegami, że nie umiem pić, starałem się utrzymać na nogach. W pijanej głowie huczała mi wciąż jedna i ta sama myśl: by móc gdziebądź przespać się trochę. Dwaj koledzy trzymali mnie pod ramiona i ciągnęli za sobą do meliny. Wtem nagle puścili mnie, tak, że upadłem jak długi na bruk.

Oprzytomiałem dopiero po przespaniu się na pryczy w komisarjacie. Przypomniałem sobie kolegów i pijatykę, ale w jaki sposób tu się znalazłem — nie mogłem sobie ani rusz przypomnieć Dopiero kiedy postawiono mnie przed komisarzem policji dowiedziałem się, że koledzy byli poszukiwani przez policję. Gdy zauważyli zdaleka zbliżających się agentów, umknęli im przed samym nosem, pozostawiając mnie własnemu losowi.

W tej chwili przez drzwi gabinetu zajrzało dwu agentów, których odrazu poznałem. Jeden z nich, który za Niemców był agentem, teraz nosił mundur komisarza policji. Na jego twarzy pojawił się zwykły jego złośliwy uśmiech, gdy zawołał:

— Skąd się tu wziąłeś, stary przyjacielu?
— Sam nie wiem skąd, — odparłem.
— Jak tam skoki, jeszcze się robi?
— A jakże, robi się, — odparłem śmiejąc się.
— Dawno was zwolnili?
— Niedawno, dwa tygodnie temu.
— Co tu robicie u nas teraz? Znów zasypany, co?
— Nie jeszcze, — powiedział komisarz. — tylko podpił sobie razem z Frankiem Bucałem i Bulanem. Jego aresztowano, a tamci, którzy byli mi potrzebni, zwiali.
— To też znany ptaszek, — zawołał mój znajomy. — Myślę, że teraz już nie będzie więcej operował w naszych stronach. Przeniesie się, gdzie go nie znają. Prawda, Naczalniku?
— Nie mam więcej zamiaru broić. Przyjechałem tu, by odnaleźć adwokata, który mnie nabrał w więzieniu i wymanił spadek po ojcu. — Tu opowiedziałem im zajście z adwokatem.
— To znany oszust, — zawołał komisarz. — Dziwię się tylko, żeście się dali nabrać.
— Co miałem robić? Głód był w więzieniu, a on obiecał mi dostarczyć pożywienie, więc zgodziłem się.
— Co zamierzacie teraz robić? — zapytał komisarz wskazując mi krzesło.
— Sam jeszcze nie wiem dobrze, co począć ze sobą. Będę wszelkiemi siłami dążył do tego, by więcej do więzienia nie wpaść.
— Bardzo ładnie. Fach złodziejski nie opłaca się wcale. Radzę wam zastrejkować Jesteście młodym, silnym mężczyzną, weźcie się do pracy, do handlu, aby tylko nie kraść. Radzę wam to jak przyjaciel.
— Dziękuję panu komisarzowi za dobrą radę i postaram się tak uczynić. Czy mogę już iść? Bo chcę jeszcze dziś odjechać do Białegostoku. Mówiono mi, że ten adwokat tam się wyprowadził.
Komisarz spojrzał na swoich podwładnych porozumiewawczo i zawołał:
— Wszystko dobrze, przyjacielu. Jednakże chcemy cię sfotografować teraz i wziąć palce, zanim stąd pójdziecie.

— A to poco? Moja fotografja chyba znajduje się u was oddawna. Zresztą nie zostałem teraz aresztowany za przestępstwo, więc poco fotografja?

— Tylko bez nerwów, mój przyjacielu, — zawołał mój znajomy. — To było dawno, teraz wyglądacie zupełnie inaczej. Spoważnieliście, zestarzeliście się trochę. Zresztą macie zamiar teraz, jak sami mówicie, zabrać się do uczciwej pracy, więc chcemy mieć waszą fotografję, żeby można było was widzieć w albumach policyjnych jako porządnego człowieka, — zakończył z ironją.

— Ja się nie dam sfotografować, — zawołałem.

— Nie będziesz taki. Jedno z dwojga: albo daj się sfotografować, albo zpowrotem do kozy.

Oczy moje spotkały się w nienawistnem spojrzeniu z oczyma znajomego podkomisarza. Znałem go i wiedziałem, że postawi na swojem napewno, więc z rezygnacją poddałem się i po chwili, po sfotografowaniu mnie i zdjęciu odcisków palców, kazano mi się wynosić.

Tego wieczora pojechałem do Białegostoku. Tu nazajutrz dowiedziałem się ku mojemu utrapieniu, że ów adwokat mieszka już w Wilnie. Nie namyślając się długo, pojechałem do Wilna. W Wilnie jednak w biurze meldunkowem poinformowano mnie, że przed kilkoma miesiącami adwokat wyprowadził się do Warszawy.

Gdy wyszedłem z biura meldunkowego, stanąłem bezradny na ulicy. Co zrobić? Zapasy pieniężne były na wyczerpaniu, nie wystarczało już nawet na bilet kolejowy do Warszawy. Przypomniałem też sobie, że od tego miasta dawno już temu zaczęły się moje nieszczęścia. Z Wilna pojechałem wtedy na wieś, gdzie przez głupotę czy też przez nieszczęśliwą miłość, popełniłem pierwszą kradzież. Po dłuższem smutnem rozmyślaniu, postanowiłem wziąć bilet do Grodna; później będzie, co Bóg da. Tak też zrobiłem. Wieczorem siedziałem już przygnębiony i niewyspany w przedziale wagonu. Jedyną moją towarzyszką podróży była jakaś kobieta w balzakowskim wieku. Była bardzo przystojna i sama nawiązała ze mną rozmowę. Opowiedziała mi, że była przez dziesięć lat w Argentynie z mężem, z którym się rozwiodła. Przyjechała do Polski, by odwiedzić krewnych

i znajomych. Teraz jedzie do Warszawy, gdzie zabawi kil- ka dni, poczem zpowrotem pojedzie do Argentyny, gdzie czekają na nią rozległe interesy.

Rozmowa nasza, jak to bywa, z początku nie kleiła się; później jednak, gdy przekonałem się z kim mam do czynie- nia, starałem się jej nawet przypodobać. W głowie bły- snęła mi natrętna myśl: sam Bóg ci ją zesłał. Skorzystaj z okazji i staraj się ją obrobić. W wyobraźni, która teraz pracowała z natężeniem, widziałem już paczkę banknotów dolarowych w mojem posiadaniu.

W czasie rozmowy, kiedy nie szczędziłem jej komple- mentów, zachwycając się jej urodą, zawołała śmiejąc się:

— Doprawdy nie wiem wcale, dlaczego się pana zupeł- nie nie obawiam. Opowiadano mi jeszcze w domu, że w Polsce trzeba być bardzo ostrożną w podróży. Złodziei i bandytów tu nie brak i w każdej chwili można być ogra- bioną. Tyle mi nagadano o tem, że początkowo obawiałam się wyjechać do Europy. Jednakże postanowiłam się prze- konać, czy to jest prawda. Już przeszło sześć miesięcy po- dróżuję i nikt mnie jeszcze nie okradł. Coprawda w Berli- nie zauważyłam jakieś podejrzane typy kręcące się koło mnie, jednakże nikt mi nic złego nie uczynił. Przyjaciele radzili mi, żebym jechała trzecią klasą, gdyż złodzieje prze- ważnie polują na pasażerów pierwszej i drugiej klasy. Dziś jakoś mało jest pasażerów i jak widzę przyjdzie mi z panem jechać tak do samej Warszawy. Czy pan jedzie bezpośred- nio do Warszawy?

— Tak, do Warszawy, — powiedziałem, starając się nie zdradzić radości, jakiej doznałem, usłyszawszy jej szczere czy udane wyznanie. Była chwila, że mi się zdawało, że wie kim jestem i czyta z mojej twarzy myśli, jakie mam w gło- wie. Jednakże po chwili nabrałem pewności siebie, przeko- nany, że jedynie z gadatliwości tak się wynurza przede mną.

— Tak, musi pani być ostrożna. Złodziei nie brak; a jak poznają jeszcze w pani cudzoziemkę, będzie jeszcze gorzej. Ale jedzie pani ze mną, niema obawy.

Wstałem na chwilę, udając, że wyglądam oknem, by za- prezentować jej moją muskularną postawę, poczem znów usiadłem już bliżej niej.

— Dziś zresztą — zawołałem, — żaden podróżny nie wozi ze sobą większych sum. Najlepiej mieć w kieszeni książeczkę czekową na jakiś bank i sprawa załatwiona. Ja nigdy nie wożę większych pieniędzy.

— Czy można wiedzieć w jakiej branży pan pracuje? — zapytała kobieta.

— Owszem. Mamy kilka młynów, pracuję u ojca w biurze.

Kobieta była już zupełnie pod moim wpływem, a nawet zaproponowała, bym usiadł przy niej.

Przy sprawdzaniu biletów, konduktor zwrócił mi uwagę, że jestem w kobiecym przedziale i że miejsc w innych przedziałach nie brak. Ona jednak powiedziała:

— Ten pan jest moim znajomym i jedzie ze mną razem. Proszę go pozostawić.

Konduktor zmierzył mnie podejrzliwie od stóp do głowy, poczem przeprosił i opuścił przedział.

Spostrzegłem, że moja nowa znajoma pieszczotliwie strzeże swej torebki, nie wypuszczając jej z rąk. Domyślałem się, że zapewne tam ma swą forsę i biżuterję. Głowa pracowała teraz z wielkiem natężeniem w jednym kierunku: w jaki sposób ją obrobić?

Zdenerwowany tą natrętną i niebezpieczną myślą, starałem się usunąć trochę w cień, aby nie spostrzegła co się ze mną dzieje. Ona zauważyła to i tłumacząc sobie inaczej moje zdenerwowanie, zawołała śmiejąc się:

— Proszę się mnie nie obawiać i przysunąć się bliżej. Tak mi się oczy kleją, że chętnie przespałabym się trochę. Niech pan mi opowie coś zabawnego. Dlaczego pan nic nie mówi? — nalegała.

— Nie umiem opowiadać, proszę pani.

— Zapewne pan umie lepiej działać niż mówić. Wygląda pan na energicznego człowieka.

— O, tak. Tylko zależy... — odparłem dwuznacznie.

Spojrzała mi bystro w oczy, poczem odwróciła się.

Myśl, że należy wykorzystać sytuację wzięła teraz górę nad poprzednią myślą obrabowania tej kobiety. Zmysły okazały się silniejsze od poczucia praktyczności. Cywilnej odwagi w takich wypadkach nigdy mi nie brakło. Więc nie

namyślając się długo, ująłem ją pieszczotliwie i z wielkiem poszanowaniem za paluszki i zawołałem nie bez wzruszenia:

— Jaka pani jest piękna! Chciałbym tak całe życie podróżować obok pani. Bóg nas tu zapoznał, a nie przypadek.

— Tak pan myśli? — odparła śmiejąc się i zamiast spodziewanej burzy, poczułem, że palce jej posuwają się coraz dalej, a wreszcie nerwowo ściskają moją dłoń. To dodało mi odwagi i już nie pytając o nic wstałem i zgasiłem światło w przedziale.

— Co pan chce robić? Zwarjował pan, czy co? Będę krzyczała!

— Nie zrobi pani tego, — odparłem chwytając ją w objęcia. Jak przewidywałem, tak się też stało. Nietylko się nie broniła, ale ledwie wydarłem się z jej rąk. Całą energję kobiety niebezpiecznego balzakowskiego wieku chciała wyładować na mnie. W czasie przyjemnej zabawy, podczas której zupełnie straciła głowę, nerwowo lewą ręką poszukiwała torebki porzuconej na podłodze. Myśl o obrabowaniu wróciła teraz znowu z jeszcze większą siłą. Już otworzyłem torebkę. Palce moje nerwowo przebierały jej zawartość. Kobieta nawpół przytomnie szeptała ledwie dosłyszalne słowa miłości. Wtem głos sumienia odezwał się we mnie tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu. Torebka wypadła mi z rąk, a ona zerwała się nagle, wołając rozpaczliwie:

— Gdzie moja torebka? Boże mój, gdzie moja torebka?

— Tu leży, proszę, — i wręczyłem jej nietkniętą torebkę.

Chciałem znów zapalić światło, ale ona prosiła:

— Jeszcze nie, jeszcze nie!

Zrozumiałem dobrze, że teraz wstydzi się mnie. Biedna kobieta nawet nie przypuszczała, z kim miała do czynienia. Nie zastanowiła się ani na chwilę, że wraz ze swoją cnotą, której zapewne nie miała już dawno, mogła teraz pozbawić się rzeczy o wiele praktyczniejszych i namacalniejszych...

XLVIII.

Pociąg z każdą chwilą zbliżał się do Grodna. Gorączkowo rozmyślałem, co czynić teraz. Jechać na gapę do samej Warszawy? Ona zmiarkuje z kim miała do czynienia, gdy konduktor przyjdzie sprawdzić bilety, i nasza randka, co do której umówiliśmy się, nie dojdzie do skutku. Muszę tu zaznaczyć, że myśl o obrabowaniu jej znów zaczęła mnie dręczyć, nie dając mi myśleć o niczem innem. Żałowałem już w duchu, że nie wykorzystałem chwili, gdy torebka była w mojem posiadaniu. Wykupiłbym sobie bilet, dokądbym zechciał. Tem bardziej mnie to teraz bolało, gdyż dowiedziałem się, że zawierała ona znaczny majątek, składający się z brylantowej kolji, platynowego zegareczka z brylancikami, który na jej prośbę sam jej pomogłem zdjąć z ręki i który schowała do torebki, kill ı pierścieni brylantowych, które drażniły mnie swoim blaskiem, jakby naigrywały się ze mnie, że byłem takim frajerem; było tam także dużo pieniędzy w obcej walucie.

W czasie tych rozmyślań pociąg nagle zatrzymał się, i jakby zza grobu doleciał do mych uszu głos konduktora: Grodno! Grodno!

Wstydziłem się jej teraz powiedzieć, że wysiadam i pod pretekstem, że idę kupić papierosów, wyszedłem nie bez żalu na peron. Po kilku minutach pociąg ruszył w drogę, a ja patrząc jak się oddala, poczułem wielką ulgę. Teraz dopiero ciężar występku spadł mi z serca, nie miałem już możności niczego dokonać. Byłem nawet zadowolony mimo mego smutnego położenia, że potrafiłem się silną wolą na tyle opanować, by nie popełnić występku. Jednakże gdzieś tam w głębi duszy tkwiło powątpiewanie i brak wiary w tę silną wolę. Glos ten poprostu mówił do mnie: — Chciałeś dokonać przestępstwa, tylko za późno się zdecydowałeś; nie skrzywdziłeś tej kobiety, bo nie miałeś już możności.

Do rana przesiedziałem na dworcu, poczem udałem się do miasta. Po raz drugi miałem sposobność odreperować się na dworcu na skórze jednego z pasażerów, ale byłem daleki od chęci dokonania przestępstwa.

Przez cały dzień odwiedzałem znajomych z lepszych czasów, by zaciągnąć pożyczkę na przejazd do Warszawy. Koledzy po fachu i paserzy chętnie mnie witali, ale pieniędzy dać nikt nie myślał. Jeden nawet zawołał:

— Pieniądze to bardzo delikatna rzecz, tym którzy kraść nie chcą, czy nie umieją, nie wolno ich dawać. Mówiłeś, żeś zastrejkował i kraść więcej nie chcesz, więc ci pieniędzy dać nie mogę.

Próbowałem mu przypomnieć stosunki przyjacielskie z dawnych czasów, pochlebiając mu, że jego „złodziejski charakter", z którym, jak wiedziałem, zawsze przed kolegami lubił wyjeżdżać, nie pozwoli mu puścić mnie gołego. Powiedziałem mu też, że takiej biedy, jaką mam teraz, jeszcze nigdy nie miałem na wolności, na co on szyderczo odparł:

— Jak ty, brachu, masz biedę, to jeszcze nie jest tak źle. Jakby ciebie bieda miała, byłoby o wiele gorzej.

Po takiej odpowiedzi splunąłem w jego stronę chcąc oddalić się, a on zachichotał, chwytając mnie za ramię.

— Nie uciekaj jeszcze, brachu. Mówisz, że taka bryndza u ciebie, a jesteś ubrany jak adwokat. Zapewne wracasz z dobrej roboty, a udajesz mortusiaka przede mną. Jesteś cwany, boisz się, żebyś nie musial dać czego do wlania.

— Widzisz, brachu, — ciągnął dalej, widząc moją głupią minę. — Biedy na świecie są różne. Jeden bieduje, że nie może czwartej kamienicy sobie wybudować, drugi zaś bieduje, że nie ma własnego auta, a trzeci, że nie ma dla dzieci kawałka chleba. Ty, zdaje się, należysz do tych pierwszych, co?

— Idź do cholery, — zawołałem już zły, — i przestań się mądrzyć z twoją filozofją. Jak nie chcesz mi pomóc, pocóż mi twoje głupie wykłady. Pamiętaj, przyjdzie koza do woza.

— Koza już przyszła do woza, — zaśmiał się. — Pewnie już zapomniałeś, jak raz przegrałem wszystko w karty i chciałem pożyczyć od ciebie kilka marek, a tyś nawet słuchać nie chciał.

— To było na sztosa i dlatego nie dałem. Gdybyś był w takiej sytuacji jak ja obecnie, napewnobym nie odmówił.

— No, brachu, żarty na bok. Ty wiesz, że jak ja, twój przyjaciel Eli „Małpa“ ci nie pomogę, to ci sam djabel nie pomoże. Wierz mi jednak, że teraz nie mam forsy. Dam ci mój srebrny zegarek, opyl go, na przejazd do Warszawy i na kilka dni życia ci starczy. No, jestem przyjacielem? Mam złodziejski charakter? Na całej kuli ziemskiej nie znajdziesz złodzieja z takim charakterem jak mój.

— Daj grabę, brachu. Wiedziałem, że tak mnie nie puścisz. Muszę ci powiedzieć, że sam Arsen Lupin nie postąpiłby tak jak ty. Całe życie będę to pamiętał. Bądź zdrów i dawaj prędko zegarek.

Bez słowa zdjął swój zegarek i wręczył mi go. Poznałem, że był dumny z tego, że zachował się wobec mnie tak wspaniałomyślnie.

— Może to jest kradziony zegarek? — śmiałem się już zadowolony. — Mogę na nim zarobić parę lat. Powiedz, będę wiedział co robić.

— O to niech cię głowa nie boli, przyjacielu. Możesz ten zegarek sprzedać samemu kierownikowi wydziału śledczego.

— Jeżeli tak, to żegnaj, brachu. Jeszcze dziś wieczorem jadę do Warszawy.

— Pokłoń się tam wszystkim policjantom ode mnie i powiedz im, że Eli „Małpa“ tak prędko w ich ręce nie wpadnie. Ta warszawska policja, niech ją djabli wezmą. Potrafią z człowieka wszystko wydobyć. Wolę kraść na prowincji. Policja jest głupsza na prowincji niż w stolicy. No i w więzieniu lepiej na prowincji kiwać, niż w Mokotowie. Możesz od czasu do czasu poromansować z kobietkami, które są w każdem prowincjonalnem więzieniu. Jak to przyjemnie chociażby zza krat widzieć kobiety! Nieraz nawet, kiedy jest blatny dozorca lub dozorczyni, można wykorzystać okazję i.... Tam w Mokotowie możesz sto lat siedzieć i kobiety zbliska nie zobaczysz. Ten Mokotów przeklęty, o, tu mi w gardle stoi. Sześć wiosenek musiałem tam odleżeć, — zakończył wzruszony.

Pożegnaliśmy się po przyjacielsku. Chciał mnie jeszcze w dowód przyjaźni zaprowadzić do pewnego domku... jednakże podziękowałem mu i rozeszliśmy się.

I znów Warszawa. Tego samego dnia zaraz po przyjeździe udałem się do biura adresowego na Placu Teatralnym i tam wreszcie dostałem adres mego adwokata, którego tak poszukiwałem. Zaraz też udałem się na Nalewki 32, gdzie zamieszkiwał.

— Czy tu mieszka adwokat X? — zapytałem kobiety w średnim wieku, jak się domyśliłem, jego żony.

— Tak jest. Czem mogę służyć?

— Gdzie jest mąż pani?

— O tej porze nie przyjmuje nikogo.

— Myślę, że mnie przyjmie i teraz. Proszę mnie przedstawić. Jestem F..., ten sam, którego mąż pani, pan adwokat, okradł w więzieniu.

— Nic nie rozumiem, — zawołała zdziwiona. — Proszę się liczyć ze słowami. Mój mąż jest najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Chyba tu zaszło jakieś nieporozumienie, albo też pan ma gorączkę.

— Pani mąż jest podłym oszustem. Niech pani sobie dobrze przypomni tego więźnia w Łomży w 1919 r., któremu pani miała co tydzień wałówki podawać, za jego spadek po ojcu, który pani mąż wymanił.

— Ach, to pan żyje jeszcze! Ach, ach, niedobrze mi się robi, — zawołała robiąc kilka kroków w tył.

— Tak, to ja. Widzi pani, cholera mnie nie wzięła jeszcze. Wiem, że pragnęliście mojej śmierci w więzieniu. Odrazu, kiedy podpisywałem kontrakt, mąż pani liczył, że długo nie pociągnę. Omylił się jednak. Jestem żywy i zdrów i przyszedłem teraz z wami się policzyć.

Na moje energicznie rzucane słowa, z dalszych pokojów nadbiegły dzieci dorosłe i służąca, na samym końcu zaś ukazał się mąż, blady jak piżama, którą miał na sobie. Patrzyliśmy sobie jedną chwilę w oczy, poczem on uśmiechnął się jadowicie i zawołał:

— Proszę się nie unosić! Nie jest pan w lesie! Zaraz zadzwonię do komisarjatu i zabiorą was, skąd przyszliście.

— Ty k.... twoja mać, — wyrwało mi się, na co żona i córki ulotniły się z pokoju. Zbliżyłem się do niego, chcąc go chwycić za gardło. On jednak odskoczył wtył wołając:

— Ani kroku dalej, bo cię zabiję jak psa!

W ręku jego błysnął rewolwer. Żona i dzieci nagłos wołały ratunku.

Pan adwokat był bardzo odważny, ale gdy zobaczył, że ja nie zważam na broń, tylko posuwam się coraz bliżej, siny ze złości nagle uskoczył wtył i zatrzasnął drzwi za sobą. — Kopnąłem drzwi z całej siły i wpadłem za nim do pokoju. Pan adwokat zrejterowal do kuchni, i tu narobił takiego krzyku, że z tego wszystkiego już mi się śmiać chciało.

— Czego ty wrzeszczysz, oszuście i tchórzu? — zawołałem. — Rewolwer trzymasz w ręku, a drżysz jak stara baba! Daj mi go do rąk, to ci palnę w łeb, aż ci mózg wyskoczy! Oddaj mi naszą umowę i pójdę sobie. Przez ciebie nie mogę nic od brata wydostać. Ty tak samo masz cholerę z tego, gdyż wiesz dobrze, że ja w archiwum w hipotece nie figuruję jako syn.

Żona jego poczęła mnie teraz błagać, abym tylko narazie poszedł sobie, i wrócił pod wieczór, a wszystko będzie załatwione jak najlepiej.

— Dla pani to zrobię, że pójdę teraz. Wieczorem wrócę znów. Proszę, aby umowa została mi zwrócona, bo jak nie, to będzie źle. Jeśli teraz wpadnę do więzienia, to tylko za tego oszusta. Ja kradłem i odpokutowałem; a on mnie okradł i jest porządnym człowiekiem, jest panem mecenasem i grozi mi policją. Postanowiłem rozpocząć nowe życie, a przez niego nie mogę, bo potrzebne mi są pieniądze.

— Idź pan już. Idź pan, ja pana proszę. Daję panu słowo, że wszystko wieczorem będzie załatwione.

Wieczorem przyszedłem znów. Adwokat siedział, jakby czekał na mnie. Wskazał mi krzesło, poczem nie patrząc na mnie, zabębnił palcami po stole i rzekł:

— Ja chciałem wówczas was ratować. Przyszła wojna z bolszewikami, musiałem opuścić miasto. Potem nie było zarobku, nie wiedziałem, w którem więzieniu siedzicie. Zresztą jeden znajomy mówił mi, że wysłano was na Święty Krzyż i tam zmarliście. Teraz chcę z wami załatwić sprawę po ludzku, poco się denerwować. Nie myślcie, że was się boję, tylko wiem, żeście dużo złego przeżyli i macie prawo być nerwowym. Teraz, kiedyście się już uspokoili, mogę z wami pomówić. Kiedy otrzymałem od was przepisany na

mnie spadek po waszym ojcu, którego dobrze znałem, poje- chałem do waszego domu i spisałem cały inwentarz i nieru- chomości. Było tego dość sporo. Chciałem spieniężyć to i was poratować. Myślałem nawet o wznowieniu procesu i napewno bylibyście wolni, gdybym ja się wziął do tego. Ale cóż? Wojna z bolszewikami przeszkodziła mi w moich zamiarach; potem miałem dużo zajęcia i zawsze odkładałem tę sprawę do lepszych czasów. Cieszę się bardzo, że widzę was teraz na wolności i w zdrowiu, tem bardziej, że jak sły- szę chcecie rozpocząć nowe życie. Dopomogę wam, zrobię co tylko będzie w mojej mocy.

Słuchajcie mnie tylko, — ciągnął dalej, — co wam pora- dzę. Jedźcie do domu i wyciągnijcie metrykę urodzenia i przyślijcie ją mnie. Wówczas wytoczę w waszem imieniu sprawę bratu. Proces ten jest zgóry wygrany. Zapłacicie mi 200 dolarów za prowadzenie procesu i 100 dolarów za ten czas, kiedy w Łomży chodziłem do was z wałówkami. Reszta, jaka pozostanie, będzie wasza.

Nie zdążył wymówić ostatniego słowa, kiedy skoczyłem mu do gardła. Gdyby nie żona, która wpadla do pokoju, zadusiłbym go bezwątpienia. Bywają takie fatalne chwile w życiu człowieka, że niema na świecie takiej zbrodni, któ- rej nie byłby zdolny popełnić. Przerażona kobieta poczęła całować męża po rękach, aby oddał mi natychmiast papiery. Wreszcie, widząc, że nie ustąpię i że ta sprawa może się skończyć tragicznie, sama podeszła do biurka, pociągając mnie za sobą i wręczyła mi papiery, pchając mnie w kierun- ku drzwi.

XLIX.

Na drugi dzień przyjechałem do domu. W Warszawie nie widziałem się z żadnym z moich dawnych kolegów po fachu. Bez słowa przywitania z bratem, a nawet z siostrami, przystąpiłem do załatwienia sprawy. Brat przeraził się nie na żarty, kiedy zobaczył mnie znów w domu i ujrzał w mo- ich rękach papiery, które rzuciłem na stół.

— Jakie wykręty teraz znajdziesz, braciszku? Wpierw

tłumaczyłeś się, że nie możesz mi nic dać, bo mojego adwokata masz na karku. Ciekaw jestem, co teraz powiesz.

Brat nie odpowiedział nic, tylko skierował swoje kroki ku drzwiom. Zastąpiłem mu energicznie drogę. Bratowa momentalnie znalazła się między nami.

Nie wiem sam, dlaczego wówczas, gdy zobaczyłem brata bladego ze strachu przed sobą, obudziła się we mnie taka litość dla niego, że momentalnie odstąpiłem i wybiegłem na podwórko. Tu spotkałem się oko w oko z siostrami, które nie wiedziały jeszcze nic o mojem przybyciu. Przelękły się niemniej niż brat, jednakże przywitały się ze mną bez wahania; młodsza nawet mnie pocałowała. Teraz już byłem zupełnie rozbrojony. Gorycz, żal i złość, które przywiozłem ze sobą, znikły zupełnie na widok siostrzyczek, które kochałem nad życie.

Dzień cały jak obłąkany wałęsałem się nad Narwią; dopiero wieczorem wróciłem do domu. Brat, bratowa i siostry, a także stary przyjaciel ojca, który dowiedział się o mojem przybyciu, byli teraz bardzo zaniepokojeni o mnie. Poznałem odrazu, że zaszła tu jakaś zmiana w stosunku do mnie. Domyśliłem się, że przyjaciel ojca wpłynął widocznie na brata, by inaczej ze mną postępował.

Wszedłem bez słowa do kuchni i tam usiadłem. Było to w piątek wieczorem. Bratowa i siostry prosiły, abym wszedł do jadalnego pokoju i zasiadł do stołu, gdyż wszyscy czekają na mnie z jedzeniem. Nie chciałem ich słuchać i na nalegania i płacz siostry mruknąłem:

— Proszę mi tu podać. Taki gość jak ja może i w kuchni jeść.

— No, chodź do stołu, nie jestem taki zły, jak myślisz. Siadaj teraz, a po sobocie pomówimy.

Nic nie odpowiedziałem. Podniosłem się, chcąc znów opuścić mieszkanie; ale siostry zastąpiły mi drogę i znów usiadłem. Widząc mój upór, podali mi jedzenie do kuchni.

Brat z rodzeństwem zjedli w milczeniu, poczem zaraz położyłem się spać. O śnie jednak nie myślałem wcale. Kiedy już byłem przekonany, że wszyscy śpią, usiadłem na posłaniu. Ach, jakże czarne myśli zaczęły mnie wtenczas gnębić! Czułem się zbyt słaby, by nie poddawać się tym my-

ślom. Wokoło mnie było zupełnie ciemno. Cierpiąc strasz- ne męki, bezradny i smutny, płonący zemstą stokrotnie sil- niej niż poprzednio, zeszedłem ze swego posłania, sam nie wiedząc poco. Czułem tylko, że chcę i muszę czegoś do- konać. Nóż kuchenny leżący w kuchni sugestjonował mój wzrok. Po chwili jakby ktoś włożył mi go do rąk. Stałem niezdecydowany pośrodku kuchni, wpatrzony w drzwi pro- wadzące do sypialnego pokoju brata. Myśl natrętna jak bagnet wpijała się w mózg: Okradnij brata, gdy przeszko- dzą ci tu w robocie, sam wiesz jak się załatwić... Zabierz bi- żuterję i pieniądze i zmykaj w świat! Brat zasłużył na to. I tak musisz powrócić do dawnego życia. W takiem polo- żeniu, w jakiem jesteś, długo nie wytrzymasz. Czyż ci nie jest obojętne, kiedy nastąpi to, co nastąpić musi? Poco i naco szukać „roboty", kiedy masz ją teraz pod samym no- sem? W komodzie leży forsa w dolarach i biżuterja, która została po twojej matce i ojcu. Masz zupełne prawo zabrać to sobie...

Wtem zrozumiałem wszystko i poczułem wstręt do sa- mego siebie. Ległem znów na posłaniu, noża jednak nie wypuszczałem z rąk. Straszna myśl nie opuszczała mnie; po chwili znów wzięła górę tak, że zerwałem się z łóżka i jak wąż prześlizgnąłem się do pokoju brata.

Stanąłem tuż przy jego łóżku. W pokoju paliła się nocna lampka, która rzucała cienie na twarze śpiących. Brat chra- pał ciężko, a jego muskularna ręka zwisała z posłania. Bra- towa chrapała również, wysunąwszy jedną nogę z pod pie- rzyny. Dobiegły mnie też z drugiego pokoju równe odde- chy śpiących sióstr. Drzwi prowadzące do ich pokoju były otwarte. Stałem tak dłuższą chwilę, namyślając się, czy pie- niądze leżą, jak przypuszczałem, w komodzie, czy też brat trzyma je u siebie pod poduszką. Nie wątpiłem już teraz, że swego zamiaru dokonam, chodziło tylko o to, od czego zacząć. Gdy tak stałem niezdecydowany, brat poruszył się i ułożył nawznak z rękoma na piersiach, jak dziecko. Ręka, w której trzymałem nóż, bezwiednie mi zadrżała tak, że nóż upadł na dywan. Przed oczyma widziałem teraz jak żywych ojca i matkę. Brat był zupełnie podobny do ojca. Zdawało mi się teraz, że tam śpi mój ojciec. Ukląkłem przy łóżku

i przyglądałem mu się uważnie. Wyrzuty sumienia przypłynęły znowu. Brat poruszył się niespokojnie i powoli odwrócił się do ściany. Nie myślałem już więcej o występku. Przeszedłem do pokoju sióstr. Młodsza leżała twarzą zwrócona ku mnie, ale spała. Serce biło mi ze wzruszenia jak młotem. Wydawało mi się, że piersi mi rozpiera i tamuje oddech.

Trzeba było się śpieszyć i raz nareszcie wprowadzić myśl w czyn. Czułem, że czegoś oryginalnego dokonać muszę. Ukląkłem i nieznacznie ucałowałem siostry, bojąc się, aby się nie zbudziły. Młodsza drgnęła nerwowo pod wpływem mego pożegnalnego pocałunku. Wzrok mój zatrzymał się dłużej na starszej, jakbym chciał zapamiętać sobie jej szlachetne rysy, przeczuwając instynktownie, że już jej więcej nigdy nie zobaczę.

Zerwałem się nerwowo z podłogi i pocichutko odemknąłem drzwi od sieni. Tam w szafie ze starą odzieżą ledwie znalazłem moje stare mokotowskie ubranie. Włożyłem je prędko na siebie, jakby mnie ktoś poganiał, poczem ułożyłem ubranie brata na stole. Nie zapomniałem też nakreślić kilku słów pożegnania:

> Żegnam was na zawsze. Idę skąd przyszedłem. Ja was dobrze rozumiem, ale wy mnie nigdy nie zrozumiecie. Nie chcę już od was nic. Ubranie, które mi dałeś, zostawiam ci i dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla mnie. Ja sobie poradzę w życiu; a jak nie, to w więzieniu dach nad głową i utrzymanie mam zawsze pewne. Ale pamiętaj, abyś sióstr nie krzywdził. Jeżeli się kiedy dowiem, że je skrzywdziłeś, wtedy się policzymy. Pamiętaj zawsze o tem, że przyjechałem do was z innemi myślami, a odjeżdżam z innemi... Nie wspominajcie mnie".

Położyłem list na ubraniu. Na palcach znów wszedłem do sypialnego pokoju brata. Rzuciłem pożegnalne spojrzenie na tych najbliższych mi jednak na świecie ludzi i skierowałem się ku drzwiom.

Nagle płacz dziecka brata obudził wszystkich. Będąc już

za drzwiami, słyszałem glos bratowej i brata. Nie zatrzymałem się jednak, lecz tylnemi uliczkami zmierzałem prosto do szosy prowadzącej w kierunku Łomży.

Północ już dawno minęła. Pianie kogutów dobiegało do moich uszu i to dodawało mi odwagi w tym marszu śród ciemnej nocy. Szedłem smutny i zamyślony, sam nie wiedziałem dokąd idę. Rozmyślałem, ile to razy jeździłem i kroczyłem tą drogą szczęśliwy, stokrotnie szczęśliwszy niż teraz. Dziś idę tą drogą jako człowiek wzgardzony przez wszystkich, obdarty, bez widoków lepszego jutra. Pustki w duszy, pustki w kieszeni. Błąkam się, szukając oparcia w życiu. by zostać tem, co ludzie zwą człowiekiem uczciwym. Ja nie jestem uczciwy, dlatego też nic nie mam i nie mogę znaleźć na tym wolnym świecie ludzi, którzyby mnie przygarnęli do siebie. Dlaczego jestem taki nieszczęśliwy? — myślałem. Przecież całą duszą nie chcę iść tą drogą, na którą mnie życie zepchnęło. Patrzyłem na siebie samego jak na zbrodniarza. Lepszy Ja gardził teraz tym drugim Ja, który zawsze był we mnie, który teraz znów wypływał na wierzch. Wiedziałem, że prędzej czy później ów drugi Ja zwycięży pierwszego. Czy nie każdy człowiek jest materjalem na przestępcę i zależny jest tylko od warunków swego istnienia? Przypominam sobie niedawno przeczytany ustęp książki znanej powieściopisarki Zofji Nałkowskiej „Ściany świata“, która mówi:

„Odkąd zaczęłam bywać w więzieniu, odtąd i świat ludzi wolnych wydaje mi się już inny. Patrzę na nich pod kątem więzienia, w płaszczyźnie możliwego przestępstwa i tak często wydają mi się podobni do zbrodniarzy.

Niekiedy, widząc kogoś w rozpaczy, w smutku bez wyjścia — myślę o tem, co mu grozi. Bo wiem teraz tak dobrze, co będzie, jeśli tego nie wytrzyma, jeśli temu czemuś nieznanemu w sobie — ulegnie.

Ze strachem też patrzę na ubogich, na głodnych, na takich, co w złem, podartem ubraniu chodzą w mróz po ulicy. Ci są tak blisko, ci są o jeden krok od tego, pochylają się już nad krawędzią. Ci, którym u drzwi kuchennych mówi się, że nic niema, że wszystkie stare ubrania są już rozdane. Co ich trzyma, co ich jeszcze ratuje? I czy może tak być długo?

Przecież ci wszyscy w więzieniu to także ludzie, których tam czasami coś zupełnie nieznacznego wepchnęło, o któ= rych zadecydowała jakaś jedna chwila.

Doprawdy — często patrzę na ludzi jako na materjał do zbrodni. Jak ich ostrzec, jak ich od tego odgrodzić?"

Słowa tej genjalnej polskiej pisarki powinny być wyryte złotemi głoskami w każdym sądzie, aby panowie sędziowie mieli możność przypomnieć sobie, że i skazańcy należą do ludzi.

L.

Postanowiłem po przybyciu do Łomży odnaleźć dawnych moich wspólników. Zaglądałem do różnych znanych mi melin; ale dawnych znajomych nie było ani śladu. Ten za= bastował, ten w więzieniu, inny wyjechał na gościnne wy= stępy. Dowiedziałem się, że Frania wyszła szczęśliwie za= mąż za komisarza policji, ma już ładną córeczkę. Wzięła mnie chęć, by ją odwiedzić, ale gdy spojrzałem na swoje nędzne ubranie, dałem spokój.

Na drugi dzień dopiero, u pasera, gdzie przenocowałem, dowiedziałem się, że Stasiek dobrze zarobił, zabastował, oże= nił się bogato z właścicielką majątku i dobrze mu się powo= dzi. Chciałem go także odwiedzić, jednakże przypomnia= łem sobie jego słowa w więzieniu: „Policzymy się za Franię, jak się spotkamy na wolności" i obawiałem się go, znając jego charakter.

Dowiedziałem się także, co się dzieje z Elcią. Opowiada= no mi, że wyszła zamąż za bogatego kupca i że jej się jak najlepiej powodzi. Postanowiłem ją natychmiast odwiedzić. Wstydząc się swego zewnętrznego wyglądu, zdecydowałem się czekać na nią przy bramie domu, w którym mieszkała. Przemoknięty wskutek deszczu, który lał cały dzień, i prze= jęty chłodem jesiennej nocy, zaglądałem w oczy każdej ko= biecie podobnej do niej wzrostem. Dopiero po jedenestej w nocy, ujrzałem kobietę prowadzoną pod ramię przez tę= giego mężczyznę. Odrazu poznałem Elcię. Wraca z kina, lub z teatru, — pomyślałem. Przeszedłem obok nich, pod=

czas gdy mężczyzna, — jak się domyślałem jej mąż, — otwierał bramę. Zajrzałem jej w oczy, tak jednak, aby mnie nie spostrzegła. Wydała mi się sto razy piękniejsza niż przedtem. Z całej jej postaci biło zdrowie i zadowolenie z siebie. Miałem chęć rzucić się jej do nóg i całować jej pantofelki za to, że potrafiła walczyć z życiem i nie poddawała się żadnemu złu. Zawsze myślałem, że przeze mnie zejdzie do rynsztoka i miałem wyrzuty sumienia. Raczej spodziewałem się, że ją spotkam na rogu, niż w takiej sytuacji. — Przypuszczałem, że Elcia skończy tak samo, jak inne dziewczyny, sprowadzone z dobrej drogi; a tu masz tobie! Ja, który byłem jej kochankiem, wstydzę się teraz podejść do niej! Czułem się jednak szczęśliwy, jak nigdy w życiu, że tak się stało. Sumienie moje od tej chwili będzie o wiele spokojniejsze.

Zanim postanowiłem co począć, Elcia znikła z mężem wewnątrz bramy, a furtka zatrzasnęła mi się przed samym nosem.

Oparłem się o bramę napół przytomny. Odczułem teraz całą grozę mojej nędzy, jak nigdy do tego czasu. Myślałem o tem, że grzech się mści... Więc kto z nas zgrzeszył, ja czy ona? Jej jest dobrze, a mnie...

Stałem tak jak przykuty do bramy. Zauważyłem, że stróż nocny obserwuje mnie. Zapewne myślał, że chcę okraść któryś ze sklepów, znajdujących się w tej samej kamienicy. Ruszyłem więc naprzód nie bacząc na to, że nogi uginają się pode mną.

Na drugi dzień postanowiłem koniecznie z nią się zobaczyć. Chcialem jej powinszować i zapytać, czy jest szczęśliwa, więcej nic. Cały dzień czatowałem na tej ulicy. Widziałem ją kilkakrotnie, ale nie miałem odwagi podejść do niej przy ludziach. Nie chciałem zresztą, by ktoś wiedział o naszym dawnym stosunku.

Wieczorem tegoż dnia, głodny i wyczerpany, znalazłem wreszcie okazję, by ją zaczepić. Zauważyłem, że prędko skręciła w boczną uliczkę i momentalnie udałem się za nią.

Cisza. Nikogo na ulicy wokoło nie było widać. Nie było tu nawet światła, tylko z drugiej ulicy słabe promienie padały na chodnik. Wymarzone miejsce dla zakochanych!

Była to ta sama uliczka, po której spacerowałem jako uczeń jeszywetu z córką piekarza, o której była mowa w pierwszym tomie. Elcia szła prędkim krokiem. Domyślałem się, że czuje obce kroki za sobą i umyka, by nie zostać zaczepioną przez łobuza w ciemnej uliczce. Wtem, kiedy już byłem o dwa kroki od niej, stanęła odwracając się twarzą do mnie i spazmatycznym głosem zawołała mnie po imieniu padając mi w objęcia...

Staliśmy tak bez słowa przytuleni do siebie. Ciche łkanie wyrwało jej się z piersi.

— Elciu droga, — błagałem, — uspokój się. To nie miejsce na rozmowę. Jeszcze ktoś może nadejść. Chodźmy stąd.

Elcia momentalnie opamiętała się. Pociągnęła mnie za sobą nerwowym ruchem, poczem pobiegła pierwsza w kierunku parku miejskiego. Ja podążyłem za nią.

Usiedliśmy na ławce pewni, że nikt nam nie przeszkodzi. Czuliśmy oboje, że mamy sobie dużo do powiedzenia, ale żadne z nas nie śmiało pierwsze zacząć. Czuliśmy się winni jedno wobec drugiego: ja, że jestem taki nieszczęśliwy, że jej nie mogłem dać szczęścia, ona — że mogła dać szczęście innemu mężczyźnie.

Siedzieliśmy tak dobrą chwilę, poczem ona pierwsza odezwała się biorąc mnie za rękę:

— Ty się nie gniewasz na mnie? Boże, jak ty mizernie wyglądasz! Jesteś nareszcie znów przy mnie... Powiedz, powiedz, mój drogi, — tuliła się do mnie, — dawno już jesteś na wolności?

— Niedawno, — odmruknąłem. — Zresztą co to ciebie może obchodzić. Ty i tak nie czekałaś na mnie, aż będę wolny.

— Drogi... I ty do mnie tak możesz mówić? Ty, który sam odpędzałeś mnie od siebie? Nie spodziewałam się twoich wymówek.

— Ja zrobiłem swoje, i tyś powinna była zrobić swoje. Gdzie są twoje zapewnienia, że do grobu mnie nie zapomnisz?

Elcia wybuchnęla płaczem.

— Nie męcz mnie, — wołała zrozpaczona. — Co miałam robić? Po tobie ślad zaginął. Nie myśl, że się nie dowiady-

walam o ciebie. Ojciec mój pokazał mi list, który otrzymał od znajomego z więzienia mokotowskiego, żeś ty...

Zabrakło jej oddechu i słowo uwięzło w gardle.

Zrozumiałem teraz wszystko: To ojciec jej urządził całą intrygę. Mimo, że sam był paserem, twierdził, że dla córek weźmie zięciów statecznych. „Za pięć tysięcy dolarów po⸗sagu, dostanę takich, chociaż sam jestem paserem. Za pie⸗niądze wszystko się robi" — mówił, gdy raz byłem u niego.

W czasie rozmowy z nią walczyły we mnie dwa sprzeczne uczucia. Z jednej strony kochałem ją z całem oddaniem i byłem rad, że skończyła w ten sposób. Z drugiej jednak budziła się we mnie zazdrość, że ona należy do innego męż⸗czyzny. Wzburzony okropnie dyszałem ciężko i zgrzytałem zębami z żalu do samego siebie. Postanowiłem jednak po⸗stępować dalej jak dotychczas i tylko dbać o jej dobro. Po chwili odezwałem się:

— Słuchaj, Elcia, powiedz mi prawdę. Czy jesteś teraz szczęśliwa? Jeśli tak, to i ja będę szczęśliwy.

Elcia nic nie odpowiedziała, tylko tuliła się do mnie. Ode⸗pchnąłem ją delikatnie, czując, że zaczyna się ze mną dziać coś niedobrego. Ona widać to zrozumiała, gdyż odsunęła się ode mnie. Znów siedzieliśmy oboje zamyśleni i milczący.

— Powiedz mi, — zawołałem, — skąd wiedziałaś, że tu jestem i chcę się z tobą zobaczyć? Czy zauważyłaś mnie przy bramie?

— Wieczorem, gdym szła z mężem, poznałam cię odrazu przy bramie. Opanowałam się całą siłą woli, by się nie zdradzić przed mężem, który mnie bardzo kocha. Szuka⸗łam różnych okazyj, by móc się z tobą zobaczyć. Specjalnie wybrałam tę uliczkę, wiedząc, że ty podążysz za mną. Po⸗wiedz mi, co masz zamiar teraz ze sobą zrobić? Pocoś tu przyjechał? Gdzie przebywasz?

— Przyjechałem tu, żeby się z tobą zobaczyć. Co ja po⸗rabiam? Co to ciebie może obchodzić?

— Nie mów tak. Dlaczego jesteś taki zły? Czy dopraw⸗dy nie kochasz mnie już?

— A ty mnie jeszcze kochasz? — powiedziałem z wy⸗rzutem.

— Jak ty śmiesz mnie o to pytać?! Czy ty możesz wąt⸗

pić o tem choć na jedną chwilę? Czy to mały dowód moje miłości dla ciebie, że po raz pierwszy po wyjściu zamą oszukałam męża, mówiąc mu, że idę do koleżanki, by si tylko z tobą zobaczyć? Mąż mój jest szlachetnym człowie kiem i nigdybym go nie oszukała, gdyby nie ty.

Podczas jej wynurzeń o mężu zazdrość zaczęła we mni wzrastać; nagle chwyciłem ją wpół. Ona z całej siły ode pchnęła mnie od siebie, aż zachwiałem się na ławce.

— Nie zapominaj się, mój przyjacielu, należę teraz d innego. Pomimo mej miłości do ciebie, męża zdradzić ni mogę i nie chcę.

— Kłamiesz, że mnie kochasz, gdybyś mnie kochała, ni broniłabyś się! — zawołałem drżąc ze wzburzenia. Nawe kilka klątw wyrwało się z moich ust, gdy zobaczyłem, ż Elcia przerażona bez słowa poczyna oddalać się ode mnie Chwiejnie powlokłem się za nią, zastępując jej drogę.

— Puść mnie, puść, — prosiła, gdy ją znów chwycilen w objęcia. — Będę wołała o pomoc.

— Nie zrobisz tego, moja mężatko, — zawołałem szyder czo przyciskając ją jeszcze bardziej do siebie i pałając żądzą Ona jednak nagłym ruchem uderzyła mnie między oczy tak że odrazu uwolniła się z mych ramion.

Gdy przyszedłem do siebie, puściłem się w pogoń za nią Ale już tylko zdaleka zauważyłem jej sylwetkę między prze chodniami na ulicy. Chcialem podążyć za nią i zatrzyma ją, jednakże rozsądek wziął górę nad zmysłami i dałem spo kój obiecując sobie jednak w duchu, że nie wyjadę stąd póki się z nią jeszcze raz nie zobaczę.

Stałem może z godzinę oparty o mur kamienicy i zasta nawiałem się nad mojem postępowaniem z Elcią. Żałowa łem, że postąpiłem w ten sposób. Chciałem ją teraz blaga o przebaczenie. Doszedłem do przekonania, że ona jak kobieta uczciwa nie mogła postąpić inaczej.

LI.

W ciągu tych kilku dni przebywania w Łomży stołowałen się i mieszkałem u znanego mi pasera, za co obiecywałen mu wziąć udział w pewnej wyprawie, którą nadał. Zrezy

gnowalem już z myśli pozostania uczciwym człowiekiem. Przekonałem się, że z tą myślą daleko nie zajdę. Wyprawę jednakże odkładałem z dnia na dzień. Miał to być gościn=ny występ o 30 kilometrów od Łomży. Paser wystarał mi się nawet o dwu wspólników, za których ręczył, że nie są tchó=rzami i zdolni są do „wszystkiego“, gdy zajdzie potrzeba.

Widzenie moje z Elcią wzruszyło mnie do tego stopnia, że nie byłem zdolny do niczego. Paser nastawał i nalegał, że później może się nie udać, ja jednak wykręcałem się, że czuję się niezdrów i t. d. Myślalem tylko o Elci. Znów cza=towałem na nią po całych dniach i nocach. Pewnego razu zauważyłem wieczorem, że mąż wyszedł na miasto. Nie na=myślając się długo spojrzałem na spis mieszkańców tego do=mu, wszedłem do korytarza i zapukałem do drzwi. Młoda dziewczyna, widać służąca, otworzyła mi drzwi i widząc moje nędzne ubranie zawołała cofając się:

— Kogo pan potrzebuje?

— Proszę powiedzieć pani, że mam dla niej list.

Dziewczyna zamknęła drzwi i po chwili ukazała się Elcia w jedwabnym szlafroku. Nie straciła zimnej krwi na mój widok i zawołała:

— Pan ma list dla mnie? Proszę do pokoju.

Wszedłem więc za nią.

Kiedy byliśmy sami, wskazała mi krzesło, a sama usiadła naprzeciw mnie. Nie śmiałem spojrzeć jej w oczy, za to ona bystro patrzała na mnie. Po chwili zawołała:

— Poco mnie prześladujesz? Czy ty chcesz, żeby mąż dowiedział się o mojej przeszłości? Powiedz, dlaczego ty ciągle szukasz mojej zguby!

— Przyszedłem nie poto, by cię prześladować. Chcę cię prosić i błagać, abyś mi przebaczyła mój postępek w ogro=dzie. Zaraz sobie pójdę. Daję ci słowo, że nigdy nie stanę na twojej drodze do szczęścia i nigdy więcej mnie nie zo=baczysz.

— Więc ty jednak zawsze kochasz mnie jeszcze? — zer=wała się i zaczęła mnie namiętnie całować. Potem wstała, podbiegła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła na otomanę.

— Chcę być twoją po raz ostatni, — wyszeptała. — Bierz

mnie prędzej, prędzej, zanim mąż mój wróci. No, czemu odpychasz mnie od siebie?

Wstałem i wyciągając do niej rękę zawołałem:

— Żegnaj na zawsze i nie myśl źle o mnie.

Skierowałem kroki ku drzwiom, widząc, że ona nie przyjmuje mojej ręki. Zastąpiła mi drogę, oparła głowę na piersi i powiedziała złamanym głosem:

— Ja zawsze, mimo wszystko, myślałam o tobie, że masz szlachetny charakter. Teraz postępujesz szlachetnie. Proszę cię tylko, zanim rozstaniemy się na zawsze, spełń jedną moją malutką prośbę.

— Wszystko uczynię, mów prędzej.

— Zabierz to, co trzymam w ręku. Błagam cię o to. Zrób to dla mnie.

I wsunęła mi do ręki paczkę z pieniędzmi.

— Wszystko dla ciebie zrobię, tylko nie to. Litujesz się nade mną, widząc moje nędzne ubranie. Rzucasz mi kość jak psu. Nie, nic przyjąć od ciebie nie mogę.

— Więc, jak widzę, masz żal do mnie. Przecież chcę ci się oddać. Chcę ci dać siebie całą, a nie jak ty mówisz, rzucić ci kość jak psu. Pieniądze ci daję dlatego, byś nie szedł więcej tą drogą, jaką szedłeś dotychczas. Jak będziesz kiedyś miał, to mi oddasz. Jeśli chcesz, żebym była szczęśliwa, weź to ode mnie.

— Nie! Taki podły jeszcze nie jestem! — zawołałem, i bojąc się, że ulegnę pokusie jej wdzięków i pieniędzy, prędkim krokiem wybiegłem z pokoju. Zrobiła kilka kroków za mną, ale widząc, że służąca już otwiera mi drzwi, pozostała na miejscu. Widać nie chciała się kompromitować przed służącą.

O północy dopiero wróciłem do meliny, wyrzekając na swój los. Paser przywitał mnie podejrzliwie i zawołał:

— Ty, zaczynasz mi się nie podobać! Nie pojmuję, czego ty tam do djabla wałęsasz się po całych dniach i nocach po mieście. Zapewne wypatrujesz coś na swoją rękę. Radzę ci być ostrożnym, bo zanim zdążysz coś zrobić, to cię gliny skapują i bez niczego wtrynią cię do Czerwoniaka. Uważaj na zakręty, mówię ci, bo jeszcze w żołądku masz mokotowską zupę.

— Mnie to wszystko jedno. Już mi to życie przeklęte obrzydło. Chciałbym jak najprędzej już tam być. Wolność nie jest dla takich jak ja.

— No, no, Nachalniku, nie jest tak źle. Co się z tobą dzieje, że tak mówisz? Pewno już ci jakaś spódniczka wlazła w drogę, co?

— Daj mi spokój, spać mi się chce.

— Możesz spać, ale powiedz mi nareszcie, kiedy już pójdziesz na tę robotę. Chłopaki na ciebie już kilka dni czekają. Chcą zarobić, bo są gołe, a ty też jesteś nie mniej mortusowy od nich. Statki wszystkie są u mnie przyszykowane. Boję się trzymać to w mieszkaniu. Ty wiesz, u mnie przecież często hinty hipisz przeprowadzają. Mogę przez ciebie mieć nieszczęście.

— Daj mi teraz spokój, stary, jutro już pójdę napewno. Powiedz mi tylko, czy maszyny też masz?

— Na co ci maszyny? Ty zaraz wszystko chcesz robić na grandę. To jest czysta robota i bez tego można się obejść.

— Ja bez maszyny nie pójdę, — zawołałem stanowczym głosem. — Jak sobie chcesz. Chcę być pewny siebie w razie jakiegoś nieszczęścia.

— To wszystko są wykręty z twojej strony. Nie chcesz iść na robotę i dlatego tak mówisz. Co ty sobie myślisz, że cię będę u siebie trzymał i karmił bez niczego? Ja całe życie robiłem roboty tylko na sucho. Z maszynami nie chcę mieć nic do czynienia. Tfu, — splunął w moją stronę.

— Odczep się do djabla i daj mi spać! Przestań krakać mi nad głową. Jutro w dzień pomówimy. Zresztą ja muszę zobaczyć, co za kawalerów dałeś mi za wspólników. Może to tacy, co zamiast na robotę, zaprowadzą mnie prosto do kryminału?

— Ny, za kogo ty mnie masz? Mnie, starego pasera, który odkiwal piętnaście lat po katorgach, kiedyś ty jeszcze nie wiedział co znaczy złodziej, uczysz teraz ludzi dobierać? Oni są jeszcze tacy sami dobrzy złodzieje jak ty.

— Może się już nareszcie odczepisz ode mnie? — zawołałem wściekły i ułożyłem się w kuchni na połamanym tapczanie, na jakich często po melinach kładzie się gości.

Paser stanął mi znów nad głową i domagał się słowa, że

jutro napewno udam się na „robotę“. „Ja tyle pieniędzy włożyłem w ten interes, że już dłużej czekać nie mogę“, powtarzał w kółko. „Wiem, że ty nie jesteś majstrem od takich robót“.

— Dobra, dobra, odczep się już, — odwróciłem się plecami i udawałem, że zasypiam. Paser, widząc, że go nie słucham, zaklął kilka razy pod moim adresem i oddalił się dopiero wtedy, gdy żona jego z drugiego pokoju zawołała, by mi dał spokój.

Gdy tylko odszedł, położyłem się nawznak. Głowa bolała mnie okropnie. Myśli plątały się i walczyły zawzięcie. Myśl zła, najgorsza ze wszystkich, jakie ulokowały się w moim mózgu, wzięła górę. Usiadłem na tapczanie i począłem nerwowo się ubierać. Zamorduję Elcię i siebie i skończę raz na zawsze z tem przeklętem życiem. Jeśli ja nie mogę jej mieć, to ten otyły frajer, jej mąż, także nie będzie jej miał!

Kiedy mówiłem paserowi o rewolwerze, miałem już na myśli wykonanie tego strasznego planu, który teraz dojrzał w mojej przestępczej głowie.

Wstałem pocichutku, rozglądając się po kuchni, coby tu można schwycić takiego, by się nadawało do wykonania planu. Już przekręcałem klucz w zamku, gdy wtem paser zawołał:

— Kto tam? Kto tam?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy już stal przy mnie w kalesonach i patrzał na mnie przerażony. Domyślałem się, że podejrzewa mnie teraz, że miałem zamiar okraść go i uciec. Widząc siekierkę, którą trzymałem w ręku, cofnął się wtył otwierając usta, jakby chciał wołać o pomoc.

Zbiegłem po schodach i przesuwając się pod murami pędzilem, by wykonać raz powzięte postanowienie.

Gdy znalazłem się już na ulicy, gdzie stał jej dom i spojrzałem w okna pokoju, wychodzące na ulicę, i rzucające poprzez kotary blade światło nocnej lampki, mordercze narzędzie wypadło mi z rąk. Zrobiło mi się lżej, jakby samochód ciężarowy zdjęto ze mnie. Stałem teraz i nadsłuchiwałem już z zupełnie innemi myślami. Pragnąłem usłyszeć jej głos, ujrzeć ją po raz ostatni, a potem uciec w świat i poddać się

losowi, bez walki. Płacz dziecka przerwał nocną ciszę ulicy. Nadsłuchiwałem z natężeniem. Płacz ten dochodził z jej pokoju; potem usłyszałem jej głos, jak gdyby uspokajała dziecko. Więc ona i dziecko już ma, a mnie o tem nic nie mówiła... Widać nie chciała mi przysparzać bólu. Chwyciłem się rękoma za głowę i biegłem jak warjat zpowrotem do meliny. Policjant na rogu wołał mnie głośno: Stać, stać, będę strzelal! Nie stanąłem i biegłem dalej, myśląc w duchu: dobrzeby się stało, gdybyś chciał to uczynić...

Wpadłem po schodach na górę i z całych sił waliłem w drzwi, które już były zamknięte. Otworzono je jednak i bez słowa upadłem w ubraniu na ten sam tapczan. Ukryłem twarz w brudnej poduszce i płakałem. Płakałem jak jeszcze nigdy w życiu...

Koniec